

ANDRZEJ BOBKOWSKI

SZKICE PIÓRKIEM

(FRANCJA 1940 - 1944)



INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1957

ii 213.704
ii 178.932 (A)

SZKICE PIÓRKIEM

BIBLIOTEKA «KULTURY»

Tom XXII

Część pierwsza

Imprimé en France

**Wydawca: Edition et Librairie «Libella»
12, rue Saint-Louis-en-l'Île, Paris (4^o)**

ANDRZEJ BOBKOWSKI

SZKICE PIÓRKIEM

(FRANCJA 1940 - 1944)

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1957

WYDAWCA: WYDZIAŁ WYDAWNICZY
UNIWERSYTETU WARSZAWSKIEGO

WYDAWCA: WYDZIAŁ WYDAWNICZY
UNIWERSYTETU WARSZAWSKIEGO

WYDAWCA: WYDZIAŁ WYDAWNICZY
UNIWERSYTETU WARSZAWSKIEGO

Wszelkie prawa przedruku zastrzeżone.
Copyright by «Kultura», 1957.

1940

20. 5. 1940.

Cisza i upał. Paryż opustoszał i pustoszeje z dnia na dzień. Odbywa się to jednak jakby pokryjomu. Ludzie wyjeżdżają chyłkiem, zapewniając znajomych do ostatniej chwili, że «my się nie ruszamy». I tylko coraz częściej dostrzega się na ulicach samochody, prześlizgujące się z ciężkim bagażem umocowanym na dachu i mknące na południe. Nie należy ich dostrzegać. Ale niepewność i tajemnica opadły na miasto. Idąc ulicą ciągle łapałem się na tym, że najnormalniejsze zjawiska codziennego życia wydawały mi się tajemnicze. Samochody jeździły tak jakoś dziwnie, jakby ciszej i prędzej, a na dworcach «métro» czekało się nie tylko na pociąg, lecz na coś więcej. W powietrzu wisiały kłamstwo i niedomówienie.

Dopiero dziś rano ta próżnia w dolku, z którą każdy chodził, zniknęła. Weygand mianowany wodzem naczelnym na miejsce Gamelina, Pétain w rządzie. Weygand od razu objął dowództwo i pojechał na front. Oczywiście zaczęły chodzić słuchy o zdradzie: podobno Gamelin popełnił samobójstwo, są dowody, że... i tak dalej. Wierzy się w Weyganda, wierzy się, że naprawi i załata. Tymczasem pierwszą fazę tej bitwy Francuzi przegrali na całej linii.

Niemcy są już w Arras i w Amiens, starają się otoczyć Armię belgijską.

21. 5. 1940.

Reynaud powiedział dziś w Senacie prawdę, a raczej część prawdy. Okazało się, że Armia generała Corap, broniąca linii Ardenów na odcinku Mézières-Sedan była źle skompletowana, obsadzona dywizjami źle uzbrojonymi — w listopadzie zeszłego roku widziałem ich chodzących po mieście w nocnych pantoflach — a ponadto mosty na Meuse nie zostały wysadzone. Po prostu skandal. Najsilniejsze uderzenie Niemców poszło oczywiście w tym kierunku, bo na pewno wiedzieli oni o tym, zanim M. Reynaud został poinformowany. Ale za to tradycji stało się zadość: wszyscy są podniesieni na duchu tym skandalem. Francuzi klną, złorzeczą i w końcu dochodzą do ostatecznej konkluzji, że «teraz my im pokażemy» i *Weygand va montrer*. Co? Cud nad Wisłą?

Ogólne przygnębienie wyładowało się w skandalu, w zmianie gabinetu i wszyscy jakby przebudzili się z koszmarne go snu. Patrząc na nich dziś rano, miałem wrażenie, że każdy z nich jest uosobieniem «Marsylianki». Hasłem dnia jest wytrwać — to odwieczne francuskie, ale już dobrze pogryzione przez mole — *tenir*.

22. 5. 1940.

Od 10-go maja nieprzerwana pogoda. Słońce i upał. Do Francji napływają tysiące uciekinierów z Belgii i z północnych departamentów. Kierują ich na południe. Francuzi odebrali Arras. W mieście nastrój normalny. Do codziennych rozrywek należy strzelanie artylerii przeciwlotniczej. Niemcy nie zaczęli jeszcze bombardować Paryża, ale dość często przylatują. I wtedy rozpoczyna się kano-nada, czyli nadmuchiwanie pajaków. Między wystrzałami słychać bzyk samolotu. Budzimy się i znowu zasypiamy. Jestem ciekawy, kiedy zabiorą się wreszcie do Paryża.

23. 5. 1940.

Francuzi za wszelką cenę dążą do uformowania jednolitej linii frontu. Niestety Niemcy prześlizgnęli się jakimś

otworem i grożą zajęciem Boulogne. Abbeville już zajęli. Armie belgijska, angielska i francuska nie są jeszcze otoczone całkowicie, ale z tego, co piszą, wynika, że nie zdołały nawiązać łączności. Tworzą one osobną jednostkę, tak zwaną Armię Flandrii. Niemcy codziennie atakują w innym miejscu, nie licząc się z olbrzymimi — jak piszą w gazetach — stratami.

24. 5. 1940.

Nic nowego. Francuzom nie udało się zapchać otworu między Arras i Somme'ą i Niemcy pchają tamtędy jednostki zmotoryzowane tak, że pod Boulogne i Calais toczą się ostre walki. Kapusta z grochem, *Eintopsgericht* z którego Niemcy wyłapują skwarki, czyli nowa taktyka, polegająca na zupełnym ogłupianiu przeciwnika. Pogoda bez przerwy cudowna.

25. 5. 1940.

Sobota. Basia przyjechała po mnie na Porte d'Orléans. Poszliśmy do kina. Policja paryska urządza wielkie obławy, wszyscy — nawet rodowici Francuzi — muszą zaopatrzyć się w dowody osobiste. W Prefekturze nie mogą się z nikim dogadać — wszystko rzeczywiście rychło w czas... Policjanci chodzą uzbrojeni w karabiny, ale gdy dziś przyjrzyłem się uważniej tej broni, miałem ochotę zapytać, czy naboje do tej pukawki nie znajdują się przypadkiem w Muzeum Inwalidów. Jakiś ostatni model z roku 1870, który służył prawdopodobnie do obrony Paryża — teraz wyciągnięto je przeciwko spadochroniarzom.

26. 5. 1940.

W wieczornych gazetach ukazała się krótka notatka, mówiąca jednak bardzo wiele. Piętnastu generałów pozbawiono dowodzenia. Dalszy ciąg skandalu zgodnie z zasadą, iż «ryba zawsze śmierdzi od głowy». Mianowano siedmiu nowych. Armia Flandrii jest już właściwie odcięta. Tworzy

ona teraz półkole, którego ramiona opierają się z jednej strony na północ od Dunkierki, a z drugiej strony na północ od Calais. Szereg punktów dotyka rzeki Lys i Escaut. Armię tę zaopatrują podobno z powietrza. Niemcy pchają ich do wody.

28. 5. 1940.

Coraz lepiej. Dziś nad ranem poddał się Leopold belgijski, a z nim razem 18 dywizji. Wiadomość ta ścięła z nóg wszystkich. Wygląda to na jawną i oczywistą zdradę. Poddał się bez uprzedzenia Francuzów i Anglików, odsłaniając w ten sposób ich tyły. Co nastąpi? Jest to wyrok śmierci na Armię Flandrii.

29. 5. 1940.

Po południu wyjechałem z fabryki z Jean'em jego Fordem. Wczoraj poddał się Leopold, 18 dywizji diabli wzięli, wszystko się wali, a my załatwiamy *cartes d'identité de travailleur étranger* dla polskich robotników państwowej fabryki amunicji. Urzędują z zimną krwią. Nie pomagają podpisy dyrektora fabryki, zaświadczenia — całe partie robotników trzeba wozić z odległej o dziesięć kilometrów od Paryża fabryki, odrywać ich na pół dnia od pracy, bo «muszą stawić się osobiście». Złożenie podpisu poza Prefekturą jest nieważne, ba — jest nie do pomyślenia.

Po niezłatwieniu niczego wstąpiliśmy do Dupont'a na piwo. Gorąco i duszno. U Dupont'a czerwono i srebrno. Po piwie Jean dostał napadu szału. Wsiadliśmy do samochodu i ruszyli pełnym gazem naprzód. Biedny Ford rządził, policjanci gwizdali na skrzyżowaniach bulwarów, a my pędziliśmy. Już za Paryżem wpadliśmy na śliczną drogę, wysadzoną drzewami. Całe pokryte blado-liliowymi kwiatami. Zapaliłem papierosa i otworzyłem okno. Zapadłem w siedzenie i przymrużyłem oczy. Było to jak wbiwanie się w zaspę kwiatową. Przez okno wpadał powiew i zapach. Nie wiem, o czym myślałem. Jakieś wspomnienia dawnych wiosen, ciszy, pomieszane ze smutkiem, jaki odczuwa się na dworcu kolejowym przy odjeździe kogoś

bardzo drogiego. Straszliwy przeciąg wewnętrzny od którego zapiera dech w gardle.

Skręciliśmy w polną drogę nie zmniejszając szybkości. Ford skakał i klekotał. Wczoraj spadło trochę deszczu i na drodze było pełno kałuż. Woda przyskała na boki i na szybko przed nami. Droga zbiegała w dół, do lasu. Na skraju mała restauracja ogródkowa. Jean zatrzymał się przed nią i powiedział: «Tutaj grałem w orkiestrze. Byłem skrzypkiem, grywałem także na banjo — i z tego żyłem». Zamyślił się. Miałem wrażenie, że i on odczuwa to samo, co ja. Może przyjechał pożegnać się ze wspomnieniami? Poszliśmy na piwo. Patronka przywitała Jean'a, jak syna. Ja wziąłem szklankę z piwem i usiadłszy w oknie, patrzyłem w las. Oni wspominali dawne czasy. Dolatywały do mnie jakieś oderwane słowa, jakieś *fleurs*, *Suzanne*, *mignonne*. Piwo nie chciało mi przejść przez ściśnięte gardło.

Od lasu dolatywał już przedwieczorny chłód, zapach mokrej zieleni i zgniłych liści; kilka promieni słońca przebijających się poprzez wysokie drzewa załamywało się na piramidzie starych butelek od szampana, ułożonych starannie pod płótem ogródka. Piwo wylałem do beczki z deszczówką. Jean pożegnał się z patronką i wsiedliśmy do samochodu nic do siebie nie mówiąc. Potem jeździliśmy po leśnych drózkach pełnym gazem Rzuciło nami, trzęsło, aż nagle zerwaliśmy się śmiać — zaśmiewać się głupio i histerycznie.

30. 5. 1940.

Co zrobią Włosi?... Jeszcze tego brakuje.

31. 5. 1940.

Armię Flandrii ewakuują statkami do Anglii. Część już uratowali. Belgijska defekcja należy już do przeszłości. Mówi się, że to Holendrzy i Belgowie, w porozumieniu z Niemcami, wyciągnęli Francuzów i Anglików z umocnionych pozycji, dzięki czemu Niemcom udało się narzucić taktykę najkorzystniejszą dla nich. W każdym razie

Niemcy operują jak na manewrach, według wszelkich reguł sztuki.

1. 6. 1940.

Jak zwykle w sobotę, Basia przyjechała po mnie na Porte d'Orléans. Poszliśmy na piechotę do Luksemburgu. Był śliczny, ciepły wieczór. Usiedliśmy na żelaznych fotelach koło sadzawki i czytali gazety. W ogrodzie pusto, a sadzawka bez dziecinnych żaglowców martwa i smutna. Z lektury gazet wynika jedno: nieprzebrane zasoby bohaterstwa żołnierzy i dowódców wyczerpują się na łataniu błędów krótkowzrocznych polityków i tak zwanych mężów stanu. Przerazająca jest ta precyzja operacyj niemieckich. Jak w zegarku.

Urywana rozmowa, myśli znane, lecz niedopowiedane. Klęska. Ze smutnego otepienia wyrwał nas głos trąbki. Gdzieś w głębi ogrodu strażnik trąbił wesołą melodyjkę. Wypłaszał ludzi przed zamknięciem parku. Mrok już zapadał i zieleń była czarna. Koło nas przejechał na rowerze inny strażnik i krzyknął: — *On ferme*.

«Chodź — zamykają Francję» — powiedziałem. Powlekliśmy się ku wyjściu. Na rue d'Assas weszliśmy do małej restauracyjki. Białe, mrożone wino.

3. 6. 1940.

Przedpołudniem w Ministerstwie Pracy na rue de Vaugirard. Przed wejściem jest tam trawnik i drzewa. Po trawniku chodzą dwaj policjanci, pochylają się, przystają, znowu pochylają. Nie mam czasu, ale zatrzymuję się zaciekawiony. W końcu podchodzę bliżej i pytam, czy czegoś szukają.

— *Mais oui, Monsieur*, szukamy czterolistnych koni-czyn. Chce pan jedną? — To mówiąc, jeden z nich podaje mi piękny okaz z miłym uśmiechem. Biorę i chowam w notesiku. Uśmiecham się także. Ludwik XVI w dzień zdobycia Bastylli zapisał w swoim dzienniku: *Rien*.

Obiad zjadłem w fabryce. Potem poszedłem do mojego pokoju pracować. Zaostrzone przepisy policyjne na-

waliły mi mnóstwo «kawałków». Kilkanaście minut po 1-ej alarm lotniczy na mieście. Alarmu fabrycznego nie było, więc dalej siedziałem przy biurku. W kilka minut potem artyleria przeciwlotnicza zaczęła szaleć. Jeden nieprzerwany grzmot. Nagle przenikliwy świst — ułamki sekundy ciszy — i łomot. Potem — już bliżej — to samo. Bomby. Ludzie zaczęli zbiegać na parter. Zaczęło się wyczekiwanie na następną serię. Alarmu fabrycznego jeszcze ciągle nie było. Siedziałem spokojnie przy biurku, udając zimną krew, choć bałem się piekielnie. Podobno prawdziwa odwaga na tym polega. Po półgodzinnej strzelaninie wszystko ucichło. O 2-ej z minutami odgwizdali alarm. W okolicach Porte de Versailles paliły się domy. W chwilę później wyszedłem do Ministerstwa Pracy. Na jednej z ulic w Châtillon szyby powylatywały z okien niemal wszystkich domów. Ludzie skupiali się w grupki i gadali. Zapytałem, czy bomby spadły gdzieś blisko. Powiedzieli mi, że tak. A za chwilę dwóch strażników aresztowało mnie pod pozorem zadawania podejrzanych pytań. Odwieźli mnie na komisariat policji. Po sprawdzeniu papierów i wysłuchaniu moich wyjaśnień, wypuszczono mnie. Koło komisariatu cały dwupiętrowy dom rozwalony. Koło Porte de Versailles palił się dom. Wojna...

Z wieczornych gazet wynika, że bombardowali wszędzie po trochu i są już ofiary w Paryżu.

4. 6. 1940.

Zrzucili 1.084 bomby, 900 ofiar, 250 zabitych — reszta ranni. Jak na początek, wystarczy.

Marynarka francuska i angielska dokonały cudu zręczności. Wywiozły z Dunkierki całą Armię Flandrii — około 330 tysięcy żołnierzy. W czasie bezustannego ataku Niemców ze wszystkich stron. Ratowano tylko ludzi. Całe uzbrojenie dwudziestu dywizji zostało na piasku. Chyba jedna z najbardziej bohaterskich klęsk. Zaczynają nam robić konkurencję.

Poza tym wszystko po staremu. Pogoda cudowna, a nawet upały. Kuchnia dla uchodźców na Lamandé, gdzie pracuje Basia, zwinie się prawdopodobnie w tych dniach. Co będzie ze mną, nie wiem.

5. 6.1940.

Od 10-go maja Niemcy nie schodzą z wysokiego «C». Ciągną je na jednym oddechu. Za ledwie wczoraj skończyli z Armią Flandrii, dziś o 4-ej rano rozpoczęli ofensywę na całej linii od morza aż po Soissons. Nie wiadomo jeszcze, czy i gdzie poszli naprzód, ale nie zdziwiłbym się, gdyby jutro byli w Compiègne, a za pięć dni w Paryżu.

Piekielny upał. W naszej mansardzie, jak w piecu piekarskim. Po kolacji poszliśmy na Bulwary do «Kardynała» posiedzieć trochę w mniej dusznym powietrzu. Piłem rum, zapijając to wodą sodową z lodem. Na Bulwarach pusto i ciemno. Spojrzałem na Basię i śmiejąc się, powiedziałem: «No — wywróżyłaś».

Rzeczywiście nie wiem jak, ale od roku, jeszcze zanim wojna wybuchła, już wiedziała i ciągle mi odpowiadała na moje zachwyty nad Francją, że gdy Niemcy w to uderzą, rozsypie się ten kraj jak purchawka. Nie wierzyłem. Wychowałem się na micie Francji. A teraz co? Wali się — i to wali się jakby po cichu, pęka, jak fastryga, właściwie bez trzasku.

6. 6.40.

Upał. Pogoda taka, że wprost żal, iż trzeba równocześnie myśleć o tym całym kramie. Nad Somme'ą i Aisne'ą bitwa. Niemcy rzucili znowu 2.000 czołgów. Francuzi cofają się na wybrzeżu.

7. 6. 40.

Idą ciągle naprzód, głównie na lewym skrzydle. Opierają się o Bresle. To już właściwie znęcanie się nad trupem. W fabryce nie mówi się jeszcze o ewakuacji, ale już niedługo tego dobrego.

W Paryżu spokój, na zewnątrz nie widać żadnego zdenerwowania. Czasem tylko przemyka ulicą samochód, wyładowany walizkami, z pościelą na dachu. Ludzie wyjeżdżają, jak mogą. Czuję dosłownie pod ręką szybkość przebiegania wypadków — jest to tak szybkie, że wydaje

się nierealne. Pracuję normalnie, piję zimne piwo po bistrach, czytam gazety i trudno mi uwierzyć, że Niemcy są już o 120 km. od Paryża. Teraz już tylko czekam, co dalej i patrzę. Ciekawe to jest — na pewno.

9. 6. 40.

Niedziela. Jak każda inna. Ludzie zaczęli wyjeżdżać, ale ciągle w tajemnicy, na własną rękę. Nic nie mówi się o ewakuacji.

Upał straszliwy. Po obiedzie poszliśmy do Bagatelle. Słońce, kwitną tysiące róż. Gdzieś z bardzo daleka dolaływały grzmoty. Może artyleria, może bombardowanie. Stałem przy jednym z krzaków i wsłuchiwałem się w te dalekie odgłosy. Jakiś huk zabrzmiał głośniejsz, niż inne i w tym momencie rozkwitła, biała róża osypała się cicho na ziemię.

Miałem uczucie, że stojąc przy tym krzaku róż, w pustym, prześlicznym ogrodzie, żegnam się bezpowrotnie ze wszystkim: z tą Francją, która była jak sen i pryska jak sen; z całą młodością — może z całą epoką. W upalnym powietrzu róże pachniały i jakiś odległy, kobiecy głos uspokajał płaczące dziecko: *Ne pleure donc pas, voyons...*

10. 6. 40.

Kordon pękł, jak mawiał Dymsha. Nagła ewakuacja. W samochodzie z Jean'em. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych opuściło Paryż dziś w nocy. I tak wszędzie. Dostałem rozkaz wyprawienia partiami wszystkich pracowników polskich. Pierwsza partia odjechała o 1-ej w nocy.

To, co dzieje się na dworcach jest nie do opisania. Paryż nagle przebudził się, nagle uświadomił sobie klęskę — i ruszył do dworców. Teraz było pusto. Gdzieniedzie na peronach spali ludzie, czekając na jutrzejsze pociągi. Wstąpiłem do kantyny Czerwonego Krzyża, napiłem się piwa i zapaliłem papierosa. Wszedłem potem wolno, przeskakując w ciemnościach przez śpiących na ziemi ludzi. Spali nawet na chodnikach przed dworcem. Taksówki nigdzie nie mogłem znaleźć. Już pewnie wszystkie wy-

jechały. Poszedłem do domu na piechotę. Lazłem wolno przez ciemny Bld. Raspail. Policjant sprawdził moje papiery i puścił dalej. Przeszedłem wolno przez Louvre, wdechując głęboko świeży powiew, przylatujący od Tuileries. Niebo zupełnie ciemne. Koło Opery zaskoczyły mnie strzały artylerii przeciwlotniczej. W tej pustej i ciemnej nocy echo ich przelatywało po martwych ulicach i zwiększało jeszcze bardziej uczucie pustki. Było to jak hukanie w głąb bezdennej studni — przeciągłe, smutne, groźne i beznadziejne.

Nad zgiełkiem tego całego dnia, nad bulgotem tłumy, nad całym miastem unosi się może nie tyle groza, co zupełny, absolutny smutek. To koniec.

Dziś wieczorem Włochy wypowiedziały wojnę. Dochodzi trzecia. Muszę wstać o 5-ej.

11. 6. 40.

Wstałem o 5-ej i pojechałem na Gare Montparnasse. W métro ścisk i piekło. Wszyscy jechali na dworzec z całym dobytkiem — walizki, kosze, pościel, klatki z kanarkami. Wydawało się, że wąskie wagony métra są z gumy, bo kiedy już było pełno, ludzie jeszcze wchodziłi, jeszcze wstawiali walizki i jeszcze znajdowali miejsce. Przed dworcem, wokoło całego dworca pierścień ludzi, stumetrowej grubości przekładaniec. Walizki, kufrы, materace, wózki, rowery, klatki z kanarkami — wszystko, co stanowi całe mienie biedoty i co ta uważa za swój obowiązek zabrać ze sobą. Żeby to wszystko wywieźć, trzeba by pociągnąć z kraju olbrzymów.

Moją grupę ludzi wyłapałem częściowo jakimś cudem i znowu cudem wprowadziłem ich na peron bocznym wejściem. Jeszcze nigdy w życiu nie mówiłem tyle i tak dobrze po francusku. Przeprowadziłem ich przez kordon policji, przez kordon kolejarzy, dołapałem zawiadowcę stacji i z nim razem wsadziłem ich do wagonu, który tym razem stał na bocznym torze i nie był zajęty. Potem wróciłem przed dworzec wyłapywać maruderów, którzy w tym piekielnym tłumie pogubili się. Na peronie skończyła jakaś staruszka — położyli ją na wózku bagażowym i przykryli twarz chustką do nosa. Nad całym Paryżem

unosila się czarna mgła. Podobno Niemcy, przechodząc na zachód od Paryża Sekwanę, puścili tę sztuczną mgłę. Dziś przyszyła nad miasto i osłania. Niemcy ciągle idą naprzód i otaczają Paryż.

Wyskoczyłem przed dworzec i wyłuskiwałem z tłumu naszych ludzi, grupując ich pod jedną z bocznych bram. Wszyscy mieliśmy twarze poczerwiałe od tej mgły — jakaś sadza osiadająca powoli. Około 9-ej rano wyłapałem wszystkich i wpakowałem do wagonu. Byli w dobrych humorach, częstowali mnie koniakiem. Wypiłem prawie pół butelki bez żadnego skutku. Może zmęczenie. Pociąg w końcu ruszył.

Gazety przestały już wychodzić, autobusów do Châtillon nie było. Poszedłem do fabryki na piechotę. Od Porte d'Orléans w kierunku na Châtillon, to znaczy na południe, ciągnął nieprzerwany sznur samochodów wyładowanych bagażami i ludźmi. Widok niesamowity. W przeciągu minuty naliczyłem 26 samochodów przesuających się przez miejsce, gdzie się zatrzymałem. Ten sznur ciągnął bez przerwy od wczoraj wieczora. W fabryce ruch, już i Francuzi przerwali pracę i na gwałt zabierali się do odjazdu. U nas, w polskim biurze, zbierali trzecią grupę na wyjazd dziś wieczorem. Pożegnałem się z Francuzami i poszedłem do domu, żeby się spakować.

Znowu upał nie do zniesienia. Byłem tak zmęczony, że w ogóle myśleć mi się nie chciało o pakowaniu i przechodzeniu po raz trzeci tego piekła na dworcu. Basia zlikwidowała wczoraj rano swoją kuchnię na Lamandé i zaczęła pakować. Zeszliśmy razem do restauracji na obiad. Po obiedzie dalszy ciąg pakowania. Nie wiadomo, co brać ze sobą w takich wypadkach. Spakowaliśmy cztery walizki, ciężkie, jak młyńskie kamienie. Państwo P. chcieli wczoraj wyjechać, ale już nie dostali się na dworzec. Postanowili zostać. My z Basią już od dwóch dni rozważaliśmy tę możliwość. Koło godziny 5-ej zacząłem znosić walizki na dół. Byłem już tak osłabiony i wyczerpany, że ledwo mogłem je unieść, choć normalnie bardzo dobrze radzę sobie z ciężarami. Na schodach spotkaliśmy panią P. Powiedziała nam, że wszyscy ich opuścili i że teraz z nami jeszcze musi się żegnać. I wreszcie zaczęła nam mówić, że cały ten nasz wyjazd nie ma sensu, że i tak Francja już przegrała.

że to już koniec. Staliśmy w klatce schodowej nad czterema walizkami (nasze całe życie, Basi i moje, to właściwie ciągle walizki) i prawie płakaliśmy. Spojrzałem na walizki i ogarnęła mnie wściekłość. Nie ruszam się. Niech się dzieje, co chce, ja mam dość. Wstawiłem to do mieszkania stróża (konsjerż znowu uciekł) i spokój. Postanowiłem tylko pojechać na dworzec, zawagonować trzecią grupę, spełnić mój obowiązek do końca, a potem wrócić do domu i położyć się spać.

Na dworcu czekała już trzecia grupa. W bardzo krótkim czasie połapałem się, że pociągi już nie odchodzą. Z inżynierem, mającym prowadzić tę grupę, poszliśmy do zawiadowcy stacji. Żadnej nadziei na pociąg — może jutro rano, ale i to nie pewne. Co robić? Z komisariatu policji dzwonię do Châtillon. Dyrektor C. mówi mi, żeby tych ludzi przysłać z powrotem i żeby poczekali do jutra. Po godzinie przyjechała ciężarówka i przewiozła ich do fabryki. Ja wróciłem do domu. Było mi już wszystko jedno. Postanowiłem jeszcze nazajutrz skoczyć do fabryki i zobaczyć, co słyhać. Ale przede wszystkim spać.

12.6. 40.

Wstałem rano i dojechawszy métrem do Porte d'Orléans, poszedłem na piechotę do fabryki. Pakowali ostatnie skrzynie. Dyrekcja kazała Francuzom i Polakom iść na piechotę w kierunku Nemours. Na jednym z wozów ciężarowych, cudem wydartym Francuzom, pojechały bagaże Polaków, żony i dzieci ich — ten najgorszy bagaż w takich wypadkach.

Nie było już co robić i zabrałem się do powrotu do domu. Idąc kupiłem jakąś gazetę, jakby biuletyn na jednej kartce. Niemcy przeszli Sekwanę, wszyscy mężczyźni w wieku poborowym mają opuścić Paryż. Przeczytałem i zbuntowałem się. Nie — nie wyjdę. Ale po chwili zastanowiłem się. Zostać w Paryżu, to właściwie dezercja. Może jeszcze nie wszystko stracone. Muszę się rozłączyć z Basią, bo jeżeli opuszczę Paryż nie chcąc być dezertrem, to dlatego aby gdzieś tam i kiedyś jeszcze się bić. A w takim razie po co z żoną. Do wojska nie idzie się z żoną. Skręcałem się wewnętrznie, miałem wstręt do siebie

samego za to tchórzstwo: bo mogliby powiedzieć «dezerter». No to co? Nie — nie wypada, muszę wyjść.

Myśli pracowały coraz jaśniej i ze wstrętem, z bólem, z ochotą do wymiotowania na wszystkie «wypada» i «obowiązki wobec Ojczyzny», zdecydowałem się na to, co najgorsze. Byłem już spokojny, jak po zażyciu jakiegoś ohydneho lekarstwa. Przyszedłem do domu, wchodziłem na szóste piętro powoli, otworzyłem drzwi, pocałowałem Basię i powiedziałem jej, że musimy się rozstać.

Patrzyliśmy sobie w oczy i nic nie mówili. Zdaje mi się, że ona rozumiała tę konieczność lepiej, niż ja. Milczała. A potem powiedziała: «Chyba się już nigdy nie zobaczymy». Po co to powiedziałaś? Te słowa utknęły mi gdzieś pod sercem i bolą od chwili rozstania z tobą. Nie — zobaczymy się — ja w to głęboko wierzę i ty musisz w to wierzyć. Zanadto się kochamy, aby życie nasze miało tak przysnąć. Przecież nie wzięliśmy prawie nic od życia — jak dotąd dawało nam ono walizki, ciężkie, wypchane i niezliczoną ilość pocałunków pożegnania. Cień tego czaił się nawet w naszych szczęśliwych chwilach. Ale to się przełamie i musimy się znowu odnaleźć. Ja w to wierzę. «Uwierz» — to jedyne słowo, które powtarzałem w czasie tej godziny. Pomagała mi pakować do koca najkonieczniejsze rzeczy. Zwinąłem koc i z pasków zrobiłem szelki. Wyszło z tego coś na kształt plecaka. Zeszliśmy do métra. Przed zejściem na dół, na stację, pocałowałem ją. Łkaliśmy obydwójce. «Wróć» — wykrztusiłem i potem już zaciąłem się w sobie. Stałem na peronie i półgłosem powiedziałem do siebie coś, od czego wszystkie polskie matrony i oficerowie sztabowi pomdleliby na miejscu. Zacząłem od razu myśleć o wojsku, bo o czym myśleć w takiej sytuacji? I na samą myśl ciemniało mi w oczach. Tak zawsze kochałem to nasze wojsko, że od razu przy poborze wsadzili mnie do kryminału. Za dobrze ich poznałem. Od dziecka.

Gdy przyszedłem do fabryki, Polacy już poszli na piechotę. W naszym biurze zastałem Roberta, kolegę biurowego. Doszliśmy obydwaj do wniosku, że nie warto iść na piechotę. Sporo ciężarówek stało jeszcze na dziedzińcu i postanowiliśmy doczepić się do jednej z nich. Tymczasem siedzieliśmy w biurze i rozważali wypadki na przestrzeni ostatnich dwóch dni. Nasi polscy przełożeni, już z wprawą nabytą w ojczyźnie, powtórzyli tutaj to samo. Zostawili

wszystko i wszystkich i ulotnili się na własną rękę. Kupiliśmy teraz sporo jedzenia i upakowaliśmy je w torbach od masek gazowych, które nam porozdawano kilka dni temu. Maski zostawiliśmy na stole. Potem przenieśliśmy delikatnie nasze bagaże do jednej z ciężarówek i sami też wślizgnęliśmy się pod plandekę, układając się między stosami opon, dwoma motocyklami i akumulatorami. Trzeba było się schować, bo przed fabryką stały jeszcze kobiety, których nie zabrali z powodu braku miejsca i te na widok nas urządziłyby na pewno rewolucję. Wyjechaliśmy schowani zupełnie i dopiero na szosie zaczerpnęliśmy świeżego powietrza.

Droga za Paryżem przedstawiała widok niesamowity. Niekończący się sznur samochodów, toczących się dwoma, a gdzieś tam trzema rzędami. Wszystko to wyładowane pościelą, betami, walizkami, skrzynkami, pudłami, kłatkami z wszelkiego rodzaju ptactwem wewnątrz. Toczyło się to krok za krokiem, bo jeżeli z jakiegoś samochodu uciekł piesek, to samochód się zatrzymywał, łapano pieska i wszystko stawało. Gdy jakiś wóz zepsuł się, a dużo tych gratów psuło się na drodze, bo ciąгла jazda na pierwszym biegu grzała motory, wszystko stawało. Brzegami drogi przeciskali się rowerzyści i ludzie idący na piechotę. Wszyscy obładowani tłumokami i walizkami. Cokolwiek miało koła, stało się użyteczne. Jakaś staruszka pchała taczki wyładowane gratami, gdzie indziej rower trzykołowy z pudłem na przodzie. Na tym pudle siedziała staruszka, trzymając na kolanach dużego psa. Mężczyzna z wysiłkiem obracał pedałami. I tak ciągnęło się to całymi kilometrami, jak okiem sięgnąć. Patrzyłem na to siedząc w mojej ciężarówce i zastanawiałem się, po co ta biedota i ci starzy ludzie uciekają. Na pewno nikt tu nie wiedział, dokąd idzie. Szli bez celu, byle przed siebie, bo inni szli. Opetani, zatruci trucizną ucieczki. A równocześnie odbywało się to jakby poza mną. Jedywym uczuciem we mnie jest teraz ciekawość, intensywna, gęsta, zbierająca się wprost w ustach, jak ślina. Patrzyć, patrzeć, wchłaniać, zapamiętać. Pierwszy raz w życiu piszę, notuję. I tylko to mnie pochłania. I poza tym nasycić się tą wspaniałą wolnością, chaosem, wśród którego trzeba sobie radzić.

Niebo zachmurzyło się i zaczął popadywać letni deszcz. Wleźliśmy pod plandekę. Z Paryża do Nemours

jest około 84 km. Od wpół do szóstej po południu do zapadnięcia zmroku, to znaczy do wpół do dziesiątej, ujechaliśmy najwyżej 15 do 20 kilometrów. Ogarnęła mnie senność. Ułożyłem się na oponach, skuliłem i usypiałem z nieopisaną rozkoszą. Z drogi dochodził bezustanny warkot motorów, krzyki, nawoływania, zgiełk.

13. 6. 40.

Właściwie nie spałem. Drzemałem. W nocy lat deszcz i kilka razy musiałem wstawać, unosić plandekę i wylewać wodę. Nie była napięta i we wszystkich zagłębieniach tworzyły się stawki. Na szczęście nie przeciekała. Nad ranem zrobiło się zimno. W nocy staliśmy kilka godzin, unieruchomieni przed jakimś miasteczkiem. O świcie ruszyliśmy dalej w tempie konduktu pogrzebowego. Skierowali nas na boczne drogi. Dzień pogodny i upalny. Od pół zapach parujących zbóż i kwiatów. Jak daleko okiem sięgnąć ciągnęły się kolumny samochodów. Teraz czekaliśmy, kiedy przylecą Niemcy i zrobią z tego flaki. Ale nie przylecieli. Po drodze części kolumn wojskowych, wycofujących się w kompletnym nieładzie. Grupowali się do dalszej ucieczki.

W południe zatrzymaliśmy się i zjedli obiad, a potem dalej. Już pod wieczór zajechaliśmy do Nemours. 84 km. w ciągu dwudziestu sześciu godzin. Przez Nemours przelatowały kolumny cofających się oddziałów — nikt się nie zatrzymywał. O zmroku przyszła pierwsza partia Polaków, którzy wczoraj rano wyszli na piechotę. Samochody fabryczne nie zatrzymały się w Nemours i pojechały do następnego etapu, do Sully-sur-Loire. Jedynym samochodem, który mógłby zabrać tych ludzi, zmęczonych i z pokaleczonymi nogami, była ta ciężarówka, na której przyjechałem z R. Poza tym należało czekać na tych, którzy jeszcze nie doszli i powinni byli nadejść nazajutrz rano. Czulem, że Francuzi zmuszą naszych do dalszego marszu, tym bardziej że Francuzów ogarnęła panika i nalegali, aby Nemours opuścić jeszcze tego wieczora. Wziąłem naszego szofera na stronę i powiedziałem mu, żeby udawał, iż jest coś niedobrze z samochodem i żeby poszedł spać. Tego nie trzeba mu było powtarzać dwa razy. Leciał z nóg. Potem

przekonałem dyrektora, że nie trzeba się spieszyć i że oni też mogliby spać spokojnie. Przekonałem ich. Zacząłem szukać noclegu dla siebie. Na rzece, przepływającej przez środek miasta, stała krypa-schronisko protestanckiej misji. Odszukałem pastora. Był uprzejmy i podobny do Schuberta. Powiedział mi, że na krypie nie ma miejsca, bo tam pełno kobiet z dziećmi i matek tuż przed lub tuż po porodzie. Powiedział mi, że jest Szwajcarem. «Po co to wszystko, dlaczego?» wzdychał, spoglądając w niebo. «Żeby było mniej nudno» — odpowiedziałem. Spojrzał na mnie przeżony. Zapytałem go o nowiny polityczne. Reynaud tego wieczoru zwrócił się wprost do Roosevelta o pomoc. Rząd francuski czeka teraz na odpowiedź Ameryki. Niech czekają.

Zapadła noc. Pastor wynalazł jakąś stodołę i nasi ludzie poszli tam spać. Ja wyszedłem jeszcze dokupić żywności, a specjalnie chleba, o który wszędzie trudno. Byłem brudny, włosy pokryte skorupą, bo nie zabrałem nic na głowę. Kupiłem beret. Uradziliśmy z Robertem że ja będę spał w samochodzie, bo trzeba go pilnować. Mogliby chyłkiem wyjechać w nocy. Ułożyłem się na siedzeniu szofera. Rzeka szumiała i pluskała w ciemnościach, z dala dolatywał jednostajny warkot motorów wycofujących się oddziałów. Patrzyłem w ciemną szybę i modliłem się, jak codziennie wieczorem.

14. 6. 40.

Wstałem o 6-ej. Po chwili nadszedł Robert i poszliśmy nad rzekę. Rozebraliśmy się i weszli do wody. Powietrze było chłodne, przesycone jeszcze zimnem świtu i szczykałem zębami. Ale woda, wygrzana trzytygodniowymi upałami, była letnia i przyjemna. Rozkosz. Ogoliłem się nawet. Potem zacząłem rozglądać się za gorącą kawą. Było to marzeniem — bistra wymiecione, nic, pustka. Pozostawało białe wino. Tego nie brakowało. Dyrekcja francuska zesłała się w komplecie i zaczęła nas popędzać. Na szczęście szofer gdzieś się zawieruszył. Tymczasem co kilka minut przychodziły jeszcze grupki polskich robotników, idących z Paryża na piechotę. Pakowałem ich na «naszą» ciężarówkę. Wtem zaczęli nadchodzić Francuzi, i to z żo-

nami i dziećmi. Też szli na piechotę. Sytuacja stała się naprężona, bo kazano naszym opuścić ciężarówkę aby umieścić w niej kobiety i dzieci. Nasi zaczęli się buntować i groziła bitka. Francuzi mieli rację. Nasi w końcu ustąpili. Nagle zajechała wielka ciężarówka fabryczna. Wróciła z Sully-sur-Loire po maruderów. Ulga. Załadowano nas na nią. Wyjechaliśmy z Nemours o 2-ej po południu.

Jechaliśmy prędzej. Drogi już się przeczyściły i panował większy porządek. Wojsko kierowało ruchem. Jechaliśmy znowu w tłumie kolumn wojskowych, pomieszanych z cywilnymi uciekinierami. Wojsko nie cofało się — też uciekało. Żołnierze pętali się bez żadnej dyscypliny. Pospolite ruszenie. Jedyne wozy z żarciem szły w porządku i w południe cała ta banda stawała się wzorowo zdyscyplinowana w obliczu konserw, chleba i zupy. Pod wieczór wjechaliśmy na most na Loire. Rzeka prawie wyschnięta i nie bardzo chciało mi się wierzyć, ażeby ta struga mogła stanowić linię jakiegokolwiek oporu. Sully było zapchane uciekinierami. Musiałem schować moje dwa bochenki chleba, bo mi je zjadali oczami.

W Sully zgromadziła się już cała fabryka. Nazajutrz rano mieli jechać na Bourges i Moulins. Co do nas, nie było żadnych dyspozycji. Poszedłem na dworzec dowiedzieć się o pociągi. Powiedzieli mi, że może nazajutrz odejdzie pociąg do Bourges. Nie interesowałem się już tym, bo całą sprawą zajął się H. jako kierownik grupy. Zrobiłem jeszcze spis naszych — dojechali niemal wszyscy, a potem poszedłem na kolację. Wypiliśmy we dwóch z Robertem flaszkę koniaku do kolacji i ulokowaliśmy się na strychu jakiegoś domu. Wieczorem rozeszła się wiadomość, że jeżeli Ameryka nie przystąpi do wojny, to Francuzi będą prosić o zawieszenie broni. Wydało mi się to bardzo prawdopodobne, choć Francuzi zapewniali mnie, że na Loire ma być stawiany opór. Miałem ochotę zapytać się czym? Tym wojskiem, które widzę wokoło? To już nie wojsko.

15. 6. 40.

Rano spaliśmy długo. Kiedy przyszliśmy do punktu zbornego okazało się, że większość naszych już wyjechała

pociągiem do Bourges. Reszta ładowała się na ciężarówkę. Robert i ja mieliśmy już dość tego ścisku. Zdjęliśmy z samochodu jakieś dwa rowery i postanowiliśmy jechać do Bourges na rowerach. Samochód z rodakami odjechał, a my wolno i z namaszczeniem zabraliśmy się do śniadania. Koniec z wrzaskami, pośpiechem i zdenerwowaniem mężczyzn, rozrzesionych kobiet i wrzeszczących dzieci. Około 11-ej wyjechaliśmy.

Droga do Bourges była z początku zaphana, ale rowem można się zawsze przemknąć pomiędzy samochodami. Po pół godzinie jazdy w mętliku wyrwaliśmy się na wolną szosę. Droga świetna. Koło 2-ej zatrzymaliśmy się na obiad mając poza sobą około 40-tu kilometrów. Potem dalej. Jechało się wspaniale. Łagodne podjazdy pod górę i długie zjazdy w dół. Na 15 km. przed Bourges kazali nam zjechać na boczną drogę. Musieliśmy nadłożyć z 5 km. Byliśmy jednak zmęczeni. Koło 6-ej wjechaliśmy na przedmieścia. Robert był tak zmęczony, że jadąc zupełnie wolno wywrócił się i rąbnął nosem o asfalt. Zadrapał nos i dostał straszliwego krwotoku. Krew wlewała mu się do gardła i ciekła z dziurek na zewnątrz. Jacyś chłopcy przynieśli wody, a jacyś dwaj panowie zaczęli udzielać rad. Usłyszawszy, że mówimy po polsku, zaczęli i oni po polsku. Żydzi, uciekinierzy z Antwerpii. Od razu doszukaliśmy się znajomych, bo wuj jednego z nich miał skład futer w Krakowie. «Pan wie — to on miał futra na Wiślniej — pan szedłeś z Rynku, to po prawej stronie»... Robertowi tymczasem krew przestała cieknąć i wjechaliśmy po chwili do miasta. Naszych odnaleźliśmy w komplecie na dworcu. Francuzi kazali oddać samochód i powiedzieli nam, że stąd mamy już jechać pociągiem do Quimperlé. Tam załadują nas do Anglii. Ehe — specjalnie czeka krążownik, a na krążowniku przyjmą nas z kwiatami. Poszedłem do komisarza wojskowego. Był uprzejmy, ale wprost mi powiedział, że już żadne pociągi na zachód nie odchodzą. Należy jechać dalej na południe, a stamtąd może na Bretanię. Bez Pekin do Otwocka.

Mrok już zapadał, gdy kupiłem gazetę. Niemcy już w Paryżu. Nie pisali o tym dosłownie, ale można się było domyśleć z treści. Usiedliśmy z Robertem przy stoliku jakiegoś zamkniętego bistra i wyładowawszy nasze zapasy, zjedliśmy kolację. Robert jest wspaniałym towarzyszem:

spokojny, pedantyczny, wie czego chce i tak samo, jak ja, nie znosi ścisku. Bardzo go polubiłem. Wróciliśmy na dworzec i tam okazało się, że rower nie jest własnością nikogo z Polaków. Jakiś Francuz wsadził go do ciężarówki i więcej nie pokazał się. Mieliśmy wobec tego «nasz rower». Trzeba było teraz wynaleźć drugi rower, bo po tym jednym dniu bardzo się do tego środka lokomocji przekonałem.

Już w nocy wyszliśmy na miasto szukać noclegu. Księżyc świecił jasno na niebie bez chmurki. Wszędzie pełno. Całą noc przedrzemaliśmy na betonie peronu.

16. 6. 40.

Po betonowej nocy wstaliśmy już o 5-ej rano. H. który dotąd kierował grupą, nie zjawił się już w Bourges. Koło 9-ej rano rozpoczęliśmy szturm do pociągu towarowego. Wagony były już pełne kobiet i dzieci. Robert i ja znaleźliśmy jeszcze dwa miejsca tuż przy drzwiach. Siedzieliśmy ze zwieszonymi na zewnątrz nogami. Ścisk w wagonie wynikał z bezdennie głupiego rozstawienia bagaży. Chcieliśmy zrobić porządek, ale mowy o tym nie było. Podparyski ludek okazał się nieprzejednany. Jakiś sparalizowany staruszek na wózku zaczął wygrażać Robertowi laską. Nikt nikomu nie chciał pomóc. Kiedy jednej z kobiet przyniosłem flaszkę wody, wydarła mi ją z rąk i spojrzała, jak na wroga. Pociąg ruszył, jechaliśmy do Montluçon. Zaraz za Bourges stanęliśmy. Nadleciał niemiecki samolot, ale nie strzelał. Znowu ruszyliśmy. Dzień upalny, w wagonie smród. Staruszek zaczął się niecierpliwic. Widząc, że na stacjach ludzie wysiadają i kładą się na trawie, chciał koniecznie wysiąść i *prendre un peu d'air*. Potem dostał napadu szału, klął i okładał laską wszystkich wokoło. Córka zaczęła płakać i krzyczeć, że zwariował, zrobił się rwetes. Opowiedziała całemu wagonowi, co ona dla swego ojca zrobiła, a stary klął, że Bosze już są tu, że Francja nie jest już Francją, a po prostu gównem — w sumie bardzo do rzeczy i wcale nie po wariacku. *Vivent les fous* — powiedziałem do Roberta.

Niebo zachmurzyło się i zaczął padać deszcz. Piliśmy wstrętne, zatęchłe białe wino, bo w Bourges innego już

nie dostaliśmy. Zaszło mi w gardle, zgaga paliła i ledwie trzymałem się na nogach. Pod wieczór dojechaliśmy do Montluçon. Zebraliśmy graty i na miasto, pomimo iż większość twierdziła, że jedziemy dalej. Ani mi się śniło. W mieście udało nam się wreszcie zjeść normalną kolację z zupą i mięsem. Potem rozglądanie się za jakimś noclegiem. Do jednego z kin wnoszą snopy słomy. Wchodzimy do środka — luksus. Miękkie fotele, dużo miejsca, można sobie przynieść słomy. Tylko nie rozumiem dlaczego nie mają puścić jakiegoś filmu. Byłoby wspaniale leżeć na snopku i oglądać Marlenę. Od razu wróciliśmy na dworzec po rzeczy. Tam okazało się, że część naszej grupy pojechała już jednym pociągiem, a druga część, nie mogąc wywalczyć miejsc, gotowała się do innego pociągu, którego jeszcze nie było. Spojrzałem na Roberta, postukałem palcem w czoło i zabrawszy rower i bagaż, poszliśmy do kina. Złożyliśmy graty w kinie, oddali pod opiekę jakiegoś drzemającego na snopku uciekiniera i poszliśmy do miasta.

W mieście pełno wojska i uchodźców. Siedzą w bistrach, piją wino i kawę i dyskutują. Wieczorna gazeta narobiła ruchu, bo zmienił się rząd francuski, wyewakuowany do Bordeaux. Reynaud podał się do dymisji, na jego miejsce wszedł Pétain, wicepremierem został Weygand — prawie cały rząd wojskowy. Na wszystkich twarzach widać obawę, czy przypadkiem nie oznacza to projektów obrony do upadłego. Ale tymczasem Niemcy przeszli już w kilku miejscach Loire. To już koniec.

Z ciekawości poszliśmy na dworzec. Już i druga grupa odjechała. Ale w chwilę potem zjawili się dwóch robotników. Tadzio wziął mnie na stronę i wręcz oświadczył, że umyślnie spóźnił się na pociąg, bo już nie mógł wytrzymać. Zaprowadziliśmy ich do kina, a potem jeszcze wyszli. Nie wiem, co mi strzeliło do głowy, ale widząc jakieś dwie porządnie ubrane kobiety, podszedłem do nich i zapytałem, czy nie wiedzą, gdzie można by tu przemocować. Jedna z nich z miejsca odpowiedziała, że u niej. Robert mnie trącił, ale postanowiłem brnąć dalej. Poszliśmy razem z nią. W jakiejś ciasnej uliczce wprowadziła nas w korytarz, potem na podwórze, a w końcu do wozowni. Na ziemi słoma, jakiś stary dywan, przyniosła nam koc, wiadro wody do mycia. To najważniejsze. Wróciliśmy do kina, przynieśli część rzeczy i spać.

Wstaliśmy o 9-ej. *Madame* zrobiła nam gorącej kawy i pozwoliła wypić śniadanie w kuchni. Z zawodu krawcowa. Ma sklep z garderobą damską, mąż ma sklep z radiami i obecnie jest na froncie. Obydwa sklepy zamknięte. Właśnie dziś rano telefonował do niej, że jest zdrow i ma się dobrze, cofa się razem z wojskiem przez jakąś miejscowość obok Montluçon. Mówiła nam, że to wszystko jest okropne, że pewnie lada dzień Francja poprosi o zawieszenie broni, ale co robić — grunt, żeby mąż wrócił. I żeby mogli być znowu razem. Pewnie miała rację.

Na dworcu dowiedzieliśmy się, że już żadne pociągi nie odchodzą. Było południe. Przed jakimś bistro stał tłum ludzi i z wewnątrz dolatywały dźwięki radia. Marsylianka. Podeszliśmy. Zacząłem się pytać, o co chodzi. Zobaczyłem zapłakane twarze kobiet i posępnych mężczyzn. W końcu jakiś młody robotnik powiedział mi tonem obojętnym: «Francja prosi Hitlera o zawieszenie broni». Marsylianka kończyła się i jeszcze raz powtarzała się druga część. Mimowoli powtarzałem w myśli słowa *formez vos bataillons — marchons, marchons*, a równocześnie uświadamiałem sobie śmieszność tych słów w zestawieniu z sytuacją. Francja prosi o pokój. Miałem ochotę płakać, a uśmiechałem się ironicznie szepcząc zamiast *marchons — fuyons*. Złapałem Roberta za rękaw i powiedziałem: «Zażądali pokoju — koniec». Obok nas przechodziły zapłakane kobiety, a ulicami pędziły samochody wypełnione obszarpanym wojskiem.

Ochłoneliśmy. Co robić? W tym momencie podszedł do nas Tadzio, uśmiechnięty i uradowany, że w końcu nas spotkał. Tadzio zawsze lubiłem. Z zawodu szofer, urodził się w Warszawie skąd wywiozł bogatą przeszłość taksówkowo-autobusową i wspaniałą język. Tadzio teraz stał, spoglądał na jadące samochody, splotał i wreszcie sucho stwierdził: «Trzeba stąd koniecznie odpłynąć dalej, a potem zobaczymy». Zaczęliśmy się zastanawiać, jak to zrobić. Pociągi już nie odchodzą, iść na piechotę nie ma sensu. Tadzio skręcał mozolnie papierosa czyli «spirocheta» i wreszcie oświadczył, że najlepiej kupić rowery.

Zdecydowałem się w jednej chwili. Po długich poszukiwaniach znaleźliśmy sklep. Używanych już nie było

i tylko nowe. Tadzio kupił sobie półwyscigówkę za 630 franków, ja doskonałą szosówkę za 715 fr. W sklepie ogarnęła mnie zupełnie dzika i bezsilna wściekłość. Dlaczego ten wspaniały kraj, w którym nowy rower kosztuje jedną trzecią przeciętnego zarobku robotnika, dlaczego ten kraj biorą diabli? Ciągłe odczuwam to jako definitywny koniec. To już chyba nie wróci. I może właśnie to uczucie, uczucie bezgranicznego smutku, jest w tym wszystkim najgorsze. Robert pakuje teraz nasze rzeczy. Obawiam się, że te rowery pojedą raczej na nas, a nie my na nich.

18. 6. 1940.

Wstaliśmy rano około 7-ej. Niebo pochmurne i deszcz wiał w powietrzu. Niemcy załatwili się już z Francją i nie potrzebują pogody. Polski wrzesień i francuski maj-czerwiec były jednakowo słoneczne i pogodne. *Hitlerwetter*. Biedna i niezasobna Polska i wielka i bogata Francja broniły się jednakowo długo. My i obcy uważali naszą obronę za skandal. Obrona francuska na tym tle jest po prostu kryminałem. My chcieliśmy się bronić, ale nie mieliśmy czym. Oni mieli czym i nie chcieli się bronić. Jestem ciekawy, czy Francja potrafi dźwignąć się z tego ciosu. Ciągłe myśli, które mnie nurtują od wczoraj.

Wydostanie się z Montluçon było sztuką cyrkową. Kilka dobrych kilometrów musieliśmy prowadzić rowery i przepychać się w zbitej masie samochodów, dział, ciągników i czołgów. Mieli — mieli tego żelastwa. Dalej było luźniej i można było jechać. Zaczął padać deszcz. Przy jakimś samochodzie ciężarowym stała grupa żołnierzy. Zatrzymali nas i zaprosili na rum. Mieli go kilka beczek i poili nim wszystkich po drodze. Tadzio wypił podane mu pół szklanki duszkiem, splunął i zwrócił ją z dodatkiem jakichś zupełnie niesamowitych przymiotników pod adresem żabojadów. Jedziemy w kierunku Bordeaux. Pod wieczór zjazd w dolinę Creuse. Wieczór zapadał chłodny. Leżałem na kierownicy i brałem ostre wiraże, pokładając się z całym rowerem. Było coś upajającego w tej jeździe. W pewnej chwili najwyraźniej poczułem, że wszystko przestało mnie obchodzić. Teraz, kiedy to piszę, czuję, że pękło coś we mnie. Może nastąpiło zerwanie z przeszłością.

Nareszcie. Jestem wolny w tym zamieszaniu. Może nawet zerwałem z samym sobą. Wspaniale. Rozpiera mnie. Żal? Za czym, do diabła? Za tamtym życiem? To był koszmar, bezustanne duszenie się. Koszmar lat gimnazjalnych, koszmar tego życia, do którego przykrawałem się, nie mogąc się nigdy spotkać z samym sobą. Rozmawiałem z sobą poprzez innych. I to poprzez kogo? Poprzez co? Cholera!

Na dnie doliny jakiś drogowskaz mówił o wsi o 1.500 metrów stąd z dopiskiem: «Kościół z XII wieku i most rzymski». Bez namysłu skręciłem. Trzeba zwiedzić. Proboszcz romańskiego klejnotu umieścił nas w jakimś domu na siennikach. Po zjedzeniu czegoś wyszedłem. Nad wilgotnymi łąkami unosiła się mgła, grały świerszcze i świecił księżyc. Wszedłem na most. Ogarnęło mnie wzruszenie. Przewracałem w myśli kartki realiów Terlikowskiego (nudne to to było) i patrzyłem na okrągłe, wąskie łuki z szarego kamienia. Przy wjeździe resztki głazów tej drogi, po której toczyły się wozy i maszerowały ciężkim krokiem legiony rzymskie. «Gallia est omnis divisa...» Dlaczego wtedy bronili się, pomimo że ich sprzęt i technika były o tyle gorsze od rzymskich? Z odległej drogi dolatywał bezustanny ryk motorów, a pod mostem odezwały się żaby. W mroku zamajaczyła krępa postać Tadzia. Zapalił papierosa. «Panie B., nic się pan nie martw. Jutro szatkuję dalej. To aż przyjemnie uciekać po takich drogach. Co cywilizacja, to cywilizacja — wszystko jakoś gładziej idzie. Nie tak, jak u nas. Ale że łapciuchy z nich p..., to prawda». Jest cisza. Robert i Tazio głośno oddychają, świeca pryska.

19. 6. 1940.

Pogoda się poprawiła. Od rana słońce i gorąco. Na śniadanie gorąca kawa z mlekiem. O 10-ej w kierunku na Guéret. Słońce paliło już bezlitośnie, ale szosa wysadzana platanami i jedzie się, jak w altanie. Po półtorej godziny dojeżdżamy do Guéret. Na drodze ludzie z taczkami, znowu ogłupiali, z wózkami dziecinnymi, idący w odwrotnym kierunku. Nie można się było od nich nic dowiedzieć. Otępiali. Jedziemy dalej. Wpadamy na przedmieście. Tu dowiadujemy się, że przed godziną było bombardowanie. W mieście pełno wojska, rynek zapchany sa-

mochodami, działami. Jakieś dwa domy dopalają się, a na środku drogi lej od bomby i szkielety spalonych samochodów. Tadzio rozglądnięt się i stwierdził rzeczowo: «Trzeba stąd koniecznie spłynąć, bo s... wróć. Ja ich znam; do wieczora nie dadzą spokoju; dopiero po 6-ej mają fajerant». Nie szukaliśmy już nic do picia. Przepychamy się pomiędzy setkami samochodów. Odnajdujemy drogę na Saint-Sulpice. Upa! Za Guéret postanowiliśmy zjeść obiad. Chcieliśmy przysiąść koło przydrożnego bistra, tuż przy drodze, ale Tadzio nie pozwolił. «Ja chcę spokojnie jeść». Odciągnął nas od szosy, w pola. Zabraliśmy się do otwierania puszek z pasztetem i sardynkami, nasmarowaliśmy sobie chleb, gdy nagle zaczyna coś warczeć. Tadzio wstał, wyszedł spod drzewa i wrzasnął: «Idą sk... tutaj... raz, dwa, pięć, osiem, dziesięć». Zostawiliśmy jedzenie w trawie i biegiem pod drzewa, do płytkiego rowu przy łące. W Guéret łomot, zrzucili bomby. Potem trzask karabinów maszynowych. Tadzio krzyknął: «Rąbią z karabinów, niech ich wyrok spotka». Samoloty były nad nami. Spłaszczyłem się w rowie, jak papierek, ale odwróciłem głowę, żeby popatrzeć. Przeciągły gwizd tuż, tuż, huk. Szarpnęło powietrzem. Trzask karabinów maszynowych. Siekli po szosie. «Włoskie maszyny — Fiat B.R.20» — mówię do Tadzia. Tadzio klnie. Wracamy do jedzenia. Po dwudziestu minutach znowu warkot. Szli nad Guéret i bombardowali zajądla. Potem znowu przeszli nad nami, siekąc po szosie z karabinów maszynowych. Leżałem w rowie i bałem się. Po tym nalocie dokończyliśmy szybko jedzenia i jazda dalej od tego zapowietrzonego miejsca. Bomba spadła niemal w to samo miejsce, gdzie chcieliśmy usiąść. Z bistra wyleciały wszystkie szyby i pospadało trochę dachówek, na drodze leżały gałęzie, a na progu bistra leżał skrwawiony trup jakiegoś człowieka. Pomyślałem sobie tylko: «Grunt, że to nie ja». O kilkadziesiąt metrów dalej, przy bocznej dróżce, stały dwie butelki wina. Ktoś je zostawił i uciekł. Tadzio zabrał je ze sobą. Patrzymy teraz bardziej w niebo, niż na drogę. Ujechaliśmy może z 10 km. i znowu ich diabli nadali. Ta sama dziesiątka. Obok nas jedzie spokojnie samochód. Zamknięci w limuzynie nic nie słyszą. Dajemy im znaki. Stają i rzucają się jak szaleni w pole. Dziecko zostawili w samochodzie. Wziąłem chłopczyka na ręce, przenieśliem przez płot do sadu obok szosy i przykucnąłem

w rowie. Biedne dziecko trzęsło się i z oczu ciekły mu łzy. Już nawet nie mógł głośno płakać — po prostu lało mu się z oczu. Przytulilem go do siebie i uspokajałem, myśląc sobie, że sam też boję się straszliwie. Tadzio skądś krzyknął: «Idą bokiem!». Pocałowałem chłopczyka i odniosłem do samochodu. Matka była tak wystraszona, że zapomniała o nim. Tulił się teraz do niej i płakał w milczeniu. *La prochaine fois ne l'oubliez pas*, powiedziałem wyładowując całą złość za mój własny strach. Ona pewnie pomyślała, że ja jestem bardzo odważny.

Tadzio spojrział na zegarek, zobaczył, że już po 7-ej: «Można spokojnie jechać, już po fajerancie. Teraz wyładują, uchleją się, mordy zaszargają, a jutro abarot. Gdzie ta potęga Francuzów? Latają, jak u nas». Ma rację. Pełno wojska wokoło, pełno działek przeciwlotniczych i karabinów maszynowych i nic; nikt się nie odezwał. Koło 9-ej zjechałem z drogi w poszukiwaniu noclegu. Znalazłem fermę. Wszyscy byli przy kolacji. Patron chętnie zgodził się na nasz nocleg w stodole. Poczęstowali nas zupą i winem. Po kolacji zagrzebałem się w sianie. Terkanie świerszczy i kumkanie żab. Już w piżamie wyszedłem jeszcze i usiadłem na kamieniach przy studni. Rosa osiadała i papieros zawilgł. Już późno w nocy przyszło spać do stodoły dwóch robotników z Paryża. Wyjechali o dzień później od nas. Mówili, że przez radio ogłoszono, iż ktośkolwiek w wieku poborowym nie opuści Paryża 13-go czerwca do 12-ej w nocy, potraktowany zostanie jako dezertor. Kiedy i przez kogo? Podobno z przechowalni bagażów na Gare du Nord rozdano ludziom około 6.000 rowerów, byleby mieli na czym wyjechać.

20. 6. 40.

Wyjechaliśmy późno, bo Robert rano uprawia takie ablucje, czyszczenia, pakowania swoich rzeczy, że nie możemy wyjechać przed 10-tą. Podobno Niemcy idą ciągle naprzód, ale są dość daleko za nami. Robert twierdzi, że nie należy się spieszyć. W południe przejechaliśmy przez Saint-Sulpice. Miasteczko położone w dolinie, otoczone górami. Upał tropikalny. Z kupionej tam gazety wynika, że rokowania o zawieszenie broni są w toku, ale do chwili

definitywnego podpisania tego aktu łaski, Niemcy będą szli dalej i walki trwają nadal. Jakie walki? Linia Maginota otoczona. Dwie dywizje polskie, które pod koniec weszły do akcji, odmawiają wszędzie cofania się i biją się po bohatersku. Część jednej dywizji została podobno wybita, osłaniając odwrót wojsk i uciekinierów francuskich w kierunku Szwajcarii. Piszą, że nasi rzucali się z butelkami benzyny na czołgi. To już trochę lepiej, niż z kawalerią, ale jeszcze źle, jeżeli to prawda. Nie — jesteśmy bez konkurencji. Rząd francuski jest w Bordeaux. O 2-ej wleźliśmy w las i przespali do 6-ej. Tadzio śpiewa krwawę tanga i klnie, bo górzysto. Już o zmroku znajduję fermę. Jestem przewodnikiem, nadaję tempo i wyszukuję kwatery. Przyjmują nas z wylaniem. Są aż cztery młode dziewczęta. Jemy kolację z naszych zapasów przy stole gospodarzy i ja gadam za wszystkich. Dziewczęta przyglądają się nam z ciekawością, a jedna z nich zna parę słów po polsku. Tadzio przymila się do niej i plecie głupstwa. Potem do mnie: «Panie B. — zostaję — na sznurku za nią pójdę. Dziewczę cud, palce lizać, nóżki moczyć. W sam raz na wiatraczek». Jesteśmy zmęczeni. Wyleźliśmy po drabinie na siano. Pod nami słychać było dźwięk łańcuchów i żucie krów. Cisza. Zapach mleka i gnoju. W ciemności błysnął świętojański robaczek, zielonkawy pyłek. Noc bez księżycy ale jasna od gwiazd. Cudownie.

21. 6. 40.

Śniadanie, mycie, golenie. Jedziemy ciągle w kierunku na Limoges. Bez mapy trudno to idzie. Nigdzie nie można kupić mapy, bo wszystkie rozkupili. Koło 1-ej dojeżdżamy do Limoges. Nie wpuszczają do miasta. Zsiadam z roweru i po dłuższym wykładzie, wpuszczają tylko mnie. Zostawiam rower i idę na piechotę. W środku miasta łapie mnie ulewa. Przeczekuję w bramie i idę na dworzec. Dworzec też zamknięty i dopiero po dłuższym gadaniu, dopuszczają mnie do komisarza wojskowego. Pytam o naszą grupę. Nic nie wie. Wracam. Nasze zapasy kończą się i szukam jedzenia. O chleb wszędzie trudno. Nie ma konfitur, konserw mięsnych, sklepy puste. Łażę. Wreszcie dostaję kiełbasy i kilka puszek pasztetu, banany i poma-

rańcze. Także mapę Francji, wydaną przez «l'Auto» w czasie «Tour de France» w 1936 roku. Jakiś księgarz miał stos tej makulatury i sprzedawał teraz po franku sztuka. Szło, jak woda. Znalazłem także jakiś samotny tom korespondencji Byrona i kupiłem za 50 centimów. Okazja. Zjedliśmy obiad na drodze, potem na Angoulême, 84 km. Tadzio jedzie teraz obok mnie i opowiada: «Panie B., mnie wszystkie kurwy z Gastronomii i z Café Clubu znały na pamięć. Jak taka dorwała gościa z uszarganym pyskiem, to go brzdęk w moje taksówkie, tam go robiła, forszę wszystką zabrała, co miał, faceta wysadzała, mnie dwadzieścia złotych na serduszko i prysk». W tym momencie dwóch ludzi, idących drogą, zaczęło za nami wymachiwać i wołać. Dwaj Polacy, emigranci. Usłyszeli niepokalaną polszczyznę Tadzia i zatrzymali nas. «Wy skąd?» — «Z obozu wojskowego w Bretanii». Zmobilizowali ich, a trzy dni temu, w nocy, powiedzieli ratuj się kto może. Oficerowie uciekli samochodami do portów i jazda do Anglii; żołnierzy też podobno trochę wyjechało, głównie tych z Polski. Co z Jaśkiem? Jak to dobrze, że mnie nie chcieli wziąć do tego wojska. Spanie na fermie, tym razem w słomie.

22. 6. 40.

Rano padał deszcz. Spaliśmy. Wyjechaliśmy dopiero koło 2ej. Przelotne deszcze. Przemokliśmy zupełnie. Wleźliśmy znowu w tłum cofającego się wojska. Jechali na wariata. Na drodze co krok wywrócone samochody. Tadzio spoglądał i klął. Asfalt śliski i zagliniony. Stonoga połamaby na tym wszystkie nogi. Po trzydziestu kilometrach dałem spokój. Znalazłem fermę. Kupa słomy pod dachem, osłonięta tylko z dwóch stron. Przy kolacji towarzyszyły nam koty i psy, deszcz mżył, z drogi dolatywał bezustanny warkot, zgrzyt i zachłystywanie się motorów, dartych bez litości; senność; spokój.

23. 6. 40.

«Marne wakacje, sezon się nie udał» — powiada Tazio. Robert opowiada nam cuda o słońcu południowej Francji, o Morzu Śródziemnym. Tymczasem taplamy się w błocie na asfaltowych szosach zachodniego krańca Massif Central. Zbliżamy się do Angoulême. Nie puszczają, objazd, błądzimy na bocznych drogach. Już w nocy znajdujemy malutką i ubogą fermę. Kończą kolację i są uprzejmi. Patron prowadzi nas na siano. W dużej misce na stole widzę sałatę zieloną. Listki ociekają oliwą i jest to tak apetyczne, że nie wytrzymuję: «Czy można kupić sałatę?» Patronka od razu wstaje i powiada, że przyrządzi nam dwie główki. Wyszła i po chwili wniosła całą miednicę sałaty. Zjadamy w mgnieniu oka, zagryzając chlebem z paszтетem. Cudowne te noce na sianie, wśród monotonnego plusku deszczu.

24. 6. 40.

Rano znowu deszcz. Patronka przyniosła nam pół wiadra mleka na śniadanie. Zalewamy się mlekiem, leżę i piszę. Deszcz leje. Potem jem czekoladę, pałę, usypiam, budzę się, gryzę czekoladę i drzemię. Koło 4-ej po południu włązi do nas po drabinie patron, coś tam gaworzy i nagle spokojnie mówi: «Niemcy są już stąd o 12 km. — zajęli Angoulême». Przynajmniej dowiedzieliśmy się, że Angoulême jest stąd o 12 km. Skoczyliśmy do rowerów. Boczny drogami wjechaliśmy na szosę do Périgueux. Postanowiliśmy już teraz jechać na południe. Po półtorej godziny jazdy Mareuil. Po drodze wleźliśmy znowu w sam środek wojska. Widać było, że cofały się nie tyły, lecz pierwsza linia — wojsko frontowe. Ścisk i wrzask, ciężarówki, ciągniki, czołgi, działa.

Zatory i wszystko staje. Jadąc na rowerach, udawało nam się przecisnąć i dojeżdżać do czoła kolumny. Jedziemy i znowu zator. Oficerowie biegają wokół i klną, 15-centymetrowe działa, zepchnięte na brzeg drogi, obsuwają się do rowów, krzyki. Dokazując cyrkowych sztuk dojeżdżamy do przodu. Cztery samochody ciężarowe stoją i żołnierze nie chcą jechać, bo nie wiedzą, co się stało z ich samocho-

dem aprowizacyjnym. Dopiero jakiś łącznik na motocyklu podjechał i gdy powiedział, że żarcie jedzie o kilometr stąd, ruszyli. Za godzinę to samo. Działa 15-centymetrowe chciały wyminąć stojącą w miejscu kolumnę i wszystkie poobsuwały się do rowów. To, co się tam działo, trudno opisać. Piekło. Przedzieramy się i po kilku kilometrach odkrywamy sielankę. Czoło kolumny siedzi na skraju lasu, rozstawiono stoły i krzesła (wieźli to ze sobą) i kolacja odchodzi najspokojniej w świecie. Garden party. Z muzyką. Patefon gra, rubinowe butelki wina na stołach i wesoło. Mam jeszcze ciągle w uszach kwik wyprzęganych koni, zgiełk, szczęk. Tadzio spoglądał, splunął i stwierdził: «Słaba łączność w tym ichnim wojsku».

Jakże inaczej przedstawia się naród w czasie pokoju i w czasie wojny. Wojna jest dla narodu jak rzucenie monety na marmurową płytkę; i choć nienawidzę wojny, to wydaje mi się, że trudno o lepszy probierz. Przypominam sobie, co myślałem o Francji za dawnych lat. Dziś rozumiałem jedno: cechy, które są czarujące w czasie pokoju, które ceni się wysoko — te cechy francuskie są zgubne w tej epoce. W czasie pokoju zapomnieli o wojnie, w czasie wojny nie potrafili zapomnieć o pokoju. Było już szaro, gdy wjechaliśmy do jakiegoś miasteczka. Ulice zapchane wojskiem, przed domami pełno ludzi. Jakiś mężczyzna kiwał ręką do żołnierzy i krzychał radośnie: *C'est signé, c'est signé!* Podszedłem do niego. Z ożywieniem, jak o jakimś bardzo pomyślnym wydarzeniu, opowiedział mi o podpisaniu zawieszenia broni z Niemcami i z Włochami. Akcja wojenna ma ustać o godzinie 1,35 w nocy. Tymczasem ulicami dalej ciągnęły samochody i wojsko. Wiadomość o zawieszeniu broni rozeszła się w mgnieniu oka. Zaplanował nastrój radosnego podniecenia. Ludność miasteczka siedziała w oknach lub stała w drzwiach i kiwała z usmiechem rękami do żołnierzy. Oni jechali ze śpiewem, z harmonijkami w ustach. Zawieszenie broni jakby ich wyprostowało, ubuńczuczyło. Miałem wrażenie, jakby w jednej chwili poczuli się rozgrzeszeni. Bohaterowie, którzy do końca wypełnili swój obowiązek. W miasteczku było święto. W bistrach pozapalane światła, otwarte szeroko drzwi, pijatyka i śpiewy. I tylko w snopach światła przesuwwały się nadal czarne sylwetki samochodów, dział i beładnie idących żołnierzy.

Wyjechaliśmy poza miasto szukać noclegu. Ale wszędzie pełno wojska. Podeszło do nas jakichś dwóch pijanych żołnierzy. Zaczęli pytać, kim jesteśmy. Tu strefa wojskowa i cywile nie mają wstępu. Mówię, że jesteśmy Polakami. I wtedy robią nam wykład: Ta cała wojna jest z powodu Polski. Polska, zamiast ugodzić się, wzięła stronę kapitalistów i Anglii, a Anglia wciągnęła Francję. A zresztą tu jest wszystko napisane. Wyciąga jakąś zmiętą ulotkę. Chce mu ją zabrać, ale on z uporem stara się ją odczytać na głos, choć już jest prawie ciemno. Bełkoce coś o trustach międzynarodowych, o kapitalistach, wreszcie konkluduje z brawurą: *Fini — nous sommes trop intelligents pour nous casser la gueule...* Tadzio odciąga mnie wściekły: «Co pan będzie z ciemniakami gadał. To samo, co w Polsce. Niemcy z jednej strony, Stalin z drugiej i po herbacie. Tylko do nas, to musieli przyjść, bo na to ich pisanie naród był za głupi, a tu oni są «inteligent», to bibuła wystarczy».

Jedziemy dalej już w zupełnych ciemnościach. Światła nie wolno zapalać i wszystko kotłuje się w kompletnej czerni. Jedynie przydrożne bistra buchają światłem, jak otwarte piece na hucie, wypełnione po brzegi pijącymi żołnierzami. Taka Sicz z «Ogniem i mieczem». Było już po 12-ej w nocy, gdy zagrzebywaliśmy się w sianie. W stodole było elektryczne światło i odkryliśmy beczki z winem. Tadzio spojrział na zegarek i powiedział: «Panie B. — za piętnaście minut sztyki do pochwy, w kozły broń i święto morza». Głowa mi pękała z bólu od bezustannego wdychania spalin na drodze i od warkotu motorów.

25. 6. 40.

Pogoda pod psem. Z rozmowy z patronką dowiedziałem się, że o około 3 km. stąd jest jakaś wielka ferma i pałac. Właścicielem jest Polak, bardzo bogaty, *un millionnaire*. Podobno gromadzili się u niego uciekinierzy polscy i jeszcze ktoś tam jest. Uradziliśmy, że warto zajechać. Może uda się zjeść coś solidniejszego i czegoś dowiedzieć. Po dwudziestu minutach wjechaliśmy w aleję, a w chwilę potem przed wielki i zapuszczony pałac. Kiedyś musiała to być śliczna posiadłość. Ogród, klomby, fontanna. Tadzio

mówi do mnie: «Zaraz wyjdzie ordynat». Zapytaliśmy o pana Budzyńskiego. Powiedziano nam, że jest przy robocie. Znalazłem go w ogrodzie za pałacem. Ordynat i dziedzic na trzystu hektarach z pałacem okazał się zwyczajnym chłopem z poznańskiego. Był w koszuli, w podartych spodniach, uwieszonych na szelkach z pętelkami z postronka, w zabłoconych butach. Nosił jakieś deski i zbierał gałęzie. Dowiedziałem się potem, że przyjechał do Francji jako górnik, zaczął sprzedawać wędliny, nosząc towar w pudełku. Potem kupił rower, potem wózek z kołem, potem sam zaczął robić wędliny, wreszcie kupił fermę na północy, założył większą fabryczkę wędlin, następnie otworzył wielki sklep kolonialny, powiększył fabrykę, zarobił miliony, kupił tu na południu tę posiadłość i teraz, musząc uciekać z północy, zjechał do swoich włości w pięć samochodów, uwożąc ze sobą trzy tony suchych kiełbas i wędlin, szynkę w puszkach i tak dalej. Postawił krzyżyk na swoim majątku na północy (wartość pięć milionów franków) i wesoło zabrał się do pracy tutaj. Ponieważ zdołał wywieźć także kilka maszyn do wyrobu wędlin, ma zamiar urządzić tu drugą fabrykę, była ma tu na miejscu trochę, początek jest, reszta pójdzie, «bo za dwa miesiące Francuzi zaczną zdychać z głodu» — jak mi to sam powiedział. Sam wszystkiego dogląda, sam umie wszystko zrobić i sam się wszystkiego chwytą. Przyjął nas uprzejmie i z wielką godnością. Opowiedział nam, że jeszcze tydzień temu był u niego cały konsulat z Lille, ale na wieść o zbliżaniu się Niemców wszyscy mężczyźni wyjechali i zostały tylko żony. Pokazał nam pawilon, w którym mieszkały i powiedział: «Niech się te hrabiny wami zaopiekują. Cały dzień nic nie robią, papierosy smalą — polskie panie...» Strasznie mi się podobał. Hrabinom oddał do dyspozycji cały pawilon z kuchnią i jadalnią. Spały w pałacu. Przyjęły nas życzliwie. Zrobiły nam od razu gorącej kawy z górą chleba, kiełbasą i marmoladą. Rozmawialiśmy o ostatnich wypadkach.

Z deklaracji radiowej Pétain'a wynika, że Francuzi w ogóle nie mieli się czym bić. O pół miliona żołnierzy mniej niż w 1917 roku nie mówiąc o nierówności w uzbrojeniu. Pétain zwała winę na Anglików. Przysłali tylko dziesięć dywizyj. Teraz Anglicy postanowili się bić sami. *Depuis la victoire, l'esprit de jouissance l'a emporté sur*

l'esprit de sacrifice. On a revendiqué plus qu'on n'a servi. On a voulu épargner l'effort; on rencontre aujourd'hui le malheur. Nareszcie trochę prawdy. Ale Pétain nie mówi wprost, że to było przyczyną klęski. Nie. «Za mało dzieci, za mało broni, za mało sprzymierzeńców, oto przyczyny naszej klęski». Żeby nie obrazić. Poza tym wszystko normalnie. Jean Prouvost został mianowany wysokim komisarzem propagandy. Propagandy czego?

Po kawie zabrałem się do roweru, bo trzeba było coś naprawić. Potem podano obiady. Wspaniały. Objadłem się niemożliwie. Po obiedzie panie poszły położyć się, a ja korzystając z pralni, wyprałem całą bieliznę Roberta i moją. Rozwiesiłem na strychu w pałacu. Kolacja była znowu wspaniała, po czym siedzieliśmy jeszcze długo i rozmawiali z paniami. W polskim dworze na wakacjach. Powiedziałem, że mam zamiar zostać dłużej i odpocząć.

26. 6.40.

Na śniadanie dzban kawy z mlekiem. Objadam się na całego. Całe rano przechodziłem z dziedzicem, rozmawiając. Jest wspaniały.

Nikt nic nie wie i wobec tego decydujemy się jechać dalej na południe. Francuzi z fabryki mówili mi jeszcze w Sully, że pojedą najprawdopodobniej do Carcassonne. Nie mówiąc o pieniądzach, które nam się jeszcze należą, mnie ciągnie na południe. Dwa razy nie zdarza się taka okazja. Postanowiłem jechać dalej, przeczekać, zobaczyć, co dalej, a potem wracać do Paryża. Tymczasem kierunek na Tuluzę.

Panie troszczą się o nas, jak stado matek; obiad piramidalny. Po południu prasowałem. Przyjechał jakiś oddział francuski i rozlokował się w pałacu. Mieli ze sobą gramofony, grali, weselili się. Od jakiegoś podoficera wyłudziłem doskonałą mapę drogową. Teraz można będzie już jechać z planem. Z rozmów z żołnierzami wywnioskowałem, że ta cała wojna była spacerem Niemców po Francji. Ten oddział tu nie był nigdy w walce. Na widok jednego samochodu pancernego (przez lornetkę) — wiali.

27. 6. 40.

Nareszcie znowu słońce. Postanowiliśmy zjeść obiad jeszcze tutaj i zaraz po obiedzie jechać dalej. Od dziedzica Budzyńskiego kupiliśmy sporo suchej kielbasy i odświeżyli tym nasze zapasy. Zjedliśmy znowu wspaniały obiad. Przy pożegnaniu chciałem paniom zapłacić za nasze utrzymanie, ale nie chciały nic wziąć. Muszę przyznać, że jak na żony urzędników konsularnych, poziom wysoki. Byłem mile zdziwiony. Około trzeciej wyjechaliśmy. Po dwóch godzinach Périgueux. Pełno wojska i uciekinierów. Zatrzymaliśmy się na chwilę, żeby zjeść pięć kilogramów brzoskwiń i dalej. Cahors - Montauban - Toulouse. «Ciach Mańkie w piach» — powiedział Tadzio i poszedł na prowadzącego w tempie wyścigowym. Droga cudowna, zielone wzgórza po obydwu stronach, wieczór wolno zapada, chłód. Darliśmy, jak szaleni. Opanował nas południowy humor. Nocleg w małej fermie. Wspaniałe, czerwone wino.

28. 6. 40.

Słońce, oślepiające słońce, w dole wije się Garonna. Wdechuję zapach rozgrzanych łąk i przysmykam oczy, bo wypolerowany asfalt lśni, jak lustro. Denerwują mnie miasta. Mijam je szybko i z ulgą oddycham przy wyjeździe. Wspaniałe, zwierzęce uczucie rozkoszy, w której cała uwaga koncentruje się na szybkości, drogowskazach, jedzeniu i znalezieniu noclegu. Mam wrażenie, że jeszcze nigdy w życiu nie miałem wszystkiego do tego stopnia, tak absolutnie gdzieś — i pewnie dlatego jest mi tak dobrze.

Czujemy, że wjechaliśmy w inny kraj, w inny klimat. Koło południa upał staje się nie do zniesienia. Droga jest z białego kamienia i jadę niemal z zamkniętymi oczami. Tadzio podejżdza ciągle do mnie i gada. Gęba mu się nie zamyka. «Panie Be — denerwuje się Tadzio — pan ciągle swoje. Niemcy i Niemcy. Pan widzi tylko Niemcy. Wcale nie... Francję zrobili tak samo do sytuacji, jak Polskę. Czy pan wie, że kiedy Polak robił w fabryce za dobrze, to Francuz po cichu rozregulowywał maszynę? Ja prawie codziennie traciłem czas na regulowanie automatu, bo mnie znali, że ja i do 700 zapalników na godzinę odstawiam,

a jak dobrze szło, to i więcej. A oni mieli nakaz z partii: nie więcej jak 400. I jak tylko mógł, to trzaskał na rozregulowanej, żeby jak najwięcej sztuk było do odrzucenia. Panie — szmelnę spód automatów szedł całymi skrzynkami. Ile razy widziałem w nocy, jak sobie podawali jakieś papiery. Chował do kieszeni i za chwilę leciał do wychodka czytać».

— «Czemu pan mi o tym wcześniej nie mówił» — pytam Tadzia.

— «A co mogliście zrobić? Nic. Za czym się ta sytuacja rozleci, to jesteście ugotowane z sosikiem na szaro».

Tadzio ma rację. Francja, tak samo jak my, uległa straszliwemu naporowi i musiała mu ulec. Fizycznie rozbił ją Hitler, psychicznie rozładował komunizm. Czuję, że pewien rozdział został zamknięty. Francja była dogmatem. Teraz patrzę na nią i nie mam siły go odrzucić.

Na jakimś skrzyżowaniu, nie będąc pewny, która droga prowadzi do Belvès, wchodzę do jednej z ferm, aby zapytać o kierunek. Na tapczanie leży jakiś mężczyzna. Pytam się go po francusku. Spogląda na mnie chwilę i pyta po polsku: «Pan Polak?» Okazało się, że dzierżawcą tej fermy jest Polak. Zaprosił nas do środka, po chwili zeszła się cała rodzina. Mężczyzna, którego zastałem wchodząc, był zięciem gospodarza. Zmobilizowany do wojska polskiego, zdążył uciec z Bretanii przed zajęciem jej przez Niemców. Opowiadał to samo, co ci dwaj Polacy, spotkani na drodze. Zasiadliśmy razem do obiadu. My jedliśmy nasze jedzenie, oni swoje, ale poczęstowali nas kwaśnym mlekiem z kartoflami. Na deser. Dowiedziałem się, że w tych okolicach jest sporo Polaków, którzy dzierżawią fermę «na połowę». Jest to system dzierżawy dosyć uciążliwy, ale powiedzieli mi, że można wyżyć. Francuzi uciekają od ziemi do miast, fermę można łatwo dostać, bo są okolice, gdzie całe wsie stoją opustoszałe, a ziemia leży odłogiem. Tadzio do mnie: «Bierz pan fermę — będę u pana parobkiem». Około 4-ej ruszyliśmy dalej. Góry, ciężkie podejścia. Nagle Belvès, przyczepione do stoku stromego wzgórza. Wąskie uliczki lecące w dół na złamanie karku. W drzwiach domów i sklepów zasłony, wszystko przesycone słońcem. Pędziliśmy na dół, potem na przeciwstok — Belvès w całości, góra oblepiona domkami i spowita w festony uliczek. Droga dnem rozległej doliny, białą

wiadukt na tle zieleni. Pędzimy. Znowu pod górę. Tadzio wściekły: «A k...aż cie do chrztu niosła — znowu góra!» W tym samym momencie, to znaczy w chwili niesienia góry do chrztu przez ładacznicę, dwie kobiety pracujące w polu, kiwiają do nas rękami. Zatrzymujemy się. «Panowie Polacy? Zaraz poznałyśmy». Tadzio szepnął mi: «Trudno nie poznać» i od razu zaczął się szastać do młodszej i mrugać do mnie. Matka z córką pracowały przy pielieniu buraków. Dzierżawią fermę opodal i zapraszają nas na nocleg. Wieczór zapadał łagodny, cichy, ciepły — rozleniwiło nas i postanowiliśmy zostać. Ferma czysta, wszędzie porządek. Ojciec okazał się murarzem z zawodu. Nie mogąc znaleźć pracy w swoim fachu zabrał się do roli. I idzie mu. Wesoły, godny, uśmiechnięty. «A Polaczki, Polaczki!». Z cieniem ironii. Tadzio spojrzał na niego: «Jak pan masz co do naprawienia, to mów pan lepiej od razu i nie natrząśnij się pan z Polaczków». A stary rzeczywiście miał do naprawienia pług dwuskibowy — w okropnym stanie. Ogłądaliśmy to z Tadzkiem — bez nitowania ani rusz. Tadzio spojrzał na mnie: «Będziem nitować?» Przynieśliśmy węgla drzewnego, pompki rowerowe zamiast miecha, młotek, obcęgi — kuźnia na całego. Tadzio wybijał stare nity, ja ciąłem jakiś stary pręt żelazny na nity. Po trzech godzinach stary miał pług w porządku. Wtedy zrobił się czuły i wylewny. Jedliśmy kolację z nimi — nie zgodzili się, żebyśmy jedli swoje. Wypuczyło nam brzuchy od zupy i chleba i było cudownie. W końcu pan Krukowski powiedział: «Co będziecie jutro jechać — jutro Piotra i Pawła. Zostańcie — pomożecie mi odwracać siano». — «Zostajemy, panie dziedzicu».

29. 6. 40.

Po śniadaniu poszliśmy na łąkę odwracać siano. Słońce świeciło — trawa jeszcze wilgotna od rosy. Krukowski przyniósł zimnego cidre'u i tytoniu własnego chowu. Co rząd siana, popijaliśmy i skręcaliśmy papierosa. Po skończonej robocie poszedłem do lasu na poziomki. Nazbierałem sobie całą menażkę i zjadłem z mlekiem kondensowanym po obiedzie. (Rosół z kury i kura gotowana). Drzema w trawie, pisanie. Wieczór biały od gwiazd i grający świerszczami,

opada rosa. Siedzieliśmy i gadali i w końcu, jak jeden mąż, zgodziliśmy się z Tadzkiem, że «Francuzi to łapciuchy i minciarze».

30. 6. 40.

Tadzio obudził mnie: «Panie Be — dzień, jak carski rubel — płynięm dalej». Pojechaliśmy. W miasteczkach pełno wojska. Czekają na zdemobilizowanie. Francuzi podpisali zawieszenie broni na warunkach bardzo ciężkich. Muszą wydać Niemcom cały materiał wojenny, zgodzić się na okupację połowy kraju i całego wybrzeża Atlantyku, wyżywić i utrzymać całą armię okupacyjną. Podobno na terenach okupowanych ma być administracja francuska. Mówi się także o możliwości powrotu «rządu» do Paryża. Czym dalej na południe, tym łatwiej o chleb i jedzenie. Natomiast konserw mięsnych nigdzie nie można dostać. Za to po pięciuset kilometrach pustki pojawiły się znowu piwo i lemoniada.

Białe budynki stacyj benzynowych przy drodze są jak zabawki i białą się w słońcu, w ogrodach gdzieś niegdzie palmy. Po południu wjeżdżamy do Cahors. Lot płynie dołem skalistym jarem, pędzimy po szosie prawego brzegu. Droga kuta w skale. Nic nie myślę i tylko patrzę. W Cahors kupujemy brzoskwinie, ser i białe wino, siadamy na ławce i jemy. O zmroku wyjeżdżamy z miasta. Noc ciepła i wygwieżdżona. Okolice pełna skalistych wzgórz, sucha, nigdzie żadnej fermy. Zapomniałem na ławce w Cahors tytoń i nie mamy co palić. Jestem zdecydowany jechać całą noc i położyć się spać o świcie, bo o znalezieniu fermy nie ma mowy. Na jakimś zakręcie przystajemy, bo Robert coś zobaczył i podchodzi sprawdzić. Obok nas zatrzymuje się patrol motocyklowy i dwaj podoficerowie pytają grzecznie, czy nie mogą nam w czymś pomóc. Nie mają papierosów. Przystaje także jakiś samochód i ci dają nam cztery papierosy. Teraz już łatwiej pomyśleć o nocy na drodze. Robert wraca i powiada, że można spać. Coś tam jest, ale nie wie dokładnie, co. Podchodzimy. Pusty szłaś z luźno ułożonych kamieni. Płaskie kamienie są tak kładzione, że koliste ściany, zwężając się ku górze, schodzą się i tworzą dach. Igło z kamiennych płytek. Świecę latarką i podzi-

wiam ten cud pasterskiego budownictwa. Naścinaliśmy gałęzi z karłowatych dębów i z krzaków jałowca, robiąc elastyczną podściółkę. Rozkoszuję się usypianiem.

1. 7. 40.

Już o 5-ej rano obudziło nas zimno. Przenikliwy chłód wciskał się przez niczym nieosłonięte wejście do kamiennego igła i nie dawał spać. Mgła leżała jeszcze w dolinach i słońce nie wyszło spoza wzgórz. Szczękając zębami zbieramy graty i jedziemy dalej. Około 9-ej zajechaliśmy do Caussade i zjedli śniadanie. Miasteczko objedzone, ale udało nam się kupić sera i pasty kasztanowej w puszkach. Wielki bochen chleba na kierownicę i dalej do Montauban. Niedaleko za Caussade o mały włos nie było czterech trupów na drodze. Wydawało się, że droga jest pusta i Robert nie troszcząc się o nic, zjechał z prawej strony na lewą. W tej samej chwili usłyszeliśmy pisk opon na asfalcie, o dziesięć centymetrów od tylnego koła Roberta śmignął samochód, sunąc na czterech zahamowanych kołach. Przeleciał na lewą stronę, wpadł na krawężnik szosy, podskoczył na rowie ściekowym i zatrzymał się o pół metra od grubego platana. Cisza. Zmartwieliśmy. Tadzio tylko powiedział półgłosem: «Jak on teraz wylezie i da panu po mordzie, to ja się będę tylko patrzył, bo on ma rację. Żebyś pan tak mnie zrobił, to byś pan pluł zębami». Po chwili z samochodu wysiadł jakiś Francuz z rozciętym czołem. Krew tamował chustką do nosa. Nie wiem — albo nie rozpoznał w Robercie sprawcy wypadku, albo był przekonany, że to była jego wina. Nic nie mówił. Chodził i dyszał ciężko, wydechując nerwy. Dwie kobiety, siedzące jeszcze wewnątrz, też wyszły teraz zupełnie ogłuszone. Starałem się zagadać, oglądaliśmy razem samochód. Żadnego uszkodzenia nie było. Pojechaliśmy dalej. Tadzio: «Panie Be, to nie naród. Oni mieli wygrać wojnę? Nawet lunąć w pysk nie potrafią».

Po godzinie dojechaliśmy do Montauban i za miastem, nad brzegiem Tarnu, rozłożyliśmy się na południowy odpoczynek. Myślę o pustce tych okolic. Wzdłuż drogi widzieliśmy dziesiątki domów, kiedyś zamieszkałych, nieraz całe zagrody — wszystko opuszczone, przegniłe, rozwalone.

O trzy czy cztery kilometry od głównej drogi można znaleźć miejsca, gdzie nie spotka się żywego ducha. Pustynia.

Do kolacji pijemy jakieś wspaniałe czerwone wino po 1 fr. 50 litr. Tego nigdzie tu nie brak.

2. 7. 40.

Rano mycie i golenie, czyszczenie ubrań. O 9-ej rano upał był już piekielny. Po 10-ej pojechaliśmy dalej. Od trzech dni spotykamy ludzi wracających na północ. Jadąc z powrotem, kiwają do nas rękami i dają do zrozumienia, że jedziemy w złym kierunku. Koło 12-ej wjeżdżamy na przedmieścia Tuluzy. Jedziemy wzdłuż niekończącego się sznura paryskich autobusów. Wewnątrz mieszkają teraz uciekinierzy. Suszą bieliznę na poręczach, siedzą obok w trawie, palą ogień, gotują i piją. Wjeżdżamy do miasta. W Tuluzie jest jeszcze polski konsul, jak nas zapewniano po drodze. Zajeżdżamy przed budynek. W bramie i na podwórzu pełno rodactwa. Robotnicy, żony oficerów, polscy żołnierze. Konsulat płaci podobno jakieś zapomogi i ludzie czekają. Nastrój jest potworny. Wszyscy są wystraszeni, opowiadają niestworzone rzeczy, marzą o otrzymaniu wiz hiszpańskich lub portugalskich, byle jechać dalej. Inni już wracają do Polski, natychmiast, w tej chwili; Niemcy mają już podobno specjalną placówkę w Lyonie, która namawia i werbuje Polaków do powrotu. Ten już wyjechał prosto do Warszawy, tamten wyjeżdża dzisiaj. Jakiś jegomość biega i zaklina się na wszystkich świętych, że można otrzymać wizę chińską. Mam słabość do takich okazji i zaczepiam go. «Można?... Chińską? Panie, gdzie?» — «To nie takie proste» — i uśmiecha się tajemniczo. Mówię szeptem: «A ja chcę do Andorry... Zakochałem się w tej spikerce z radio-Andorra... słyszał ją pan?» Trzepie oczami. Śmieję się.

Postanawiam dowiedzieć się przede wszystkim, czy w Carcassonne jest nasza fabryka. Idę do Prefektury i do wydziału Ministerstwa Uzbrojenia, ale tam już jest pożeganie z bronią i nikt nic nie wie. Wobec tego idziemy do Domu Polskiego. Ludzie nocują tu w ogródku, dyskutują. Poza tym wydają tanie obiady. Zupełnie przypadkiem dowiedziałem się od jakiegoś Francuza, że w Carcassonne

jest część naszej fabryki. Wobec tego ani chwili dłużej nie mam zamiaru tu siedzieć. Atmosfera jest zadżumiona. Tadzio bał się, że go chcemy tu zostawić. «Jakbyś pan mnie nie wziął dalej ze sobą, to ja i tak za Boga nie zostałbym z tymi baranami. Panie — tu co kto powie, to zawsze słyszał to od głupszego od siebie i powtarza jeszcze głupszemu». Ścisam go i zapewniam, że ani przez chwilę nie myślałem o pozbyciu się takiego skarbu. Jest zachwycony. Kupujemy trochę jedzenia na drogę i wyjeżdżamy. Podobno nie wypuszczają z Tuluzy i na drodze są patroli żandarmerii. Jadę pierwszy, ostrożnie. Po chwili są — zapora wpoprzek drogi i czarne mundury. Zjeżdżam w bok, kręcimy się po bocznych uliczkach, potem o kilometr dalej z powrotem na drogę. Nikogo nie było. Gdzieżby im się chciało pilnować wszystkich wyjazdów z miasta. Jest 6-ta i do Carcassonne mamy jeszcze 92 km. Biorę tempo wyścigowe. W pierwszej godzinie robimy 23 km., w drugiej 22 — jest ósma. Zaczynamy szukać noclegu. Droga prześliczna — po bokach łagodne wzgórza, łąki, czasem bieli się cmentarz obstawiony kolumnami ciemnych cyprysów. Spokój, cisza i harmonia. Zupełnie odruchowo zaczynam myśleć o Grecji. Gdzieś z daleka zegar wieżowy wydzwania całą melodię. Potem Tadzio gwizda coś z cicha, milknie. Podjeżdża i mówi półgłosem: «Panie — jakie to cudne...» Zapada noc. Błado niebieskie niebo szarzeje i cyprysy na cmentarzach stają się jeszcze czarniejsze. Znajdujemy fermę, a przy niej stertę koniczyny pod dachem. Noc jest gorąca. Leżę na koniczynie i mam przed oczami wzgórze, a na nim, na tle ciemnego nieba rysuje się ostro dach małego kościoła. Dzwonią dzwony — jeden większy i stado mniejszych. Dzwonią. A czarne cyprysy, łąki, pola i winnice niosą ich dźwięk, podają sobie coraz dalej, coraz słabiej. Słucham i patrzę. Piękno może być tak samo trudne do zniesienia jak ból. Można je znosić tylko do pewnej granicy, przeżywać do pewnej głębokości. I potem mdleje się wewnątrz.

Niebo jeszcze bardziej pociemniało i stało się fiołkowe. Błysnęły gwiazdy. Poszliśmy się myć do wielkiego basenu koło źródła. Rozebraliśmy się do naga, czerpali wodę menażką i wolno polewali. Czy Francja jest Grecją z tego okresu, w którym zaczęto nazywać ją — Achaią? Wokoło tercały świerszcze, ślizgały się nietoperze. Wielki

spokój. Długo nie mogłem usnąć. Wszystko, co było, przestało istnieć. Nie było mi niczego żal; wydawało mi się, jakbym w tej nocy tu, na południu, po raz pierwszy stąpał po ziemi.

3. 7. 40.

Wstaliśmy rano przebudzeni koncertem dzwonów. Słońce. Jedziemy dalej. Zaczęły się już żniwa. Po dwudziestu kilometrach usiedliśmy w rowie. Łany zboża wydawały się w tym słońcu białe. Jakaś żniwiarka, ostatni model z czasów Marii Antoniny — coś na kształt maszyny do szycia i maszynki do strzyżenia włosów — wlokła się wolno, ciągnięta przez krowy.

Koło 1-ej wjechaliśmy do Carcassonne. Miasteczko małe i urocze. Po drugiej stronie rzeki zamek, cały gród warowny, jak dekoracja w teatrze. W Carcassonne pusto, bo południe i upał. W «Hôtel Vitrac» odnajdujemy siedmiu naszych kolegów z paryskiego biura. W Carcassonne jest część naszej fabryki, jest nawet coś w rodzaju dyrekcji. Można dostać 500 franków, potem 675 — jako *indemnité de repliement*, czyli odszkodowanie za wianie, a właśnie dziś wszyscy zapisują się na listę zasiłków — 23 franki dziennie — płatne od jutra. Polaków traktują, jak swoich — bez żadnych różnic.

Po obiedzie rozkładamy się w wielkim pokoju z pięcioma łózkami. Śpiąc po dwóch na jednym łóżku, pokój wypada nam bardzo tanio. Jedziemy do naszej «fabryki». Mieści się w budynku jakiejś opustoszałej fabryki kapeluszy. Zapisują nas, jutro mają wypłacić 500 franków. Wyszliśmy z «fabryki» i poszli nad rzekę wykąpać się. Tadzio, rozbierając się, nachylił się i prawie w samo ucho wyszeptał: «Panie Be, od jutra przechodzimy w stan spoczynku. Urlop, fajerant». To chyba tylko możliwe we Francji.

Carcassonne? Nie, wioska olimpijska. Wypłacili nam wszystko, teraz 23 franki dziennego zasiłku. Hotel 3 fr. dziennie, obiad 14 fr. z winem i chlebem *à volonté*. Jak za dawnych czasów. Czerwone wino; podają je mrożone w wielkich karafkach. Kiedy wytrąbi się całą karafkę, bierze się drugą z sąsiedniego stołu. Wojna? Tu wiedzą o niej jedynie z opowiadań przyjezdnych. Słońce, wspańiałe i soczyste; jedwabiste wieczory i noce, jak sierść czarnego kota. Od samego rana woda, rozleniwienie przeciąganych pływaniem członków. Bezgranicznie dobrze. Dgoniłem tu dawną Francję. I teraz wypiję ją wolno, wolniutko, jak kieliszek dobrego wina. A potem? Mój Boże... «Jutro», «potem», «w przyszłości» to są słowa z tamtej epoki. Przepadła, zginęła i niech jej historia lekka będzie. Gdyby tych słów nie potrafiło się odrzucić, to «teraz» straciłoby cały sens, cały urok. Chcę żyć tylko «teraz». Od pierwszego dnia tutaj poczułem najdokładniej, że los pozwolił mi wyciągnąć jakąś olbrzymią wygraną i że trzeba ocenić każdą minutę. Magazynuję je. Pełne, okrągłe, pachnące minuty i godziny.

Najpierw był Dakar. Anglicy nie chcąc dopuścić do powrotu floty francuskiej pod opiekę Niemców, zbombardowali, utopili lub uszkodzili połowę najlepszych jednostek morskich Francji. Wywiązała się regularna bitwa morska między Francuzami i Anglikami. Anglicy zrobili, co mogli. Żałosny widok. Najważniejsze jest jednak to, że Francuzi jednak bili się. Wprawdzie w Dakarze i przeciwko Anglikom, ale bili się. Zachowali się po tym jak gigolo, który dostał w twarz — wszystkie gazety płakały: to ja z tobą tańczyłem, a ty, a ty — buuu, buuu jesteś taka. Teraz zerwali stosunki dyplomatyczne z tymi paskudnymi Anglikami. Cała nienawiść do Niemców, cały żal za tę ich wojnę ucieczki, wyładowują teraz na Anglikach. Gdy mówię, że jestem Polakiem, kiwają smutno głową: «Też ofiara Anglików». Dziś 14 lipca. Rząd francuski, znajdujący się obecnie w Clermont-Ferrand, wydał zarządzenie, że dzień ten ma być obchodzony jako dzień żałoby narodowej; w kościołach msze żałobne. Jak przez mgłę przypominam sobie ten dzień rok temu. Tłumy ludzi na Champs-Élysées. Jakie to wojsko było wspańiałe...

Dlaczego wszędzie to przekłete kłamstwo? Czy warto wspominać? Na pewno nie. Piszę to i mimo woli uśmiecham się. Ogarnia mnie jakaś złośliwa radość, że to wszystko pękło, trzasło, że jeszcze będą jakieś szwy pękać.

Byłem dziś w zamku, w katedrze. Przed ołtarzem stał sztandar, ksiądz w czarnym ornacie, msza bez dzwonek. Po nabożeństwie organy huknęły «Marsyliankę». Kolana mi się ugięły, ścisnęło w gardle. Tadzio miał łzy w oczach. A Francuzi wychodzili z kościoła uśmiechnięci, wielu jeszcze przed wyjściem tknęło papierosa w usta, nakładali kapelusze, grzebiąc po kieszeniach w poszukiwaniu zapalek lub zapalniczki. Zaciskałem pięści. O ileż trudniej żyć, gdy się jest — barbarzyńcą. Nie — przyszłość nie należy do żołądka i mózgu; pomimo wszystko — do serca.

Wielki hotel w obrębie zamku zajęty jest teraz przez lotników. Słyszając, że mówimy po polsku, jeden z nich podszedł do nas i powiedział nam, że jest Czechem. Mówił łamaną polszczyzną, ale zupełnie dobrze można było go zrozumieć. Zaczął nam opowiadać o Francuzach, mówił o nich z politowaniem. «Oni dopiero zobaczą za dwa miesiące, co się stało». Zobaczą. Ale czy im może się cokolwiek stać?

28. 7. 40.

Czy znasz nastrój i życie w południowych miasteczkach Francji? Zawsze o tobie myślę i tak mi żal, że nie jesteśmy razem. Mielibyśmy tyle tematów do rozmowy i tyle okazji do przeżywania tego, co innym wymyka się, przecieka między palcami i wydaje się nudną monotonią.

Była wojna, jeszcze trwa, lecz dla nich podobno już minęła, a tu w ogóle nie dotarła. I oni się nie zmienili. Wychodzę pod wieczór. Słońce zapadło za domami i czuć je jedynie w wąskich uliczkach, grzeje jeszcze poprzez spopieliałe w żarze dnia kamienie, bucha gorącym od ścian domów. Godziny między zachodem a zapadnięciem nocy są godzinami bezkolorów: na co spojrzysz, wszystko ma ten sam odcień popielato-biały, mglisty jak spłowieła akwarela.

Zamknięte w dzień okiennice otwierają się teraz, a przed drzwiami domów wynoszą stołki, taburety, fotele i ławki. Siedzą na nich ubrane w czerni stare kobiety; szyją, szydełkują, cerują i mówią. Mówią śpiewną, niemal fonetyczną mową francuskiego południa. Jak w «Fanny» i «Mariuszu» Pagnola. O szarej godzinie wszyscy są przed domem i siedzą tak do późnej nocy. Młode dziewczęta są śniade i mają czarne włosy, chłopcy też są ciemni i zwykle mali. Wieczorem uganiają na rowerach.

Idę na zamek... Jest już zupełnie ciemno. Podchodzę na wał i obchodzę mury od zewnątrz. Na niebie wypryskują gwiazdy, jak bańki gazu w wodzie sodowej, wyraźniej tuman pyłu drogi mlecznej. Zamek, całe miasteczko wewnątrz opasane murami, stają się tajemnicze. Jak ilustracje do bajek. Przez most, niegdyś zwodzony, wchodzę do środka. Znam tu już wszystkie przejścia i włązy. Wspinam się po murze, potem po kamiennych schodach na wieżę. Wdechuję głęboko świeży powiew nadlatujący od Pirenejów. Kładę się na podłodze i patrzę w niebo. Wtedy jest naprawdę sklepieniem. Czasem prawie usypiam.

Wracam powoli i przed hotelem wstępuje do mojego bistra na rum. Za stolikiem siedzi kilku malowniczo brudnych i malowniczo ubranych Cyganów hiszpańskich. Piją piwo i charczą. A przy innym stoliku obywatele miejscowi grają w «belotte» — grają rękami, nogami, głowami, całym ciałem i krzyczą. Wrzeszczą z emocji. Piję rum i zapalam papierosa. Noc jest znowu upalna i będąc się spało półsnem. O jedenastej zamykają bistro. Siwa patronka człapie do balustrady skwerku i woła przeciągle: «Toto, Toto, minou, minou...» Ale «Toto», wielki, czarny kocur, znikł. Poniosła go upalna noc. Rano odnajdzie się pod drzwiczkami lodowni, węsząc zamknięte wewnątrz mięso. Staruszka powie mu: *Méchant Toto, la viande n'est pas pour toi — oh non!* i obejrzawszy się, czy druga staruszka, jej siostra, nie widzi, odkraja kawał mięsa i schowa «Toto» ze zdobyczą za ladę. A potem krzyknie piskliwym głosem: *Du café pour monsieur!* Będę pił kawę...

Skapanymi w słońcu uliczkami jadę do merostwa. Chcę wyjechać nad morze i trzeba zbadać, jak taki wyjazd wygląda od strony administracyjnej. Nie wolno opuszczać teraz miejsca pobytu bez *sauf-conduit*, a do tego ważność moich papierów zaczyna się kończyć.

W wydziale «étrangers» merostwa zagaduję żandarma o rybach oczach. Jak oni wszyscy tutaj, tak i on mówi o tej porze głosem przypominającym szwedzką gimnastykę w tempie zwolnionym. Najpierw należy przedłużyć papiery wnosząc podanie do Prefektury. W Prefekturze odsyłają mnie na merostwo po pieczętkę przyjazdu i zameldowania. Owszem, ale Prefektura zabroniła stawiania tych pieczętek na dokumentach uchodźców. Jeżeli ona pozwoli, to dobrze. Wracam na Prefekturę. Tak — mogą wydać polecenie merostwu, ale muszę przynieść zaświadczenie z fabryki. Jadę do fabryki. Wracam z zaświadczeniem. Tam odbierają mi wszystkie papiery i każą przyjść pojutrze. Pojutrze stałem się już drugim człowiekiem. Jestem cały w ślicznej teczce i *mademoiselle* mówi mi tajemniczo: *Votre cas a été examiné et Monsieur le Préfet signera cela à cinq heures*. Przyjeżdżam o piątej i dowiaduję się, że *mon cas* został właśnie wysłany pocztą do merostwa. Merostwo odległe jest od Prefektury o 500 metrów. Nazajutrz *après-midi* merostwo stawia mi pieczętkę na *arrivée*. Wracam do Prefektury. *Demain après-midi* otrzymam przedłużenie ważności. Już wszyscy mnie znają. *Sauf-conduit*? Żandarm spogląda na mnie groźnie. Jaki motyw? Chcę jechać nad morze, po prostu nad morze. Chwila namysłu: to proszę wpisać «Rodzina w Narbonne», brzmi surowy nakaz. Uśmiecham się. I on uśmiecha się pod wąsem. *Demain après-midi*.

Czemu nie jesteśmy razem? Śmialibyśmy się razem, chodząc po wąskich uliczkach pełnych słońca i chodzilibyśmy tak wolno i leniwie, jak szły moje papiery z Prefektury do merostwa: 500 metrów w 24 godziny. *Demain après-midi* znowu bez ciebie...

31. 7. 40.

Jadę nad rzekę. Wyjeżdżam poza miasto i drogą wśród winnic dostaję się do «pływalni». Leżę na słońcu.

Właściwie Francuzi nigdy nie mają złudzeń; nie mają tego, co można określić «pędem do osiągnięcia niemożliwości». Jedyne pragnienie złapania ryby na wędkę w Sekwanie w Paryżu może stanowić tu pewien wyjątek. Choć podobno i to nie leży tak całkiem w granicach niemożliwości. Posiadają fenomenalnie rozwinięty, a tak trudny dla nas do osiągnięcia, zmysł życia bez ideału i bez iluzji. Ann Bridge w «Pikniku w Pekinie» (też tytuł) dowcipnie to określiła mówiąc, że noc księżycowa i miłość są dla Francuza dwoma zjawiskami natury, których nigdy nie miesza. Noc księżycowa — tak — jest rzeczą piękną, a miłość w czterech ścianach na wygodnym łóżku jest równie piękną, *mais il ne faut pas confondre ces deux choses*. Nie należy mieszać. Ich rozmowy czy dyskusje są przesypanym błyszczących paciorków i cekinów i nigdy na ogół nie starają się dojść w tym do jakiegoś rezultatu; nie chcą nikogo przekonać. Jest to krajanie wszystkiego na wielką ilość próbek (ale nie bez wartości) i rozłożenie tych próbek na stole przed oczami zachwyconego ich elegancją i finezją klienta. Potrafią mówić godzinami o sprawach codziennego życia, które jest dla nich jedynym istotnym zagadnieniem. Dziś lubi się ich, jutro nienawidzi, pojutrze znowu skokietują jakąś błyskotką lub łatwością podejścia do tego, co uważa się za «PROBLEM». Jakaś wspaniata umiejętność materializowania ducha, która jest chyba właśnie ich duchem. Niepokoją mnie, nie pozwalają nie myśleć, nie pozwalają wykręcić się jakimś ogólnikiem, który sam ciśnie się teraz na usta. Chciałoby się nimi pogardzać, a nie można tak całkiem. Nie wolno? Czyżby Francja była religią?

W ciągu tego miesiąca pobytu tutaj, na świecie toczą się wypadki. Francja zmieniła konstytucję, rozwiązano parlament i wprowadzono autorytatywny rząd Pétain'a. Odebrano Francuzom to, do czego byli najbardziej przywiązani — bałagan parlamentarny. Ale to nic nie szkodzi — przywiążą się do niego jeszcze bardziej... I z kolei zaczyna się im odbierać drugą rzecz, która była istotą ich życia: jedzenie. Kartki żywnościowe zostały wprowadzone rygorystycznie, zakaz sprzedaży świeżego chleba. Wszyscy oczekują ataku niemieckiego na Anglię. Tak biegają dni, mijają ranki i wieczory tego dziwnego życia.

Mieszkam w czerwonym domku na palach. Idę wolno plażą. Od lądu wieje ciepły wiatr, morze jest zupełnie spokojne. Błękit nieba zlewa się z błękitem wody i wszystko pogrążone jest w bezlitosnym świetle słońca. Zdejmuję ciemne okulary i mam wrażenie, że jestem aparatem fotograficznym bez filtra. Oko ztraca w tej jasności zdolność wyraźnego odcinania kolorów i niebo, morze, piasek, dalekie góry zamieniają się w popielatą, płaską masę. Idę daleko, zostawiając za sobą kolorowy placek domków na palach. Rozkładam koc na piaszczystej wydmie i rozbieram się do naga. Butelkę z wodą do picia zakopuję w mokrym piasku i kładę się. Wszędzie pusto. Płyną godziny rozmowy ze słońcem. Do mojej butelki skrada się ciekawym krokiem mały krab. Chrząknąłem i krab rzuca się od razu do ucieczki. Biegnie bokiem, tyłem, przodem — zawsze w prostej linii. Nie potrafi zakręcać. Można by używać określenia: prostolinijny, jak krab. Wślizguje się szybko do wody. Po ręce chodzi mi jakiś gatunek biedronki piaskowej. Wchodzi na koniec palca, kręci się w miejscu, otwiera pancerz i odlatuje. Wiatr zmienił się i teraz powiało od morza. Błękitna, nieruchoma tafla wody zaczyna drgać i perlić się. Wyskakują miliony świetlistych igielek. Strzały wymierzone prosto w słońce. Wchodzę wolno do wody i idę daleko, zanurzony po pas. Mój koc na brzegu zrobił się już bardzo mały gdy zaczynam płynąć. Ramiona i nogi pracują miarowo, jak maszyna. Dlaczego Byron twierdził, że najładniejsza kobieta jedząca i pijąca co innego, niż langustę i szampana, wygląda zawsze wulgarnie? Snob, ale świetnie pływał. Ciekaw jestem, jakim stylem? Heksametrem — śmieję się sam do siebie. Cały czas widać dno, choć już jest bardzo głęboko. Plaża jest żółtym paskiem, daleko, daleko. Nurkuję z otwartymi oczami, ale woda uparcie wyrzuca mnie na powierzchnię. Wracam. Ciągnę wolnym, leniwym crawl'em. Wychodzę na brzeg przyjemnie zmęczony. Jest cisza i tylko krótka fala rzuca się z pluskiem na brzeg. Ciekawy krab zakrada się znowu do mojej butelki...

Wracam do domku na palach. Słońce przetoczyło się już na drugą stronę nieba i kłuje w oczy. Na obmurowaniu kanału stoi mój patron, właściciel kolonii domków, trzymając w ręce długą tykę, zakończoną dziesięciozębem. Ubrany jest w granatowe spodnie z płótna żaglowego, jasno-niebieską koszulę i przepasany niebiesko-popielatą szarfą z bawełny w drobną siatkę. Na tle ciągnącej się bez granic plaży, w oślepiającym świetle słońca, wygląda jak kleks atramentu na żółtej serwecie. Co chwila przysiadła, przysłania dłońią oczy, obciera pot końcem szarfy i bada pilnie dno kanału. Nagle przegina się, jedwabistym i ledwo dostrzegalnym ruchem wpuszcza do wody tykę i podnosi ją w górę. Na ostrzach dziesięciozębu trzepoce się duża ryba. Uśmiecha się do mnie wąsaty M. Louis i zdejmując rybę, powiada wesoło: «Trzeba przecież coś zjeść na obiad...»



Rano. Nad morzem mgła. Odległe o kilkanaście metrów domki są tylko ciemniejszą plamą. Jest duszno i czuję, że słońce rozpuszczone w tym mleku, pali niemiłosiernie. Panuje atmosfera słonecznego pokoju, w którym zamknięto okna, przysłaniając je cienką firanką z tiulu. Siadam na rower i jadę do miasteczka po chleb, wino i wodę. Na plaży nie ma słodkiej wody. Wjeżdżam na długą groblę pomiędzy zalewami i wystraszam po obu stronach tysiące małych rybek. Uciekają na głębsze miejsca z pluskiem, pchają się jedna przez drugą porysowując gładką wodę w zygzaki i prążki. Mgła ma jakiś nieuchwytny zapach — jak świeżo zerwana szyszka. Zapach sosnowych lasów grzęźnie w niej i dochodzi aż tu. Panuje skondensowana, gęsta cisza.

Wchodzę do piekarza. Jest jak zbudzony kot — senny, giętki, przeciągający się. Śpiącym głosem mówi mi: «Mgła to upał...» Podaje chleb i zapada w czeluściach mrocznej piekarni. Potem wstępuję po kartki z widokami tutejszej plaży. Wita mnie moja czarownica i tym samym drzemliwym tonem, co piekarz, wydechuje z siebie: «Mgła to upał...»

Kiedy pierwszy raz wszedłem do tego sklepu, nikogo nie było. Nagle w półmroku otworzyły się za ladą drzwi i weszło coś, na widok czego kolana ugięły się pode mną. Kobieta-olbrzym z rozłożystymi węsami i krzaczastą brodą. Musiałem mieć głupią minę, coś w rodzaju «tylko mnie nie zjedz», bo uśmiechnęła się z wielką czułością i powiedziała pieszczotliwie: *Vous désirez, mon pauvre?* Dziś rozłożyła przede mną całe pudło kolorowych widokówek, otarła fartuchem pot z czoła i przewracała je z lubością, zachwycając się każdą po kolei i objaśniając, co oznacza — «A tam na lewo, czego już nie widać na kartce, to jest ta kawiarnia: *monsieur connaît ce café...* W końcu na każdej kartce najważniejsze było to, czego nie było na niej widać, ale *monsieur connaît ça sûrement...* A ja patrzyłem na jej wąsy i brodę, marząc o widokówce, na której byłyby tylko ona. Kupiłem trzy kartki za franka. Usiadła zmęczona i na pożegnanie przypomniała mi: *Vous savez, mgła to upała...*

Jutro znowu do niej wstąpię, bo ma w tym sklepie wszystko. Mgła podarła się nagle i słońce wlało się do miasteczka, jak strumień stali do kadzi. Pusto. Tylko gdzieś niedzie, lgnąc do ocienionych ścian domów, miękkim krokiem przesuwiają się lśniące koty. Kupiłem litr białego wina, puszkę fasoli z mięsem i nabrałem z fontanny wody. Nadstawiając butelkę pod strumień, tryskający z kolumny, drażnię pływającego w basenie wielkiego karpia. Wyciąga łapczywie ryj, myśląc, że mu coś rzucę, a ja robię tylko «marionettes» palcami. Zawsze go drażnię, bo nie lubię karpia. Ten jest jak opasły bankier, a resztki złotych łusek połyskują mu na brzuchu niby breloki przy kamizelce. Wracam do domku spocony i piję moją kawę w *monsieur connaît ce café* zagryzając ją chlebem z konfiturą. Potem smaruję się oliwą od stóp do głów.

— Od morza nadlatują zbite kłęby mgły. Po pół godzinie niebo jest błękitne i głębokie. Słońce oszałało. Wydaje mi się, że skwierczę, jak sadzone jajko na patelni. Na brzegu, u moich stóp, mlaska fala i to głośnie oblizywanie brzegu zwiększa panującą wokół ciszę. Powietrze marszczy się ponad piaskiem i widać wszystko wokoło, jak poprzez zmięty celofan. Myśl ustaje chwilami i tylko tłucze się w uszach, uporczywie i męcząco, «Bolero» Ravela. Jest w tej niemelodyjnej melodii coś, co może

jedynie oddać nastrój tych godzin bezruchu; to rytm bezwładu, gorący i jednocześnie lodowaty i okrutny; rytm czegoś, co jest wewnątrz zimne, zupełnie nieruchome i tylko potwornie ogrzewane od zewnątrz.

Słońce wyjada ze mnie wszystkie kolory, wybiela wewnątrz i czerni tylko skórę. Jestem bryłą mięsa. Wchodzę do wody i jestem rybą. Chłód wody podziałał na mnie, jak przejechanie ręką po całej klawiaturze fortepianu. Zapełniam się tonami i półtonami, barwię się. Wyśnił się sen o morzach południowych Londona i Maughama. Nurkuje. Woda jest zielonkawa. Odwracam się na wznak i jadę wolno w górę, jak cichy lift. Na którymś piętrze mijam zawieszoną w szmaragdzie różową meduzę. A potem znowu słońce.



Po południu upał zgęstniał. Wyciągnąłem materac z łóżka i rozłożyłem go na werandzie. Czytałem. Książkę pożyczyłem od poznanych kilka dni temu Belgów. Jest ich tu trochę — też uciekinierów. Mój znajomy, Dr G. jest dyrektorem Muzeum Sztuki Afrykańskiej w Namur. Przemiała żona. Obydwoje młodzi i sympatyczni. Śmieją się, gdy rzucam im uwagi o Francuzach; są poważni, gdy im mówię o Polsce, choć ja sam nieraz słabo w to wierzę, co mówię. Każda klęska ma jedno wielkie niebezpieczeństwo: w poszukiwaniu błędów łatwo przekracza się granicę, poza którą poszukiwanie to staje się zwykłą podłością i opluwaniem siebie samego. My opluwamy nasze głupie bohaterstwo, Belgowie własne tchórzostwo i króla. Oni mówią, że my mieliśmy rację, mnie wydaje się, że oni. Polska, Belgia, Holandia, Francja zaczynają myśleć. Ale dokąd w tym myśleniu nie przekroczą granicy godności własnej, nie będą naprawdę podbite.



Poprzez sztachety werandy widzę pasmo wzgórz. Kilka chmurków wisi nad nim nieruchomo. Nagle silny powiew wiatru zakolysał całym domkiem. Potem drugi i trzeci.

Zerwał się huragan, gorący i gwałtowny. Poszczególne uderzenia wiatru, przypominające najpierw kolejne otwieranie i zamykanie butli z tlenem, zamieniły się w nieprzerwany świst. Od północnego zachodu parła ściana gorącego powietrza. Spojrzałem na plażę.

Pasmo szafirowej wody i złotego piasku przedzielone było żółtawą mgiełką. Wybiegłem na brzeg. Kilkaset metrów poza domkami rozebrałem się i biegłem. Przy brzegu morze było zupełnie spokojne. Nawiany od lądu piasek tworzył nad wodą wielkie wydmy i nawisy; wiatr huczał i siekł nim po nogach. Słysząc było w krótkich przerwach metaliczny dźwięk, jakby dzwonienie, opadających na wodę miliardów ziarenek.

Biegłem po linii wody, wykopując co chwila całe fontanny. Ogarnęła mnie jakaś dzika radość i choć czułem zmęczenie, przebiegłszy już ponad kilometr, biegłem dalej. Wiatr świstał mi w uszach, miedziane słońce chyliło się ku zachodowi, a na wodzie tańczył mój olbrzymi cień. W gubiącej się na horyzoncie płaszczyźnie plaży zobaczyłem coś czarnego. Podbiegłem bliżej. Zagrzebany do połowy w piasku, sterczał wrak niewielkiego holownika. Wokoło pustka, świst wichru, światło w kolorze lekko przypalonego cukru i wysoko wytknięty w niebo, pochylony komin statku. Na resztkach stalowych lin wiatr wygwizdywał jeszcze przeraźliwiej, buczał w kominie i syjąc piaskiem, grzebał stalowego trupa. Było coś dziwnego w całym otoczeniu, jakaś trupia pustka i martwota, z której wiatr naśmiewał się chichocząc w każdej szparze, telepiąc kałkami blachy i tańcząc wokoło na lejkach z piasku.

Usiadłem na dziobie i nagle przypomniała mi się «Wyspa Skarbów». Wydało mi się, że z na wpół zasypanego luku ktoś mi się przypatruje. A kapitan Flint, umierając w Savannah, krzyczał: Rumu, Darby, Mc. Graw... Wtem jakaś blacha oderwała się zupełnie, wyskoczyła ze statku i kulejąc, potoczyła się z brzękiem do morza. Uciekłem, oglądając się, czy nie goni za mną. Skakałem po wydmach, brałem garściami piasek i rzucałem go w górę. Rozsypywał się w chmurę, lecąc z wiatrem daleko w morze.

Wieczorem niebo zachmurzyło się i noc stała się czarna, absolutna. Mój domek wyginał się na palach, trzeszczał i skrzypiał wstrząsany podmuchami oszalałego wichru. Po kolacji wyszedłem. Stąpałem po twardym, jak beton piasku, ubitym na tej wielkiej płaszczyźnie zimowymi burzami. Trzymałem się słupów telefonicznych, żeby w tej pustce nie błądzić. Kładłem się na wietrze, jak na miękkim tapczanie. Pomimo nocy i wiatru, było duszno. Zdjąłem koszulkę i szedłem dalej. Gorący wichur, przylatujący z ciemnej dali, jednostajny i męczący. Słupy telefoniczne stały się całą orkiestrą symfoniczną. Chwilami staję i słucham. Jest w tym coś z uwertury do «Wilhelma Tella» Rosiniego. Nie — to 12 Etiuda Skriabina. Słyszając ją, zawsze myślałem o takim szerokim, gorącym wietrze.

Błądzą wspomnienia, porównania, zapomniane obrazy. Szedłem raz sam w Gorcach w czasie halnego wiatru... Żal jest najgłępszym uczuciem, smutek obojętności. Pewnie całą noc nie będę mógł spać. Będę patrzył na siebie i od czasu do czasu stwierdzę, że dobrze to zagrałem; tę scenę bezsenności, melancholii i smutku. To zabawne, gdy czuje się równocześnie, że życie kipi tam wewnątrz i świeje się. Jutro o 5-ej rano wyjeżdżam stąd, a jeszcze nie skończyłem książki. Wystarczy jej do rana. Zaczął padać deszcz. Zgubiłem tu czas — nie było dni ani nocy, godzin, pół... sam sobie byłem czasem.

Carcassonne, 10. 8. 40.

Carcassonne. Zaszyłem się w kącie naszego bistra, kazałem sobie podać szklanekę rumu, wrzuciłem cztery kostki cukru i jest mi dobrze. Tylko gdzieś na dnie niepokój o Basię. Dostałem od niej list z Paryża. I teraz myślę o niej tak, jak Staś myślał o Nel, kiedy zostawił ją w baobabie i poszedł na poszukiwanie pomocy. Wiem, że wszystko będzie dobrze. Teraz jest ciepły wieczór, popaduje deszcz i jest świeżo. Rum ma kolor (oczywiście) ciemnego bursztynu i pachnie. Rum... Wtulam się jeszcze głębiej w róg kanapki i zapalam fajkę. Ogarnia mnie cudowna, spokojna bezcelowość. Tuwim napisał raz, że krowy mają «spojrzenie zaświatowe». Moje spojrzenia są właśnie takie. Ludzie są beznadziejni z tym ich natychmiastowym po-

szukiwaniem sensu. To całe towarzystwo z «wspólnego pokoju» jest ciężkie. Wojna? Wojna! Dla S. skończyła się ona tam, któregoś września. Ciągłe tkwi w niej i mówi, że «gdyby», to nawet można było utrzymać się przez pewien czas na dwóch frontach. Jeszcze tego brakowało... Wojna! Ta zaczynała się już dwa razy i dwa razy skończyła. Teraz jest dwudziesto-minutowa przerwa i trzeba ją wykorzystać tak, jak się wykorzystywało przerwę w szkole. Dwa razy już nas pytano i dwa razy dostaliśmy «dwóję». Na następnych godzinach też będą pytać i trzeba się przygotować. Sens? Nie — życie, zwykłe życie jest najważniejsze. Są ludzie, którzy jadąc pociągiem, stają w oknie i patrzą wstecz. Że niby inaczej, to wieje i może coś wpaść do oka. I jak zobaczą coś ciekawego, to się jeszcze przez pół godziny wychylają (pomimo tej tabliczki: *e pericoloso sporgersi*) i nie widzą tego, co nadleciało, mignęło i znikło. Zostaje taki na którymś tam kilometrze i cześć, jak mówi Tadzio. A ja lubiłem zawsze patrzeć w przód. (*Madame, remettez, s'il vous plaît*). Dlaczego o rumie nie można powiedzieć inaczej, niż koloru «ciemnego bursztynu»? To taka «zimna stal rewolweru» — nieunikniona, jak «głębokie-nie-nerwowe zaciągnięcie się papierosem». Jaka szkoda, że Flaubert umarł, zanim zdążył ułożyć ten słownik kretynizmów. Langusta, to samica homara i tak dalej... Myśli bywają straszne. Jedna nie daje mi spokoju: w Eskorialu, jeszcze za Filipa II był świecznik na 300 (słownie: trzysta) świec. Jak oni go zapalali? Bo przecież zanim zapalili ostatnie, to te zapalone na początku już się pewnie wypaliły. Już wiem: ciągle zapalali. Jasne! Intelkt? — życie, nie intelekt. Wracam nad morze. Wielka przerwa. Za chwilę przyjdzie Tadzio i będziemy grali w szachy. Da mi, oczywiście, mata. Deszcz przestał padać, a z ulicy dochodzą śmiechy dziewcząt. «Toto» stanął na progu i zadarł ogon. Stoi tyłem do mnie i wygląda, jak wieża Eiffla od strony Trocadéro. Dwie nogi łączą się w gruby pień i cienieją, coraz wyżej, wyżej. Wszedł Tadzio i zapytał mnie, czemu tak zadziaram głowę. «Patrzę na wieżę Eiffla». Ta hiszpańska rozkosz, co mieszka o trzy numery dalej, przyszła teraz na piwo. Ma trochę brudne nogi i kostkę obwiązaną czarną aksamitką. Dzięki temu ta noga z aksamitką wydaje się czystsza. Tadzio przysiadł się do niej i łapie ją za tę

nogę z aksamitką. Teraz wstał i przyniósł pudło z szachami. Ale robi okropny hałas, bo łapie w nim wielką pchłę. Te pchły tutaj są naprawdę wspaniałe. Zadusił ją właśnie białym laurfrem na stole. Mat!

12. 8. 40.

Mam wszystko. Jestem wyekwipowany i wracam nad morze. W jakimś koszyku na targu znalazłem kilka książek i zabieram je ze sobą. «Comentarii de bello Gallico» Cezara, pełne wydanie po łacinie z objaśnieniami za 3 franki, «Manon Lescaut» za 1,50 fr. i «Climats» Maurois za 5 franków. Cóż za rozkosz... Trzeba korzystać z ostatnich błysków tego kraju taniego jedzenia, napojów i książki. Równowaga, to urok Francji. Bo cóż mi z taniej książki, gdy jedzenie drogie, lub z taniego jedzenia, gdy książka droga? Podszedł do mnie jakiś staruszek i zaczął gadać. Tu, na południu, nie poznają, że jestem obcy i w najgorszym wypadku biorą mnie za Belga. Rozgadał się o polityce i w końcu powiedział, mrugając filuternie okiem: «Wszyscy klną na głos Anglików, a każdy po cichu pragnie ich zwycięstwa. To teraz ostatnia nadzieja — a pan co myśli? Wygrają czy przegrają?». Odpowiedziałem po normandzku: «Niemcy są silni, ale i Anglicy wiedzą, co robią — *on va voir!*». Uśmiechnął się porozumiewawczo. — *Je comprends*. Zapytałem go, gdzie tu jest *pissoir*, bo wokoło nie dostrzegłem nigdzie tej — jak to nazwał Tadzio — «ściany płaczu». Usłyszała to jakaś przekupka i z całą wylewnością objaśniła mnie skwapliwie: — *Ici, à gauche, mon pauvre!* Wyśpiewała «e» końcowe i wskazała kierunek. Wzruszająca. Dziś ich bardzo lubię.



Kiedy myślę o tobie, a myślę ciągle, wydaje mi się, że jestem swawolnym chłopcem, bezmyślnym, który wyciąga z obecnej sytuacji wszystkie plusy i bawi się, szaleje — bawi się nawet tęsknotą za tobą, znajdując w niej sens swojej samotności wśród słońca. Wstyd mi — miałbym ochotę cię przeproszać. Miałbym ochotę przeproszać

wszystkich, co cierpią teraz. «Wiesz Nel»... Nel, nie gniewaj się...

13. 8. 40.

Wiał wspaniały wiatr w plecy i jechałem w zawrotnym tempie. Serce biło mi szybko — hm — po prostu z radości. Słońce świeciło, puszyste ściemniska. Do Narbonne zajechałem przed 7-mą. W mieście panował nastrój letniego wieczoru. Granatowi mężczyźni siedzieli w bistrach, pijąc wieczorny «apéritif». Właściwie oni tu przez cały dzień coś piją. Było cicho, spokojnie, błogo. Stara Narbonne układała się do snu. Ja też wszedłem do bistra. Rum? Nie — lemoniada. Jacyś obywatele mrugnęli do mnie porozumiewawczo sponad szklanek żółtego «pastice» z górą lodową wewnątrz i powiedzieli: *Tour de balade, hein?* — *Wuj, on se promène* — odrzekłem i zabrałem się do mojej lemoniady, w której pływała gęsta kra. Znowu było mi wstyd... Letni wieczór, lemoniada, za pół godziny będę nam morzem, kupię chleba, zjem pudełko sardynek, pomidora, ser, napiję się wody z cytryną i zagryzę to czekoladą; wskoczę już przy księżycu do wody, a potem usnę, kołysząc się z całym domkiem, tańczącym wiater-polkę na swoich sześciu palach. Aż mnie zamroczyło i musiałem się cucić drugą szklanką zimnej lemoniady. Potem wsiałem na rower i o zmroku byłem pod fontanną.

Kupiłem chleba, napełniłem flaszki wodą (stary karp już spał) i groblą dojechałem nad morze. M. Louis przywitał mnie kieliszkiem «grenache», narzekał na pustki (zły sezon w tym roku — naprawdę), dał klucz od domku i życzył dobrej nocy i pogody. Słońce już zaszło, domek kołysał się, a ja jadłem sardynki, pomidory i ser. Rzeczywiście zły sezon w tym roku; no ale to chyba dlatego, że tak się jakoś złożyło, iż przegrali wojnę... co? co? W-o-j-n-ę?

Wyszedł wielki księżyc. Kryształki soli zmieszane z piaskiem błysnęły białym światłem. Wskoczyłem do kanału i kapałem się w żywym srebrze. Bawiłem się wodą. Wpadłem do domku i wycierałem się na werandzie; gorący wiatr suszył mnie. Położyłem się do łóżka i zacząłem czytać «Manon Lescaut» usiłując wygwizdać arię Kawalera de Grioux. Cały czas myślałem o tobie; bo pamiętasz

— raz wieczorem, u nas, siedzieliśmy na moim tapczanie i słuchali całej «Manon». Opowiadałaś mi treść. Za oknami był śnieg i mróz, od pieca biło łagodne ciepło, a w kasetce na moim biurku stały papierosy. Gryzłem orzechy z rodzynkami i poprosiłem cię o papierosa. Przyniosłaś mi całą kasetkę. Oparłaś głowę na moim ramieniu i powiedziałaś, jak zwykle: «Tylko nie dmuchaj mi w nos». W szufladzie biurka leżało jeszcze kilka zawiadomień o naszym ślubie. Przestałem czytać i wpatrywałem się w dach. Podrzucony wiatrem, podskakiwał jak pokrywka na czajniku z kipiącą wodą. Pomyślałem sobie, że gdyby nagle oderwał się i poleciał, to byłoby jak z naszym. Nasz dach zerwało już tak dawno...

14. 8. 40.

Obudziło mnie słońce. Weszło przez szpary w deskach i przekroiło mój pokój na kilkanaście części. Wstałem, narażałem drzewa i zgotowałem kawy. Potem wypakowałem moje skarby i umeblowałem się. Cieszę się każdym głupstwem, każdym rondelkiem, puszką, nożykiem. Układam starannie, a na widok aluminiowego talerzyka z cytryną, pomidorami i jajkami na tle kraciastej serwetki popadłem w zachwyty. Położyłem na to nożyk; nabrało życia i sensu. A gdy postawiłem obok tego małą solniczkę z zielonym czubkiem i kromkę chleba, stwierdziłem że to już prawie przeżycie. Miałem ochotę malować. I to koniecznie tak, jak Cézanne.

Potem poszedłem bardzo daleko, czytałem, pływałem i drzemałem. Cezar jest okropny. Teraz naprawdę rozumiem, dlaczego stary Bogucki nie mówił inaczej, jak «ci barbarzyńcy Rzymianie». Przy tym wszystkim ten Cezar — koloryzuje niesłuchanie. Takie pomysły, jak z Disney'a. Rzymianie przebijali oszczepami kilka tarcz helweckich naraz, pod rząd, i unieruchamiali lewe ręce jednym oszczepem kilku wojownikom za jednym zamachem. Oczywiście ci rzucali tarcze i musieli walczyć *nudo corpore*. Czytam to z nienawiścią. Jego łacina jest mi tak samo wstrętna, jak niemiecki z «Mein Kampf» Hitlera. Te książki mają coś pokrewnego. I jeden i drugi zbawiają podbojem. Ta sama jest w nich obłuda, to samo kłamstwo i buta. Germański

król Ariovist spotyka się z Cezarem i mówi mu, że to nie on Gallom, lecz Gallowie jemu wypowiedzieli wojnę. Cezar mówi to samo. A pomiędzy nimi jest rozdarty świat, który szuka zbawienia to u jednego, to u drugiego. Swoją drogą technika Cezara jest zadziwiająca: doskonały wywiad, wszędzie piąta kolumna, zawsze pozycja umocniona i świetna propaganda. *Vulgus militum* jest zawsze odpowiednio poinformowany *qua arrogantia in colloquio Ariovistus usus* i pali się do walki. Już Cezar używa w odniesieniu do Germanów słowa *arrogantia*. Widać z tego, że to wcale nie tylko cecha pruska, ale narodowa. Prusacy wzięli ją znad Renu. Smakuje mi ta *arrogantia* niebywale. Całego zdania nauczyłem się na pamięć.

W domu zrobiłem sobie wspañały obiad. Ryby są tu prawie za darmo. Smażę je na ruszcie. Pachną i złocą się powoli, smarowane oliwą, jak drzewo pociągnięte politurą i glansowane. Jutro nałapię muli. A moja czarownica ma jeszcze angielski tytoń fajkowy «St. Bruno Flake». Czytałem do wieczora, wyciągnięty na materacu, na werandzie. Uważaj to za spowiedź z ciężkich grzechów...

15.8.40.

Zgasilem świecę i patrzyłem na wielki księżyc. Wieczór był gorący i cichy, tylko od morza dolatywał jednostajny szum. Zamknąłem domek i poszedłem nad kanał. Bezszelestnie płynęły łodzie na nocny połów. Zdjąłem szybko sweter, shorty i espadrille. Nadpływała łódź. Skoczyłem do wody i uczepiłem się burty. Rybacy zaczęli żartować i śmiać się. Sunąc w pianie i ślizgając się za łodzią, odcinałem się, jak mogłem. Śmiechy — któryś pochylił się i wyciągając do mnie paczkę papierosów, chciał mnie częstować. Tak lubię te ich śmiechy i dowcip. Wypłynęliśmy z kanału na morze. Pociągnęli mnie bardzo daleko, zatrzymali się i zaczęli zapuszczać sieci. *Bonne nuit!* Puściłem łódź i zawróciłem do brzegu. Po chwili zostałem na morzu sam, daleko od plaży. Woda była zupełnie srebrna, od strony Pirenejów błyskała latarnia. Cisza. Jest coś tak dziwnego w takim osamotnieniu na morzu, w nocy, że nie zapomnę tego uczucia chyba nigdy. Zdjąłem spodniki i owinąłem je sobie koło szyi. Najlepiej pływa się nago,

a teraz miałem do brzegu przeszło godzinę. Płynąłem miarowo i wolno. Właściwie nic nie myślałem. Wsłuchiwałem się tylko w rytmiczne uderzenia serca, gdy ciało pchnięte do przodu, ślizga się nieruchomo bezgłośnie; patrzyłem w płuca, sprzężone z ramionami i cieszyłem się ich pracą, jak konstruktor pracą silnika na hamowni. Zlizywałem z warg słoną wodę i miałem ochotę na coś słodkiego. Potem przestraszyłem się, że nie dopłynę i zacząłem od razu tracić rytm i męczyć się niepotrzebnie. Naprawiłem defekt szybko i płynąłem dalej. Wyszedłem na brzeg zmęczony i zmarznięty. Leżałem chwilę na piasku, jak zdechła ryba.

17. 8. 40.

Nie — nie jestem w stanie zrozumieć «Manon Lescaut». Jest to może bardzo finezyjne, ale nie przeszkadza, że w sumie de Grioux jest alfonsem, a Manon k.... Widzę ich świetnie w wagonie «métro», w godzinach przepełnienia, sklejonych pod ścianą i oblizujących się nawzajem. Na «République» ona jemu daje 100 franków, on ją cmoka i wysiada, a ona dojeżdża do «Bastille» i idzie spać z kimś innym. On może być z «dobrej rodziny», a ją jeżeli złapią i zobaczą, że «nie kontrolowana», to też wsadzą do La Roquette. Tylko dziś nie wywiozą jej do Ameryki, lecz dadzą *une carte*. Cała różnica. Z tego punktu widzenia książka ta jest na pewno nieśmiertelna.

Cezar jest natomiast pasjonujący. Z początku szedł mi trudno, ale po dwudziestu kilku rozdziałach wszedłem w tę jego łacinę, przypominającą tabliczkę mnożenia. Teraz łapię się na tym, że mimowoli jakieś myśli zaczynam układać po łacinie. Mógłbym na przykład powiedzieć jakiemś Niemcowi, że *Germani multum ab nostra consuetudine differunt: latrocinia nullam habent infamiam, quae extra fines cujusque civitatis fiunt* itd., czyli grabieże uprawiane poza granicami ich państwa nie są uważane za nic złego i służą, jak to oni mówią, jako zaprawa dla młodych ludzi, u których zmniejszają lenistwo. Cezar stwierdza poza tym, że ich najulubieńszą formą ustroju jest dyktatura. A on się pewnie od nich tego nauczył. Gallów ocenia trzeźwo: łatwo zapalają się, łatwo poddają. Właściwie

Cezar traktuje Gallów tak, jak ma się ochotę traktować obecnie Francuzów: Były takie czasy, w których Gallowie, dzielniejsi od Germanów, wypowiedali im wojny i zakładali kolonie za Renem. (*Ac fuit antea tempus, quum Germanos Galli virtute superarent...*). To *Ac fuit antea tempus* miałoby się przecież ochotę powtarzać teraz na każdym kroku. W dzisiejszej sytuacji ten czas przeszły, użyty już przez Cezara, ma w sobie jakiś tragizm, coś, co mi nie daje spokoju. Postać Vercingetorixa jest piękna i tragiczna. Czy de Gaulle'owi powiedzie się lepiej? Dr G. ocenił go bardzo pozytywnie. Twierdzi, że on jeden zdolny jest uratować dobre imię Francji. Wie się jednak o nim bardzo mało — po prostu jakieś przebąkiwania. W moich wszystkich myślach o Francji doszedłem tymczasem do jednego: Francja absolutnie była swego rodzaju dogmatem, i to dogmatem tak wielkim, że całkowite uwolnienie się od niego jest prawie niemożliwe. Francji nie można przemyślać tak obiektywnie, jak Anglię, Stany Zjednoczone itd. Ona jest wyjątkiem, wielkim wyjątkiem.

18. 8. 40.

Poznałem tutaj na plaży dwie starsze panny. Ojciec ich był kapitanem okrętu i mieszkały razem z matką w Marsylii. Gdy ojciec zmarł, wróciły do swego domku tutaj i żyją z renty. Pożyczyły mi «Historię Gruissan» i kilka jakichś romansideł. Książki ich noszą daty i określenie miejsca, w jakim były czytane: «28. 11. 1924 - Singapore», «25. 1. 1926 - Równik» i wymowny dopisek *quelle chaleur*. Codziennie, jak w zegarku, przychodzą o 5-ej na plażę, kąpią się o 7-ej, gną się w świetnie zsynchronizowanej gimnastyce szwedzkiej, ubierają się z tą samą szybkością co do sekundy i o 8-ej wracają. Gdy widzę dwie białe suknie na długiej grobli, mam wrażenie, że patrzę na wskazówkę zegara, która zbliża się do 5-ej lub 8-ej. Są raczej sztywne, milczące i życzliwie prowincjonalne. Oburzyły się na mnie, że wolę Balzaca od George Sand. Straszne! Po raz pierwszy poznałem G. Sand, gdy matka czytała mi listy Słowackiego. Miałem wtedy 14 lat i znenawidziłem babę od dziecka. Właściwie nie wiem, dlaczego. Słowacki pisze, że spotkał ją na Jeziorze Genewskim, na promie,

w spodniach i jakoś wyraził się o niej z przekąsem. I to wystarczyło. Dziś zareagowałem z gwałtownością i w obronie Balzaca, w uniesieniu, powiedziałem że G. Sand to była po prostu *une loutre intellectuelle insupportable* tłumacząc dosłownie na francuski nasze określenie «intelektualna wydra».

Panny P. idealnie równoczesnym ruchem zeszywniały, zaczerwieniły się i obydwie naraz zapytały tonem, przypominającym cukier lodowaty: *Plait-il?* To *plait-il* zaczęło mnie zupełnie i chcąc być lepiej zrozumianym, wpadłem jeszcze głębiej: *Je voulais dire une grue intellectuelle*.

Gdybym nagle zdjął spodni, efekt byłby prawdopodobnie nieskończenie mniejszy. Zabulgotały tylko *mais Monsieur...*, spojrzały na siebie i chłodno zmieniły temat rozmowy. Uznały widocznie, że wobec takiego ogromu prymitywu nawet nie można się obrazić.

Wieczorem stoczyłem walkę z Dr. G. o «Klimaty» Maurois. Powiedział mi w końcu, że za dobrze pływam, abym mógł to zrozumieć. Dlatego, że moim zdaniem, takim ludziom, jak w «Klimatach», nie należy dawać miłości do ręki. Co oni z tego zrobili? Ludzie na ogół lubią jeść dobre rzeczy i odżywiać się porządnie, a mają dziwną skłonność do karmienia swej duszy jakimiś namiastkami lub odpadkami. Nie, nie — to książka o temperaturze cieplarni, duszna i bezcelowa. Tak się zwykle dzieje, gdy ludziom zaczyna się za dobrze powodzić. Na pewno nie mam racji. W historii Gruissan wyczytałem, że ten wiatr był tutaj zawsze i już Rzymianie nazywali go «Circius». Pliniusz młodszy pisał o nim, że «jest to najsłynniejszy wiatr w prowincji narbońskiej i wszystkie inne ustępują mu gwałtownością i siłą». Teraz gasi mi ciągle świecę.

20. 8. 40.

Rano otrzymałem kartkę od Tadzia. Pisze mi, że już nie może wytrzymać z tą «świętą inteligencją» w Carcassonne i zapytuje mnie, czy mógłby do mnie przyjechać. «Robinson Kruzoe także samo nie był ciągle sam i miał Piętaszka. Czy mogę się zgłosić za Piętaszka?». Zapytuje mnie, co ma przywieźć i czy może przyjechać z senioritą.

Senorita to ta Hiszpanka z aksamitką na kostce. Widocznie Tadzio ma zamiar porwać ją. Odpisałem mu od razu, że przyjmuję go za Piętaszka, żeby przywiózł konfitur, mleka kondensowanego i cukru, a seniority niech nie przywozi. Pojechałem z kartką do Narbonne, żeby prędej do-
szła.

Mocowałem się z wiatrem przez godzinę. Łaziłem po Narbonne. Miasta południa należy oglądać tylko pomiędzy zachodem słońca i nocą. Całe bogactwo przesłonecznionego dnia osiada pod wieczór, milknie, zastyga i nie rozprasza się w hałasie i gwarze rozhukanego światła. Błąkałem się po wąskich uliczkach, tak wąskich, że trzeba się nimi prawie przepychać. Bokiem, zawsze przyklepione do murów, majestatyczne koty, a w drzwiach domów siedzą ludzie i gadają. Tu czuć cebulę, stamtąd dolatuje czosnek, płynący na lekkiej chmurce smażonej oliwy, a pod to wkrada się często niepozorny ale zjadliwy rynsztok. Lubisz bajki — tu miałabyś tło do wszystkich bajek razem wziętych. Te uliczki i domy, zakamarki i podwórka można ożywić wszelkimi postaciami, najbardziej nieprawdopodobnymi. Kto wie, czy nie stałyby się prawdziwe w tym otoczeniu. W jakiejś okropnej uliczce odkryłem lokal masonów. Na brudnych drzwiach wspaniale złociły się emblematy łoży. Kto tu do nich należy?

Wracałem o zmroku, jadąc wśród winnic. Winogrona już dojrzewają. Zsiadłem z roweru i zerwałem ciężką kiść czarnych owoców, pokrytych prześlicznym, sinawym puszkciem. Wgryzłem się w nie spragniony — było mi gorąco i usta miałem wyschnięte. Niebo już pociemniało i tylko nad górami, w stronie słońca, było jeszcze popielatobłękitne. Wiał wiatr. Siedziałem na rozgrzanym kamieniu, patrzyłem w niebo głaskany gorącym wiatrem, a po brodzie ciekł mi purpurowy sok zerwanych z krzaka winogron. Znowu nic nie myślałem — jadłem winogrona. Czułem tylko, jak intensywność życia wzmogła się we mnie do ostateczności. Czułem swoją młodość, przeżyłem ją w tych kilku chwilach tak, że krew powinna była mi trysnąć ze wszystkich por i pomieszać się z sokiem winogron. Złapałem życie, na moment, ale wyraźnie. To było wspaniałe.

W nocy ustał wiatr.

23. 8. 40.

Tadzio nawarzył piwa. Rąbałem dziś rano drzewo na obiad, gdy nagle wpada na rowerze zdyszany Tadzio, blady, półprzytomny i wrzeszczy: «Senorita się zabiła, senorita się zabiła». Okazuje się, że zabrał jednak ze sobą senoritę nad morze i kiedy zjeżdżali z przełęczy w pasmie wzgórz koło Gruissan, senorita niehamowała i wyleciała na tym najgorszym zakręcie na kamienie. Tadzio dyszy: «Panie Be to siła odśrodkowa — pan rozumie? Teraz leży cała we krwi. — Jak jej dotknąłem to już stygła», — jęczy Tadzio. Pędzimy na miejsce wypadku. Rower leży, kałuża krwi, senorita ulotniła się. Musiał ją ktoś zabrać do szpitala w Narbonne. Pędzimy do Narbonne. Po drodze spotykamy samochód doktora z Gruissan. Mówi nam, że to on odtransportował *la jeune fille* (żeby on wiedział), stan nie groźny, na tym zakręcie ciągle ktoś się tłucze. Walimy do szpitala. Lekarz widzi, że jesteśmy Polakami (raczej słyszy) i uśmiechnięty, przedstawia się dowcipnie: «Trocki jestem — nie Lew!» Zaprowadził mnie do Senority. Leżała nieprzytomna, połowa twarzy krwawa maska. Trocki powiedział, że musi «się poleżeć» i po opatrunku może wracać do Carcassonne. Niech leży. Tadzio chodził niespokojnie po korytarzu. Wyszliśmy na rum. Wypiłem z nim «na ty». Rozpogodził się prędko i zaczął bajtlować o Opatrzności i że «widocznie tak było zapisane». Opowiedziałem mu, że przed nim już był taki jeden i nazywał się Kubaś Fatalista. Tadzio nauczył się ode mnie zwrotu «może podyskutowalibyśmy na ten temat». Bardzo mu się to podoba i okropnie śmieszy. Chichotał i powiedział mi: «Słuchaj, może podyskutowalibyśmy na ten temat». — «Czy na temat Diderota?» — zapytałem. — «Nie, na temat Senority. Szkoda — to dobra robotnica...» — «A ty będziesz płacił opatrunki — dobrze ci tak!»

25. 8. 40.

Tadzio pojechał eskortować Senoritę. Ma wrócić dziś wieczorem. Przywiązałem się do niego. Ja inteligent, on prosty, mało wykształcony chłopak. Jesteśmy w jednym wieku. Jeszcze raz przekonywuję się, jakim idiotyzmem jest to tak zwane «ustawianie się frontem do ludu», to

«umiejętne podejście» do «prostego człowieka». Wystarczy tylko jeden z przepisów tego inteligentkiego katechizmu, żeby w ogóle nic nie wyszło. Nie ma chyba śmieszniejszej figury, jak taki inteligent, «podchodzący do ludu». Wystarczy tylko starać się świadomie mówić «prostym językiem», żeby ten język stał się mało zrozumiały. Tu nie ma «systemu». Demagogia działa na masę, ale z jednostkami demagogią nie ujedzie się daleko. A jednak prawdziwy kontakt, prawdziwe przenikanie nie wytwarza się na wiecach przy pomocy hasel — to jedynie tysiące i miliony kontaktów osobistych w codziennym życiu i obcowaniu «prostych» z inteligentami. I na odwrót. W sumie chodzi o bardzo mało i o bardzo dużo. Przede wszystkim o zaprzestanie klasyfikacji na «prosty», «półinteligentny» i tak dalej. Jest człowiek. Uznania tego faktu należałoby żądać tak od jednych, jak i od drugich. Niestety o to najtrudniej. Najczęściej inteligent nie uważa prostego tak całkiem za «człowieka», a prosty widzi w inteligencji też wiele, ale mało z «człowieka». Obustronna pogarda, wrodzona, zaostrzona z jednej strony zawiścią, z drugiej obawą «masy», nie ułatwia przeskoczenia tego małego ząbka. Szczególniej u nas. Inteligencja nasza była czymś w rodzaju Banku Polskiego lub Kasy Chorych. Nie — gorzej, to był «Sim» lub «Swann». Snobska kawiarnia dla zdolnych, ale i dla skończonych mydlaków. Nie — nie mogą spokojnie pisać. Jeszcze nie mogą. Byłbym na pewno niesprawiedliwy. Ale wiem jedno i przyznaję się do tego otwarcie: gdy napływała ta «śmietanka» w zeszłym roku, w jesieni, do Paryża, nie było mi ich nic żal. Polsce ubyło w tym sporo wartościowych ludzi, ale odciążyla się także wspaniale i za jednym zamachem od hołoty; od tych panuś, panów i wojskowych o infantylnej umysłowości «gebirgstrottlów». Tych ludzi nic nie byłoby w stanie zmienić i chyba nic nie zmieni. Nadają się do słoików «wecka». Nie — muszę przestać. Eksperyment dopiero się zaczął i nie wiadomo, jakie będą wyniki. A mnie na słowo «inteligencja» uderza krew do głowy i nie potrafię być sprawiedliwy. Ryzykuję od razu sentymentalne wybielanie «ludu», ZNMS-owskie zachłystywanie się koleżanki Haliny klasą, która kiedyś «uderzy znienackiem», jak to deklamował jej kolega na ulicy Czerwonego Krzyża. Pamiętam, że to «znienackiem» mnie z lekka wykończyło.

Jaka jest różnica między mną a Tadziem? Różnica w odczuwaniu. Bo dziś jesteśmy w tej samej sytuacji materialnej. Dla mnie pogłaskanie rozłożonego na słońcu kota, jego blado-zielone spojrzenie spod kilku pręcików rzęs, mieniących się na krawędziach kolorami tęczy, jest przeżyciem. Dla Tadzia to nie jest przeżyciem. A może po prostu tylko jeszcze nie jest przeżyciem. Jego syn, wychowany w jakim takim dobrobycie, wykształcony, może już mnie prześcignąć w odczuwaniu. Może i nie. To są rzeczy przypadkowe, ale wierzę w rachunek prawdopodobieństwa. Zwiększa się ono w miarę powiększania się Tadziów żyjących w ludzkich warunkach i Tadziów, stykających się nie z warstwą która uważa, że w każdym kontakcie z nimi trzeba się «zniżyć», lecz z warstwą, która po prostu zachowuje się naturalnie. Problem formy. Tą formą, i tylko formą, Francuzi potrafili wmówić reszcie świata, że u nich jest demokracja. Tymczasem przenikanie społeczne we Francji jest znacznie mniejsze, niż u nas. Klasy są szczelnie pozamykane; szczelniej, niż u nas. Demokracja istnieje na zewnątrz. Podawanie rąk, naturalność, *Monsieur, Merci i Pardon*.

26. 8. 40.

Tadzio wrócił z alarmującymi plotkami: Francuzi mają zamiar zamykać Polaków w obozach. Zakończył to swoim ulubionym: «Święto morza i cześć». Przejąłem się tym. Poznałem tu młodego Hiszpana, który pracuje w fabryce soli i ten opowiadał mi, że Francuzi potrafią być w takich wypadkach okrutni, bezmyślnie okrutni. Jego trzymali przez długi czas w obozie Argelès. Pole otoczone drutami, wpędzeni jak owce do zagrody. Gdy noce były zimne, żandarmi zabraniali im rozpalać ogień. Drażyli w ziemi dziury i palili ogień potajemnie, żeby się choć jakoś ogrzać. Przyłapanych na gorącym uczynku (dosłownie) łamania zakazu, wsadzano do ciasnych klatek z drutu kolczastego. Skazany nie mógł się w takiej klatce ani położyć, ani wygodniej usiąść. Sterczał tam na deszczu, wietrze i zimnie. Sami budowali baraki, a co młodszych i silniejszych wyprowadzano do wsi i do miasteczek, ustawiano na placu i chłopci wybierali ich sobie do roboty. Oni stali

zaś francuskie «paysany» macali im nogi, ręce, cmokali albo krzywili się — zależnie od «towaru». Zwyczajny targ na niewolników, jak za czasów Cezara. Młody Hiszpan, student z Barcelony, opowiadał mi to ze spokojną goryczą i nie miałem wrażenia, że kłamał. Uśmiechał się ironicznie i powiedział mi nie bez odcienia satysfakcji, że «teraz oni zobaczą, co to jest, jak Niemcy zaczną ich wsadzać za druty».

Po długiej rozmowie z Tadzkiem zdecydowaliśmy się wracać do Paryża gdy tylko fabryka wypłaci nam wszystkie «końcówki». Francuzi zaczęli wracać już masowo. Pojedziemy zobaczyć «co tam słychać», a w razie czego «bierzem twoją żonę do plecaka i przełajtniemy się z powrotem do tej tak zwanej wolnej Francji» — zakończył dysputę Tadzio. Po czym zabrał się do skręcenia foremnego «spirocheta», czyli papierosa. Podoba mu się ta naukowa nazwa.

Senoricie wsadził do pantofelka 300 franków i odstawił do domu w Carcassonne. Niech się leczy. Zostajemy nad morzem tak długo, jak się da. Robert ma nam napisać, gdyby trzeba było wracać. Tadzio właśnie wziął Cezara i mozolnie sylabizuje. Powiedział mi, że jak mu pójdzie gładko, «to ja ci odstawię mszę śpiewaną». Tadzio podobny jest naprawdę do szczygła.

27. 8. 40.

Właściwie człowiek powinien być zawsze, jak biała kartka papieru, na której jest miejsce na wszystko. A tak naprawdę, to ludzie bardzo szybko stają się zeszytem kratkowanym, liniowanym albo w ogóle książką buchalteryjną. Piszą siebie tylko w jeden sposób, bo to «lepiej» wygląda.

Często wydaje mi się, że tak zwany rozsądek jest najbardziej zakłamanym kątem duszy człowieka. Siedlisko bakcyli najzgubniejszego zakłamania. Bardzo często.

Wiara w coś nie jest właściwie niczym innym, jak laską podpierającą kulawe myśli. Zerwanie z kimś, kogo się lubi lub kocha jest często dlatego tak przykre i trudne, bo jest zerwaniem z sobą samym.

Dlaczego jako przykład kultury danego narodu stawia się zawsze (zwykle) tę kulturę, w której ten naród rozpadł się? To nie prawda, że kultury rozpadają się pod wpływem uderzeń z zewnątrz. One rozpadają się najpierw *same*. Uderzenie z zewnątrz jest tylko ciosem barbarzyńskiej «sica».

Kultura i cywilizacja naszych czasów przypominają mi wariata, który pociął na kawałki stos starych gazet, na każdym z nich napisał «milion dolarów», schował wszystko do portfelu i powiedział z wielką pewnością siebie: jestem bogaty.



Siedziałem na piasku, jadłem marynowane oliwki z chlebem. Opychałem się nieludzko. Oliwki doprowadzą mnie do bankructwa. Tadzio kręcił się koło mnie i zbierał muszle «dla Janeczki». Niektóre są prześliczne. Podbiegał do mnie i pokazywał mi co ładniejsze okazy. Nagle zjawił się koło niego jakiś mały chłopczyk i zaczął ciekawie zaglądać do jego puszek. Tadzio z dumą pokazuje mu wszystkie muszle, wysypuje na piasek, mówi «żoli», ale mały wcale nie jest zachwycony. Wreszcie machnął ręką z pogardą, popatrzył na Tadzia, jak na dziecko i stwierdził sucho: *C'est pas bon pour manger*. Po czym zaczął się wykręcać na pięcie ze śmiechem. Tadzio zrozumiał, zbladł, potem nagle zaczerwienił się, szukał jakichś francuskich słów, bulgotał i w końcu wybuchnął wprost, po polsku: «Ach że ty ślimakojadzie, ty nieletni wińskochlaju, ty z minety poczęta latoroślo francuska — pa bą pur manże — ty wyrostku robaczkowy; jak się nie da żreć, to to już dla ciebie nic, ty lejtku, a kysz stąd, jak nie wiesz co ładne, bo cię łapciuchu, bo cie...» Chłopak uciekł przerażony, ja dławilem się ze śmiechu, a Tadzio cały rozdygotany patrzył na mnie i kończył swoje «pot-pourri»: «No sam powiedz — czyż te łapserdaki mogą w ogóle czymś być, jak to od dziecka tylko o żarciu myśli? No sam powiedz...»

Kopnął puszkę do morza, położył się obok mnie i zapatrzył gdzieś w dal. Nie wiedziałem, co mu powiedzieć. On mówił półgłosem, jakby do siebie: «Żeby tylko o boczkę myślał i o włożeniu do łóżka na ciepłe nóżki do

żony, to nie byłbym dziś tu... Rumuny, Cygany i Francuzi, to jedno».

— Tadzium — zacząłem — musisz jednak wziąć pod uwagę, że... Mówiłem może godzinę, może więcej. Karol Wielki, Dziewica Orleańska (czytał o niej), Ludwik XIV, Descartes, Rewolucja, Napoleon, XIX wiek — ten wiek, o którym można by mówić przez dwadzieścia wieków, tak był wielki i płodny, Wielka Wojna...

Tadzio słuchał uważnie, przesypując piasek z garści w garść. Zawsze po pewnym czasie nie zostawało na dłoni nic. A ja mówiłem, wpatrzony w tę zabawę... W końcu Tadzio przerwał: «Dobrze, ale ty ciągle mówisz „było”, „byli”, Napoleon, Dziewica Orleańska. Co mnie to obchodzi? Ja wiem to, co jest: Kurwa, królu kochany, a nie żadna Dziewica!»

28. 8. 40.

Te dni płyną, jak sen (oczywiście). Kupiliśmy sobie z Tadzium w Narbonne małe szachy i wieczorem, przebrawszy się w białe shorty, chodzimy do kawiarni nad kanałem i gramy, popijając białe wino z lodem. Dziś spotkała nas bardzo charakterystyczna przygoda. Siedzieliśmy, jak zwykle, grając i pijąc spokojnie. Przy stoliku, naprzeciwko nas, zasiadła grupa oficerów francuskich. Przyjechali samochodem na kolację. Pili w szybkim tempie i byli coraz bardziej hałaśliwi. Nagle jeden z nich wstał i podszedł do mnie kogucim krokiem.

— Czy pan mnie zna? — zapytuje.

— Nie mam zaszczytu... o co panu chodzi?

— Pytam się, czy pan mnie zna? *Eh bien, repondez!*

— i podnosi głos. Krzyczy.

Tadzio skurczył się i zapytał półgłosem: «Ociec prac?»

— Nie, jeszcze nie. — Tadzio wyprostował się.

Oficer wrzasnął: *Alors, czy pan mnie zna?*

Głosem zupełnie równym i cichym odpowiedziałem:

— Nie mam zaszczytu, o co chodzi?

— Bo pan się jakoś tak dziwnie uśmiechał patrząc na nas. Czy pan jest Niemcem? Czy pan jest Francuzem? Jakiej pan jest narodowości?

(*Qu'ils sont chatouilleux, maintenant* — pomyślałem sobie). Tazio wywrócił wszystkie figury i zaczął je wolno układać w pudełku.

— Jeżeli się śmiałem, to nie z panów. To zbyt smutne... Nie jestem ani Niemcem, ani Francuzem. Jestem t y l k o Polakiem. — To «tylko» wyskandowałem z ironicznym uśmiechem.

Oficer zamilkł i bardzo zmieszany powiedział cicho: — Przepraszam, nie chciałem... zdawało mi się, że pan jest Niemcem i nie chciałem dopuścić...

Przerwałem mu sucho: — Teraz już za późno! Następnym razem...

Podchwycił: — Tak, następnym razem wspólnie odprawimy ich do Berlina.

— *Avec plaisir! Monsieur* — ukłoniłem się już nie patrząc na niego i wysypałem szachy z pudełka. Odszedł, coś poszeptał z kolegami i dalej pili. Tazio patrzył na mnie i widziałem, że mu było żal. Zawiedziona szlachecka fantazja przeglądała mu z niebieskich oczek. Bigosować, mościpanowie!

— Taziu, skąd znasz to powiedzenie «Ociec — prac?» — zapytałem.

— Z «Potopu», Andrzejku. Te dwa filmy Kiemlicze zawsze się tak pytali starego, jak ktoś zaczynał tak podskakiwać, jak ten gifrajter wycofany z obiegu.

Zadanie na pół godziny przed zaśnięciem: przemyśleć wpływ «Trylogii» na Polskę.

— Białe zaczynają!

29. 8. 40.

Tazio zadaje często zupełnie nieoczekiwane pytania i żąda konkretnej odpowiedzi. Te nasze rozmowy są jak partia szermierki, w której ja jestem wytrawnym florecistą; znam wszystkie pchnięcia, terce, kwarty, oktawy podczas gdy mój przeciwnik złapał floret do ręki, wywija nim i kiedy chlaśnie mnie w twarz, uśmiecha się z wyższością i powiada: cacy, ładnie to robisz, ale i tak dostałeś, chociaż nieprzepisowo. Kiedy indziej przypomina mi tę dziewczynę z opowiadania Światopełka-Karpińskiego: Ojciec miał syna, który świata bożego poza nauką nie widział.

W pewnym czasie uznał, że trzeba go rozruszać. Wpuścił więc synalkowi do pokoju śliczną dziewczynę. Chłopak był oczarowany: Masz twarz piękną jak elipsa, oczy twe są jak dwa jej ogniska, i tak dalej w tym guście aż do równania elipsy włącznie. A dziewczyna powiada mu na to rzeczowo: Dobrze, dobrze, ale za tę elipsę płaci się drożej.

Dziś leżeliśmy na piasku. Cisza zupełna. Słońce było wprost gęste i wyciekało z nieba powoli i ciężko, jak morelowa konfitura z puszki. Tadzio nagle usiadł, zgarnął wypłowiałe włosy i wypalił:

— Faktycznie powiedz mi, co to się robi na tym świecie?

Już, od razu, natychmiast. Dla niego świat jest silnikiem spalinowym, który dotąd szedł i teraz nagle «nawala». Wydaje mu się, że potrafię mu od razu odpowiedzieć, tak po prostu: karburator się zatkał, trzeba przedmuchać i będzie wszystko w porządku. Nie — nie potrafię, choć wiem, że najprościej byłoby właśnie w ten sposób; tak po szofersku, jak mnie uczyli na Basztowej w Krakowie: Kapitalizm, proszę Tadzia! Nie — kapitalizm, to tylko jeden z czynników, najbardziej uchwytnych, tego «co się robi na tym świecie». Mnie wydaje się, że w tego rodzaju procesach to, co jest aż tak uchwytnie, nie stanowi istoty. «Uchwytnie», to raczej tylko wykładnik pewnych istotnych procesów, z reguły nieuchwytnych.

Chwilę myślałem i potem zacząłem. Były to długie godziny «koronkowej roboty» floretem. Tadzio słuchał z zainteresowaniem, ale w końcu uniósł się na łokciach zniecierpliwiony:

— Jędrus, jak pragnę zdrowia! Ja ci nie chcę ubliżać, ale to wszystko o tym Egipcie, o Grecji, o Rzymianach, o średnim wieku i tym Resenansie czy jak mu tam, to ciekawe, ale ty wpadasz w korkociąg.

To są te genialne, intuicyjne określenia Tadzia. Nie wiem, czy można lepiej oddać istotę intelektualnego zaplątania się, jak właśnie tym określeniem, które on wyniósł ze służby w lotnictwie: wpadasz w korkociąg. Rzeczywiście wpadłem. Trzeba wyrównać. Usiadłem. Przyznałem mu rację, pytając jednak, czy mnie w sumie zrozumiał i czy go to interesowało.

— Rzecz pewna, ciemny całkiem nie jestem; ale proszę cię, królu kochany, chodzi o to, że Hitler przyszedł, h...m postraszył i nagle wszystko krugom leży. Cały ten świat, rozumiesz?

Śmieszne. W tych rozmowach on myśli zwykle, że ja jego nie dosyć rozumiem, a ja mam wrażenie, że on mnie nie pojmuje. A tymczasem rozumiemy się znacznie lepiej, niż myślimy. Teraz uklękłem, wyciągnąłem nad nim rękę i zacząłem:

— Słuchaj, to wszystko, o czym ci tak długo mówiłem, to będziesz musiał uważnie sobie łączyć z tym, co ci powiem teraz. To jest zupełnie proste. Otóż jak towarzystwo zaczyna grać w karty, to jak wiesz, każdy wpłaca coś do puli.

— Znaczyt sia do banku — poprawił mnie Tadzio.

— Niech będzie do banku. Otóż cały ten świat, o którym ci chodzi, rozpoczął grę prawie w tym samym czasie. Do banku wpłaciło trzech partnerów — każdy pokażną sumę. To były wpłaty grecka, rzymska i chrześcijańska. Ale każda z tych wpłat, równa co do wartości, rzucona została w innej walucie. Uważaj: Grecy wpłacili pojęcie człowieka i rozum, zwyczajny ludzki rozum, jako miarę wszystkiego. Rozum i człowiek byli dla nich tym, czym dla ciebie jest całówka. Dzięki temu stworzyli teorię. Co to jest teoria, to rozumiesz (Ehe!). Rzymianie wpłacili praktykę, a w niej głównie prawo i naukę o jego poszanowaniu. A teraz na odmianę wyobraź sobie ten świat, jako termometr z podziałką. Grecy i Rzymianie wpłacili swoje stawki poniżej zera. Panował mróz. To wszystko było zimne pomimo usiłowań wielkich filozofów, którzy czuli ten chłód, ale nie potrafili z niego wyjść i nie potrafili ogrzać temperatury świata, bo brakło im — pomimo wszystko — poczucia człowieczeństwa. Człowiek był dla nich myślącą bryłą mięsa.

I nagle w tym miejscu, w którym na termometrze jest czerwona kreska, rodzi się Chrystus. Temperatura od razu wzrasta, bo z jego narodzeniem rodzi się dopiero prawdziwy człowiek. On i jego uczniowie niosą słowo o nowym człowieku, o jego życiu doczesnym i o życiu duszy, o wieczności. Dopiero w tym człowieku krąży naprawdę ciepła krew, nieraz aż za ciepła. Dopiero ten człowiek zaczyna mieć prawdziwe poczucie godności ludzkiej. Krótko mó-

więc Chrystus odkrywa i podbija cenę człowieka na tym ludzkim jarmarku, odbywającym się w punkcie zero. Czy rozumiesz to?

Tadzio wpatruje się we mnie swoimi niebieskimi oczami i kiwa głową: — Nachalnie proste! Daj mi tytoń i zasuвай dalej.

A więc reasumuję: — Grecja wpłaca do banku rozum, poszukiwanie prawdy, walkę z ciemnotą, przesądami i fanatyzmem. Pozwala ona ludziom porozumieć się, stwarza dyskusję. Rzym dorzuca prawo, naukę o prawach i obowiązkach; zaś chrystianizm odróżnienie życia doczesnego od życia wiecznego, pojęcie godności o s o b y ludzkiej, jej wartość nie tylko użytkową. Wytycza on wreszcie granice władzy państwa nad człowiekiem. W momencie zero, od kreski czerwonej począwszy, zaczyna się gra. Te trzy wpłaty zostają na stole historii tego naszego świata. Pierwsi gracze umierają — przychodzą następni. Oczywiście każdy coś wpłaca albo przegrywa z kapitału, wpłaconego przez poprzedników. Wpłaty są nieraz małe, czasem żadne, kiedy indziej znaczne. Jedni powiększają lub umniejszają wpłatę chrześcijańską, inni grecką, jeszcze inni rzymską. Ta gra raz jest mniej uczciwa, raz więcej, ale jedno jest pewne: nikt nie podaje w wątpliwość wielkiej i chyba bezcennej wartości — tak, wbij to sobie w głowę — bezcennej wartości wpłat greckiej, rzymskiej i chrześcijańskiej. Dyskutuje się je, kurs ich jest zmienny, ale mowy nie ma o wycofaniu ich z obiegu, z gry. Na świecie jest źle — to prawda, ale dokąd nikt nie traci wiary w te trzy wielkie wpłaty, istnieje nadzieja, że przy ich pomocy uda się rozwiązać wiele problemów. Wiele już rozwiązano i wartość ich nigdy nie zawiodła, gdy starano się umiejętnie je przemieszać. Przyrządzano gorsze lub lepsze mieszanki, ale — powtarzam — nigdy dotąd nie zwątpiono całkowicie w wartość zasadniczych składników: Grecji, Rzymu i Chrystusa. Na świecie robi się tymczasem coraz ciężiej. Całe to zjawisko wyjaśnię ci potem, żeby nie zaciemnić rysunku. (Tu będzie miejsce na kapitalizm). I oto przychodzi najpierw faszyzm, po nim Hitler. To mają być lekarstwa.

Czuję, jak coś zaczyna we mnie wzbierać. Nie myślałem o tym dotąd. Świadomie przerobiłem się wśród tych dni na aparat tylko odbiorczy, o bardzo ograniczonym zasięgu. A teraz zaczęło się... Już nie mówię tego dla Tadzia;

wiem, że mówię to przede wszystkim dla siebie. Sumuję dla siebie, ażeby dodawanie nie było kiedyś za długie.

Cechą charakterystyczną tych lekarstw jest to, co nazywano totalizmem, to znaczy, w sumie, absolutne i zupełne zaprzeczenie wartości tych trzech wielkich wpłat. Dla totalizmu nie ma nic nietykalnego, a ty jako człowiek, zależnie od twoich umiejętności, nie jesteś przede wszystkim Tadzkiem, lecz tylko łopata, kilofem, śrubokrętem, pilnikiem i tak dalej. Ludzie tacy, jak ja, są tam tylko piórem, pędzlem, płytą gramofonową albo w ogóle — i najczęściej katarzyną. Można z nimi robić, co się chce. Los ich, ich życie zależą od jakiegoś centralnego wykresu i wykres ten dyktuje, czy ludziom tym ma być gorzej lub lepiej. Rtęć, która z takim trudem wyskoczyła powyżej zera, opada gwałtownie. Nastaje z powrotem chłód pogańskiego świata, jakieś pogańskie «państwochwalstwo», w którym z takich czy innych powodów wypędza się Einsteina, Mannów i Werflów tak, jak wypędzało się Anaksagorasa, Owidiusza, a innych zmusza się do samobójstwa tak, jak Sokratesa. Potworne i beznadziejne. Co z tego wyniknie?

Niemal krzyczę. Co mnie to obchodzi, że Tadzio nie wie, kim byli. Ja to mówię do siebie. O tym nie wolno zapomnieć. Kłębiam się myśli. Jaki ten piasek jest gorący. Co robić, co robić? Tymczasem nie zapomnieć, ani na chwilę. Czuję, że tym razem Tadzio spoglądał na mnie z prawdziwym szacunkiem. Nic nie mówił i tylko siedząc z podwiniętymi nogami, splotał od czasu do czasu do wody.

30. 8. 40.

Ułożyliśmy trasę powrotu. Carcassonne - Nicea 570 km. Cały czas brzegiem morza. W Bandol zajdę do willi «Pauline» odwiedzić cię Katarzyny Mansfield. Dużo dałbym teraz za jej «Listy». Z Nicei pojedziemy przez Alpy.

Tymczasem wypoczywamy i jemy od rana do wieczora. Ja zjadłem już chyba pół faski oliwek, które stoją w kącie u mojej czarownicy. Pod wieczór jeździmy na trening, żeby nogi nie zesztyniały. Poza tym Tadzio zadaje mi setki pytań, a ja staram się mu na nie odpowiedzieć. Opowiadam mu o budowie piramid, o świątyni w Karnaku,

o Partenonie. Ciekawią go najbardziej szczegóły techniczne i nie może się nadziwić różnym rzeczom. Na przykładzie naszej flaszki z wodą wyjaśniam mu system stawiania przez Egipcjan obelisków za pomocą podsypywania piasku. Na przykładzie dwóch flaszek, jednej na tle koca i drugiej na tle nieba, zdradzam mu tajemnice harmonii architektonicznej Partenonu i różnych grubości kolumn tej świątyni. To wywołuje inne pytania: O ile stopni odchyłony był pierwszy rząd kolumn? O ile centymetrów grubsze były kolumny na tle nieba? Jak wielkie było odchylenie od prostej dłuższego boku Partenonu? A jak się nazywał ten architekt? A w którym to roku? I tak dalej, i tak dalej...

W końcu mam zawsze ochotę wołać «Królestwo za małego Laroussa», bo oczywiście nie pamiętam tych szczegółów. Na deser muszę mu zawsze opowiedzieć coś o Napoleonie. Tej epepei może słuchać godzinami. Cieszy się, że zobaczy Toulon, że pojedzie «Drogą Napoleona» z Nicei. My się chyba wszyscy jeszcze ciągle rodzimy z tym jakimś sentymentem do Napoleona. Obiecuję mu, że po powrocie do Paryża pojedziemy zobaczyć Malmaison. I wtedy bolesne ukłucie: Na miłość boską, tam SAŁ teraz NIEMCY. Ciągłe o nich zapominam. Co myśli cień Napoleona o Francji siedząc teraz w tym letnim pawilonie wśród przekwitniętych róż? On w tym pawilonie tworzył jej wielkość.

Co mi z tego, że wiem to wszystko? Dziś żałuję, że nie mam żadnego fachu; gdybym był frezerem, tokarzem lub spawaczem, wiedziałbym, że jestem czymś. A tak? Ludzie mojego pokroju, to przeżytek do pewnego stopnia — niezależnie od wyniku tej wojny. Świat pęknie tak czy owak i trzeba będzie iść z nim razem. Trzeba będzie tworzyć nowy porządek i zapomnieć, że zostało się wychowanym dla podtrzymywania starego. Będę miał w najlepszym wypadku trzydzieści lat, gdy będzie można zacząć nowe życie. To bardzo ciekawe, jak się je zacznie i od czego. Gdybym... Nie. Najwięcej złością mnie zawsze myśli w trybie warunkowym. Zdolne są wpędzić najzdrowszego człowieka do grobu. W takich chwilach, jak te, najlepiej stosować system Scarlett: «Pomyśl o tym później!»

Popołudniu zawołała mnie patronka kawiarni: *Monsieur Bonbonski, une dépêche pour vous*. Aha — Robert telegrafuje. Rozerwałem telegram — trzeba wracać, fa-

bryka likwiduje się. Usiedliśmy z Tadzkiem na werandzie i zapatrzyliśmy się smutno w niebo. Obydwaj, będąc jeszcze ciągle tu, zaczęliśmy już tęsknić za Gruissan. Tęsknota na zapas. A właśnie pogoda zrobiła się wspaniała. Słońce i leciutki wiatr od morza. No trudno; dziś nie ma sensu jechać, a jutro niedziela więc i tak ta nasza buda zamknięta. Jutro pożegnalne wizyty, pakowanie manatków.

Dziś wyjeżdżali stąd ostatni Belgowie. Państwo G. wyjechali już dziesięć dni temu, ale mam ich adres. Są teraz w Montpellier i on jest kierownikiem tamtejszego Czerwonego Krzyża belgijskiego. Belgowie mają doskonałe przysłowie jeżeli chodzi o francuską gościnność: coś w rodzaju «czarujące powitanie, kwaśne pożegnanie». Twierdzą, że tym razem przysłowie to znowu się sprawdziło. Dużo z nimi gadałem, a że znam Belgię niezłe z czasów kiedy to «panicz jeździł zagranicę», więc rozmowa była ułatwiona. Na ogół usprawiedliwiają poddanie się Leopolda (Tadzio czuje do niego jakieś bliżej nieokreślone pretensje i mówi o nim zawsze «Ten Belgiak Poldzie»). Twierdzą, że nie miał innego wyjścia; widział, że armia francuska, to w ogóle nic, a Anglicy wybrali się na tę wojnę tak, jakby to chodziło o polowanie na tygrysy w Bengalu. Może po prostu nie był... romantykiem. Ale nam, myślącym w takich wypadkach kategoriami «Reduty Ordon», trudno to zrozumieć. Chociaż mnie nie przychodzi to zbyt trudno. Przypominam sobie, jak ojciec mój, szef sztabu 11-ej Dywizji Piechoty w czasie wojny bolszewickiej, został otoczony razem z całym sztabem i z generałem (nie pamiętam nazwiska) w czasie słynnego odwrotu. Opowiadał mi, że siedzieli za jakimś wzgórzem i wtedy to generał zaczął odprawę słowami: Panowie, musimy teraz umrzeć itd. Ojciec mój ośmielił się wtedy zauważyć, że «jakkolwiek wydostanie się z tej sytuacji, proponowane przez pana generała, jest najprostsze, to warto byłoby przedtem spróbować jakiegoś bardziej skomplikowanego środka ocalenia». Oczywiście w końcu wydostali się. Wyobrażam sobie, że generał ten wspominał do końca życia nie to, że się wydostali, lecz pełne patosu przemówienie, w którym «wszyscy byli gotowi umrzeć». Wcale nie wszyscy. Na przykład mnie byłoby potrzeba bardzo wiele, żebym tak był całkiem «gotów». I chyba każdemu. Ale u nas uchodzi

to za rzecz nieprzyzwoitą mówić o tym po prostu, bez tego jakiegoś zupełnie specyficznego zakłamania. W sumie ma się wrażenie, że łatwiej nam jest umrzeć, niż odpisać na list lub oddać pożyczone «do jutra» pięć złotych.

Wieczorem pożegnalny rum i pożegnalna partia szachów w kawiarni nad kanałem.

1. 9. 40.

Pod wieczór z pożegnalną wizytą u panien P. Musiałem iść w shortach, bo nie mam ze sobą spodni. Mieszkają w małym domku, w jednej z tych krętych i uroczych uliczek, pełnej kotów, zapachu ryb, smoły i rozedrganej jednostajnym dźwiękiem milionów komarów. Na plaży, w pobliżu morza nie ma ich; tu w przeciągu jednej minuty nogi miałem pokryte bąblami.

Panny P. przyjęły mnie kawą i kruchymi ciasteczkami. One są przekomiczne. Ciągłe patrzą na siebie, zupełnie jakby się bezustannie nawzajem pilnowały. Gdy jedna zacznie zdanie, to druga je kończy. Ich matka, miła i siwa staruszka, ubrana w czarną suknię i siedząca cały czas w fotelu. Czarna aksamitka na szyi i złoty łańcuszek z lorgnon, które od czasu do czasu zawiesza na ręce i huśta nim, jak wahadłem. Ni stąd ni z owąd, w rozmowie o Polsce, powiedziała mi: «Koło Białegostoku jest dużo Żydów — *n'est-ce pas?*» Utkwił jej ten szczegół z jakiegoś artykułu o Polsce, który czytała jeszcze w 19-ym wieku. Potem kołowała i w końcu zrozumiałem o co jej chodzi, bo wypaliła: *Eh bien, vous savez, je n'aime pas les Juifs*. Obydwie panny skrzyżowały ostre spojrzenia i chórem zawołały: *Maman, pourquoi tu parles toujours de tes Juifs? Monsieur n'est pas curieux de connaître tes opinions là-dessus*. Widziałem, że były okropnie zawstydzone. Staruszka umilkła, zacięła usta i już się prawie nie odzywała. Czuję, że ten jej antysemityzm jest czymś w rodzaju tabaki i że córki ciągle zabraniają jej go ponuchać. To ciekawe, ale z antysemityzmem bywa tak bardzo często. Niektórzy ludzie potrzebują go tak, jak papierosa, czarnej kawy lub alkoholu. U nas, szczególnie wśród starszego pokolenia, miał on charakter przede wszystkim używki. Niestety u młodych przybierał często postać narkotyku.

Panny P. pytały mnie, czy wracam do Polski. Nie — oni naprawdę jeszcze ciągle nie rozumieją, CO się stało... Nie miałem ochoty im wyjaśniać, «co to się faktycznie robi na tym świecie». Wobec tego były bardzo zdziwione, że opuszczam dobrowolnie «Wolną Francję» i pcham się do Niemców. Bardzo ostrożnie, ale dobitnie, wytłumaczyłem im, że «Wolna Francja» wcale nie jest wolna, po drugie mam po tamtej stronie żonę, a po trzecie nie mam ochoty siedzieć w obozie koncentracyjnym w «Wolnej Francji». Tam, po drugiej stronie, sytuacja ma przynajmniej tę zaletę, że jest jasna. Zresztą jeszcze zawsze mogę tu wrócić. Raczyły zgodzić się ze mną.

Cała jedna ściana w salonie zawieszona jest pudełkami, w których pod szkłem tkwią wspaniałe motyle z pięciu części świata. Swoją drogą motyle brazylijskie wyglądają tak, jakby w ogóle nie były z tego świata. Okazy, których nigdy nie widziałem. Wyliczyły mi jakąś zupełnie fantastyczną sumę, za jaką można by te motyle sprzedać. Oceniały sztuką po sztuce. Ach, te ciągle podejrzliwe spojżenia, rzucane sobie nawzajem wprost ze strachem, że jedna mogłaby się wyrwać z czymś, czego druga nie myśli, że mogłaby to inaczej powiedzieć. Kiedy patrzyłem na nie, miałem ochotę od razu notować, pisać, palnąć kilka tych określeń, które nagle przychodzą i od razu bezpowrotnie znikają. Właściwie wszelkie pisanie ma tylko wtedy wartość, kiedy już zupełnie «nie można wytrzymać».

Jedząc suche ciasteczka miałem zupełnie uczucie, że połykam nie ciasteczka, ale już kartki tego jakiegoś opowiadania, które o nich napisałem i którego pewnie nie napiszę. Patrzę na nie i męczę się niesamowicie, bo muszę rozmawiać, a równocześnie układają mi się całe zdania, sytuacje. Wzajemna tyrania, absolutnie jednakowa z każdej strony zarówno w tyranizowaniu, jak i w poddawaniu się tyranii. Nacisk i strach są świetnie sprzężone i występują zupełnie równocześnie. Moja «czarownica» mówiła mi, że jedna z nich kocha się w doktorze, *mais c'est très compliqué*. Wyobrażam sobie... Opowiadają mi o Rio de Janeiro (oczywiście ojciec zabrał je obydwie) zupełnie tak, jakby opowiadały mi o targu w Narbonne. «*Oui, c'est une belle ville...* papa kupił wtedy tego motyla — nie, nie — tego! Już sobie przypominam...» Potem rozmawialiśmy o skorpionach, których tutaj dużo. Są łagodne i ukąszenie

nie jest niebezpieczne. Ale ten sam gatunek po drugiej stronie Morza Śródziemnego jest już bardzo jadowity. Były zdziwione, gdy im powiedziałem, że skorpiony są śliczne. Patrzę na nie zawsze, jak na dzieło sztuki. Potem przeglądaliśmy nuty, w których oczywiście musiał być zeszyt sonatinek Clementi i cała masa walcy w okładkach z girlandami, floresami, tańczącymi parami — ona w gorsecie, on z wąsikami. Ale pianino już nie działało, «bo w tym klimacie trudno utrzymać je w porządku».

Wyszedłem od nich pod wieczór zupełnie wybity z czasu i z epoki. One, ich dom, stara matka, podwieczorek, zapach w mieszkaniu — wszystko było skończone, doskonałe. To coś francuskiego, co jedynie można nazwać «*praesens plusquamperfecti*». Teraźniejszość czasu więcej niż dokonanego.

3. 9. 40.

Fabryka wydała nam dziś świadectwa zwolnienia i dopłaciła resztę pieniędzy. Dostałem około 800 franków i razem mam teraz 1.600. Od 3-go lipca wypłacili mi tutaj 4.353 fr. czyli 2.126 fr. 50 miesięcznie za jeżdżenie na rowerze, kąpiele morskie i tak dalej. Francja zaczyna płacić kontrybucje za przegraną wojnę nie tylko Niemcom, ale i swojemu narodowi. W tym jest mimo wszystko jakaś nie dzisiejsza rzetelność i matczyzny stosunek do narodu. Cały czas wydaje mi się, że Francja ze smutnym uśmiechem stara się pocieszyć swoje dzieci: «Trudno, nie wyszło, macie chociaż to». Gdy mi wypłacali te pieniądze, miałem ochotę długo całować w rękę — Francję. Całować tak, jak całuje się przemiłą, piękną i czasem nieznośną starszą kobietę.

Potem bieganie po mieście, co w Carcassonne przypomina krzątanie się po pokoju. Kupiłem okazjnie lekki namiot za 150 franków, sporo żywności. Przebrałem się do kolacji — w jadalni już pustki, nikogo z dawnych znajomych. Uczucie końca wakacji i początku nowego roku szkolnego. Dziś jak zwykle, była msza, kochany ksiądz C. mówił «Kochana młodzieży w Chrystusie Panu» wiedząc doskonale, że wcale nie jesteśmy «w Chrystusie Panu» i że większość z nas będzie w Nim dopiero z wiekiem. A w każ-

dym razie na pewno ci, co teraz w czasie mszy opychali się śliwkami i w czasie dzwonek przy ołtarzu mówili z ponurym odcieniem przybyszewszczyzny w głosie: «Hehe — same robaczywe, psiekrwie!» Wielką i prawdziwą myśl nie sposób przejąć do głębi nie odbiwszy jej kilka razy, jak piłkę. A poznać ją można chociażby po tym (jej wielkość), że ona p o z w a l a się odbijać, że pozwala na to w okręgu swego działania. Z tego punktu widzenia hitleryzm i wiele innych «izmów», nie dopuszczających takiej gry, będzie prędzej czy później leżało. Siedząc przy stole, zapatrzone w kieliszek czerwonego wina, zastanawiałem się, kto na przykład będzie uczył greki. Czyżby znowu Schnayder? Ładna historia — w takim razie źle ze mną. Potem Tadzio przyszedł, wychylił «kubek» wina i zameldował mi, że zrobił gruntowny przegląd maszyn. Są w świetnym stanie i nie warto ich ruszać. Wobec tego jutro skoro świt startujemy. Pierwszy etap, to Carcassonne - Monte-Carlo przez Béziers, Montpellier, Arles, Marsylię i potem te wszystkie cuda Riwiery. Jak my to wszystko upakujemy?

5. 9. 40.

Wczoraj rano Tadzio powiedział, że bez szwedzkiego klucza nie wyjedzie. Wobec tego poszliśmy do miasta szukać szwedzkiego klucza. Jak zaczęliśmy szukać klucza, to przypomnieliśmy sobie, że nie mamy żadnego papieru na powrót. Wyrabianie *sauf-conduit*, bez którego nie można przejechać linii demarkacyjnej. I tak nam zeszło. Mieliśmy jechać dzisiaj, już wszyscy razem, każdy oczywiście gdzie indziej. Tymczasem jest to zupełnie niemożliwe: cały «wspólny pokój» chodzi pijany. Teraz siedzę i myślę — o LOGICE w ogóle. Strasznie mnie to męczy. Tadzio od rana śpiewa i zaraz na czczo, żeby przyjść do formy, poszliśmy na rum. I tak przyszliśmy do formy, że patrzą na Carcassonne jak na koniki na karuzeli. Jeździ wkoło i gra. Wczoraj to było jakoś tak:

Wszyscy ubrali się do kolacji wytwornie i założyli nawet «inteligencje» czyli krawatki (określenie Tadzia). Po zjedzeniu kolacji zaczęliśmy pić. Postawiłem wniosek, żeby pić tylko «mousseux». Wniosek ogólnie przyjęto — butelka 18 franków. Nie warto pić nic innego. I zaczęło się. Po

sześciu butelkach Senorita (i ona została zaproszona) już miała dość i poszła położyć się do naszego pokoju. Potem ja ciągle przynosiłem nowe butelki. Patronka siedziała w bramie, bo noc była ciepła i pilnowała nas. Prosiła, żeby nie hałasować. Oczywiście — ale jej powiedziałem, że *apud Polonos nunquam sine clamore et strepitu gaudia fiunt*. Pokiwała głową i powiedziała: *ça va, ça va*. Dała mi klucz od lodówki i kazała nosić butelki, bo jej się nie chciało wstawać za każdym razem. Potem S. deklamował jakiś patriotyczny wiersz Tetmajera i wszyscy popłakali się. Potem wstał Tadzio i miał długą mowę, zaczynając się od słów: «Gdy ten stary obszarnik Budrys wyprawiał swoich trzech synów na wędrownie, powiedział im: «Niech was cholera udusi — płyńcie i przywieźcie mi dużo sjajbków. Teraz my także samo jedziemy na wędrownie, ale naszym mamom przywieziemy g..., a daj Boże żebyśmy siebie zdrowo dowieźli...» Mówił dużo i długo, ja wpadłem pod stół ze śmiechu. Coś takiego słyszy się chyba tylko raz w życiu. Potem śpiewaliśmy «Pierwszą Brygadę» i znowu popłakaliśmy się (?), chociaż ja utrzymywałem, że tu nie ma co płakać, bo to jest po prostu melodia «Totenkopfhuzarenmarsch», a oni są teraz Gestapem. «Tak, Gestapo, Gestapo» — wrzeszczał Tadzio. We wszelkich dyskusjach Tadzio bierze zawsze moją stronę. Wynikł spór o «obrazę świętości» i dopiero J. załagodził go, intonując «Pannę Franciszkę». Potem ja miałem mowę, ale co mówiłem to już absolutnie nie pamiętam. Zaśpiewaliśmy «Marsyliankę» i «Jeszcze Polska» i znowu popłakaliśmy się, ale Tadzio dał występ polskich tang: «Apaszem był, w krąg znały go ulice...» śpiewał rzewnie, a mnie przypomniały się powieści Kamila Nordena. Przy «Tylko ty mnie nie zdradź suko, bo cię pięści me zatłuką» siadłem na podłodze i śmiałem się. A butelki szły i szły. Potem S. śpiewał cygańskie romanse, oczywiście po rosyjsku i deklamował Puszkina. Zapamiętałem jeden wiersz i teraz nie daje mi żyć: «Moskwa spaliennaja pożarom Francuzu oddana» czy coś takiego. Poprosiłem go o «Eugeniusza Oniegina», którego zna na pamięć całymi ustępami. Zaczarował nas. To trudno i darmo — rosyjski język żyje naprawdę, kołysze, upaja i zachwyca właśnie podlany alkoholem. To jest język, jak kiszony ogórek: naprawdę smakuje «w gazie». W końcu już nie wiem, co było, ale było wspaniale.

Dopiero sobie przypominam, że u nas w pokoju była nie-samowita zabawa. Seniorita była nieprzytomna i spała zupełnie nago na którymś łóżku. Wiedziałem, że S. od kilku dni zawział się na nią i mógłby ją teraz «zgwalczyć». Trzeba ją było schować, bo ona na S. nigdy nie miała ochoty i mogłaby być bitka. W pokoju ciemno, bo Tadzio wyłączył na korytarzu światło, żeby «ciągle nie palili» (?). S. dostrzegł Senioritę w mroku i przygotowywał się do akcji. Wtedy my z Tadzkiem cichutko przenieśliśmy ją na nasze łóżko. S. zaczął szukać Seniority — zaczęła się zabawa w ciuciubabkę. Co podchodził do tego łóżka, na którym ona leżała, to my z Tadzkiem transportowaliśmy ją na inne; wszystko wśród ciemności i przekleństw ogłupiałego S. Siedem łóżek, na każdym ktoś śpi sam lub we dwóch i Seniorita przerzucana z łóżka na łóżko. W końcu S. wszystko tak się poplątało, że zaczął się zabierać — do J. Tadzio kwiczał, szczypał mnie, bo J. wstał i zaczął okładać S. Zwalił go na łóżko i S., wyczerpany, usnął. Nasz podrzutek został gdzieś na czymś łóżku i wszystko się uspokoiło.

Zal mi rozstawać się z tym hotelem, z całym Carcassonne, z tym wszystkim. Siedzę teraz na ławce na skwerku, jest cudowny dzień, ciepło i spokojnie. Minął jeden rozdział życia i młodości — prześliczny, rozhułkany i swobodny. I to właśnie w tym czasie, gdy miliony ludzi cierpi, gdy co noc spada na Londyn ulewa bomb i gdy na świecie jest wojna. Tu, na ławce, w tym słońcu, nie mogę w to uwierzyć. Pamiętam, jak poszliśmy na Szpitalną kupować książki. Trzy pokolenia Taffetów robiły teraz, o tej porze, najlepsze interesy. Wchodzimy do dziadka Taffeta i pytamy: «Panie Taffet, czy jest logika?». Stary pochodził po sklepie, szepcząc: «Łogika, łogika?» i wrócił: «Nie — łogika wyszła, może będzie kiedy indziej». Nie, kochany dziadziu Taffet, nie będzie jej i kiedy indziej. Ona z życia tak samo «wyszła», jak z twojego kochanego sklepu na Szpitalnej, do którego wchodziło się, żeby kupować i — co jeszcze przyjemniejsze — sprzedawać na papierosy i na wódkę i mówiąc szatańskie «Hehe», czytać Renana i Spenglera «Der Untergang des Abendlandes», studiować «Manifest» Engelsa i zapędzać księdza w kozi róg na godzinach etyki ku radości profesora historii. Po czym nie zdało się maturo... Dotąd wszystko było logiczne. Potem już nic.

Przeżyłem tutaj okres jakiejś ultra-młodości, rozświeconej słońcem, winno-winogronowej, skąpanej w szafirowym morzu; bawiłem się złotem piasku, srebrem wody księżycowej, gorącym wiatrem. Nie będę miał nigdy wyrzutów sumienia, że nie doceniłem młodych lat i — braku logiki. Po koronach zakurzonych drzew przeleciał upalny podmuch, a z bistra obok dolatuje bełkot kruszonego w wiaderku lodu. Cisza południowego miasta, jedzącego teraz obiad. Chrzęszczą zasłony z koralików, jakby odmawiały cicho różaniec spokoju nawlezione na swoje długie sznurki. Czasem, gdy ten pierwszy koralik na dole zerwie węzełek, sypią się wszystkie na chodnik, skaczą wesoło i przekornie, jak dzieci wybiegające ze szkoły; pędzą i potracają się. Są wolne i cieszą się z tego. Mam ich kilka w kieszeni na pamiątkę. Może ja sam jestem takim koralikiem, co urwał się ze sznurka? Podszedł Tadzio. Piszę, patrząc na niego i mówię to, co piszę:

— Tadzio, ja jestem koralikiem. Udało mi się urwać ze sznurka, na który mnie kiedyś nawlekli... I już nigdy nie chcę...

— Jesteś pijany, królu! Kazałem drypie wsadzić dla nas dwie flaszki «Wiszy» do lodu. Będziem się trzeźwić. Wypuściłem trzy «pawie» (określenie Tadzia na różnokolorową dolegliwość poalkoholową) i dobrze mi...

Upał. Wolałbym się obłożyć cały lodem. Tadzio mówi: «Ależ dzisiaj biała gorączka na dworzu». Chłopak się kształci — nie ma co mówić. Ma rację — ten upał jest biały. Oparłem mu głowę na ramieniu i widzę tylko jego wargi z olbrzymim papierosem. Dym wypełza z jego ust spokojnie, rozwleka się i po kilku drgawkach, nagle ucieka z wiatrem. Jak wszystko.

6. 9. 40.

Wyruszyliśmy. Wczoraj po południu spakowaliśmy prawie wszystko. Dziś wstaliśmy o 6-ej rano i kończyli przygotowania. Koledzy mieli pociąg do Tuluzy o 7-ej z minutami i wyszli. Tadzio i ja zostaliśmy w pokoju sami, jak na pobojuwisku. Przykre uczucie. Przywiązaliśmy się już do tego hotelu, do pokoju, do ludzi, do wszystkiego. I teraz rzucaj to. Z ciężkim sercem znosiliśmy nasze juki

do garażu. Zaczęła się komedia pakowania. Układaliśmy nasze rzeczy przez dwie godziny i rowery zamieniły się w coś w rodzaju dwugarbnych wielbłądów. Na tylnym bagażniku miałem pełny plecak, na tym koc owinięty w gumowy płaszcz, na tym duży chlebak z jedzeniem a na tym komplet menażek, przyczepiony do chlebaka, czyli do «spizarni». Na przednim bagażniku miałem chlebak z całą bielizną i butelkę wina. Cały ten bagaż ważył około 30 kilo. Rower Tadzia niósł trochę mniej, ale co do ciężaru niemal tyle samo, bo jego plecak upchany był konserwami. Gdy spróbowaliśmy ruszyć rowery od ściany, włosy stanęły nam dęba na głowie. Ledwo można prowadzić, a jak jechać? Poszliśmy do drypci na pożegnalną kawę. Już cała ulica, pocziwa «rue du Pont-Vieux» wiedziała, że rozjeżdżamy się. Sklepiarka dała nam kilo makaronu bez kartek, czekolady i zegnała nas, jak swoich synów. Drypcia, podając nam dzisiaj kawę, miała łzy w oczach. Po kawie poszliśmy się pożegnać z patronką hotelu. Podziękowałem jej za wszystko i przeprosiłem za to, co może jej nie «podchodziło», pocałowałem serdecznie w rękę. Ta chwilę kręciła głową i w płacz. Tuli mnie do swego pulchnego biustu i całuje w policzki. Wtedy i ja ją wycałowałem i mnie zbierało się na płacz. Tadzio uśmiechał się niewyraźnie i mówił: «Jędrus, jak mi Bóg miły, ryknę». Gdy z kolei pocałowała i jego, rzeczywiście o mały włos nie ryknął. Madame Vitrac pochłipywała cały czas. Nie przypuszczałem nigdy, że tak ciężko będzie się nam rozstać. Wyprowadziliśmy rowery na ulicę. Ona stała w bramie, za szybą bistra łzawo uśmiechała się drypcia, Senorita wychyliła się przez okno w szlafroczku i kiwając ręką, ukazywała zalotnie rowek między piersiami, a z daleka, stojąc przy swoim sklepie, kiwała nam ręką «episjerka».

Była godzina 10-ta. Spoza chmur wyszło słońce i zapowiedziało ładny dzień. Rowery wyprowadziliśmy za zakręt, bo baliśmy się na nie wsiadać. Wreszcie ja odważyłem się pierwszy, Tadzio za mną. Okropne! Opadł mnie strach. Zdawało mi się, że cały rower gnije się, że rama wichruje i że lada chwila coś trzaśnie. Tadzio zbladł i wyszczał: «Nie ujedzie ani dwadzieścia kilometrów». Obaj trzęśliśmy się ze zdenerwowania, skupiliśmy całą uwagę na kierownicy i po kwadransie jazdy przez miasto, wytoczyliśmy się na szosę, jak dwa ciężkie czołgi. Tu już szło

lepiej. Powoli, powoli rozkręcamy się. Po piętnastu kilometrach ustały drgania w kierownicy, rower przestał się «giąć». Tadzio stwierdza to samo. Ożywił się i wrócił nam dobry humor. Jedziemy na Narbonne — stara trasa. Pogoda cudowna, upał. W Lézignan zatrzymaliśmy się. Kupiłem chleba, mleka i pomidorów, kawałek sera. Koło drugiej zjechaliśmy w bok od szosy popod kilka pinii i zabraliśmy się do obiadu, wyciągnięci na suchej trawie w cieniu. Rozkosz nie do opisania. Gadamy i jemy, a przy papierosie zastanawiamy się, kiedy można będzie dojechać do Paryża. Na «krótsze» drogi mamy 1.600 kilometrów. Może pod koniec miesiąca? Jak wytrzymają maszyny? Przypomina nam się pierwsza podróż. Teraz komfort: mamy namiot i nie potrzebujemy szukać noclegów w fermach, wieczorem gorące jedzenie. Niestety nigdzie nie można kupić spirytusu do palenia i trzeba gotować na ogniu. Ogarnia nas znowu to cudowne uczucie włości i swobody.

Około 4-ej jesteśmy w Narbonne. Tadzio został przy rowerach, a ja poszedłem do sklepu z wędkami kupić dwa bambusy do namiotu, bo nie mamy drążków. W mieście panuje popołudniowa senność, idę uliczkami i drzemię. Wydaje mi się, że śnię. Kupiłem dwa bambusy, przywiązałem je do ramy i jedziemy dalej. Kierunek Béziers. Zegnamy Narbonne; to jeszcze resztki tego, co było. Teraz już zupełnie oddaliśmy się od «naszych» okolic. Kiedy je znowu ujrzę? Droga na Béziers jest świetna. Rowery idą coraz lepiej i bierzemy już śmiało kilka wzniesień. Przy zjeździe z góry opony śpiewają na asfalcie i cały rower toczy się, jak ołowiana kula. Do Béziers jest 27 km. Odwalamy je w godzinę z minutami i dojeżdżamy do miasta. Leży na wzgórzu. Już zapada wieczór. Wyciągamy z wysiłkiem krętą ulicą pod górę. Miasto otoczone winnicami, przepojone tym jakimś specjalnym urokiem miasteczek południa.

Ludzie łążą, piją w bistrach i widać, że jest im dobrze. Nie zatrzymaliśmy się tutaj, bo nie było po co. Po kilku kilometrach za miastem zaczęliśmy się rozglądać za miejscem na nocleg. Po chwili zjechaliśmy w lewo do wydmy piasku, pod kilka parasoli sosen. Było już szaro. Tadzio zbierał drzewo na ogień, ja rozstawiałem namiot. Jest świetny i wygodny. Zapadła upalna noc. Roz-

paliliśmy ogień i gotowali jedzenie. Po 90 kilometrach z małą przegryzką w południe, nie można się było doczekać, kiedy się to ugotuje. Wobec tego przez ten czas notowałem, a Tadzio poszedł narwać winogron na deser. Objedliśmy się nieludzko. Potem papieros na leżąco, błędnie wzrokiem po rozgwieżdżonym niebie i chwile nieopisanego szczęścia. Jakieś zwierzęce zadowolenie z życia. Dziś tu, jutro gdzie indziej, słoneczne dni i gwiaździste noce.

Montpellier, 7. 9. 40.

Spaliśmy tak, jak się tylko śpi w tym wieku i w takich okolicznościach. Trochę twardo po wspaniałych łózkach hotelowych w Carcassonne. Rowery położyliśmy obok namiotu i zamknęli na kłódkę. Tadzio, nie znając jeszcze Francji, nie może oswoić się z tym, że tutaj śpiącym w namiocie nic nie grozi; że nie ma tych podwsiowych czy podmiejskich «oprychów» z nożami, co szukają awantury, węszą za rabunkiem itd. Można spać o 200 metrów od wsi i o 10 metrów od szosy i nikt nie zwraca na to uwagi. Nie ma pijanych awanturników, CIEKAWYCH (to osobna kategoria) i tym podobnych polskich rozrywek. Tadzio kręci głową i mówi: «Kultura i cywilizacja». Ale ja kręcę też głową i mówię mu, że przede wszystkim bogactwo. Pewnie — jest w tym także sporo kultury i cywilizacji, ale jeżeli chodzi o złodziejstwo i rabunek byle czego, to jestem wyznawcą skrajnego materializmu. Człowiek, który ma co jeść, który ma coś swojego — niech to będzie nawet mało — jest mniej skłonny do kradzieży, niż nędzarz. Francuz, przynajmniej dotąd, zawsze COŚ miał. I też kradnie, tylko na innej płaszczyźnie; na wyższej. Nie napada z nożem na byle kogo — robi to samo, wypełniając deklarację podatkową, skubiąc klientów, oszukując najbliższych krewnych we wszelkiego rodzaju interesach finansowych i obchodząc prawo wszędzie tam, gdzie się tylko da. To wszystko jest łagodne, subtelne, niewidoczne. Nie wiem, czy KULTURA, to nie jest także łagodniejszy przebieg pewnych chorób etyki i moralności, chorób wrodzonych i odwiecznych w każdym człowieku i narodzie, których rozwój zależny jest tylko od klimatu ekonomicznego. Są okolice malaryczne, trochę malaryczne i zupełnie wolne

od malarii; ale panują tam wtedy inne choroby, równie niebezpieczne. Nie wierzę, jak mi ktoś mówi, że tam i tam nie kradną. Nie kradną w znaczeniu przyjętym u nas, ale kradną INACZEJ. Tu nie kradną tak, jak to Tadzio sobie wyobraża; ale to wcale nie znaczy, że w ogóle nie kradną i «kultura i cywilizacja». Morderca, bandyta, rabuś, awanturnik, złodziej, złodziejaszek, Figaro, niebieski ptak, «Skąpiec», Gobsec i Nucingen to tylko stopniowanie. Kultura odgrywa w tym tylko rolę schodów, po których ta sama ludzka cecha wrodzona idzie do góry i na każdym stopniu zmienia strój w zależności od zawartości portmonetki. Tadzio to doskonale rozumiał i ujął znacznie krócej ode mnie. Oparł się na drażku od namiotu i stwierdził: «Znaczyt sia zawsze ..., lecz inny strój». Oczywiście! Aż go uściskałem. A on z pańskim gestem powiedział: «W takim razie proszę to zapisać». O. Wilde miał rację: życie naśladuje sztukę. Tadzio mówił to tak, jak Jaracz w «Rodzinie» Słonimskiego. Aż usiadłem; Tadzio nigdy o tym nie słyszał i tylko jest dumny, że ja «wszystko zapisuję» także o nim. Teraz śmiałem się do łez, wyciągnąłem zeszyt i od razu zapisałem, «Masz, patrz, przez samo «H» jak «herbata», «habit» i przede wszystkim «heca». Naprawdę heca.

Na śniadanie wypiliśmy po «kuble» kawy z mlekiem kondensowanym (niebo w gębie) i zjedli jakąś niesamowitą ilość chleba z konfiturą; po czym grzebaliśmy się dość długo z pakowaniem, bo nie mamy jeszcze wprawy z tymi betami. Dużo tego i wszystko potrzebne. Słońce już dobrze grzało, gdy wytoczyliśmy nasze czołgi na szosę. Jedzie się nam coraz lepiej i bierzemy bez zsiadania niemal wszystkie wzniesienia. Niestety nie mamy przy naszych rowerach «przerzutek» (zmiany biegów). We Francji, która tylko na północy jest płaska, jest to niemal konieczne. Koło południa przejeżdżamy Hérault. Przed wjazdem do Montpellier postanawiamy się w niej wykapać. Zjechaaliśmy wobec tego w bok, schowali rowery w krzakach winogron i zabrawszy mydło, ręczniki i przybory do golenia, poszliśmy nad brzeg. Winnica dotykała rzeki. Najpierw narwaliśmy trochę winogron, olbrzymich i słodkich i zaczęliśmy jeść. Leży się na trawie, poprzez liście drzew prześwieca białe słońce, a do ust wpycha się całą kiść i ogryza ją, jak jabłko. To całe przeżycie; mógłbym pisać

o tym na dwudziestu stronach. Ale nie wiem czy można by oddać rozkosz tych chwil — trzeba to samemu przeżyć, żeby zrozumieć. To wszystko w takich, właśnie w takich okolicznościach i w żadnych innych, Bo na przykład w czasie urlopu lub wakacji, w normalnych czasach, każda przyjemna chwila jest zatruta, choćby podświadomie tym, co będzie po powrocie: to i to będzie się musiało zapłacić, pan X jest świnia, a trzeba z nim utrzymywać stosunki, bo «on wiele może», itd., itd. Ten cały balast myśli w normalnych warunkach, balast przyszłości, odpadł. Jest wojna, usiłuję wrócić do Paryża, co będzie jutro albo za miesiąc zupełnie nie wiem i nic mnie to nie obchodzi. Ta przyszłość może być taka i owaka, lecz na pewno nie ta, jaką mógłbym ją sobie wyobrazić. Więc nie myślę o niej — to, co jest poza linią wzroku nie odgrywa roli. Jeżeli ta cała cywilizacja nie jest wiele warta, to jednak dokonała jednej wielkiej rzeczy na większości kontynentów: potrafiła doprowadzić do tego, że w jej obecnym stanie człowiek najtrudniej umiera z głodu. Jeżeli i to diabli wezmą, no to cześć. Tymczasem jednak to nie grozi, więc jem winogrona. Najważniejsze jest TERAZ i trzeba się nie bać wysnąć to TERAZ do końca, potem odrzucić i zastanowić się, jakby następne TERAZ najlepiej wykorzystać. Zastanawia mnie w tym tylko jedno: nie jest to ani *Carpe diem* Horacego, ani *après nous le déluge*. Do pierwszego potrzeba spokoju, do drugiego znużenia lub zmęczenia. Nie wiem.

Leżę, patrzę w słońce przez ciemno-zielone okulary liści i jem winogrona. Są świetne. Potem zapalamy papierosy. W południowym upale, dym ściele się nisko i czepia każdej trawki. Golimy się z namaszczeniem, włączymy do wody, jeden drugiemu myje plecy i w końcu wypływamy na środek rzeki, pozostawiając za sobą smugę mydła. Prądu prawie nie ma, woda jest głęboka i ciepła. Kąpiemy się oczywiście nago, pomimo że most jest o sto metrów dalej. Można — tu nikt nie jest CIEKAWY, można rozpląnąć się w powszechnej obojętności. Chyba że się kogoś zaczepi i o coś zapyta. Wtedy ten ktoś odpowiada z uśmiechem, powie coś wesołego, zapyta jak nam się jedzie i idzie dalej. Starzy ludzie lubią się rozgadywać i wtedy z nimi gadam. Tadzio kręci głową i mówi: «To same obojętniaki». Jedziemy.

Do Montpellier jest jeszcze kawał drogi. Szosa jest pusta, od czasu do czasu mijamy wielki wóz na dwóch kołach. Jest gorąco i ogarnia nas takie rozleniwienie, że ledwo kręcimy. Nie ma benzyny więc nie ma samochodów i droga jest cichą aleją. To też wyjątkowa okoliczność, która się już nie powtórzy. Toniemy wśród winnic; na lewo i na prawo, jak okiem sięgnąć, same winnice. Co pewien czas przejeżdżamy przez jakąś wieś i oglądamy budynek kooperatywy winnej producentów wina. Jest to zawsze największy i najokazalszy gmach każdej gminy. Każdy z tych posiadaczy winnicy właściwie nie pracuje tak ciężko. Wino rośnie, a pracują przy nim za psie pieniądze robotnicy hiszpańscy, włoscy lub polscy. Patron chodzi i dogląda, a potem idzie się czegoś napić do bistra. Przy winobranii jest trochę hałasu, potem kooperatywa zakupuje zbiór lub wino, patron inkasuje gotówkę lub weksle i żyje z tego aż do następnych zbiorów. Słońce świeci, ptaszki ćwiergają, niebo jest szafirowe i «pastice» jest żółty. Życie jest proste, ustabilizowane od lat. Prawdopodobnie filoksera narobiła tu więcej zamieszania, niż ta cała wojna.

Koło 5-ej po południu wjeżdżamy do Montpellier. Z miejsca widać, że ładne miasto. Odszukujemy ulicę, na której mieści się Czerwony Krzyż belgijski, bo chętnie zobaczyłbym Dr. G. Niestety wyszedł, ale wróci niedługo. Opieramy rowery o ścianę i rozglądamy się. Włóczy się tu trochę belgijskich żołnierzy w obszarpanych mundurach. Czekają na wydanie cywilnych ubrań i na zapisanie do pociągu reewakuacyjnego. Tadzio powiada: «Andrzejku, trzeba będzie trochę oszabrować ten Czerwony Krzyż; niech nam co dadzą — my też zbolale ofiary wojny». Właśnie wchodzili państwo G. Podchodzę i witam się. Oni ucieszyli się, zaczęli oglądać nasze rowery i pytać gdzie jedziemy. Do Paryża? A czy macie co jeść na drogę? Wspaniale — do Paryża przez Monte Carlo — *c'est formidable!* (Bez Pekin do Otwocka, mówiła służąca w «Lekarzu bezdomnym» Słonimskiego). Z całą swoją żywością kazał nam wprowadzić rowery do hallu, zawołał żonę i zamknął się z nami w jednym pokoju. Potem otworzył jakieś inne drzwi do drugiego pokoju i zaczęło się oszabrowywanie Czerwonego Krzyżyka. Protestowałem, bo nie mieliśmy na rowerach miejsca, ale Tadzio kopał mnie w «kostkie» i szeptał: «Milcz, jak pragnę podskoczyć».

Oni nakładali nam to na ręce, a my lataliśmy i składali wszystko w kącie. Sardynki, pasztet w puszkach, cukier, mleko w proszku, ser, czekolada, mydło, pudło keksów, koszulki trykotowe, kalessony, skarpetki, espadrille. Dr G. biegał, szukał co nam jeszcze wetknąć i w końcu kazał nam to upakować, bo musi zaraz wyjść. Przepraszał, że wieczorem nie będzie się mógł z nami widzieć, ale jutro rano mamy przyjść na śniadanie do nich. Rowery możemy tu zostawić, a naprzeciwko jest dużo tanich hoteli. P. G. wyszedł, a dla nas zaczęła się tragedia, gdzie to upchać. Porobiłem pudła z tektury i powoli jakoś się to rozłożyło. Potem zdjeliśmy shorty i włożyli spodnie. I na miasto.

Wynajęliśmy pokój w jakimś malowniczym hotelu rodzinowym, złożyli tam nasze drobiazgi i znowu do miasta. Na kolację było za wcześnie. Zatrzymał się koło nas mały, zielony tramwaj — taka krakowska jedynka. Wsiadamy i jedziemy. Potem z powrotem. Byle jeździć i patrzeć przez okno. Chodzimy, oglądamy wystawy. Sklepy sportowe wspaniałe. Na ulicach pełno młodych dziewcząt i chłopców. Zapada ciepły wieczór, jesteśmy już niemożliwie głodni. Montpellier przestanie jutro istnieć, będzie jakieś inne miasto. Czasu nie ma — nie liczy się. Jestem cały wzrokiem, pochłaniam, łykam i nie myślę, bo nie da się myśleć. Każde głupstwo jest urocze i nawet każdy papieros smakuje bardziej niż zwykle. Na kolację jest zupa, fasola z mięsem (cassoulet), makaron z sosem pomidorowym, brzoskwinie. Potem kawa w jakimś czerwono oświetlonym bistro, pełnym wymalowanych ladacznic. (Ubóstwiam to słowo). Już jest ciemno, łązimy z kąta w kąt. W końcu trafiliśmy na ulicę, na której są same domy publiczne. Z każdych drzwi, z każdego okna dolatują śmiechy, śpiewy, dźwięki pianoli lub harmonii, klekot zsuwających się ze stóp pantofli, brzęk szklanek, szcęk naczyń, spuszczenie wody w ubikacjach... Na podświetlonych ekranach firanek w otwartych oknach rysują się jakieś cienie, tu światło gaśnie, tam się zapala. Gwar cichnie nagle, potem znowu hałas. Przypomina mi się jeden z najlepszych wierszy O. Wilde'a, czytany w świetnym tłumaczeniu niemieckim, «Hurenhaus». Cały ten wiersz jest zgrzytliwy, *cassant*, rymy w rodzaju «Grotesken», «Arabesken», suche, równocześnie sztuczne i duszne. Znowu cisza, nagła i nieoczekiwana — słychać gdzieś ostry, rzeź-

liwy kaszel płuc, w których już brak powietrza. Płucna czkawka. Ten cały kąt robi wrażenie dusznej piwnicy, pełnej jakichś sztucznie hodowanych kwiatów, jadowitopachnących, o zblakłych, węzowych łodygach, rozpełnionych po ścianach ruchem glisty — ciekawe, pełne swoistego uroku i wstrętne, oślizgłe i śluzowate. A równocześnie pociągające. Myślę o absyncie, o rysunkach Constantin Güysa, o «Fille Elisa» Goncourta. Mam nieprzepartą ochotę wejść do środka, zaglądnąć, zobaczyć kolory, zakłuć się głębiej tym czymś ostrym, co jest w całej atmosferze. Ale Tadzio mnie ciągnie: «Jędrus, uciekajmy stąd». Idziemy. Siedzę przy stoliku i piszę. Okno naszego pokoju wychodzi na malutkie podwórko i w domu naprzeciwko znowu «Hurenhaus». Śmiejemy się. Noc jest duszna, spocona. Z któregoś okna powyżej dochodzi śpiew. Ciepły, głęboki alt kobiecy śpiewa jakąś tęskną piosenkę po hiszpańsku. Nawet Tadzio zasłuchał się i przerwał opowieść o swoim szwagrze, który mu «podiwanił cały komplet narzędzi, sprzedał i potem był bity aż do utraty pierwszej przytomności». Słuchamy. Melodia objaja się po dachach i płynie leniwie, błądzi w kleistym mroku podwórka, przygasa i nagle wybucha w jakichś słowach o wielkiej ilości «r». Wtem inny głos kobiecy, zachrypnięty i zdarty (stara płyta gramofonowa) zaczął komuś wymyślać i śpiew ustał. Tadzio zaklął i zaczął się rozbierać. Teraz już głośno oddycha. W takim upale wydaje mi się, że światło żarówki sypie się z góry, jak piasek. Dopiero teraz czuję, że jestem zmęczony.

W pustyni Camargue, 8. 9. 40.

Wstaliśmy przed ósmą. Na oknie leżały winogrona i Tadzio wyszedł z łóżka, żeby je mnie podać. Zatrzymał się przy oknie i zamarł w bezruchu, jak wyżeł wystawiający kuropatwy. Kiwa ręką, żeby cicho podejść. Wyłażę z łóżka, zbliżam się i — to trudno opisać. Mroczne podwórko, rozświetlone z góry słońcem, dolatujący gdzieś z bliska zgrzyt cyrkularki, tnącej deski. O piętro, niżej, naprzeciwko, otwarte okno; jaskiniowy, ciemny pokój, w którym nie widać ciemnych mebli i tylko łóżko, przykryte czymś burym — też ciemne. Na tym tle olbrzymie, kobiece

uda, rozchylone; bliżej łydki, splecione dziwacznie. Reszta ciała w potwornym skręcie z ześlizgującymi się na boki piersiami i stożek zadartej w górę brody. Cyrkularka zgrzypł, bierze co chwila jakieś przeraźliwie wysokie «C» (pewnie na sękach). To ciało świeci w tym mroku, wiąże wzrok, tascynuje. Cicho szeptam: «Tadziu, to jest Schiele» (chyba tak się nazywał). Tadzio oczywiście nie rozumie. Pamiętam, że gdy kilka lat temu Franek pokazywał mi album z rysunkami tego austriackiego rysownika, nie «chwyciłem» przejmującego do kości realizmu tych okropnych ciał prostytutek, rysowanych genialnie w jeszcze okropniejszych pozach. Powiedziałem, że to jest «silenie się» i że to jest «nieprawdopodobne». Ależ to było genialne. Sciska mi teraz gardło z pasji, że nie umiem rysować. Nie — to tylko Schiele mógłby dobrze «palnąć». Zwał brzydoty, odpychający i przyciągający swoją niesamowitością. I ten skrót — monstualny. Tadzio jest nieznośny.

— Ja bym ją, owszem, ale jakby mnie uśpili. A teraz pobudka, ty proletariacie miłości! — I zaczyna ją bombardować kulkami winogron. W nim samym jest teraz okrucieństwo tłumu. Odepchnąłem go od okna. Nie wiem dlaczego, ale ten odruch był u mnie podyktowany tym samym, co skłoniłoby mnie do obrony jakiegoś świętego obrazu przed świętokradztwem.

Było jeszcze za wcześnie na pójście do państwa G. Wybiegliśmy na miasto. Ranek słoneczny i świeży, ale czuło się już, że upał skrada się cicho i wyskoczy razem ze słońcem spoza dachów. Na ulicy, obok hotelu, wielki targ. Łazimy między straganami szukając klucza szwedzkiego, ale nie było. Przekupki wrzeszczały, ostry zapach serów zmieszany z wonią wielkich brzoskwiń. W Montpellier nabierało się mnóstwo ludzi z wszystkich kątów Francji i Belgii. Na ulicach wielkie, dwukołowe wozy farmerów z północnej Francji z doczepionym do nich całym inwentarzem żywym: krowy, woły, kłacze ze źrebkami, kilka owiec. Boki wozu poobwieszane klatkami z drobiem: kury, kaczki, gęsi, indyki — a w samym wozie cała rodzina, rozłożona na stosach bielizny i ubrań. Przejechali tak setki kilometrów i teraz będą wracać. Wędrówki ludów. W tym zgiełku tego starego miasta, w tym zamieszaniu i beczcasowości tego wszystkiego, czuję jakby średniewieczne. Wędrówka «Narcyza i Złotoustego» poprzez świat,

który oderwał się, szuka... Kolorowe i mroczne, jak witraż w kamiennej rozecie.

Koło 9-ej poszliśmy do pp. G. Czekali już na nas; stół ślicznie nakryty, a na stole MASŁO. Od wyjazdu z Paryża nie widziałem masła. Pani G. wniosła olbrzymi rondel dymiącej czekolady na mleku. (Zanotować w notesie: zapach gorącej czekolady w słonecznym pokoju o 9-ej rano, otwarte okna, z których wpada ten specjalny chłód, jaki jest tylko przed upałem). Zaczęliśmy jeść i daliśmy z Tadzium koncert przy akompaniamencie uśmiechniętych: *prenez, je vous en prie*. Gadaliśmy dużo o powrocie naszym i ich, o tym jak się ułożą stosunki i w ogóle o wszystkim. Oni roześmiani, bo przed dwoma dniami dostali wiadomość, że ich dwoje dzieci żyje i że odnalazły się. Z początkiem maja wysłali je na jakieś kolonie wakacyjne, potem wszystko runęło; nie mieli możliwości dojechać do nich i uciekali razem z całą falą uchodźców belgijskich. Od maja do teraz nie wiedzieli, co się z dziećmi dzieje. Może najokropniejszą rzeczą w tej wojnie jest to rozpedzenie ludzi na wszystkie strony i niemożność odszukania się. Zaczęło się to w Polsce, poszło na całą Europę.

Zapukano do drzwi i harcerz belgijski zaraportował p. G., że kilku zdemobilizowanych żołnierzy francuskich prosi o wsparcie.

— Francuskich? *Tiens, tiens*.

Wyglądaliśmy przez okno. Stało ich sześciu, obdartych, brudnych, niemal boso. P. G. wskazując mi na nich ręką, powiedział:

— Widzi pan, to tak codziennie; a mają swój francuski Czerwony Krzyż, tylko że tam ich wyrzucają i nie chcą nic dać. Wszędzie u nich bałagan i wielka administracja. Francuski Czerwony Krzyż tutejszy ma za zadanie wspomagać ludność cywilną i wobec tego o żołnierzy nie troszczy się wcale. Z jakiej racji, my Belgowie, mamy jeszcze dawać Francuzom?

Pani G. zaczęła się upierać, żeby im nic nie dać. *Rien!* Dlaczego kobiety, gdy zaczynają pracować społecznie, zamieniają się tak często w antypatyczne małpy bez serca? Z przemiłej, miękkiej, flamandzko-pulchnej kobiety wylazła w jednej chwili jakaś ostrość i bezlitosność. Większość Belgów mówi o Francuzach, jak o jakiejś podrzędnej kategorii ludzi. Jeszcze nad morzem G. powtarzał mi

często, że ta tak zwana wielkość narodu francuskiego, geniusz narodu, to starannie podtrzymywany gmach, zbudowany przez dawne generacje i odmalowywany ciągle w coraz to jaskrawszych kolorach i coraz tandetniejszą farbą. A teraz zabrakło im nawet farby.

Tymczasem Francuzi na dole dobijali się z uporem. Tadzio spojrzął na nich i też z pogardą orzekł: «Dać im tam co — po co się jeszcze odgrywać na tych ślimakojadach». Pan G. zapytał mnie, co Tadzio mówi i musiałem przetłumaczyć. Określenie *escargotfague* podobало mu się i wobec tego kazał im wydać po parze pantofli na sznurkowej podeszwie, skarpetki, koszule i swetry. Chcieli jeszcze mydła, ale tego im nie dał. *Pourquoi du savon? Ils se lavent si peu...* Poszli. Cała ta scena zastanowiła mnie. Ile na tym świecie zależy po prostu od dobrego lub złego h u m o r u kogoś, od jakiegoś p o w i e d z o n k a? Każdy z nas chodzi z kapeluszem, wypełnionym karteczkami z losem i wyciąga go jedną ręką do kogoś drugiego, ciągnąc drugą ręką taką samą karteczkę od kogoś innego. Gdy zrobię komuś coś dobrego, to czy nie jest to po prostu tylko to, że ten ktoś wyciągnął ze mnie dobrą karteczkę, że miał szczęście? No i jakież uczucia mogą istnieć między narodami? Chyba tylko mniej lub więcej życzliwa pogarda. Gdy obustronna pogarda osiąga równe napięcie, narody zaczynają się wzajemnie t o l e r o w a ć, zachowując przy tym przepisy dobrego wychowania, wpojone im przez wspólną kulturę, jak przez rodziców. Niemcy, pomimo wszelkich pozorów, zostali chyba wychowani przez innych rodziców niż reszta Zachodu i ciągle zachowują się pochamsku. Nienawidzę ich nie z powodu wojny, ale z powodu zdrady rodziny i rodziców. Ta wojna, to już nie jest bitka przy wspólnym stole o to, kto dostał więcej kremu czekoladowego, lecz walka dorosłych o spadek, o cały spadek i dorobek. Wojna w roku 1870 to był spór o krem. W 1914-1918 Niemcy zaczęli postępowanie spadkowe, przegrali w pierwszej instancji i teraz apelują. Ale na litość boską, chyba jest jeszcze sprawiedliwość. (Patrząc w rozgwieżdżone niebo i modlę się o nią). Stop! — system Scarlet O'Hara — pomyślę o tym później.

Było już dobrze po 10-ej gdy zaczęliśmy się zbierać do odjazdu. Pani G. wcisnęła nam jeszcze olbrzymią torbę mleka w proszku (była znowu miękka i pulchna i mleko

podawała mi takim ruchem, jakby dawała mi je ze swojej wielkiej piersi), dodała sera i mydła. Tak zaopatrzeni, pakowaliśmy rowery. Przybyło nam w sumie kilka kilogramów, a przy takim przeciążeniu każde sto gramów jest centnarem. Koło 11-ej zaczęliśmy się żegnać. Może jeszcze kiedyś ich zobaczę.

Kierunek Arles. Niebo pochmurne, ciepło. Nimes zostawiamy po lewej stronie i jedziemy szosą drugiej kategorii. Unikamy w ten sposób patroli żandarmerii, której trudno tłumaczyć, że t ę d y jedziemy do Paryża. Chwilami spada kilka kropel deszczu. Kręcimy wolno. Liściaste laski wśród stawów, wszędzie płasko. Tazio mówi: «Zupełnie jak w Wawrze». W Saint-Gilles pijemy piwo z lemoniadą na werandzie wielkiego bistra. Tazio mnie tyranizuje: «Czemu nie pieszysz, do cholery? Potem śrajdziesz do późnej nocy i zabraknie nam świec». Nastrój sennej niedzieli w małym miasteczku. Po ulicach snuło się kilku stacjonowanych tu lotników, chodzących z dziewczętami, inni stali koło domów grupami, a wszystkim brakowało słońca. Tutaj dzień bez słońca, to jak sałata bez oliwy i obiad bez wina: trudno przełknąć. Było ponuro, a popielate, kamienne domy wyglądały, jakby były zbudowane z kurzu. Zupełnie bezbarwne, beznadziejnie monotonne. Huk motocykla był tu stukaniem młotka w pustym pokoju. Jeans pisze, że słońce wysyła na dobę ileś tam tysięcy kilogramów światła. Tu, na południu, dzień bez słońca jest naprawdę «niedoważony» i czuje się najwyraźniej to oszustwo na wadze. Ma się ochotę zwrócić taki dzień z oburzeniem. Zasympiałem na krześle. Po oglądnięciu mapy, skonstatowaliśmy, że jeszcze dziś trzeba wydostać się dobry kawał poza Arles, żeby jutro być w Marsylii. Wzięliśmy szybsze tempo i przez Arles przelecieliśmy szybko. Ciągłe ten szary dzień, głupi i połowiczny. Inaczej nie można tego określić. Nie chciało mi się nawet zobaczyć areny rzymskiej. Kupiłem za to jajek.

Skracamy na południe i wjeżdżamy w pustynię Camargue. Przejście od strefy zieloności do bezkresnej, rudej i kamienistej równiny jest zupełnie nagłe. Pod wieczór pogoda poprawia się i tylko na północnej stronie nieba zamarła w bezruchu masa czarnych chmur. Camargue jest naprawdę pustynią: droga świetnie asfaltowana i nic więcej. Po bokach, jak okiem sięgnąć, ruda płaszczyna usiana

kamieniami. Czasem jakieś karłowate drzewko lub krzak kolczasty. Niepokoi nas to, bo wody nigdzie nie można się spodziewać. Mija pięć kilometrów tej pustyni — nic. Mija dziesięć i też nic. Jest już późno i powoli zapada mrok. Po piętnastu kilometrach dalej pustka. Jak zwykle w takich wypadkach, chce nam się podwójnie pić. Ale już krzyczę do Tadzia: «Jest!» — «Co?» pyta z tyłu. — «Oaza!». Przy drodze widać czarną kępę krzaków i drzew, a dalej, już prawie na horyzoncie, zarysy jakiejś fermy. Dojeżdżamy do oazy, która jest wielką, elektryczną studnią. W budynku studni pracuje z cichym szmerem elektryczny motor, pompy ciągną wodę i rozlewają ją do kamiennego koryta, skąd ścieka do rowów, rozprowadzających ją dalej. Obok studni jest pas trawy i krzaków, dalej polotka winnic i trochę młodego lasku. Zielono jest tylko w obrębie rowów nawadniających — za zewnętrznym rowem pustynia. Kępka włosów na łysinie, konserwowana starannie «Silvicrinem». Oczywiście na widok wody odechciało nam się pić. Szybko rozbijam namiot, Tadzio zbiera drzewo. Miejsce na nocleg doskonale. Gotujemy rytualny rosół z makaronem, jajecznicę z pomidorami, kruszone keksy w mleku z winogronami, wino. Wyszedł księżyc i świeci osłepiająco. Na północy, w czarnej masie chmur, poskakują błyskawice. Zaczyna opadać tak gęsta rosa, że włączymy do namiotu, żeby nie zmoknąć. Cudowna noc. Tadzio, jak zwykle, usypia z palącym się papierosem w ustach. Cisza jest absolutna, bo nawet studnia przestała tykać. Wyłączyli ją na noc. W dogasającym ogniu czasem coś syknie, trzaśnie, wyskoczy płomyk i schowa się. «Ojcie nasz, który jesteś w niebie...»

La Bedoule, 9. 9. 40.

Wstaliśmy po 6-ej. Dzień słoneczny, pogodny, ani jednej chmurki. Namiotu nie można było zwijać od razu, bo mokry od rosy, jak po ulewie. Mycie i śniadanie. Słońce paliło coraz bardziej i już o ósmej rano był upał. Mamy przed sobą jeszcze ponad godzinę pustyni. Ruszamy po 10-ej. Po kilku kilometrach pustynia ożywia się: na lewo i na prawo hangary lotnicze, olbrzymia baza, reflektory, ziemne światła itd. Gdzieś w oddali chodzi kilku ludzi.

Tadzio patrzy i mówi: «Jakbym zobaczył samolot, to to mogłaby być tylko ta jakaś fata-morgana». Śmieję się: wszystkim nam pokazywano przed tą wojną faty-morgany i wmawiano, że to prawdziwe. Szczególniej w lotnictwie. Rozmawiamy o fata-morganie. Podobno zdarza się tutaj, ale nie wiem, czy to prawda. Dziwna jest ta pustynia.

Dojeżdżamy do morza mijając małe miasteczko Fos, ślicznie położone, z cudnym kościołem romańskim. Potem brzegiem morza. W Martigues przeskakujemy na drugą stronę zalewu morskiego po wąskim, drewnianym moście. Przy wjeździe na ten most o mały włos nie wywróciłem się. Na szczęście stał tam żandarm, który mnie podparł w ostatniej chwili. Zbladłem. Teraz zażąda papierów. Gdzie tam... żałował nas, że musimy jechać tak obciążeni. Jeden upadek i rower jest pocięty. Jestem pewny, że w tej krótkiej rozmówce przypominałem Flipa, który coś zbroił i stara się wszystko załagodzić. Wtedy rusza się rękami ponad miarę, chrząka i głupio uśmiecha. Jest taki upały, że pot leje się z nas ciurkiem, zalewa oczy i szczypie. Na górze, ponad zalewem, zatrzymujemy się. Postanawiamy coś zjeść i układamy się w skąpym cieniu paru sosenek. Pod nami mamy szafirowy zalew, w nim utknęło kilka okrętów. Niebo jest niebieskie z kilkoma białymi obłoczkami. Kolory są przeraźliwe: jak coś jest białe, to jest naprawdę białe, a jeżeli szafirowe, to t y l k o szafirowe. Nie ma pół-tonów; kolory są rąbane, jak gama C-dur, jednym palcem, z pedałem. Cały ten koloryt jest wręcz prymitywny — pejzaż można by chyba malować temperą, bez mieszania; co wyjdzie z tubki, to dobre. Mówię o tym Tadziowi. »Tak, masz rację, te kolory są nachalne«. Tadzio jest związły i — wspaniały. Czy to określenie «nachalny» nie byłoby także dobre dla obrazów Styki Afrykańskiego?

Nie odpoczywaliśmy długo, bo do Marsylii jeszcze daleko, a po drodze trzeba coś kupić na kolację. W jakimś miasteczku dostałem dwa befsztyki i cały bochenek chleba, pomimo że chleb wolno tu sprzedawać tylko do 12-iej w południe (?). Ale byłem tak wymowny, że rzeźnik sprzedał mi również chleb, a mięso dał bez kartek. Późnym popołudniem dojeżdżamy do jakiejś góry. Szosa wiję się stromą serpentyną i trzeba zejść z rowerów. Idziemy i idziemy; za każdym zakrętem góra jest coraz wyższa. Potem wariacki zjazd w dół. Po kilku kilometrach wpadamy na przed-

mieścia Marsylii. Niepokoi mnie jakiś dziwny wiatr. Dzień był gorący, wiatr jest chłodny. Od razu wiem, że to tutejszy Mistral; teraz pod wieczór powoli budzi się, miecie kurzem ulicznym i zasypuje nam oczy. Mówię Tadziewi, że trzeba przelecieć przez Marsylię jak najprędzej, bo Mistral dmucha tu z taką siłą, że nieraz przewraca ludzi na ulicach. (Tak mi opowiadano). Jak nam dmuchnie z jakiejś przecznicy, to położymy się razem z rowerami. Niestety łatwiej powiedzieć, niż wykonać. Od razu na przedmieściu zaczyna się taki bruk, że kocie łby wileńskie, to stół w porównaniu z tymi skałami. Rowery zaczynają nam tak skakać, że trzeba zupełnie zwolnić żeby się nie rozsypały na proszek. Do tego gumy mamy pompowane na miękko z powodu gorąca i po asfalcie idzie wspaniale, a tu «dobija» raz po raz. Trudno — jedziemy. Mija godzina, jesteśmy ciągle na przedmieściu. Po półtorej godziny dopiero wjeżdżamy do śródmieścia. Bruk ten sam, a nawet jeszcze gorszy. Ludzi na ulicach pełno, wszyscy łążą po jezdni, bo chodniki zastawione stolikami i zarezerwowane dla gadułów. Ci stoją grupami i mówią wszyscy naraz; wrzeszczą i wymachują rękami. Do tego dochodzą szyny tramwajowe, które trzeba omijać. Jazda przez te ulice jest naprawdę sztuką. Każdego trzeba omijać, nikt nie reaguje na dzwonienie. Tadzio rozgląda się i powiada: «Jędrus, jak pragne zdrowia, to Nalewki». Tymczasem Mistral rozhułał się na dobre. Słońce zrobiło się miedziano-czerwone i na ulicach wirują trąby kurzu i śmieci, w które my nurkujemy z pochylonymi głowami. Mijają dwie godziny i końca Marsylii nie widać. Ten potworny bruk też nie chce się skończyć. Jesteśmy tym tak zmęczeni, że mnie pięty zaczynają drgać bez przerwy i prawa łydka ciągle drętwieje. Ogarnia mnie zupełnie szalona wściekłość; gdybym spotkał mera Marsylii, byłbym zdolny go obić za ten bruk. Mija trzecia godzina tej piekielnej jazdy i wiem już z góry, że wyjadę stąd z urazem psychicznym do Marsylii na całe życie. Takie wielkie miasto i główne ulice tak podle brukowane. Trzy i pół godziny, krok za krokiem. Widzę jakiś hotel i zaczynam się zastanawiać, czy nie przenocować. Ale w Marsylii to dość ryzykowne. Podobno wyłapują Polaków i wsadzają do pobliskiego obozu w Carpiani. W końcu wydostaliśmy się z tej stolicy Mariusza i Fanny. To było s t r a s z n e. Bola nas nerki, plecy, ręce, wszyst-

ko. Mistral dmie już na dobre. Jest tak zimno, że wciągamy swetry. Słońce zaszło, ale jedziemy dalej, bo nigdzie nie ma dobrego miejsca na nocleg. Mijamy Aubagne i w prawo na La Ciotat. Jest ósma, gdy wjeżdżamy do jakiegoś wąwozu. Znowu serpentyna pod górę i musimy złązić. Zrobiło się ciemno i wyszedł księżyc. Górą, wśród wielkich drzew huczy wiatr, na drodze w wąwozie jest cisza. Droga jest właściwie prześlizczna, ale zmęczenie znieczuliło nas zupełnie. Pchamy rowery i trochę gadamy. Nigdzie kropli wody; idziemy godzinę, dwie — ciągle pod górę. Ręce drętwieją, droga spina się dalej, ściany wąwozu są tak strome, że o rozbiciu namiotu nie ma mowy. Dopiero o wpół do jedenastej dochodzimy do czegoś w rodzaju bardzo rozległej przełęczy. Widać było kilka domów, na lewo łagodny stok i kilka sosen. Za to wiatr dmie tu ze wszystkich stron. Dziki huragan — chwila ciszy, zupełnej, martwej — potem nagłe uderzenie, zimne i przenikliwe. Zostawiamy rowery na drodze i po długich poszukiwaniach znajdujemy metr kwadratowy mchu pod jednym z drzew. Wyciągamy rowery, wkładamy na siebie wszystko, co mamy i zapalamy papierosy. Od 2-ej nie paliliśmy. Szybko stawiamy namiot, żeby wleźć do środka i rozgrzać się. Na tym wicherze jest to bardzo trudne. Jeden nieostrożny ruch i namiot pójdzie w strzępy. Wszystkie sznurki splątały się. Stawiamy w momentach ciszy, a gdy nadlatuje ten szatan, trzymamy rękami i nogami wszystkie części, wiszące jeszcze luźno. W końcu «hotel» stoi. Wbijam kołki aż do końca, naciągam sznurki, ale i tak przy każdym podmuchu dach wciska do środka. Nareszcie jest nam ciepło. Nie gotujemy kolacji — ser, sardynki, pomidory i konfitury podlane winem. Leżymy, jak dwie kłody. Teraz już pewnie nawet kochane sztuki Pagnola będą oglądał — przez marsylski bruk. Mistral cichnie, huczy, szarżuje.

Toulon, 10. 9. 40.

Spaliliśmy tak, że gdyby Mistral zerwał nam znad głów namiot, to prawdopodobnie spalibyśmy dalej. Było nam ciepło i przytulnie. Nawet głupi namiot ma w sobie coś z «własnego domu». Zresztą to wszystko, co mam ze

sobą, jest dla mnie jakby żywe. Można by to nazwać «smakiem sprzętu». Mistral wył dalej i o zapaleniu ognia na tym huraganie nie można było nawet marzyć. Chciałem jednak koniecznie wypić coś ciepłego; wzięwszy termos, maszynkę do kawy i rondel, zeszedłem do tych kilku domów, które widzieliśmy wczoraj. W pierwszym z brzegu dostrzegam otwarte drzwi i wchodzę. Izba czysta, pod kuchnią ogień, przy piecu stoi jakaś stara kobieta. Przywitałem się z nią, powiedziałem że śpimy w namiocie tam wyżej i że chciałbym zrobić sobie kawy. Staruszka ożywiła się, nalała od razu wody do rondla i postawiła na ogniu. Zaczynamy rozmawiać — pytam, czy mieszka tutaj sama?

— Nie, z synem. Poszedł dzisiaj szukać roboty, ale teraz ciężko o pracę.

Po akcencie poznaję, że to nie Francuzka. Pytam i o to.

— Nie, jestem Włoszką i mój syn także.

— A ja jestem Polakiem, *Madame*.

Staruszka ożywiła się: — Mój syn miał przyjaciela Polaka. Był taki miły. Poszedł do wojska i nie wiemy, co się z nim dzieje. Wy, Polacy, jesteście teraz biedni — my Włosi też. Mojego syna już dwa razy wzywali, żeby wrócił do Włoch i stawił się do wojska. Ale on nie chce, *oh non*. A zresztą tam bieda. Po co ta wojna?

Nic nie odpowiedziałem. Pytała się dokąd jedziemy i skąd mamy jeszcze prawdziwą kawę. Z mojej maszynki unosił się mocny zapach. Dałem jej garść kawy i powiedziałem, żeby ją schowała tylko dla siebie. Wlałem wszystko do termosu i zacząłem żegnać się z nią. Uścisnęła mnie za głowę i pocałowała w czoło; potem z włoską pobożnością zrobiła znak krzyża na czole i miała łzy w oczach. Pocałowałem ją długo w grubą, spracowaną rękę. Biedna starowinka. Cóż jej zostało na tym świecie? Syn i kawa i szept modlitwy.

Z dwukilowego chleba został nam po śniadaniu tylko kawałek. Opowiedziałem Tadziovi o włoskiej babce i też się rozczulił. «Popatrz Jędrus — ludzie tak osobiście są porządni, a wszystko razem do kupy banda s...!». Wiatr szalał dalej, ale dzień był słoneczny i trochę cieplej. Upakowaliśmy czołgi i ruszyli dalej. Po chwili wjechaliśmy do właściwej osady — jest ślicznie położona. Naokoło lasy, przy domach małe półka melonów. Kupiłem olbrzymiego melona za 2 franki i przywiązałem go do kierownicy. Po-

tem zjazd w dół — cudowny zjazd serpentynami wśród lasu. Nagle — nie, tego nie można opisać. Wpadamy nagle zza zakrętu na odcinek drogi kuty w litej skale. Długi balkon, w dole próżnia — ze 150 metrów przepaści — dalej szafirowy płat morza z białą pianką wzdłuż poszarpanego wybrzeża. Wiatr trzasnął nam w twarz z taką siłą, że bez hamowania zwalniamy. Wzrok gubi się w szafirowym horyzoncie morza, z lewej strony popielata ściana skał z przyklejoną do nich szosą, z prawej przepaść i drugie morze zbitej, niemal czarnej zieloności u stóp. Wszystko pogrążone w przewianym wiatrem świetle słońca. Kolor słońca jest zupełnie inny w czasie wiatru; jest jakiś zimny, jak emalia. Dojeżdżamy tak prawie aż nad wodę, na sam koniec cypla skalnego i zawracamy w lewo. Wpadamy znowu w półmrok leśny. Opony cichutko kwilą na asfalcie i na każdym zakręcie kładziemy się miękko na bok. Przy dużej ilości serpentyn jest to po prostu tańcem na rozpędzonej maszynie. Obciążony rower «leży» przy takich szybkościach wspaniale. Do tego Tadzio porozciągał nasze wąskie, wyścigowe kierownice i leżymy na nich wygodnie, rozparci szeroko i pewnie. Po dwudziestu minutach wylatujemy z lasu, jak dwa pociski z lufy i wpadamy na prosty kawałek drogi. Z lewej strony niewielka zatoka, z prawej jakaś wyspa z zameczkiem i cyprysami. Böcklin w świetle słońca. Koloryt wody jest zupełnie bajkowy: szafir, plamy seledynowe i jasno-niebieskie pasma posypane białymi grzywkami fal. Rozpętanie barw, zupełny obłęd. To już La Ciotat. Szosa biegnie teraz brzegiem morza, mijamy wille i po raz pierwszy «zalatuje» mi Riwierą. Wielkie plamy są w tym wichrze jakby jeszcze bardziej postrzępione, od morza ciągnie wilgotnym chłodem i solą. Mistral huczy ciągle i w całym tym niemożliwie (nachalnie) kolorowym otoczeniu panuje jakieś rozbuchanie, rozhuśtanie i zgiełk. Mistral robi wielkie porządki i przewietrza te spokojne, zastygłe w upale kąty.

Zostawiamy rowery na szosie, a sami z jedzeniem zbiegamy na sam brzeg, na wielkie kamienie. Jemy wolno, rozkoszując się każdym kęskiem. Wybieramy sobie zawsze na jedzenie jakieś ładne miejsce; dziś miejsce jest tak cudowne, że popadamy niemal w odrętwienie. Każda sardynka, każdy kawałek sera jest wielkim przeżyciem. Słońce świeci, wiatr chłosta w twarz i chwilami spada na nas

deszcz kropielek wody, rozbijanej na kamieniach. Przy każdym uderzeniu fali wybucha tęcza, trzyma się chwilę w powietrzu i niknie. Można dostać naprawdę pomieszania zmysłów od tego dzikiego natarcia kolorów. Jarmark barw. Są pewne widoki, które zaliczyłbym do kategorii «intelektualnych». Na przykład jesienny zachód słońca nad Sekwaną. Mosty toną w mgiełce, zapalają się na nich punkciki latarni, olbrzymie drzewa zamierają w bezruchu, światło słońca jest przefiltrowane przez zupełnie specjalne chmurki, z których każda powinna mieć napis «Made in Paris». Byle kto niczego nie dopatrzy się w tym widoku. Tu byle «ciemniak» i «przeciętniak», mówiąc słowami Tadzia, dostanie od razu w łeb i jeżeli już nic innego, to w każdym razie rozdziawi gębę. Musi. Jak na widok wspaniałej kotki, ubranej jaskrawo i elegancko. Wrażenie Tadzia: «To jest naprawdę święto morza».

Zjadamy naszą południową rację i jedziemy dalej. Do Bandol mamy jeszcze około 20 km. Droga robi się górzysta. Znowu złazimy z rowerów i idziemy pod górę. Droga jest tak cudownie prowadzona, że nawet przyjemniej iść na piechotę, niż jechać. Co chwila przez gęsty las przebłyskuje w dole morze. Powietrze jest nagrzone, pachnie żywicą i Mistral nie dobrał się tutaj. Skacze po wierzchołkach drzew. Na jednym z zakrętów spotykamy pogrzeb. To niemożliwe. Ludzie tu umierają? Samochód-karawan jedzie z góry wolno, piszcząc niemiłosiernie hamulcami, za nim idą ubrani na czarno żałobnicy. Na przodzie drepta ksiądz w białej komży. W tym wesołym, roztańczonym otoczeniu, w pogodzie dnia i w tym słońcu wygląda to zupełnie nienaturalnie. Nie pasuje. Nie «podchodzi» do tego stopnia, że patrzmy na to zupełnie obojętnie. (Nie całkiem — chciałbym to namalować tak, jak Bonnard). Tadzio fachowo zauważa: «Jakby mu teraz hamulce nawaliły, to czcigodne zwłoki miałyby prawo zamartwychwstać ze strachu». Zaczynamy snuć dalsze przypuszczenia na ten temat: «Przede wszystkim przejechałby ksiądz. Przy potrąceniu tego chłopca z krzyżem mógłby dostać krzyżem w głowę. Familia przyspieszyłaby początkowo kroku, potem zaczęłaby biec, a w końcu (Tadzio konkluduje zimno) wdowa powinna ucześcić się karawanu i krzyknąć do szofera: «Hamuj na sprzęgło jeśli ci życie nieboszczyka miłe». Tadzio opowiada to w ten sposób,

tak obrazowo, że widzę już tylko ten «jego» pogrzeb, a nie ten prawdziwy.

Zjeżdżamy znowu z góry. Tak wpadamy do Bandol. Jest 4-ta po południu. Bandol jest klejnocikiem w czarującej oprawie. Leży nad niewielką zatoką, nad brzegiem morza szeroka promenada zasłonięta od strony lądu kolorowym parawanem białych domów, domków i willi. W kącie zatoki, pod wzgórzem zatłoczonym domkami wśród drzew, malutki, jak zabawka, port z białymi kreskami żaglówek. Koło portu kręci się kilku rybaków i grzebie wśród rozpostartych sieci. Tak wolno, jak to czasem pajak, gdy kontroluje czy wszystko w porządku. Na widok tutejszych rybaków odnoszę zawsze wrażenie, że oni się bawią w rybołówstwo; pojedzie kawałek na morze, coś tam podłubie, złapie trochę ryb i wraca. To nie ten twardy byt rybaków z mórz północnych i z wybrzeży Atlantyku.

Zostawiam Tadzia z rowerem obok portu, a sam idę z wizytą do Madame Allègre. Jestem w stroju trochę nie wizytowym, bo w shortach i w koszulce, ale to trudno. Pierre Plane jest na górze i po kilku minutach dzwonię do «Pauline». Serce bije mi tak, jakbym czekał, że otworzy mi sama Katarzyna Mansfield. Otwiera mi jakiś chłopak. Mówię mu, że chciałbym się zobaczyć z Mme Allègre. Uśmiechnięty, prowadzi mnie; wchodzi do małej, czystej kuchenki — jakaś kobieta prasuje bieliznę. Mme Allègre, malutka, pomarszczona staruszczyzna, krząta się żywo koło naczyni. Przedstawiam się jej dość oryginalnie jako ten, który w zeszłym roku wysłał jej z Paryża fotografie. Mówię jej o Hance i o Franku — doskonale ich sobie przypomina; fotografie dostała. Zaczyna się komicznie śmiać, bo *madame* i *monsieur* nie umieli po francusku, ale z *monsieur* można się było doskonale porozumieć. «On taki śmieszny». I śmieje się tak, że i ja nie mogę wytrzymać i wtóruję jej zgodnie. Opowiadam jej kim są dla mnie, że teraz wracam do żony, do Paryża. Po chwili wszyscy wesoło rozmawiamy. Mme Allègre przynosi lekko podsuszony figi z wielkiej deski w ogrodzie, napycha mi nimi kieszenie. Wyszliśmy do ogrodu.

Mały pawilonik obok «Pauline», w którym mieszkała K. Mansfield. Mały, kamienny stolik; malutki, jak dywanik przed łóżkiem, taras. Na tym stoliku pisywała, że tam

w dole, na morzu, zatrzymał się okręt wojenny, że dzień był szary i zimno. Kilka słów — pamiętam i nie pamiętam. Też była wtedy wojna... I pamiętam napis na jej grobie w Avon: *But I tell you my Lord fool out of the nettle danger we pluck this flower safe*. I mnie się tak udaje. Zrywam cało i zdrowo kwiaty, unikając kolczastego niebezpieczeństwa. Usiadłem przy stoliku i patrzyłem. Czy potrafiłbym opisać ten widok stąd tak prosto i naturalnie, jak ona? Dobra, prawdziwa proza jest, jak suknia od Paquin lub Molyneux: niby nic, a jest w tym wszystko. Coś zupełnie nieuchwytnego. To są odbezpieczone granaty, które autor daje czytelnikowi, którymi go wypycha, aby wybuchły w nim. Czym dłużej eksplodują, tym pisarz jest większy. Wszelkie wspaniałe eksplozje wokół czytającego mogą być wspaniałe, mogą na chwilę ogłuszyć, ale w końcu nie zostaje z nich wiele.

Potem rozmowa. Dowiedziałem się, że mój strój jest obecnie zakazany na całym wybrzeżu. Nie wolno chodzić w shortach; na rowerze można w nich jeździć, ale pokazywanie się w shortach w mieście jest surowo zakazane. Kazałem powtórzyć to sobie dwa razy, bo nie mogłem uwierzyć. Nagle umoralniają się — i to w ten sposób. Ależ to przecież żałosny widok, to pachnie na kilometry secesją, dulszczyzną. To na pewno nie jest zarządzenie niemieckie. W tym jest cała śmieszność autorytatywnego *régime'u* Pétain'a, który w TEN sposób zaczyna rządzić. Każę Francji zakryć nogi (ma takie ładne) i będzie ją równocześnie namawiał Bóg wie do czego. Oczywiście wszyscy śmieją się z tego; nawet stara Mme Allègre chicha śmiesznie i piska.

Żegnam się. Życzą mi dobrej drogi i szczęśliwego powrotu. Jeszcze jedno spojrzenie w stronę kamiennego stolika i wyszedłem. Tadzio siedział na ławce sam i rozglądał się. Dałem mu fig — był nimi zachwycony. Podjechaliśmy kawałek promenadą i zatrzymaliśmy się przed małą kawiarnią. Bandol jest dobrze osłonięte od wiatru i Mistral nie wieje tutaj tak przeraźliwie. Przy stoliku, w słońcu, było ciepło i zacisznie. Piwo z lemoniadą. Obok siedziała jakaś starsza pani, brzydka jak pekińczyk i zupełnie niemożliwie wymalowana. Cynober, siena palona, karmin, błękit wokoło oczu — truskawki w oczodołach (?). Tadzio ciągle na nią spoglądał ukradkiem i nie mógł się uspokoić:

«Jędrus, czego te zgłiszcza, ten rupieć, te gruzy mogą się jeszcze spodziewać?» A zgłiszcza przypatrywały nam się ciekawie i, co gorsza, uśmiechnęły się do mnie zalotnie. «Ooo — niech cię znudził» — wrzasnął już głośno Tadzio. Mnie zrobiło się nieprzyjemnie. Od razu zrozumiałem, co odczuwa młoda dziewczyna, gdy starszy pan «rozbiiera ją oczami». Dalej siedziało kilku panów, wytwornie ubranych w znaczeniu nadmorskim. Jakieś wspaniałe sandały, wełniane blezery, kolorowe spodnie z żaglowego płótna; z nimi dwie kobiety o wybitnie ładnych nogach, jaskrawe i ostro wyperfumowane. Co chwila powiew wiatru przynosił w naszą stronę zapach tych perfum, zmieszany z solą i wonią ciała w słońcu; zalotne uderzenia wachlarzem po twarzy. Promenadą przeszło kilka kobiet. Są jak róże na wietrze: pochylają się, płatki ich sukien strzępią się i furkocą. I kiedy już przejdą, przylatuje od nich zapach. Właściwie do kobiet należałoby podchodzić pod wiatr...

W całym otoczeniu jest coś takiego, że każdy czuje się tutaj czymś chociażby całe życie był niczym. Z wyjątkiem tubylców, wszyscy mają jakąś nonszalancję w ruchach i w stroju, chód giętki i leniwy. Mam wrażenie, że ci ludzie nawet chodzą tu ponad stan. Jak u nas: wszyscy chodzili i ruszali się ponad stan, siakali nosy ponad stan byle by tylko nie zachowywać się naturalnie. Ale może naturalność też jest tylko pozą? (O. Wilde). Patrzę poprzez żółte okulary na lśniący blat stołu, na lśniące w słońcu golenie nóg kobiecych i śmiać mi się chce z tych myśli. Były takie czasy, w których człowiek marzył; dziś marzenie jest czymś tak bezsensownym, że można je uprawiać tylko po to, żeby nie wyjść z wprawy. Jak stawianie na rękach. Zagadnienie życia, zwyczajnego życia nabiera takiego znaczenia, jak nigdy dotąd. Nie wiem, jak czują to inni — u mnie jest wyraźna dwoistość: jestem ja i jest życie moje i Basi. Kiedy o tym myślę, zachowuję się jak lekarz nad łóżkiem chorego: badam, nasłuchuję, patrzę. Świetnie — jeszcze zipi. O to chodzi. Teraz jadę przez Côte d'Azur, ale nie odczuwam tego jakiegoś podniecenia, jakie odczuwałem chociażby co sobotę, wsiadając w nowym ubraniu do Lux-torpedy, z ilustracjami w ręce, w reniferowych rękawiczkach i z paczką «Heli» w kieszeni. (Zapalać papierosa bez zdejmowania rękawiczek).

Ciągły niedosyt, który nie pozwalał mi nigdy na właściwe oszacowanie tego, co się posiada. Wtedy nie zauważałem, że kobiety są cudne pod wiatr. Myśląc o tym, bawię się w kieszeni tymi kilkoma koralikami, zebranymi na chodniku w Carcassonne. Będą zawsze grzechotać osobno; na żaden sznurek ich nie nawlekę...

Wypaliliśmy już po dwa papierosy i trzeba się zbierać. Wszyscy przyglądają się nam z podziwem. Szczególniej rowery są oglądane z szacunkiem. Wsiadamy i jedziemy dalej, na Tulon. Przy wyjeździe z Bandol droga tak zbliża się do morza, że jedziemy w pyle rozbitych na skałach fal. W powietrzu wisi tęcza. Tusz tęczowy, chłodny i przyjemny. Jest zbyt późno, aby jeszcze dziś minąć Tulon. Okolica jest tu jednak tak gęsto zamieszкана, że trudno gdziekolwiek rozbić namiot. Dojeżdżamy pod sam Tulon. Wszędzie domy i brudno. Szukamy miejsca. Znajdujemy je w podmiejskim lasku, pustym, rozwalony dom obok. Mistral oszalał i denerwuje już nas. Jest nudny, głupi, kretyński, niepotrzebny, tępy. Ja mu pokażę. Zawzięłem się i jednak wodę zagotowałem. Trwało to półtorej godziny. Smażone mięso, ładowanie żołądków miarowe i solidne. Każda łyżka niesiona do ust jest jak dźwig w porcie, napełniający okręt. Tam w dole widać ich kilka. Usypiamy z jednym jedynym pragnieniem: żeby Mistral ustał. *But I tell you my Lord fool out of the nettle danger we pluck this flower safe.*

Le Lavadou, 1. 9. 40.

Dziś już siódmy dzień naszej jazdy. Właściwie jedziemy całkiem dobrze i gdyby nie to pakowanie bagaży i to pisanie przede wszystkim, można by wyjeżdżać znacznie wcześniej. Nieraz zapisuję pewne rzeczy wprost, na drodze. Stajemy kilka minut i piszę. Czuję, że inaczej mogłoby «uciec». Wystarcza kilka niepowiązanych słów w notesiku. Jest to potem rollką filmu ze zdjęciami; negatyw, wywoływany wieczorem i rano. Tadzio zachowuje się w tym, jak mecenas sztuk. «Ty tam pisz, już ja wszystko zrobię. O ten prawy hamulec nie martw się». Wyciąga linkę z pancerza, smaruje wazeliną, reguluje, poprawia, dokręca, zbiera graty, układa. «Jędrus — popatrz, czy tak

jest dobrze?» — «Dobrze». — «No to siajn, sa wa, nespa?» — *Oui, ça va très bien.*

Dziś wstałem koło 8-ej. Tadzio jeszcze spał. Zosta-
wiłem mu kartkę, że idę po zakupy i że pewnie wrócę koło
10-ej. Nie wiedziałem właściwie, gdzie iść, ale jakaś babcia
w zupełnie pustym sklepie powiedziała mi, że w odległym
o trzy kilometry La Seyne może coś znaleźć... *Mais pas
grande chose, vous savez; maintenant.. oh là là, c'est bien
difficile...* Idę do La Seyne. Po lewej stronie zalew morski.
Na nim grzeją się w słońcu łodzie podwodne. Nie lubię
łodzi podwodnych; mają w sobie coś z płaza. Smukłe,
szare ciała, od których bije jakby chłód głębin, po których
wiją się płochliwie, kłusują po nogach z determinacją
tchórza. Wstrętna broń. La Seyne jest przedmieściem
Tulonu; na ulicach ruch, szczególnie przed sklepami.
W bistrach marynarze z czerwonym pomponem na czapce.
Wszędzie ich pełno; widać, że nie wiedzą, co począć z cza-
sem. Po co Francja marynuje te okręty? Nasi już dawno
byliby gdzie indziej. Przecież oni tutaj poddali się na
pewno korespondencyjnie, listownie albo telegraficznie. Ci
marynarze nie mają chyba nerwów, serca i nawet rozumu.
To są rzeczy, których nie jestem w stanie pojąć. To nie
jest już nawet — kartezyjańskie.

W jednym ze sklepów znalazłem dwie puszkę fasoli.
Szukam sera, ale o to trudno, a gdy w końcu znalazłem
ostatni Cantal w całym La Seyne, dali mi tylko pół funta.
Szukam wszędzie konfitur; nigdzie nie ma. Jest już upał,
Mistral ustał. Wchodzę na piwo. Przy kontuarze jakiś
marynarz i dwaj cywile. Głośna dysputa.

— *Mais, j'te dis*, że największa bitwa była nad Mar-
ną. To była najważniejsza bitwa.

— *Mais non!* Pod Reims. Tam się naprawdę wszyst-
ko zdecydowało.

— Pod Reims? Czy dlatego, że poświęcili tam sto
tysięcy Amerykanów?

Nie wiem, czy tam poświęcili Amerykanów, czy cho-
dziło im o pierwszą, czy o drugą bitwę nad Marną, ale
wiem, że tam na zalewie leżą łodzie podwodne. A dys-
kusja toczy się dalej, kaskady niepowstrzymanych słów
o liściach laurowych już dawno zasuszonych, dobrych jako
przyprawa; oni ciągle starają się je podać jako gorące da-
nie główne, tak zwany *plat de résistance*. Jest takie me-

dyczne określenie na pewien rodzaj pomieszania zmysłów, łagodny, polegający na tym, że chory dwa pierwsze zdania wypowiada do rzeczy, a potem mówi, mówi i mówi — wszystko od rzeczy. Nazywa się to «*la logorrhée*». Wyciek słów podobny do wycieku ropy przy pewnej chorobie wenerycznej. «*La logorrhée*» jest chorobą Francji — i to już od wielu lat. Wydaje mi się, że to piwo ma taki sam stęchły zapach, jak te słowa przy kontuarze.

Wchodzę jeszcze do wędliniarni i pytam o — konfitury. Są, ale w kilogramowych puszkach i patronka ostrzega mnie, że bardzo drogie — 20 franków puszka. Proszę, żeby mi je pokazała. Przynosi świetne morele, jedna z najlepszych marek francuskich. Nie chce mi sprzedać dwóch puszek. Zalewam ją strugą szeptu o nędzy ludzi wracających na rowerach do Paryża. Wpycha mi w kącik dwie puszki, żeby inni nie widzieli. Wspaniale. Jeszcze chleb, jajka. Wracam obładowany. Żar zrobił się nieznośny i idę wolno. Nie patrzę już na zalew, odwracam głowę. Coś we mnie pękło, coś bulgoce, do ust podchodzą słowa, których dotąd nie ośmieliłbym się wypowiedzieć głośno. W całym moim życiu żeniłem się ze wszystkim z miłości. Nie uznawałem innych małżeństw. To nie jest wygodne, ale co robić, gdy nie można inaczej? Z Francją ożeniłem się z wielkiej miłości młodego. I nagle tu, w Tulonie widzę, przeczuwam wszystko, domyślam się; domyślam się tej perfidnej korespondencji i flirtów, uprawianych między Sztabem niemieckim i Clermont-Ferrand, między Clermont-Ferrand i Tulonem. Tu widzę Francję naga, leżącą w Tulonie, jak dziwka. Czeka i uśmiecha się z rezygnacją, rozchyła nogi... Zdradza mnie. Pot cieknie mi po policzkach, szepcę jakieś słowa. Och — może to jednak nieprawda? Odwracam głowę. Leżą cicho popielate, smukłe. Tam dalej dwa krążowniki. Nie widziałem ich przedtem.

Przychodzę do namiotu. Tadzio rozpałił ogień, pachnie kawa. Kręci się, zbiera, porządkuje. «Dzień dobry Tadzio — jak się spało?» — Cisza. «Wiesz — dostałem wspaniałych konfitur. Płynne złoto w puszcze». Tadzio nic nie mówi, zachowuje się jakby mnie nie było. Podchodzę, obejmuję, nachylam się do twarzy. «Czy gniewasz się na mnie o co?» Odsunął mnie i powiedział: «Ty ze mnie zejdz, bo mnie duszno». — «Co ci jest? Czujesz się

niedobrze?» — «A jak mam się dobrze czuć? Chodź!» — Ciągnie mnie na skraj lasu. Jesteśmy na górze i roztacza się stąd szeroki widok. Tadzio zauważył to samo, co ja i pieni się: «No, popatrz-że się na ten szmelc» — wskazuje na łodzie podwodne i na okręty — «widzisz, jak się postawiali? A na co oni czekają? Na opakowanie. Żeby Niemcom w zębach przynieść. Tu się ucz, że Westerplatte i Warszawa to dobre, ale do fotografii. A oni tymczasem raz flaczki, raz ziemniaczki, raz kuperek z kaczki... Szkoda każdego słowa». Wielka rewia soczystych przymiotników i rzeczowników.

Wracamy do namiotu. Tadzio przełyka tak głośno, że słysząc każdy łyk kawy. Od czasu do czasu pochyła się, zagląda popod liście i prostuje się. We mnie jest smutek, zawód — w nim bunt, bezkompromisowość człowieka młodej rasy i klasy. Czuję, że ten gniew udziela się także mnie. Mam ochotę spluć i zwyczajnie kląć — nie, nie zwyczajnie: barwnie, przeciągle i skomplikowanie. Tadzio zaciąga potem rzemienie w chlebakach tak, jakby zaciągał je na czyimś gardle... Urywa jeden i trzeba zmienić system pakowania. Zabiera nam to tyle czasu, że jesteśmy gotowi dopiero koło 1-ej w południe. Nie ujedziemy dzisiaj daleko.

Przejeżdżamy przez Tulon. Śliczne miasto. Nowe, ładnie rozplanowane. Ulice szerokie, gładkie, wysadzone drzewami i palmami. Olbrzymie, białe gmachy rażą oczy, kawiarnie przestronne — wszędzie dużo powietrza i oddechu. Budowane z rozmachem w ładnym, nowoczesnym stylu francuskim.

Za Tulonem skręcamy w prawo. Jest wprawdzie krótsza droga do Hyères, przez które musimy przejechać, ale wolimy szosę nad morzem. Dzień upalny, bez jednej chmurki. Od morza chłodzi nas lekki, słono-wilgotny powiew. Wszędzie pusto i cicho, bo nie ma samochodów i tłumu. Czyste, odcedzone piękno wybrzeża.

Przetaczamy się wolno przez Hyères. Nagle ciszę rozstłonecznionego popołudnia rozdiera wycie syren samochodowych i przez ulice przejeżdżają w pędzie dwa olbrzymie, szare «Mercedesy»; w nich, upchani równo i prosto, Niemcy. Mignęli, ale wydało mi się, że dostałem pięścią w żebra. W ryku motorów, w zadartych wysoko rondach

czapek, w tych bez zarzutu graficznie rozwiązanych orłach, odezwała się rzeczywistość. Tadzio podjechał do mnie i pokazał głową w tył.

— Na inspekcję do Tulonu. Będą im salutować, mersi, pardon...

Niemcy. Jeszcze ciągle o nich zapominam. Koło 5-ej, po przejechaniu odcinka cudownej drogi, dojeżdżamy do małej miejscowości kąpielowej, Le Lavandou. Właściwie dopiero odtąd zaczyna się łańcuch tych miasteczek-zabawek letniskowych, przechodzący pod St. Raphaël w prawdziwy Côte d'Azur. To już przedpokój. Ładna, piaszczysta plaża; las i zieloność dotykają niemal brzegu. Postanawiamy tu nocować. Schodzimy z rowerów i brniemy w piasku do kępy wielkich krzaków. Tablica z napisem *Camping interdit*. Rozglądam się. Do nas zbliża się dwoje młodych ludzi i równocześnie pod jednym z drzew dostrzegam namiot. Pewnie jego mieszkańcy. Podchodzę i pytam się, czy tablicę należy traktować poważnie.

— Nie, to tylko w normalnych czasach obowiązuje. Teraz można na całym wybrzeżu stawiać namiot, gdzie się chce. Nam pozwolili, więc i panowie mogą się rozłożyć.

Chłopak jest uprzejmy, dziewczyna bardzo ładna i zgrabna. Tadzio spogląda na nią dość żarłocznie i mówi:

— Dobry warsztat, imadelko klasa, robota idzie. W tym ichnim namiocie wszystkie sznurki obluźwane i wygląda, jak łań.

Namiot istotnie wykazuje wiele «luzów», ale tłumaczę Tadziewi, że na dzień zawsze popuszcza się sznurki. Śmieje się i radzi odejść daleko. «Czego uszy nie słyszą, tego oczy nie widzą». Słońce powoli zachodzi, Tadzio zbiera drzewo na ogień, przegląda rowery. Ja będę robił kolację. Postanawiamy się objeść nieludzko, bo od 12-ej nie mieliśmy nic w ustach. W tym Tulonie trudno było przełykać jedzenie. Miało się raczej ochotę na coś odwrotnego.

Zapadła noc, na niebo wyszedł jasny księżyc. Jest zupełnie widno, cisza, lekki plusk morza. Rozkładamy koc na piasku, z małej walizeczki Tadziewa robimy stół i jemy. Tej kolacji chyba nigdy nie zapomnę. Noc ciepła

i jasna, srebrzysto-popielaty piasek i staniolowe morze. Apetyt. Nieopisana rozkosz, bezmyślna i zdrowa. Piękno nie porusza tu żadnych wspomnień, nie kojarzy się z niczym — ani z muzyką, ani z poezją. Jest pięknem, które się je tak samo, jak te sadzone jajka ze szpinakiem z puszek i zapija szklanką czerwonego wina. Nie czuje się potrzeby wykołatania z siebie żadnych uczuć czy wzruszeń, tęsknot lub marzeń. Tu za jednym zamachem można się odczytać tej «słowiańskiej tęskliwości», niebieskookiej, łano-wo-równinno-zbożowej.

Tutaj piękno jest; jest na talerzu, jest tak uchwytnie, że jem jajka, szpinak, księżyc, morze, sałatkę z pomidorów, fasolę i oblizuję się. Może właśnie ta uchwytność nie powoduje ani chęci, ani potrzeby rozpuszczenia myśli, «przeciągu w duszy». Skowronki? Tu się je strzela i zjada pieczone. Nic innego nie przychodzi mi na myśl przy skowronku. Żadne jakieś «boży kmieć», żadne tui, tui, a frrr, a frrr.

Keksy z winem i z cukrem, winogrona. Potem kładziemy się na piasku i palimy, wydmuchując dym w księżyc. Nie chce nam się iść do namiotu. Leżę i piszę przy księżycu. Już pierwsza.

Saint-Raphaël, 2. 9. 40.

Obudziliśmy się koło 9-ej. Dzień cudowny. Ledwie przetarłem oczy, zaraz rozebrałem się (nad ranem bywa już chłodno) i położyłem się na słońcu, żując czekoladę. Rozgrzany, wskoczyłem do wody; odpłynąłem ze 200 m. od brzegu i zrobiłem długi rajd wzdłuż całego Le Lavandou. Wzrok ślizga się nisko po szafirowej powierzchni wody, pędzi do brzegu i tam, jak hydroplan, rwie świecą w górę; pas żółtego piasku, białoczarna klawiatura domów i willi nadbrzeżnych (ciemne szpary między domami są jak czarne klawisze) pasiaste zasłony w oknach we wszystkich odcieniach żółtego, pomarańczowego i czerwonego, krople różnobarwnych parasoli na tarasach, potem ciemna zieleń lasów i blade-niebieskie niebo, farbka do bielizny. Tam krążę i znowu woduję. Nie, nie - biłbym, gdyby mi ktoś powiedział, że to, panie ładne, ale widzi pan to nie

to, co Koluszki... Tam, panie, w Koluszkach.... itd. To nie ja jestem snobem; to ten osobnik z Koluszek byłby snobem. Jak bardzo Mickiewicz musiał nieznościć Paryża i do jakiego stopnia musiał czuć się w nim źle, skoro napisał «Pana Tadeusza».

Pływałem przeszło godzinę; woda ciepła, przezroczysta, miękka. Potem pięć szklanek kawy i kilogram chleba z pasztetem i z konfiturą. Mamy ochotę zostać tu cały dzień i musimy zmuszać się do odjazdu. Stąd do Paryża mamy jeszcze około 1.200 km. Kręcimy wolno, bo upał. Zresztą droga tak cudownie prowadzona, że nie można jechać prędko. Mijamy szereg takich zabawek, jak Le Lavandou. Leżą jedna przy drugiej, pochowane w lasach nadbrzeżnych. Między nimi wille, stojące samotnie, z własną, malutką plażą u stóp, a często z małym, prywatnym portem dla żaglówek. Przejeżdżamy przez Cavalière, La Canadel, Le Rayol, Cavalaire. W jakimś przydrożnym bistro, położonym wysoko nad morzem, pijemy zimne piwo z lemoniadą. Wynosimy butelki na taras, siadamy przy stoliku opierając nogi na drugim krześle i grzejemy się w słońcu. U stóp morze w ramce zieleni, nad głowami błękit i słońce. Wrażenie Tadzia: «Świat jest piękny, tylko ludzie są sk.....». Myśl o wojnie, o wzajemnym zabijaniu się w sposób wybitnie skomplikowany, wydaje się tutaj... nie, w ogóle nie wydaje się.

Jestem opętany przez myśli. Odbywa się u mnie w głowie strzelanie do rzutków. Najpierw wylatują w powietrze te okrągłe czapki niemieckie, widziane wczoraj, i zamieniają się w bezkształtne obrazy ksiązek i nazwisk: Luther, Hegel, Marks, Nietzsche, Hitler, Rosenberg — i w uszach surmy Wagnera: Ta, ta taaaaa ... ta, ta, ta, ta, ta, tiiiiiii — Tra, tara, tara iiii... Trzeci akt «Lohengrinna». W oczach twarz panny Dory Vogel, nauczycielki niemieckiego, siedzącej ze mną nieraz długo ponad godzinę, dla jej własnej przyjemności (liczyła tylko za godzinę) i karmiącej mnie tą kulturą z całą nieszcześliwą, jak to raz powiedział Słonimski, miłością Żydówki do Niemców. «Niech pan jeszcze to przeczyta». Na następny raz 50 stronniczek «Nathan der Weise» w różowym wydaniu «Universal». Raz kazała mi napisać jej charakterystykę. Zacząłem od zdania: «Fraülein V. hat grosse Zaleten,

aber auch grosse Waden». A właśnie łydki miała cienkie i była malutka. Bardzo ją kochałem. Nazywałem ją «Minna von Barnhelm». A ona z uporem tuczyła mnie, jak gęś, którą zresztą wtedy byłem. «Będziemy czytać Schnitzlera, ale niech pan mamie nic nie mówi». «Pan» miał 16 lat.

Co zostało mi z tego? Nie pamiętam, ale czuję teraz najwyraźniej jeden sens: histerię niemieckiej myśli; histerię, którą Niemcy powoli zatruli nas wszystkich. To jeszcze pamiętam: Luther pisał, że nie może się modlić, nie przeklinając. Kiedy mówił «święć się imię Twoje» musiał dorzucić: «Przekleci niech będą papiści i ci wszyscy, którzy Ci bluźnią». To gdzieś w tych okolicach puściło oczko. Ileż historii kryje się w Marksie, odziedziczonej potem przez jego wyznawców. Cała teoria nadwartości przygotowana została w sosie historii. Pamiętam, jak raz wyśledłem z teatru z Frydką po głupiej i wesołej komedii francuskiej. I nagle, na Szpitalnej, mówi mi: «A teraz rozpatrzmy to z punktu widzenia walki klas». Histeria! Święć się imię Twoje, Proletariacie — Przekletą niech będzie burżuazja itd. Kto rozpętał tę histerię? Niemcy, niemiecka myśl, pełna oparów, niewyżyta, gotycka, jak katedra w Kolonii, której nie mogę znieść. Niemcy stworzyli ten język, mętny, okropny, w którym nigdy nie wiem, co naprawdę oznacza słowo «Kultur». Czy chodzi im o mieszkanie z łazienką, o Goethego, czy może w końcu o «Marsch, marsch». Niemcy nauczyli nas historycznego posługiwania się przymiotnikami, z którymi trzeba być tak ostrożnym, jak z odbezpieczoną bronią. Oni swoje, my swoje. Oni *Volk, Blut, Boden*, a my «socjalizm», «komunizm» — wszyscy zachłystują się na niemiecki sposób. Świat historyków. W tej chwili, już, natychmiast chciałbym mieć książki, żeby udowodnić, że mam rację. Przede wszystkim wybór pism Lutera. Hegel nie potrzebny, bo i tak go nie ruszę. Innych, wielu innych. Rozłożyć na kierownicy i czytać. Po tym zapachu, który został mi po latach, dojsć do tego, co czuję teraz tak wyraźnie. Od «Fantazji chromatycznej i fugi» J. S. Bacha przeszliśmy do Wagnera... Jest to strzelanie do rzutków. Opadło mnie właśnie teraz. Staję, wyciągam notes i piszę: «Luther», «Marks», «Wagner». Mnie też opadła teraz histeria przymiotnika «historyczny». To przez te czapki i Tulon. W Tulonie Tadzio i ja staliśmy się historykami.

Oddalamy się teraz od morza i przecinamy u podstawy coś w rodzaju prostokątnego przylądka, na którego cyplu leży Saint-Tropez. Mijamy sporo drzew figowych, rosnących przy szosie. Jemy figi. Są ciepłe z wierzchu i chłodne wewnątrz, słodkie. Do Saint-Maxime mamy około 10 km. Wybrzeże jest skaliste, skały mają kolor rudo-czerwony. Droga jest miejscami kuta w litym kamieniu i pokryta jedynie cienką warstwą teru i szutru. Dziesiątki małych zatoczek w dole, otoczonych skałami. W jednym miejscu, o jakieś 50 metrów pod nami mała plaża i biegnące wprost od drogi w dół, kute w skale schodki. Nie wytrzymałem. Zostawiliśmy rowery przy balustradzie i sami szybko zbiegli na dół. Zdjąłem shorty i koszulkę i do wody. Wdrapałem się na wielki kamień i skończyłem z niego. Woda, jak kryształ — nurkowałem z otwartymi oczami. Na dnie wielkie kamienie i las koronkowych wodorostów. Kolory obłąkane. Pustka wokoło.

Do Beauvallon długi zjazd ostrymi serpentynami; niektóre mają kształt «U», zakręt o 180 stopni, cięciwa tego łuku ma najwyżej 20 metrów. Wiraże są podsypywane, jak tor wyścigowy i jazda jest wprost pasjonująca. Dancing. Popołudniu przejeżdżamy przez Saint-Maxime. Tu już Riwiera na całego. Wille, pałacyki, mały port, yachty, plaża, palmy. Ludzi prawie nie ma, pustki. Ci, co są, wyglądają na stałych mieszkańców; rentierzy i inni ubodzy w sensie francuskim. Przeważają starsze panie, ubrane z fenomenalną pretensjonalnością i wymalowane — nie, po prostu wybetonowane wszelakimi *produits de beauté*. Jest tu już typowa promenada i typowe wielkie hotele w stylu klasycznej secesji. Różne żelazne bluszcze, złote girlandy, wszystko podobne do gmachu «Au Printemps» w Paryżu. Bije z nich tak skondensowana secesja, że byłem gotów: *Fin de siècle*, «Wachlarz Lady Windermere» i w końcu mimowoli zacząłem sobie deklamować półgłosem «Esik w Ostendzie». Największy rozkwit tych miejscowości, to lata 1890-1914 i z tej atmosfery przetrwało tu wiele. Lata powojenne były już tylko nieudolnym naśladowaniem świetnej przeszłości. Coś się tu czai wokoło, coś jest w tym ze staroświeckiej broszki brylantowej w szufladce toaletki zbankrutowanej hrabiny. Resztki dawnej fortuny, trochę smutku.

Od Saint-Maxime bierzemy ostrzejsze tempo. Chcemy jeszcze dziś minąć Saint-Raphaël. Całe wybrzeże jest jak paleta. Przed Saint-Raphael mijamy wielkie lotniska i bazy hydroplanów. Przy szosie, co kilkaset metrów, sterczą z ziemi kretowiska betonowych blockhausów — nowiutkich, skończonych jakby niedawno; może już po zawieszeniu broni? U Francuzów jest to zupełnie możliwe. Kto wie, czy ze względów administracyjnych (na przykład jak zaksięgować transport cementu, dostawę itd.) nie budowali ich jeszcze w lipcu?

St.-Raphaël jest ładne; mniej secesyjnych hoteli, nowocześnie. W samym mieście zatrzymujemy się, żeby kupić owoców i idziemy na ciastka. Jemy sześć, potem jeszcze dwa, znowu dwa — piekarka gapi się, więc my dalej dwa. Dla pamięci obrywam winogrona i układam je na kasie. Są jeszcze takie, których nie próbowaliśmy, więc trzask dwa. Patronka uśmiecha się, ludzie też; to znaczy nie ludzie, a takie różne baby, co przyszły wieczorem po chleb.

— *Mais vous avez un appétit terrible...*

— O tak, po 150 kilometrach — bujam. Przyglądają nam się i chyba jest czemu. Jesteśmy koloru czekolady i włosy mamy zupełnie białe.

— *Vous êtes Allemand?* — zawsze mnie o to teraz podejrzewają.

— *Mais non; Polonais.*

Teraz uśmiechają się już życzliwiej, a piekarka zaczyna od razu dysputę polityczną. Kobiety na pewno lepiej zdają sobie sprawę z tego, co spotkało Francję, niż mężczyźni. Jedyne kobiety francuskie mają odwagę powiedzieć czasem na głos, że «nasi uciekli i nie chcieli się bić», a jak się powie: *Polonais*, to patrzą od razu, jak na bohatera. «Wy biliście się — *Varsovie ne voulait pas se rendre*, ale wy byliście słabi, *Mais la France... c'est honteux!*».

Ta piekarka grzmi tutaj z za lady, jak kapitan na mostku. Aprobujący pomruk klientek dodaje jej siłę. «*Nos hommes? Ależ to lenie. Ça mange, ça vient, ça dort.*» — Biedny ten piekarz. Ale piekarka ma rację, gdy mówi, że przed tą wojną opowiadano im tylko «*balivernes*». Traibili im wokoło, że «Naród francuski to forteca kultury», «Kolebka wielkiej myśli», «*Esprit français invincible*» itd., itd.

No i żeby poprzeć to dowodami, to zaczynało się cytować: Descartes, Voltaire, *La Révolution*, Napoléon albo Louis XIV i przykłady kończyły się zwykle na Fochu lub Lyautey'u. A z tego wszystkiego wyszedł — Pétain, czyli Peten, jak go nazywa Tadzio. Wszyscy byli przekonani o swojej wielkości, zdawało im się, że Molière i Racine (z tym mam na pieńku) umarli wczoraj, wszystko jest *formidable* i wszyscy szli spokojnie spać, przysięgając na to wszystko, co już dawno zostało zaprzysiężone. Karmili świat odgrzewaną wielkością. Ciągłe jedzenie odgrzewanych potraw odbija się fatalnie na zdrowiu.

Jedni Niemcy przeznali tę Francję na wylot. *Nous vaincrons parce que nous sommes plus forts*. Francuzi wierzyli w to; Niemcy przeczytali ten slogan jak «*Dubon-Dubonnet*» i kiedy Hitler powiedział, że «oni sami się rozłożą», to Francja kpiła z tego w jesieni zeszłego roku i w tym roku na wiosnę. W kwietniu powiedział, że 15-go czerwca będzie w Paryżu. Śmiech doszedł do zenitu. A kto wie, czy Sztab niemiecki umyślnie nie zwalniał marszu na Paryż, aby słowa Führera sprawdziły się całkowicie.

Ileż złudzeń potworzyliśmy sobie na odległość. Swoboda krytyki? Ach, jak oni nie boją się krytykować! Dobrze, ale czego? Krytykują polityków, krytykują urzędnika socjalne, krytykują innych, lecz nigdy siebie. Bo naród francuski jest wielki, jest wspaniały, genialny, ale wydany na pastwę tego i tego, takiej instytucji, takich ludzi itd. Ty narodzie jesteś piękny i dobry i dzielny i pracowity, wydałeś tych i tych (cytowana w tym wypadku osobistość miała najczęściej cały naród w pięcie i dobrze wiedziała, co o nim myśleć. Inaczej nie byłaby wielką osobistością), ale na tobie żerują. Naród nie jest winien nigdy? Tam, w Tulonie, nie są winni marynarze i aspiranci i młodzi oficerowie, lecz «góra». Zdradzają. Wojnę przegrali, bo była zdrada. Gdzie są dowody? Czemu ci marynarze, aspiranci i młodzi oficerowie nie wypływają na morze? Na co czekają? Na «opakowanie»? U nas wielcy uciekli, ale bił się naród. U nas, w Warszawie, nie czekali na rozkazy. «Żbik», «Ryś», kontrtorpedowce poszłyby u nas na morze bez rozkazu. Bo my nie jesteśmy wielkim narodem. Całe szczęście! Im się wydaje, że myślą więc są. To już dziś nie wystarcza. Dziś trzeba czuć, żeby być. Wyczuwam,

więc jestem. Gdy będę tylko myślał, mogę łatwo nie poczuć, że biją mnie po twarzy... Oni nie czują, już nie CZUJĄ.

Zjedliśmy jeszcze cztery ciastka, razem osiemnaście i po zapłaceniu wychodzimy.

Przejeżdżamy dalej przez Saint-Raphaël; wille i pałacyki ciągną się bardzo daleko. Trudno znaleźć dobre miejsce na nocleg. Dostrzegam wreszcie małą zatoczkę, brzeg kamienisty, ale płaski. Do tego dużo trawy morskiej, wyrzuconej falami i zupełnie suchej. Rozbijamy tu namiot. Wewnątrz robimy grube posłanie z trawy. Jest miękko, jak w gnieździe. O dwa metry dalej morze. Poszedłem szukać wody. Nigdzie nie było. Dopiero w ogrodzie jakiejś niezamieszkannej willi znalazłem studnię. Przelazłem przez furtkę i oprócz wody przyniosłem także kota. Kot, okropny pieszczoch, od razu usadowił się w namiocie, jak u siebie w domu. Jemy znowu przy księżycu. Kot zasnął ze mną bardzo grzecznie.

Nicea, 13. 9. 40.

Pogoda. Od samego rana gorąco. Prosto z namiotu wskoczyłem do wody i wypłynąłem daleko w morze. Woda letnia. To chyba najlepsza gimnastyka poranna. Wdech, wydech, — ruch ramion i nóg. Mogę pływać godzinami bez żadnego zmęczenia. Kiedy zawróciłem do brzegu, nie poznałem naszej skały. Wyglądała, jak zielone wzgórze, pokryte makami; usiana czerwonymi plamkami. Dopiero z bliska zobaczyłem, że to kompania Murzynów w czerwonych fezach na głowie, przyszła na poranny spacer nad morze. Z daleka nie widać ich czarnych twarzy. Siedzą grupami, kilkunastu kręci się koło naszego namiotu; Tadzio żywo gestykułuje jakby oganiał się od pszczoł. Pokazują w moją stronę. Ostatnie kilkadziesiąt metrów płynę czołkiem i słyszę radosne gluglotanie rozbawionych tym Murzynów. Gdy tylko wyszedłem z wody, uciszyla się i coś szepczą. Jedynie Tadzio biega naokoło, zbiera porozrzucane rzeczy i do stojących najbliższej wygłasza długie przemówienie. Coś w rodzaju: «Kompran pa franse, no — o włossek dalej, nie tak blisko; a od..... że się ty czarny łbie niewiadomego pochodzenia, bo cię skrzywdzę. Jak nie chcesz,

żebym ci przytegiesił w kłapacz, to się odsuń, bo ta pałatka, to nie twoja zawszona hacjenda afrykańska, budowana ze słomianek. No już, płyn bracie stąd i prędko wyschnij, bo tu bakalii nie rozdają... Jędrus, nie doliczmy się majątku. Powiedz im, niech się cofną». Wytarłem twarz i ręce, wyciągnąłem paczkę papierosów i poczęstowałem najbliższych.

— Wyście skąd?

— Z Madagaskaru — odpowiada mi jakiś śmielszy. Mówi, jak dziecko.

— A dobrze wam tutaj?

— Dobrze. Już teraz wszyscy naraz chcą mówić. Oповідаją mi, że ich przywieźli na wiosnę; mieli się bić, ale ostatecznie na froncie nie byli i za tydzień wracają na Madagaskar.

— No to cieszycie się?

— Bardzo, bardzo — śmieją się wesoło, coś gluglotając do siebie. Mówię im, że jesteśmy Polakami. Znowu się uśmiechają i jeden z nich powiada:

— *Polonais bon soldat — Français pas bon, oh — pas bon... Français* — i pokazuje czarnymi palcami szybki bieg. Francuzi uciekali. Jest mi przykro. Oj, Francjo, nawet ci czarni... Wstyd mi za Ciebie. Może teraz inni wstydzą się za Ciebie bardziej, niż Ty sama... To ciekawe, jaką sympatię zdobyli sobie Polacy u czarnych. W Tuluzie, w tym zbiorowisku wycofanych oddziałów, Murzyni wyrzucali z obrębu swoich kwater żołnierzy francuskich, a gdy któryś pokazał się tam, obrzucali go puszkami od konserw, skórkami od chleba, czym popadło. Polaków zapraszali, gościli, karmili i podobno wielu polskich żołnierzy mieszkało z nimi stale. Polacy i Murzyni kryli tyły uciekających Francuzów, kryli tyły kultury, cywilizacji. Czy kultura, która kryje swe tyły — barbarzyńcami, czy ta kultura zdolna będzie jeszcze promieniować? Kto nie ma siły, by jej bronić, ten nie potrafi natchnąć nikogo poszanowaniem jej. Czym jest ta kultura dla tych Murzynów, dla Tadźiów? Staś stał się wielki dla Kalego od momentu zastrzelenia Beduinów. Kali lubił Stasia za jego dobroć, za jego kulturę, której wyższość odczuwał, ale go nie szanował. Zaczął go szanować, gdy Staś potrafił stanąć w obronie tej swojej kultury, tych zasad (właśnie), które kazały mu trak-

tować NAWET Kalego, jak człowieka. A tu chodziło przecież nie tylko o obronę tego, żeby NAWET tego Murzyna uważać za człowieka, lecz o to, żeby W OGÓLE człowieka traktować, jak człowieka. Ci Murzyni tego na pewno nie wiedzą — i Tadzio tego nie wie, ale może oni to czują? I dlatego nie mają szacunku. Na ich poziomie subtelności, finezje *de la raison pure* nie liczą się.

Oficer, jakieś białe «gogo» w białych rękawiczkach, nadęte, z trzcinką, gwizdnęło nagle na zbiórkę i Murzyni odmaszerowali. Szczęśliwcy! Za trzy tygodnie będą na Madagaskarze. Chętnie pojechałbym z nimi. Już po dwudziestu sześciu latach, w tak młodym wieku Europa wyłazi człowiekowi bokiem i gardłem. Kolebka kultury... Żal mi, że nie zdążyłem już wyjechać. Może życie z początku byłoby trudne, ale byłoby życiem z jakimś planem. A nie taką zabawą z losem w ciuciu-babkę, życiem systemem węgorza, prześlizgiwaniem się o jeden dzień dalej. I zamiast chodzić po ziemi, to chodzi się po galarecie ze świńskich nóżek i cielęcych głów.

Kot pije żarłocznie mleko w proszku i wylizuje starannie źle rozpuszczone resztki, a my zalewamy się kawą. Po śniadaniu odniosłem kota do pustej willi, długo żegnałem się z nim i musiałem odpędzać, bo biegł za mną. Jedziemy dalej. Przed oczami rozwija się kolorowy dodatek filmowy «Côte d'Azur». Dojeżdżamy do Miramar. Znowu kilka wielkich hoteli secesyjnych i trochę «zgliszcz» obojga płci. Bodaj że Sienkiewicz (*Listy z podróży?*) napisał raz, że w południowej Francji można się zestarzeć, ale nie sposób umrzeć. Ci tutaj, to chyba właśnie tacy: starzeją się, jeżeli są kobietami, to malują się nieludzko, i «śmierci na nich nie ma», jak mówi Tadzio. Przejeżdżamy przez La Napoule i w godzinach największego upału zatrzymujemy się w Cannes. Plaża tutaj ładniejsza, niż w innych miejscowościach. Przed wjazdem do samego miasta, dosyć i zupełnie «miejskiego», siadamy na tarasie małego bistra pod płóciennym dachem i pijemy lemoniadę. Upał jest rozlewniawiający, a lekki powiew od morza usypia. Drzemię, drzemię na cały ten świat.

Po godzinie ruszamy dalej i wjeżdżamy do Cannes. Jest tu niewielki, ale ładny port, wypełniony yachtami żaglowymi i parowymi. Błyszcą w słońcu i bielą się, jak olbrzymie łabędzie. Koło portu promenada, wielki skwer,

zacieniony drzewami, wille, hotele, kawiarnie — głębiej miasto; i jak każde południowe miasto — wonne i brudnawe. Ustawiliśmy rowery pod drzewami, Tadzio usiadł na ławce, a ja poszedłem kupić coś do jedzenia. Brak wielu artykułów spożywczych ma tę zaletę, że aby coś kupić, trzeba zwiedzić prawie całe miasto. Łażę, rozglądam się, szukam zawzięcie jajek i puszki grochu. Tego nie ma. Za to wystawy sklepów z galanterią i z biżuterią są równie bogate i wytworne, jak na Boulevard des Italiens w Paryżu. Po godzinie wałęsania się, znalazłem wszystko i wracam powoli do Tadzia, niosąc część produktów w poszewce od jaśka, a część w berecie.

Tadzio siedzi na ławce, pali obojętnie papierosa i jest otoczony grupką ciekawych. Oglądają nasze rowery, kiwają głowami i zagadują o coś Tadzia. Siedzi, jak mumia. Na mój widok podskoczył:

— Jesteś nareszcie! Czego te zabojady przekłete strzępią do mnie jadaczkie? Jakaści arystokracja tutaj — popatrz na tego cudaka w białych kamaszach; to jak hrabia z «Trędowatej».

Starszy pan, ubrany wykwintnie, popielate spodnie, ciemna dwurzędówka i białe getry, jest bardzo miły i rozmawia się z nim przyjemnie. Pyta mnie na odmianę, czy jesteśmy Anglikami, dokąd jedziemy, jak to można jechać na tak obciążonych rowerach itd. Nudzi mu się na popołudniowym spacerku, w Cannes teraz nudno, więc jest zadowolony, że może porozmawiać.

Dowiedziawszy się, że jesteśmy Polakami, bardzo nas obżałowuje, a potem wygłasza głęboką, filozoficzną myśl: «Tak, tak, *enfin*, wy jesteście przyzwyczajeni cierpieć, ale my?... Co to będzie?...» Wybuchnąłem serdecznym śmiechem. Załatwił się z nami krótko i logicznie. «*Oh, mon cher Monsieur, n'avez pas peur*. Francuzi przetrzymają to na pewno z mniejszą szkodą, niż my, choć — *comme vous le dites* — my mamy wprawę. To kwestia odporności narodowej przysparza nam zawsze tyle cierpień. *Vous connaissez un peu notre histoire?* Od stu pięćdziesięciu lat chcieli nas wynarodowić i nie udało się — to przez to tyle cierpień! Wy? Pieniądz i dobrobyt zjadły wam serce, rozum was znieczulił (za Tulon, masz za Tulon); wy nie będziecie cierpieć. Gdy wy mówicie: «*Mon Dieu*, co wyście wycierpieli» to myślicie o głodzie, biciu, rozstrzeliwaniu, więzie-

niach, ale nie o tym, co dla nas jest tym największym cierpieniem. Nas mogą złamać, zabić — Francja wgniecie się, jak gumowa gruszka i albo zostanie wgnieciona, albo wyprostuje się».

Staruszek jest wyraźnie zaskoczony. Powiedziałem to zupełnie spokojnie, jakby z melancholią, tocząc starannie zdania. Gorzkie pigułki trzeba im dawać zawsze w opłatku, bo inaczej nie przelkną. *C'est le ton qui fait la chanson*. Dziadzio połknął, ale czy go ruszy? Żegnam się z nim uprzejmie; myślę, że spłynie, bo nie dosięgnie serca. To nasza wina. Uczyliśmy ich zawsze tylko litości; no i nauczyliśmy. Mówią: *vous êtes malheureux* z tą samą łatwością, z jaką się spluwa. Złe napisałem, że nie dosięgnie serca; nie dosięgnie rozumu. W dzisiejszych czasach próbować dosięgnąć serca, to próżny trud. Ludzie nie mają już serca. Tak — jeżeli je okazują, to jest to splunięcie — sercem; z przyzwyczajenia. Nie chcę od nikogo litości — chcę zrozumienia; wtedy serce odzywa się często samo i bije szlachetnie.

Wyjeżdżamy z Cannes i za chwilę jesteśmy w Juan les Pins. Miejscowość modna już po wojnie i od razu to widać. Pomimo pustki panuje tu wrzaskliwość, architektura rumbowo-jazzowa, wille saksofonowe. Ponieważ widzę pasztet w puszkach, więc wchodzę i kupuję. Swoim zwyczajem gadam i dowiaduję się, że Polski Czerwony Krzyż otworzył tu schronisko dla żon i dzieci polskich oficerów, którzy zdołali wyjechać do Anglii, są w niewoli lub zaginęli. Zadrżałem i prędko wybiegłem ze sklepu. Uciekamy, nie chcąc wpaść na jakąś grację z tej warstwy naszej inteligencji. Jeżeli morze zacznie tu wyrzucać po dwóch miesiącach żółć i wątroby tudzież jadowitą pianę, to wiem, że pochodzić będą z tego schroniska. Ani chybi! Powiało mi dobroczyinnymi obiadami na L. i tym towarzystwem, a szczególnie «naszymi paniami».

Późnym popołudniem przejeżdżamy przez Antibes. Juan les Pins, tylko że nazywa się Antibes. Wille puzonowe. Do Nicei chcemy przyjechać oporządzeni, czyści i wytworni. Dojeżdżamy do ujścia Var'u i prawym brzegiem w górę rzeki. Chcemy tu rozbić namiot, żeby jutro umyć się w słodkiej wodzie, porządnie, mydłem. W wodzie morskiej mydło «nie chwyta». Dolina Var'u jest bardzo szeroka, z obydwóch stron resztki Alp morskich,

na horyzoncie bariera gór. Po obu brzegach rzeki rozpościerają się w dolinie wspaniałe ogrody warzywne i owocowe. W ogóle cały pas poza miejscowościami kąpielowymi, to ogrody i ogrody. Stąd większość nowalij wiosennych w halach i na targach paryskich. Wszędzie domki i ogrody, nigdzie nie można dostać się nad rzekę. W końcu znajdujemy jakąś ścieżkę pomiędzy sadami, przywaloną niemal płotami, gnącymi się pod ciężarem winogron i wybieramy miejsce na nocleg. Zbieramy suche trzciny, robimy z nich sprężystą podściółkę i nad tym tapczanem robimy namiot. Wieczór nad wodą zapada chłodny i Tadzio co chwila woła: «Uwaga — nalot!» Komary atakują nas w locie nurkowym i głośne klapnięcia po udach, po rękach, po twarzy są jak wybuchy. Nalot jest piekielny. Zapalamy szybko ogień i gotujemy kolację. Dorzucam do ognia trawy i dym rozpędza je. Nie nalatują już w formacjach. Zabijam jednego, biorę do ręki, oglądam i mówię Tadziovi, że to samica. «Skąd wiesz?» — «Zobacz». Tadzio ogląda, świeci latarką. Śmieję się. Nie chce wierzyć, że wśród komarów gryzą tylko samice. «No to co wbijają samce?» Nie wiem; w każdym razie krwi nie piją. Tadzio zwraca się do nich w rodzaju żeńskim i wygłasza szereg antyfeministycznych poglądów. «Pomyśl sobie ilu ludzi te komary pozarażały malarią w Rumunii; wszystkie najgorsze choroby, to z bab». W namiocie zamknęliśmy się hermetycznie, wybili wszystkie komary i usnęli.

Nicea, 14. 9. 40.

Miękko było na pościeli z trzciny i spaliśmy wspaniale. Rano budzimy się i na przeźroczystym dachu namiotu zauważam jakieś czerwone bańki, tak samo przeźroczysto-matowe, jak dach namiotu. Patrząc bliżej i rozumiejąc, mamy namiot bez podłogi, niezupełnie szczelny i komary wlały na piechotę. Gryzły w czasie mocnego snu bezkarnie i teraz siedzą tak opite krwią, że w ogóle nie mogą latać. Zdejmujemy je delikatnie i uśmiercamy z przyjemnością. Nie można ich było zostawić, bo przy składaniu namiotu poplamyłyby nam cały dach. Tłuczemy je dobrym kwadrans, a Tadzio ma do każdego skazańca dłuższe przemówienie.

Potem włączymy do wody. Var przypomina Dunajec. Kąpiel i śniadanie. Następnie większe pranie bielizny i tak zeszło nam do południa. Wyjeżdżamy. Po trzech kwadransach wtaczamy się na Promenade des Anglais, która wyginając się w łuk, niknie gdzieś daleko. Z prawej strony morze, z lewej wille, hotele, ogrody i palmy. Jest upalne popołudnie i rozpalone powietrze drga nad asfaltem. W pewnej chwili mam wrażenie, że oglądam dodatek filmowy. Tadzio woła: «Jędrus — hotel». Widzę niewielki, trzypiętrowy dom, okna i balkony wychodzą na promenadę i na morze. «Petit Idéal Hôtel» idealnie położony. Idę zapytać o cenę i nie mogę uwierzyć. Patronka pokazuje mi wielki pokój, wyłożony dywanem, łóżko jak lotnisko, kozetka, balkon wychodzący na promenadę i na morze — wszystko razem 15 fr. na dobę. Płacę od razu za dwa dni i zbiegam do Tadzia. Odwiązujemy nasze juki, rowery wprowadzamy do pralni i idziemy na górę. Tadzio jest olśniony dywanami, wbudowanym bidetem, umywalnią, łóżem, kozetką. Odkręca kurek w bidecie, puszcza wysoki strumień wody w górę, jak fontannę, zapala papierosa i pyta niedbale: «A pan w jakiej sprawie?». Nawet nie układamy naszych rzeczy w szafie. Wybiegamy na balkon. Pod nami Promenade des Anglais, szeroki pas morza, na lewo Nicea. Za 15 franków na dobę. Tadziovi wydaje się to śmiesznie mało i jest niespokojny, czy to przypadkiem nie z «obsługą», której trzeba potem dać 100 franków. — «Może to jaki dom schadzek i za chwilę wejdzie jakaś robotnica?»

Wyjmujemy z plecaków ubrania i wieszamy w szafie, żeby «odeszły» na jutrzejsze Monte-Carlo. Potem ubieramy się na wizytę do H. Może dostała już jakieś listy od reszty kolegów? Wkładam granatowe spodnie, biały sweter z olbrzymim herbem Carcassonne na piersi, białe pantofle. Tadzio ma szare spodnie w olbrzymią kratę i popielaty sweter. Wyglądamy jak Sherlock Holmes i Dr Watson. Przed wyjściem wypełniamy kartki meldunkowe i zasięgamy informacji o jakiejś taniej jadłodajni. Postanawiamy wypocząć (?) i obżerać się regularnie.

Zwawym krokiem wchodzimy do Nicei. Znowu wille, pałace i pałacyki, hotele i pensjonaty schowane w zieleni ogrodów i ogródków, dużo palm — jednym słowem wszyst-

ko to, co widziało się na pocztówkach albo w kinie i na widok czego myślało się «może tam kiedyś pojadę» z tym samym uczuciem, co «może kiedyś wygram na loterii». Teraz idę promenadą, cały Côte d'Azur przejechałem wydawszy coś tam ponad 300 franków i jest mi dobrze, bo w kieszeni mam całą fortunę, około 1.000 franków. Oczywiście, że nie mam smokinga, że nie mieszkam w wielkim hotelu, że nie będę łąził po nocnych lokalach i spijał szampana, bo i po co? Francja tak mnie oduczyła tego idiotycznego, polskiego snobizmu i tych różnych tęsknot bardzo przewartościowanych, że znacznie lepiej czuję się, jako pełnowartościowy i stylowy włóczęga, niż to jakieś «ni to, ni owo» z dawnych czasów. A zresztą — koraliki. Są — są w kieszeni. Nie lubię nocnych lokali i krytych pływalni. Teraz problem bytu i poradzenia sobie z polipem losu, jest znacznie ciekawszy. Może być, że powodem tego specyficznego snobizmu polskiego było wieczne nienasycenie, spowodowane rozpiętością pomiędzy wychowaniem, dążeniami itp. z jednej strony, a cenami i niedostępnością całego szeregu drobiazgów z drugiej strony. Gdy nie stać człowieka na drobiazg, nawet na drobiazg, na zwykłą rzecz — marzy o niezwykłych. Jakaś śmieszna właściwość natury ludzkiej; może dlatego, żeby po prostu zapomnieć się, zapomnieć, że brak na TAKIE głupstwa. Pamiętam, że nie mając nawet dosyć pieniędzy na kupno roweru, w ogóle o rowerze nie myślałem: marzyłem od razu o — samochodzie. Nie mając samochodu, zachowywałem się przynajmniej TAK, jak bym go miał. I mając do pracy dzień-więć kilometrów prostej drogi, jeździłem do niej podmiejskim pociągiem, naokoło, z przesiadką, wytwornie, godnie i myślałem o samochodzie. Nie mając na drugą klasę w ogóle, w podmiejskim pociągu jeździłem drugą klasą — przynajmniej w podmiejskim wyzywałem się. Jeżeli «Wiadomości Literackie» szły tak doskonale, to dlatego, że zastępowały książkę, na jaką nie było stać tych wszystkich, których poziom dorastał «Wiadomości» i tematów poruszanych w tym tygodniku, a którzy nie mieli nieraz nie tylko na książkę, ale nawet tych marnych 80 groszy na — «Wiadomości». Było to chodzenie nago w cylindrze, z białym motylkiem, przypiętym do rodowej (ale bez herbu) brodawki i wiecznym snem o reszcie garderoby. I tak właściwie wyglądała cała gospodarka państwowa:

Gdynia, COP, BGK, wspaniałe gmachy, rozmach, STATYSTYKA, wiecznie dodatni bilans handlowy kosztem eksportu tego, co było najkonieczniejsze; kosztem wywozu broni, której zabrakło na własną obronę, wysoki kurs złota, a przeciętny obywatel nie miał pieniędzy, jeżeli od kogoś nie pożyczył, jeżeli nie kupował na raty i nie brał ciągle zaliczek. I gdy pożyczył pieniądze, to wydawał je często nie na przedmioty konieczne, ale na jakieś luksusy. Było to szczególnie częste wśród inteligencji. Nie miał na rolkę papieru klozetowego, ale kupował rolki filmu do aparatu «Leica», koniecznie «Leica» i używał «pożyczanego Kurierka». W takim człowieku działo się wszystko tak, jak w kamienicy bez schodów, bez mieszkań na piętrach. Suteryny i szóste piętro, połączone windą. Jeżdżenie windą między suterynami i szóstym piętrem. Guzik przyciskało się palcem w łosiowej rękawiczce, w takiej, co to «byłaby doskonała do kierownicy». Nie «Ford», Boże broń, od razu «Delage'a», «Bugatti», «Buick'a», «Minerwy». Gdy tylko pojawiły się na rynku bardziej dostępne wozy niemieckie i małe «Simki», ludzie zrobili się rozsądniejsi. Marki samochodów z powieści zamieniły się na marki samochodów z ŻYCIA. Ludzie też. Byli od razu bardziej naturalni i w tej dziedzinie stali się z dnia na dzień jakby INNYMI Polakami — znośnymi, do rzeczy, do rozmowy prostej i fachowej na temat samochodów i motorów. Picie wina Makowskiego *w ten sposób, jakby piło się prawdziwe wino jest obraźliwy i dla jabłecznika i dla wina*. A właśnie u nas wiele rzeczy z działu kultury robiło się «na niby». Mówiło się o «nożycach cen»; ale «nożyce» kultury i rzeczywistości były znacznie bardziej rozchylone i chyba to było powodem tej jakiejś psychopatii kulturalnej. Literatura, sztuka, muzyka były oderwane od codziennego życia, stanowiły ucieczkę, nienaturalne oddzielanie, zachłystywanie się, polski snobizm, zupełnie specjalny i specjalnie antypatyczny. Uczuło się ludzi potrzeb elementarnych, a paczka papierosów kosztowała 1/250-tą (Płaskie) lepszej, nie średniej płacy urzędnika i robotnika. Patefon, aparat fotograficzny, rower, flaszka wina, sardynki francuskie, koniak, dobre perfumy i cały szereg innych głupstw nabierało w tym cech nadprzyrodzonych, magicznych. Nie można być normalnym, gdy je się skumbrie w tomacie z myślą o sardynkach, gdy nie żyje się

w centrum, a przeważnie na jakimś obwodzie marzeń, pragnień. I wskutek tego ten jakiś przedziwny, święty podział ludzi na inteligentnych i na nieinteligentnych. Słowo «inteligentny» miało u nas znowu całkiem specyficzne znaczenie i — głupie. Określenie «inteligentny» powstawało zwykle w rozmowie «na wysokim poziomie», w której życie było kotлетem pożarskim z buraczkami (coś, o czym w «inteligentnej» rozmowie nie mówi się) i osobnik, obdarzony tym przymiotnikiem zaliczany był do kategorii śmietanki. Trudno właściwie określić, co to było, ale wiem na pewno, że to niepowiązanie prowadziło do schorzeń psychicznych bardzo poważnych i ta wyraźna dwoistość czyniła z nas ludzi, których obcy w gruncie rzeczy nie lubili. Nie miejmy złudzeń — nas nie lubią; nie lubią nas za to jakieś pretensjonalne chamstwo. Mając raz w życiu szampana w ustach, zachowujemy się tak, jakbyśmy go pili codziennie do obiadu. Tymczasem zwykle piwo pijało się — od niedzieli, bo butelka kosztowała 90 groszy.

Myszę o tym idąc po Promenade des Anglais i czuję, że wiele rzeczy zaczyna mi się wyjaśniać. Jestem wdzięczny Francji, że dzięki dostępności głupstw, zwyczajnych przedmiotów, drobnego «sprzęciku», wyleczyła mnie z tej jakiejś gorączki, która tak wielu z nas spalała niewidocznie, paczyła charakter, czyniła niesympatycznymi. Tak — Francja była bogata i tak było przed wojną. Teraz zaczął się drugi etap, bardzo ciekawy. Nie ulega wątpliwości, że Niemcy zrabują Francję w szybkim tempie, a tym samym zubożą. Otóż jestem ciekawy, jak długo Francja potrafi żyć z kapitału. Zacznie się teraz bezrobocie, spod sienników i z pończoch będą ciągnąć, ile wlezie. Tu dopiero można będzie naocznie przekonać się o ich zamożności. Dotąd wiedziało się o niej, czuło się ją wszędzie (już to samo dodaje człowiekowi odwagi), ale trudno było ją wymierzyć. Pewnie ją zobaczą tak, że będzie można zmierzyć i ciekawi mnie wynik eksperymentu. To znaczy wynik będzie ten sam, co i u nas — jedynie czas konania królika różny. W ogóle żyje się w czasach tak ciekawych, że gdyby nie były za ciekawe, to mogłyby być naprawdę interesujące.

Idziemy. Rozumiem, dlaczego nasz hotel jest tak tani: stoi niemal na początku Promenade des Anglais i do centrum miasta jest daleko. Dochodzimy wreszcie do Boule-

vard Gambetta i zanurzamy się w miasto. Nicea jest wielkim miastem w pomniejszeniu. Mały Paryż. Po ulicach jeżdżą tramwaje, dworzec kolejowy nie jest chyba mniejszy od Gare Saint-Lazare i o 200 metrów od morza trudno je sobie wyobrazić. Wielkie kawiarnie, kina, sklepy — w normalnych czasach musi tu być ruch, jak na Bulwarach paryskich. Oglądamy wystawy. Jedyne do księgarń nie zbliżam się wcale. Lepiej nie — papier dużo waży. H. ucieszyła się nami bardzo; opowiada nam, że część «wspólnego pokoju» jest w schronisku Czerwonego Krzyża pod Grenoble. Pewnie ich odwiedzimy. Wchodzi także jej matka, bardzo piękna pani. Zaprasza nas na herbatę. Rozmawiam z nią. Ta rozmowa, to «Strzępy meldunków» z trasy Zamek - Klonowa. O ludziach i zdarzeniach dawno minionych mówi się w czasie prawie teraźniejszym, tak głęboki jest nałóg przeszłości. Zauważyłem to już wiele razy, że szereg ludzi zatrzymało się na dacie 1-szy września 1939 i utknęło na niej w miejscu. Potrafią się cofać, wprzód ani kroku. To, co było przedtem, ciągle żyje, ludzie sprzecząją się o jakieś tam rzeczy dawno leżące w gruzach, a rzeczywistość jest dla nich, jak sen męczący. Ludzie, których rzeczywistość przejechała, jak pociąg. Nie mogli lub nie próbowali do niej wskoczyć; dali się przejechać. To są właściwie trupy. Ale rozumiem to: ta rzeczywistość jest w gruncie rzeczy tak okropna, że nie ma co się dziwić. Do tego oni zdążyli już COŚ mieć i wszystko stracili; ja nic nie miałem, więc dobrze mi mówić. No i jestem młody. A w ogóle musi być bardzo źle, żeby młody wspominał.

Wypiliśmy herbatę i wychodzimy z H. Ona twierdzi, że bardzo drogo płacimy za hotel. Są inne, w których można mieszkać za 7-5 franków na dobę. Matka żegna nas czule — szczególniej mnie. W rozmowie ze mną zapomniała o wojnie i przez dwie godziny nurzała się w plotkach, ploteczkach i plociuchnach *angien régime*'u. Jest już ciemno, gdy dochodzimy do Promenade des Anglais. Świeci księżyc, morze lśni, a na tle wody ostro rysują się czarne kontury palm. W restauracji obok naszego hotelu zjedliśmy doskonałą kolację razem z H. i odprowadzamy ją do domu. Wracamy sami. Wszędzie już pusto. Usiedliśmy na ławce, na Promenadzie, zapatrzyli w księżyc. Słuchamy morza. Potem siedzieliśmy jeszcze u nas na balkonie, jedząc winogrona i pałac. Księżyc już wyszedł wysoko

i całe morze było srebrne. Drzwi na balkon otwarte. Usypiamy na miękkim łóżku. Na całym świecie nie ma na pewno tak wygodnych łóżek, jak we Francji.

Nicea, 15.9. 40.

Przebudziliśmy się koło 9-ej. Prosto z łóżka wyskakuję na balkon. Dzień jest słoneczny, od morza silny wiatr i duża fala. Każdy wał, łamiąc się na brzegu, wyrzuca fontanny wody i piany. Będzie kąpiel na fali.

Śniadanie w restauracji. Miałem dłuższą rozmowę z patronką na temat naszego jedzenia. Powiedziałem jej, że jesteś zmęczony, że długa droga przed nami i że musimy dobrze i dużo jeść, a przy tym tanio. Wobec tego do normalnego «menu» będzie nam dodawać półmisek makaronu z sosem pomidorowym lub z tartym serem «gruyère». Potem wróciliśmy do hotelu i po naprawieniu namiotu i wypraniu shortów, poszliśmy się kąpać. H. czekała już na nas na plaży, która tutaj jest marna. Drobne kamyki i ani ziarnka piasku. Francja na gwałt umoralnia się: tu wyszło rozporządzenie, że nie wolno leżeć na plaży nogami do Promenade des Anglais; tylko głową — nogi w kierunku morza. Poza tym głosi się walkę z alkoholizmem. Mają zabronić sprzedaży «aperitiwów», zawierających ponad 15% alkoholu. Natomiast wina ile kto chce, koniaku, rumu, likierów ile dusza zapagnie. Grunt, że można powiedzieć i, co jeszcze ważniejsze, napisać, że rząd Pétain'a zabrał się do «rekonstrukcji» kraju. I oni w to wierzą, tak jak wierzą, że strefa nieokupowana jest istotnie wolną Francją. Tymczasem trudno byłoby wymyślić coś bardziej niszczącego, niż taki podział kraju na dwa kraje. Niemcy podzielili w ten sposób nie tylko Francję, lecz także każdego Francuza.

Na plaży nie ma prawie nikogo, bo w Nicei w ogóle pustki. Fala jest wysoka. Łapię moment pomiędzy złamaniem się jednego grzbietu i drugiego i wypływam. Huśtawka: raz widzę cały brzeg, raz tylko góry wody. Potem leżę w słońcu i drzemię. Myślami przebiegam to wszystko, co matka opowiadała mi o tych miejscach. Było, minęło i nie wróci. Świat z każdym rokiem ubożeje pomimo tego,

że mógłby stawać się coraz bogatszy. Nic dziwnego — w każdej produkcji, przed wytworzeniem jakiegoś określonego typu produktu, najwięcej kosztują doświadczenia, eksperymentowanie. Cały świat, może pod wpływem techniki, rozpoczął już od dawna eksperymentowanie w urządzaniu życia podobne do tego, jakie odbywa się w fabryce samochodów przed wypuszczeniem nowego modelu. Nietety w fabryce samochodów robi się to znacznie uważniej, niż w produkcji strojów. Huxley (*Ends and Means*) ma rację: trudno pojąć, że w tym wieku techniki, w którym od zwykłego inżyniera wymaga się wysokich kwalifikacji, ustrój i polityka są domeną, otwartą dla każdego. Byle kto może przyjść i zacząć paprać, jak pokatna akuszerka, fabrykantka «aniołków». No i produkcja dorosłych aniołków wzrasta z roku na rok. To dziwne, że Huxley pisząc tę swoją książkę tak nie dawno, nie dostrzegł jak bardzo jest już niemodny z tą całą dyskusją i walką przeciwko zasadzie «cel uświęca środki». Przecież z tym pogodził się już każdy od dawna. *Ends and means* przypomina chwilami odnawianie dyskusji o ilości aniołków, mogących się pomieścić na końcu szpilki. Jesteśmy już znacznie dalej: «Cel uświęca ludzi, którzy do niego dążą». Uświęcone środki były tu zjawiskiem wtórnym. Jeżeli dziś są one tak straszne, to dlatego, że podejmuje je byle kto z piętnem świętości na czole, przydanym mu natychmiast po wykrzyczeniu kilku frazesów o konieczności «zbawienia świata». Chwila zastanowienia wystarczy, żeby dostrzec, że jeżeli chodzi o tę dziedzinę żyjemy w okresie potwornego obskurantyzmu. Huxley zdaje się zupełnie nie dostrzegać, że istotne przyczyny zła tkwią dzisiaj przede wszystkim w niezrozumiale wielkim potencjale AKCEPTACJI byle czego: Ludzie stali się tak samo cierpliwi, jak papier.

Po kąpieli poszliśmy na obiad. Świetny. Potem krótka drzemka i przebieramy się. Zbliża się wielki punkt dnia: Monte Carlo. Tadzio zupełnie nie może uwierzyć, że naprawdę jedziemy do Monte Carlo i jest rozgorączkowany. «Czy nas wpuszczą? A ile tam można stawiać? Czy tam wolno wejść w TAKICH spodniach?» itd. Wkłada najładniejszą koszulę, spinki, moczy włosy wodą kolońską, kryguje się i mizdrzy przed lustrem, «Inteligencji» tymczasem nie wiążemy, bo na tym upale można by się udusić. Już i tak w marynarkach i w pończochach czujemy się,

jak spętani. Z Nicei do Monte Carlo jest 25 km. Wyciągamy rowery i wyruszamy przed godziną 5-tą. Od razu na początku o mały włos nie powywracaliśmy się. Po dziewięciu dniach jazdy na obciążonym rowerze, czujemy się głupio. Droga z Nicei do Monte Carlo jest wspaniała.

Podjeżdżamy pod stromą górę; to drugi koniec zatoki. W dole miasto, port, na prawo morze, na lewo ciemna ściana Alp Morskich. Morze ma jakiś niesamowity kolor błękitno-zielonkawy, przesiany smugami wszystkich odcieni niebieskiego i zielonego. Droga wiję się wzdłuż brzegu, raz w górę, raz w dół. Na prawo morze, na lewo strome zbocza, pokryte willami i tarasami ogródków. Gdzieś wysoko, w skałach, prześlizguje się linia kolejowa, połykana co chwila przez tunele. Zakręty są ostre i nieraz, jadąc z góry, pędzimy wprost w morze. Droga chowa się za załomem skały, zakręt — i znowu wyskakuje się nad jakąś zatoczkę, ponad wodą i zielenią. Jedna z najładniej prowadzonych dróg, jakie dotąd widziałem. Wszystko skąpane w słońcu i w błękicie. Pędzimy. Wpadamy do Villefranche, które jest prześliczną zabawką. Pokój dla lalek. Pomimo, że wszystko w tych miejscowościach jest naturalnej wielkości (z wyjątkiem Francuzów), każda rzecz wydaje się mniejsza. Tymi białymi żaglówkami w porcie miałbym ochotę bawić się, jak okręcikami w basenie luksemburskim. Dojeżdżamy do Monte Carlo. Na drodze, przy wjeździe, stoi monakijski policjant w białym mundurze obszytym złotymi galonami, w olbrzymim czuku z pióropuszem. Wygląda imponująco. Tadzio zbaraniał i szepcetem, pełnym czci, mówi do mnie: «Pięęęęka glina». Nie — to prawdopodobnie żołnierz gwardii. Jesteśmy spoceni i zmęczeni. Marynarka, spodnie, pończochy, buciki dławią nas i duszą. 25 km. przekręciliśmy w godzinę dziesięć. Staczymy się w dół do Monte Carlo. Stare miasto leży na górze, na prawo — droga do kasyna jest na lewo. Poznają je z daleka. Budynek przypomina luksusową kasetkę na papierosy. Wchodzimy do wielkiego parku i umieszczamy rowery w komisariacie policji. Wąsaty policjant od razu nam proponuje, że gdyby zabrakło nam pieniędzy, to on chętnie kupi rowery. Rower jest teraz poszukiwanym wehikułem. Śmiejemy się: *Sommes pas si bêtes*. Wiążemy krawaty i siadamy na ławce w parku. Pot leje się z nas ciurkiem.

Tadzio rozwałił się na ławce i powiada: «Masz pojęcie? M o n t e C a r l o. I to TAKIE lejtki, jak my...» Postanawiamy przeznaczyć na grę 30 franków, to znaczy po 15 franków każdy; wygrana równo na połowę, niezależnie od tego, kto wygra.

— Tak, ale czy ty wiesz, jak to się gra? — pyta niespokojnie Tadzio.

— Nie.

— Ja też nie; grałem w trzy karty, w oko, w durnia, ale w ruletkę nigdy.

— Zobaczmy tam w środku — i patrzę na wejście. Ludzie wchodzi, wychodzi, siadają na ławkach, wstępują do wielkiej i wytwornej kawiarni opodal. Obydwaj mamy jakieś głupie wrażenie, że wszyscy przyglądają się nam z ironicznym uśmiechem. W końcu podnosimy się z ławki i okrężną drogą, koło kilku sklepów z fantastyczną galanterią i biżuterią, podchodzimy do wejścia. Tak niedbale i obojętnie — z miną i ruchami starych graczy. Ale czuję, że w sumie przypominamy Flipa i Flapa. Przeszczepujemy próg i ogarnia nas półmrok.

Portier wskazuje nam drzwi na lewo, gdzie wydają karty wstępu. Siedzi tu kilku panów, sprawdza dowody osobiste, wypisują wszystkie dane na blankiecie i odsyłają to do kontroli. Po chwili kontrola wyraża zgodę na wpuszczenie nas i otrzymujemy imienne karty wstępu. Płacimy za nie «temu kasjarzowi» (kasjerowi — Tadzio nabrał animuszu) po 5 franków.

Wchodzimy do sal. Znowu półmrok, nad stołami wielkie lampy elektryczne, cisza i właściwie słycać tylko suchy trzask podskakującej w misce ruletki kulki przy najbliższym stole. Kiedyś nie wpuszczali tu na pewno takich «lejtków» w sportowych spodniach, ale teraz widzę tu sporo innych, podobnych do nas. Niektórzy panowie podejmowali nawet marynarki i siedzą w koszulach. Wygląda to raczej na partię pokera na Dzikim Zachodzie, i nie na ruletkę w świątyni kasyna, tego najsławniejszego kasyna. Stajemy przy jednym ze stołów. Ludzie siedzą wokoło, trzymają przed sobą małe zeszytiki i tabelki pełne cyfr, skrzętnie notują wychodzące numery. Jakiś maniak pracuje zawzięcie przy pomocy suwaka logarytmicznego i szepce coś do siebie. Od czasu do czasu typ, pogrążony całkowicie w cyfrach i w «swoim systemie» stawia na jakiś

numer i — przegrywa. Poza kołem siedzących przy stole, stoi drugi szereg graczy, mniej poważnych. Ci rzucają nie-
dbale sztony na stół, dyktując numer po każdym sakramen-
talnym *faites vos jeux* krupiera. *Rien ne va plus* brzmi, jak
item missa est w czasie cichej mszy w pustym kościele.
Stoimy i gapimy się. Tadzio zachowuje się, jak w katedrze.
Nie wytrzymał. Szepce mi do ucha: «Jędrus — już rozu-
miem — to tak, jak u nas: bęc kaczkie w brzuszek, tu się
gra, tu się wygrywa, wapno, cukierki, siuwaks, czekolada,
skumbrie...» Parsknąłem śmiechem i kilka osób spojrzało
na mnie groźnie. Tadzio (już go wzięło) plecie: «To ci
kopana kulka — skacze, jakby ją pchły gryzły. Jędrus —
już rozumiem. Kupuj te «sjajbki» (sztony) i trącamy kaczk-
kie».

— Tak, ale gdzie to kupić?

W tej samej chwili stojący obok pan nienaganną polsz-
czyzną i mefistofelicznym szeptem cicho odpowiedział:

— Pan chcesz sztonyyy? Kup je pan u krupiera!

Tadzio pociągnął mnie do innego stołu. Kupujemy
sześć sztonów po 5 franków i zaczynamy grać. Gra Tadzio.
Nigdy dotąd nie zdradził się, że tak dobrze umie francuskie
liczebniki. Pewnym ruchem obstawia jednym sztonem dwa
numery i głośno mówi: «Trez-katorz». Przegrywamy. Sta-
wiam ja, tylko na 13-tkę. Nic. Tadzio na 7-kę i też nic. Po-
zostawiam zabawę Tadziovi. Stawia jeszcze dwa razy
i przegrywa. Zostajemy z ostatnim sztonem. Tadzio stawia
już po raz drugi na 13-14. Kulka skacze, ślizga się i —
wygrywamy. Tadzio spaśował. Już bardzo głośno mówi
do krupiera: «Messie — isi — trez-katorz». Krupier nie
spiesz się i Tadzio wpada w pasję: «Czemu ten ogrodnik
tutaj do nas nie grabi? — Mesie, isi, trez-katorz». Ten
obrzucił go trochę drwiącym spojrzeniem i spokojnie wrę-
czył mi rulon sztonów — 85 franków. Od razu odkładam
sześć sztonów do bocznej kieszeni jako kapitał zainwesto-
wany, który się wrócił i dwa daję Tadziovi. On jest już
w transie; oczy mu błyszczą, drepta i pcha się między
ludzi, otaczających stół. Tak musiałby się zachowywać
w kasynie Donald-kaczka Disney'a. Nareszcie wiem, kogo
Tadzio mi przypomina: oczywiście Donald. Przegrywa raz,
potem stawia na 35-36 i wygrywa. Drugi rulon sztonów
wędruje do moich rąk. Daję Tadziovi cztery i nie zważa-
jąc na grę, patrzę na ludzi. Pełno tu jakichś starszych pań,

wymalowanych apokaliptycznie, ubranych krzycząco i staromodnie, w kapeluszkach z epoki kankana. Łańcuszki na szyi, bransoletki, koronki, perfumy żrąco-duszące. Wszyscy wpatrzeni w kulkę, w grabki, odprowadzają zazdrosnym spojrzaniem każdy rulon sztonów wręczany komuś, kto wygrał. Wielkie, siwe płachty 500-frankówek przechodzą z torebek do kieszeni krupiera, wieżyczki sztonów raz przesuwają się do kogoś, raz odsuwają i nie wracają lub wracają w znacznie większej ilości. Niektórzy mają wypieki na twarzy, tej pani trzęsą się ręce, tamta uporczywie ściska w dłoni chusteczkę do nosa i usiłuje zrobić z niej kulę. Mężczyzna obok mnie nie sięga nawet po chusteczkę i szybkim ruchem obciera pot z czoła i z karku — krawatem. Czuje się, że nie jest to JEGO ruch; to odruch spozaz zasięgu jego świadomości. Wszyscy zachowują się spokojnie i tylko po małych gestach można poznać, co się w nich dzieje. Przypominają mi kocioł parowy w czasie próby; też nic nie widać. Jedyne strzałka manometru przekroczyła już czerwoną kreskę i czuję, co tam dzieje się poza ścianami.

Nie rozumiem, jak można poniżyć się do tego stopnia, by uzależnić cały swój spokój wewnętrzny, ład i harmonię, wszystko — od trzydziestu sześciu numerów i kulki. Patrząc na tych ludzi, myślę, że wysiłek nerwowy tych graczy, siła woli w utrzymywaniu pozornego spokoju, to wszystko nie jest proporcjonalne nawet do wielkiej wygranej. Podchodzi do mnie Tadzio; jak inni, tak i on jest już «gotów». Wkłada mi znowu do ręki rulon sztonów. Przegrał trzy razy, na ostatni wygrał przy innym stole. Przeliczam i widzę, że «jesteśmy wygrani» i że cały pobyt w Nicei zapłaciło nam kasyno. Biorę Tadzia na bok i mówię «dosyć». On jakby spadł z księżycy: «Jędrus, nie — jeszcze raz — coś mnie mówi, że na 21 wyjdzie...» Patrzą na zegarek. Już po 6-ej.

— Dosyć Tadzio, nie mamy reflektorów przy rowerach, za godzinę zacznie się ściemniać i zamkną nas za jazdę bez światła.

Tadzio poddaje się, wędnie, powraca do życia. «Dobrze, żeś mnie wstrzymał — już mnie zaczęło brać. Jakbym tak grał, to przegrałbym i te nasze siajki i swoje pieniądze. Jędrus — to straszne — tu masz prawo zapomnieć o żonie, o dzieciach i splantować się na równo...» «Wyszliśmy na

taras. Potem wymieniliśmy sztony na pieniądze. Wychodzimy. Słońce chyli się ku zachodowi i jest już chłodniej. Pijemy piwo i piszemy kartki. Tadzio do Warszawy, ja do Krakowa. Jakby nigdy nic. Może dojdą. (Doszły).

Nad Niceą jesteśmy już o zmroku. Zapalone lampy na Promenadzie są sznurkiem pereł. Po kolacji postanawiamy jeszcze wyjść i poszukać tańszego hotelu. Może można by zostać tu dłużej? Chodzimy po mieście i znajdujemy jakiś mały hotelik. Wchodzimy i patronka przyjmuje nas z miłym uśmiechem. Pokoje? Są — po 10 franków, proszę. Prowadzi nas na pierwsze piętro, otwiera pokój, pokazuje. My wchodzimy, rozglądamy się. Patronka trzasnęła drzwiami i znikła. Co jest? Za chwilę puka, przynosi ręczniki i z zawsze miłym uśmiechem, powiada: «Jak panowie (to ich *quand ces messieurs*) skończą, to proszę wyjść przez podwórko, bo *la grande porte sera fermée*». I wyszła. Nie rozumiem nic, ale Tadzio już kwiczy ze śmiechu: «No Jędrus, rozbieraj się i musisz być moim — nic taniej...»

Już bardzo dawno tak się nie śmiałem. Położyłem się na łóżku, cichłem i znowu dostawałem konwulsji. Wyszliśmy i, dusząc się ze śmiechu, wytłumaczyłem patronce, że to nie chodziło o TO. Patrzyła na nas z wyraźną podejrzliwością — jacyś nienormalni...

Długo siedzieliśmy na balkonie. Noce księżycowe są tu prześliczne i żal iść do łóżka. Teraz dopiero odczuwamy zmęczenie. A przecież mieliśmy tutaj odpoczywać. Odpoczniemy jutro. Wyciągam wszystko z kieszeni przed rozebraniem się i wyjmuję sześć odłożonych sztonów. Zapomniałem o nich zupełnie i nie wymienilem. Odpoczniemy! Tadzio już tarza się po łóżku i piszczy: «Tak widocznie było sądzone; jutro jedziem abarot do Monte Carlo i na pewno wygrywamy. To jest znak. Ja nie będę spać...» Tadzio jest Donaldem Disney'a i Kubusiem fatalistą w jednej osobie.

Nicea, 16. 9. 40.

Śniadanie o 10-ej. Mimo wszystko postanowiliśmy jechać jutro dalej. Trzeba łapać pogodę wrześnieową. Jedziemy przez Alpy. Nie kupiłem mapy górskiej, bo nie chce-

my już z góry przerażać się ilością podejść. Poza tym kupiłem spirytusu do palenia. Może już być tak zimno, że trzeba będzie gotować w namiocie, a nie bawić się z ogniem w chowanego na chłodzie lub deszczu. Niestety sprzedano mi tylko pół litra pomimo, że użyłem przy tym wszystkich chwytów *de mon charme slave irrésistible*. Całe przedpołudnie upłynęło nam na naprawach i praniu bieleziny. W południe kąpiel naprzeciwko naszego hotelu. Znowu upał. Po obiedzie poszedłem prasować nasze przeprane rzeczy do staruszki Rosjanki, która mieszka w naszym hotelu, w pokoiku obok pralni, i za mieszkanie pierze i prasuje hotelową bieleznę. Dowiedziawszy się, że jestem Polakiem, zaczęła się żalić nad naszym losem i porównywać ich sytuację do naszej. Powiedziała mi, że przez długie lata mieszkała w Wilnie i okazało się oczywiście, że zna prawie całą rodzinę mojej matki. Przyjaźniła się szczególnie z jedną z kuzynek, okropną małpą. Ta staruszka Rosjanka wcale nie wspominała Rosji. Dla niej rodzinnym miastem zostało właściwie Wilno. Rozmawialiśmy, jak starzy znajomi. Prasując, chodziłem po Wilnie. «Reduta» miała teatr na Pohulance, wujcio Julek miał «Essexa» i co trzy tygodnie przychodził do nich komornik pieczętować mieszkanie za długi «Reduty», ja kochałem się najpierw w Hali, a potem w bladej Ali, do której zawsze po szkole dryblas Towiański (do tego nazwiska został mi uraz) starał się podejść i w końcu dostał ode mnie piórnikami przez wyszerszeniały łeb. Miał na głowie takie łaty bez włosów. Była o to awantura, po której ojciec w domu wziął mnie na kolana i był bardzo dumny. «Pamiętaj, że zawsze w takich wypadkach należy bronić kobiety. Tylko nie piórnikami. Mężczyzna robi to pięścią». A matka mówiła: «Henryk, bój się Boga, ładnie ty go wychowujesz». Miałem wtedy osiem lat. Na Wielkanoc «kaczało się jajka». Hazard piekielny. Czytałem «Dzieci kapitana Granta» i zaczynałem nie umieć ułamków. To mi już zostało. W ogóle nie lubię ułamków — żadnych.

Potem pojechaliśmy do Monte Carlo. Tym razem całe ubranie schowaliśmy do juków i ubraliśmy się dopiero przed miastem, na drodze. Z godnością przekroczyliśmy próg kasyna. Zanim zdążyłem rozglądnać się po ludziach i przypatrzeć się grze, już podszedł do mnie Tadzio ze smutną miną i powiedział: «Możemy spłynąć — sjaibki po-

szły». Nie chcieliśmy ryzykować więcej, bo jeżeli zapomniane sztony nie przyniosły szczęścia, to «nie warto dyskuutować na ten temat», jak mówi Tadzio. Wobec tego wyszliśmy do hallu i rozpoczęliśmy grę w automatach w coś w rodzaju *rouge et noir* i *paire et impaire*. Wrzuca się jednego franka, naciska dźwignię i czeka się. Zaczęło mi nawet dobrze iść i ciągle wysypywały mi się do ręki jednofrankówki. Tadzio za każdym razem walił w ten aparat pięścią «na wszelki wypadek» i zachowywał się niemożliwie. Na widok tak jawnego sprzyjania fortuny, podeszła do nas jakaś stara łupa, wymalowana tak, że aż nogi ugięły się pode mną, i rozpoczęła towarzyską rozmówkę z wyraźną chęcią przemówienia się do kilku franków. Było w tym coś tak wstrętne, obleśnego i upokarzającego (Boże, jej uśmiech), że Tadzio pogładził się z zakłopotaniem po włosach i nagle przyskoczył do niej, wyciągnął ręce i wrzasnął: «Zgiń, przepadnij, czy widzisz pański krzyż? A kysz, psiakrew. Jędrus — spluń za siebie trzy razy...» (Skąd on zna to «a kysz»?). Obydwaj uciekliśmy. «Chryste Panie — takie próchno, taki gruz...» szeptał Tadzio. To «próchno» sterczy pewnie pod kasynem cały dzień, wyzebkuje po kilka franków i idzie potem próbować szczęścia w ruletkę. Żyje z żebraniny i z ruletki. Jej strój był uosobieniem *fin de siècle*. Od razu przypomniała mi się ta powieść Weyssenhoffa o Riwierze. Nie pamiętam tytułu. Jakże daleko jesteśmy już od tych czasów i od tych powieści.

Usiedliśmy w parku przed kasynem. Jest wspaniały, pełen egzotycznych roślin, oranżeria pod gołym niebem. W kioskach z gazetami (nie czytam) sprzedają niezliczoną ilość broszurek pt. «Pewny sposób wygrania w ruletkę» i inne tym podobne publikacje o «jedynym systemie». Zaiste — głupota ludzka jest nieograniczona i bezbrzeżna, jak wszechświat; to znaczy łatwiej wyobrażam sobie granice wszechświata aniżeli głupoty. Umysł ludzki nie jest zdolny tego ogarnąć. Kamień filozoficzny, balsam jerozolimski w złotym aniele i system ruletkowy, to niewinne próbki z tej dziedziny. Znacznie gorzej z ideologiami i religiami, jedynymi i prawdziwymi. Widać to dzisiaj. Gdy byłem w zeszłym roku, w jesieni, w Mézières (prawie na linii «frontu») widziałem w mieście afisze, pouczające o tym, jak należy gasić pożar. Początek był taki: «Pewien

emerytowany naczelnik straży pożarnej mawiał: w pierwszej minucie gasi się pożar szklanką wody, w drugiej minucie wiadrem wody, w trzeciej minucie toną wody, a potem robi się co można». Robimy, co można... Takiego pożaru nie gasi się tak łatwo. Jedyna i prawdziwa ideologia zaproszyła ogień. Ideologia? Religia? — Nie. Ten podział jest już przestarzały tak samo jak «cel uświęca środki». Ideologia jest dziś religią, religia ideologią, a ja staram się być w tym pierwszym chrześcijaninem. I zazdroszczę tym naprawdę «pierwszym». Bo czuję, że mimo wszystko, trudno mi wykołatać ze siebie TAKĄ wiarę. Tamci «mieli dobrze» — ho, ho. Świat cały walił się w gruzy, wszystko pękało, a oni szli naprzód zapatrzeni w krzyż. Ten krzyż był dla nich laską, protezą, wszystkim. A teraz? Kto wie, czy nie rozpadamy się tak, jak rozpadał się Rzym — na całogo. Tylko co z tego wyniknie. Człowiek, myśląc nad czymś, dochodzi zwykle do punktu, w którym może choć z grubsza sprecyzować rezultat rozumowania; tu absolutnie nic nie można sprecyzować. Coś się czuje (nawet aż za wiele), ale jest się, jak ślepy od urodzenia, który rozpoznając laską kształt, nie umie go określić. Właściwie boję się tych myśli. To dziwne, że dopiero teraz, może pod wpływem «tego wszystkiego», przypominam sobie nagle dawno czytane książki, zaczynam rozumieć ich melodię nie pamiętając już zupełnie tonów, odnajduję jakby użyteczność tego, co mnie nudziło, co uważałem za niepotrzebne, a do czego rodzice zmuszali mnie. Muzyka, języki (matka) — sprawność ciała, realizm, i to, co po niemiecku nazywa się «Handfertigkeit», to znaczy obróbka drzewa, metali i innych materiałów (ojciec), wykształcenie w ogóle (ojciec i matka razem) — wszystko to na łeb na szyję pędzi mi w głowie do tego stopnia, że nie potrafię się opędzić. Gdy to piszę, przypomina mi się, że pierwsze lekcje strzelania do ruchomego celu rozpoczął ojciec od wygłoszenia wielkiej zasady: «Odkładaj poprawkę». Butelka huśtała się na sznurku, a ja odkładałem poprawkę i strzelałem. W kilka lat później (dobrze strzelałem już wtedy) tę samą zasadę powtórzył mi ojciec przy pierwszej dyskusji. «Odkładaj poprawkę». Było to znacznie trudniejsze, niż przy strzelaniu... Chciałbym nauczyć się tego kiedyś naprawdę. Ale jak, u diabła, myśleć w tym świecie z «odkładaniem poprawki»? Robi się, co można i kwita. Zresztą ta butelka,

jeżeli myślała gdy do niej strzelałem, na pewno nie «odkładała poprawki». Do nas strzelają! Powiedziałem to półgłosem do siebie, bazgrząc w notatniku negatywy. Tadzio spojrział na mnie z wyraźnym niepokojem.

Pojechaliśmy do starego Monte Carlo. Gdyby istniały tego rodzaju muzea, to stare Monte Carlo należałoby w jednym z nich umieścić. Po wyjeździe z miasta, rozbiieramy się. Wieczorny powiew od morza jest chłodny, światło jest miękkie i puszyste, spokojne. Całe wybrzeże, przed pójściem spać, ściera dzienną szminkę. Wzrok odpoczywa. Po kolacji siedzimy długo na Promenadzie przy księżycu. Pomimo wszystko już nas ciągnie dalej. Z zupełnie jednokowym apetytem jemy makaron i kilometry. Przed zaśnięciem winogrona i papierosy na balkonie. Cisza tak zupełna, że słychać było uderzające o asfalt pestki.

Gdzieś w górach, 17. 9. 40.

Wstaliśmy wcześniej. Dzień «jak carski rubel» według Tadzia. Pakowanie, pożegnalna wizyta u H. i wczesny obiad. Patronka dogadzała nam: obiady i kolacje z pięciu dań z winem po 14 franków. Zdawało mi się za każdym razem, że zjadam nie tylko obiad, ale i resztki — Francji. Przy kawie powtarzałem sobie nieodmiennie, że było to za piękne, aby mogło długo trwać.

Za Niceą zakręt na północ: Route de Napoléon. Jechał tędy po ucieczce z Elby. Opowiadam Tadziewi o jego pobycie na tej wyspie, o stu dniach i o Waterloo. Opis tej bitwy jest chyba najlepszy u Stendhala w «Chartreuse de Parme». Proste zdania, zupełnie niewyszukane słowa, a wszystko razem tak przenikliwe i obrazowe, że nie sposób «nie brać w tym udziału». Gdy to czytałem, brałem udział w bitwie i cofałem się. Droga Napoleona biegnie cały czas doliną Var'u. Po godzinie jazdy, góry z obydwu stron zacieśniają się i wjeżdżamy już zupełnie w Alpy Morskie. Po tyłu miesiącach szerokiego i bezbrzeżnego horyzontu, czujemy się jak w klatce. Góry walą się na głowę ze wszystkich stron, przytłaczają; jest nam jakby ciasno i niewygodnie. Właściwie ciągle wyciągamy pod górę; jednak wznoszenie się jest tak łagodne, że go nie widać. Dostrzega się je jedynie w łydkach i w udach: mięśnie wy-

chodzą na wierzch, przebijają skórę. Droga jest miejscami kuta w zboczach, w dole rzeka, po drugiej stronie ściana górską. Tak dawno nie byłem już w górach. Jadąc pod cienistą ścianą kamienną, po której sączy się woda, z rozkoszą wpadam w ten chłód i zapach wilgotnych skał, zmieszany z zapachem niewidocznych świerków. Dolina raz jest wąska, raz rozszerza się i faluje zielonymi zboczami pastwisk lub pól uprawnych. Tu wąwóz ma nie więcej, niż 30 metrów szerokości, tam rozległe, pełne zieleności przestrzenie. Droga jest prześlizgająca i Tazio stwierdza w końcu fachowo: «Wiedział ten Napoleon, którądy wracać».

Jedziemy wolno. Góry zupełnie inne, niż Tatry. W Tatrach jest właściwie ciasno, ścisk szczytów. Tatry są jak poduszeczka, nabita gęsto szpilkami. Tu jest olbrzymi masyw, rozległy i potężny. Szersze miejsce doliny, to cały kraj. Przejście od morza do gór jest tak nagłe, zapach wiatru tak inny, że chwilami nie chce mi się wierzyć, iż o 20 km. stąd jest upał, morze, palmy i plaża.

Po południu rozkładamy się przy drodze ijemy podwieczorek. Na deser mamy białe winogrona, zerwane w krępej winnicy powyżej. Mają smak zupełnie inny, niż winogrona z nizin; są jędrne i małe, orzeźwiająco kwaskowate i pokryte takim puszkim, jakby wewnątrz nich panowała temperatura poniżej zera. Słońce grzeje łagodniej i góry wokoło toną w niebieskawej, już jesiennej mgiełce. Wszędzie pustki. Po drodze spotkaliśmy zaledwie jeden samochód i trzy osoby. Drzemiemy, potem dalej.

Słońce trącało już o wierzchołki gór, gdy dojechaliśmy do Puget-Théniers. Małe miasteczko, całe z «Piotrusia Pana». Nie ma tu osobnych domów; wszystkie są ze sobą pozlepiane często połączone, a to, co można by nazwać ulicą, kończy się nagle przed wielką sienią — przechodzi się sklepioną sienią — z drugiej strony dalszy ciąg tej samej «ulicy». Zresztą trudno nazywać to ulicami; są to raczej prostokątne, kishkowate, rombówce lub trójkątne podwórka. Całe miasto jest właściwie jednym domem i jednym podwórkiem i wszystko jest «tu»; o żadnym domu czy sklepie, nie można powiedzieć, że jest «tam». Między tym wielkie drzewa, rozłożyste, dużo podcieni i szerokich sklepionych bram.

W jednym z małych sklepików «tu» dostałem konfitury. W Nicei o konfiturach można już tylko śnić. Resztki dawnej Francji można teraz kupować jedynie w małych miasteczkach, odległych od kolei. Nie ma benzyny i samochodów, więc nie ma dowozu. Brak samochodu podcina całą gospodarkę aprowizacyjną. Większe miasta są wygłodzone i objedzone; dziesiątki mniejszych miast nie odczuwa żadnych braków poza tym, że i one przestały otrzymywać produkty ze wsi. Teraz widać, jakie braki są w sieci kolejowej Francji. Jeżeli na przykład w Niemczech, w Belgii, w Austrii sieć kolejowa jest naprawdę siecią o okach prostokątnych, to we Francji jest to niedokończona pajęczyna. Paryż jest siedzibą pająka i od niej rozchodzą się nitki szyn do większych miast, prawie bez wiązań poprzecznych. Mają wielkie linie o układzie gwiazdowym (Paris-Bordeaux, Paris-Strasbourg, Paris-Marseille itd.), a pomiędzy ramionami gwiazdy leżą setki miejscowości, dostępnych jedynie dzięki świetnym *Routes Nationales* I-ej i II-ej kategorii, *routes départementales* i wreszcie *routes communales*, które są nieraz świetne, wcale nieostatniorzędne. Sieć dróg jest za to tak gęsta, że nieraz oglądając mapę, miałbym ochotę powiedzieć, że to po prostu przesada. Do każdej dziury można dojechać z pięciu stron. Do tego TAKIMI drogami!

Gdzie kolej nie sięga, tam są jeszcze konfitury, konserwy, czekolada, mleko kondensowane, jednym słowem *douce France*. Ale i to nie długo zniknie. Tymczasem jednak obiecujemy sobie używać tu w górach, bo nie było tu uchodźców, ani kolej nie włóczy się często po tych okolicach. Jadącemu obok Tadziewi mówię o egzotyce Francji. Francja jest egzotyczna. Dziwny kraj. Bo na przykład: W Paryżu, biorąc przeciętnie, począwszy od czwartego piętra starych i nigdy nieodnawianych kamienic wzwyż, oświetlenie jest naftowe, gotuje się na spirytusie lub na węglu drzewnym. Klozet i woda bieżąca są na korytarzu albo na schodach. Po francusku «comfort» oznacza często klozet w mieszkaniu (a nie na schodach), zaś mieszkanie z łazienką zalicza się do luksusu; czynsz za pokój z łazienką i z kuchenką (tak zwane «studio») jest stosunkowo dwa-trzy razy wyższy, niż u nas. Rury od centralnego ogrzewania i rury gazowe prowadzone są z zasady wierzchem — po prostu przyłączone do ściany, a przewo-

dy elektryczne są też prowadzone wierzchem, pokryte jedynie drewnianą listewką. System zamykania okien nie zmienił się od Ludwika Świętego i jeszcze ciągle obliczony jest na krzepkie ręce rycerzy średniowiecza. Wszystkie okna otwieram zawsze ja, bo Basia nie ma siły. Klamki przy drzwiach nie są w ogóle znane. Łóżka francuskiego, zaścielonego według przepisów, nie da się przewietrzyć bez ciężkiej pracy w pocie czoła. Dywaniki i koce trzepie się z okna sąsiadom na głowę. To dlatego, że prawem z któregoś tam roku w ogóle nie wolno trzepać; wolno tylko znieść dywan na podwórze i czyścić go szczotką. Papiery, puszki, skórki, popiół i niedopałki papierosów rzuca się na ziemię. Użycie popielniczek ograniczone. Wagony kolejowe są brudne i nigdzie nie widziałem w nich haczyków do powieszenia palta. Żadne palto, zarówno męskie jak damskie, uszyte lub kupione we Francji nie ma pętelki do powieszenia go. We Francji śruby nie są znormalizowane. W naszych rowerach, co śruba, to inna — do tego w moim inne, a w Tadzia inne, bo mamy rowery różnych marek. Wobec tego kupiony przez nas klucz wypukły ośmiokalibrowy, odkręca zaledwie jedną trzecią wszystkich śrub. Teraz rozumiem, dlaczego «klucz francuski» nazywa się «francuski». Odkręca każdą śrubę, co przy tych milionach śrub we Francji jest konieczne. A ponieważ trudno, żeby we Francji taki klucz nazywał się «francuski», więc nazywa się «angielski». Tak jest z kluczem i tak jest z «francuskim pieskiem», który tu jest *un chien anglais*. Lekarze lekceważą chorych i medycyna jest tu takim samym «zawodem», jak każdy inny. Gdy nasza konsjerżka złamała rękę w sobotę, to pomimo znajomości zawodowych, Dr P. nie mógł jej nic poradzić i musiała czekać do poniedziałku, bo *samedi et dimanche on ne travaille pas*. Takich brudnych krów, jak w tutejszych fermach i takich brudów, jak po tutejszych wsiach prawie nie spotykało się u nas. Pracowałem w wielkiej fabryce amunicji (5.000 robotników), w której o naukowej organizacji pracy zaledwie coś tam słyszano. Ale to może dlatego, że była to *une usine nationalisée* czyli upaństwowiona. Wszyscy mieli tam wszystko gdzieś. Księgowość prowadziło się w ten sposób, że pomyłki wszelkiego rodzaju uważało się nie jako możliwe, lecz wprost konieczne. Rezultat: przy każdej wypłacie robotników było przeciętnie 3.000 (słownie: trzy ty-

siące) reklamacji. I znowu mylili się przy poprawianiu pomylek. Polacy od razu zorientowali się, jakie to daje możliwości, i po każdej wypłacie, czy trzeba, czy nie trzeba, zwracali swoje *feuilles de paye* — «na wszelki wypadek». I udawało się; często dopłacali mu, słusznie albo i niesłusznie. Bogdan, taki niesamowity warszawiak, o którym Tadzio mawiał żartobliwie, że to jest «dziecię rynsztoku», powtarzał mi zawsze: «Panie B., u nich wypłata, to jak loteria państwowa». Może u «Citraöna» lub w «Somua» było lepiej. Nie wiem; wiem, jak było u nas. Ktoś, kto zauważył nawet ten bałagan, mówił zwykle to, co o Francji mówiło się zawsze: «Tak, ale w sumie trzyma się w tej Francji wszystko kupy». Trzymał to w kupie pieniędzy i bogactwo; stać ich było na nieporządek. No i był pokój. Uderzyła w nich wojna i wszystko pękło, jak purchawka. Pieniądz nie pomaga w takich wypadkach. Wspaniała Francja zawałiła się prędzej (relatywnie) i sromotniej, niż zebrała Polska. Czy oni zechcą to sobie powiedzieć? Czy zechcą szukać winy w sobie, a nie w okolicznościach, w «zdradzie», «bo Ameryka nie pomogła», u innych?

Mówiąc o tym wszystkim Tadziovi, staram się równocześnie nauczyć go ROZUMIENIA; tego, że jeżeli TU jest tak, to nie konieczne U NAS wszystko było lepiej. Nie znoszę tych «bo u nas w Kuluszkach» i tej «kultury», która pani pułkownikowej kazała nie zgodzić się na zamieszkanie w pokoju hotelowym z «wbudowanym» bide-tem (to są zwykle najlepsze pokoje) i stwierdzić z hoooburzeniem, że «ja w domu publicznym nie mam zamiaru mieszkać». Ta «egzotyka» Francji ma także swoją wartość. Pytanie: jakiego rodzaju «niedociągnięcia» są właśnie zbawienne dla kultury? Gdy dokręcam lub odkręcam te różne śruby, klnę plugawie — to prawda; lecz równocześnie myślę, MUSZĘ myśleć o tym, że te śruby zostały zrobione przez ludzi, a nie przez maszyny. Zresztą rowery są doskonałe, chyba najlepsze na świecie. Nawet w tych rowerach jest coś z Francji.

Okolica wokoło nie nadaje się na rozbite namiotu. Var płynie tu rozległą doliną, wilgotną i chłodną. Mijamy jakąś fermę, przy której dostrzegam szopę ze słomą. Można by się przespać wygodnie i bez kłopotu. Zajeżdżam pod dom, witam się z patronem i proszę o nocleg. Jest dosyć sztywny, ale zgadza się od razu. Po akcencie wydaje mi

się, że to nie Francuz. W dalszej rozmowie pytam go o to. Mówi mi, że jest Hiszpanem, a kiedy ja z kolei przedstawiam się jako Polak, jego pozorny chłód znika i od razu zaprasza nas do domu. Tu poznajemy resztę rodziny. Matka, starsza kobieta, wita się z nami uroczyście, a kiedy pocałowaliśmy ją w rękę, urosła momentalnie i zaczęła się zachowywać naprawdę, jak *une grande dame*.

— Niech panowie będą łaskawi usiąść, panowie pewnie zmęczeni; może wina? Przepraszam, że muszę panów opuścić, ale trzeba pilnować ognia pod kotłami z konserwą.

Ja proponuję pójście razem i wychodzimy. Na podwórzu, pod dwoma kotłami pali się ogień; w kotłach grube butelki od szampana, obwiązane pęcherzem lub korkowane i przewiązane drutem. Przygotowują w nich na zimę pomidory, groszek, fasolkę zieloną. Przy kotłach poznajemy obydwie córki — 17- i 15-letnią Inez i Angelica. Obydwie ładne o wielkich czarnych oczach i zgrabne. Tadzio natychmiast zaczął się szastać i pleść, tym bardziej że obydwie dziewczyny zachowywały się wprost wytwornie. Wszyscy mieli jakąś godność i towarzyskie maniere zupełnie niezgodne z bosymi nogami i starą odzieżą.

Rozmawiałem z nimi i chwilami trudno było mi uwierzyć, że rozmowa toczy się z biednymi, obdartymi farmerami. Córki były czarująco naturalne, niczym nie onieśmiałone, swobodne, wdzięczne. Rozmowa toczyła się o programie szkolnym i o Francuzach. I było znowu to, co zdarzyło mi się już wiele razy: cudzoziemiec, mieszkający dłużej we Francji, śmiał się z Francuzów i nawet pogardzał nimi. Francuz jest niezaradny, nie umie pracować. Coś w rodzaju pogardy człowieka zdrowego wobec człowieka o słabej woli, chorowitego. Duża przymieszka pobłażliwości, wypływająca z poczucia własnej siły i zaradności. Córki patrzyły na nas trochę jakby z podziwem: Polacy. Czytały o obronie Warszawy, o Westerplatte, o postawie Polaków na tutejszym froncie. Alcazar i Westerplatte wytworzyły duchowe pokrewieństwo. Rozmowa, jak na herbatce u państwa X lub Y.

Inez pomagała nam gotować naszą kolację, a Tadzio przeszedł samego siebie w udawaniu niezgrabnego, bezradnego chłopca. Wywracał swoimi niebieskimi oczkami i rozśmieszał panny. Dla nas dwóch nakryto przy osobnym

stoliku — cała rodzina jadła osobno. Na kolację przyszedł jeszcze ich syn, przystojny, młody Hiszpan, pracujący obok w cegielni. Przed jedzeniem cała rodzina pomodliła się. Po kolacji gadaliśmy jeszcze długo i koło 11-ej my z Tadzkiem poszliśmy na słomę po długich i wytwornych przeprosinach ze strony ojca, że nie może ofiarować nam wygodniejszego noclegu. Są biedni — mówił to jakby z lekkim wstydem. Ziemia tutaj niewdzięczna i wymaga wiele pracy. Ale on gryzie to, co Francuz opuścił, co było dla niego *trop difficile*.

Tadzio przewracał się na słomie i wreszcie nie wytrzymał:

— Jędrus, a może by tak zakiełkować pod okno tej Angeliki. Wszakże Hiszpanki Polaków cenić umieją, gdy Tadeusza poznały...

— Skąd ty umiesz «Alpuharę»?

— Sie w wojsku śpiewało... Ale ta młodsza, to cukierek. Oj, pieścił bym, buzi fundował... Można by tu zostać ze dwa dni...

— Śpij Almanzorze z Pragi. Dobranoc.

W górach, 18. 9. 40.

Spaliśmy właściwie na powietrzu, bo szopa miała tylko dach. Jak łódź podwodna, zanurzyliśmy się w słomie i wystawili tylko peryskop nosa. Ciepło. Obudziłem się nad ramię. Już szarzało. Gwiazdy były blade, od rzeki szła mgła i rozwlekała się na pastwiskach. Powietrze było, jak woda źródłana. Połknąłem kilka olbrzymich łyków i usnąłem po raz drugi.

Po śniadaniu wyjechaliśmy dalej, żegnani przez całą rodzinę. Dali nam na drogę mleka i jajek. Pieniądzy nie przyjęli i byliby obrażeni, gdybym próbował nalegać. Inez i Angelica kiwały nam długo rękami.

Kilka kilometrów za fermą droga rozchodziła się: na lewo «Route de Napoléon» w kierunku na Digne, w prawo «Route des Grandes Alpes» do Barcelonette. Skręcamy w prawo. Droga zaczęła pięć się pod górę coraz bardziej. Słońce i upał. Są to jeszcze ciągle Alpy Morskie, lecz coraz potężniejsze. Jest to jak wypłynięcie daleko w morze: przy brzegu fala była krótka, ostra, nieregularna —

dalej zaczyna się coraz dłuższa i wyższa. Tak jest teraz z górami. Var zwęża się i nieraz trudno go odkryć wśród wielkich głazów na dnie doliny. Wąska, świetnie asfaltowana droga skręca się w serpentyny i musimy zejść z rowerów. Idąc wolno pod górę, gadamy. Tadzio paple i usta mu się nie zamykają. Czuję, że podchodzimy na jakąś wysoką przełęcz, pod którą leży malutka wioska La Salette, podobna do osady psich bud. Zaczynamy zjeżdżać. Wściekłe serpentyny, miejscami długie tunele. Jest to już jazda naprawdę wysokogórska. Oślepieni słońcem wpadamy do tuneli zupełnie ciemnych i ślepiemy. Kierunek utrzymuje się tylko dzięki jasnej plamie wyjazdu z tunelu, widocznej na końcu. Droga jest poprowadzona, jak trasa trudnego biegu zjazdowego. Z tunelu wypada się na zbocze, leci się na kilka stromych serpentyn i wpada się z powrotem w tunel, jak w bramkę. Rozwija się przy tym szybkości zupełnie nie rowerowe — do 60 km/godz. Tak wpadamy do miasteczka Guillaumes. Leży na dnie doliny wśród gór, oświetlone południowym słońcem, ze swoimi zlepionymi razem domkami. Opieramy rowery o ławkę, siadamy i zapalamy papierosy. I już po raz nie wiem który, patrząc na te domki, na ludzi chodzących spokojnie i wolno po wąskich uliczkach, wstępujących do sklepików, mówię sobie: «Tu chciałbym pomieszkać». Zaczyna się dodatek filmowy, kolorowa rysowanka marzeń: roczna renta o zmiennym skoku, jak śmigło samolotu (na wypadek dewaluacji franka), trzy pokoje z kuchnią, dużo książek, bardzo dużo książek, trochę dobrego sprzętu sportowego, w zimie narty i Nicea pod nosem; tu śnieg, tam palmy, cytryny i pomarańcze, malutkie «clémentines», wonne i soczyste, morze... Jak ładnie można by życie i los wystrychnąć na dudka... Idę kupić coś do jedzenia. Jest wszystko, ludzie są tu JESZCZE szczęśliwi, czas zepsuł się tu, jak stary budzik, i nie chodzi, nie dzwoni. Niestety — trzeba go będzie dać do zegarmistrza i nastawić na godzinę TERAZ-tą. A wtedy brzęknie przeraźliwie... Nie — życia i losu nie da się «zbajerować», jak mówi Tadzio. Można robić, co się chce i doprowadzić najwyżej do tego, że los pozwoli od czasu do czasu połaskotać się w piętę. Między bezlitosnością uderzeń i twardą myślą losu, a wysiłkami i marionetkowym szarpaniem się człowieka jest ta sama rozpiętość, co pomiędzy pragnieniem posiadania pięknej kobiety, a studio-

waniem w tym celu odmiany słowa «amo». Tadzio zdrzemnął się na ławce. Budzę go i ruszamy dalej. Już wiem — dla świata nastąpił teraz okres rachunku sumienia i spowiedzi. Po czym będzie on — dalej grzeszył. Gdybym był Bogiem, tym razem nie dałbym światu rozgrzeszenia. Bóg jest stanowczo za dobry.

Droga coraz cięższa i coraz częściej schodzimy z rowerów i idziemy na piechotę. Koło 5-ej po południu Tadzio przebija tylne koło. Postanawiamy dalej nie jechać i rozbić namiot na małej polance przy szosie. Tadzio zabiera się do klejenia dętki, ja gotuję. Dni są coraz krótsze, a tu góry skracają je jeszcze bardziej. Słońce wcześniej chowa się poza szczyty, czerwieniąc je. Jesteśmy już chyba w prawdziwych Alpach. Potężne masywy są najpierw pomarańczowo-żółte, potem przechodzą przez wszystkie odcienie ceglastej i w końcu są krwawo czerwone. Zapada cudowna noc w górach o tej specjalnej ciszy; cisza wnętrza skrzypiec, cisza «akustyczna». Z pobliskiej fermy pożyczyłem wiązkę słomy, siedzimy przy ogniu i gadamy. Kiedy jeździ się pociągiem lub samochodem, mieszka po hotelach i wydaje pieniądze nawet na rozmowy z ludźmi, można kraj tylko zobaczyć, ale nie poznać. Poznać można go tylko wtedy, gdy musi się w nim żyć, zarabiać i liczyć z groszem.

W górach, 19.9.40.

Bałem się o pogodę w górach, ale jakoś trzyma. Dzień słoneczny, soczysty i świeży, jak oranżada z lodu. Zapomniałem już o morzu i jestem cały górami. Góry zmieniają ruchy, wydłużają szyję (wzrok skierowany jest ciągle w górę) i stwardniają coś tam wewnątrz. Po prostu w górach czuję się bardziej męczyzną. Niedawno koszona polanka przycięta jest na jeża i na sztywno stroszących się trawkach osiadły wielkie krople rosy. Wypełzłem z namiotu i leżąc na brzuchu, przytuliłem twarz do ziemi. Trawa moczyła i kłuła w wargi i w powieki; pachniała ziemią, zielenią i 9-tą godziną rano, w górach. Poczulem na piersiach chłód od przemoczonej wiatrówki i usiadłem. Zułem czekoladę ze słońcem i zaciągałem się dymem z papierosa, zmieszany z poranną mgiełką. Górskie nargile. Dach namiotu parował. Odniosłem słomę, bo tu mają jej

mało i patron prosił mnie o zwrot naszego materaca. Jakiś zwierz wypił nam przygotowane wczoraj wieczorem mleko. Kawa pachnie dymem, a dym kawą. Ruszamy.

Nie ujechaliśmy daleko, bo droga zaczęła się pięć pod górę zupełnie niemożliwie. Drogowskaz wskazywał «Col de la Cayolle — 17 km.». Będziemy podchodzić cały czas. Szosa zwija się na tej całej przestrzeni, jak nadeptnięty wąż. Prowadzona jest tak stromo, że musimy dobrze zapierać się nogami, żeby utrzymać rowery. Po godzinie milczącej wspinaczki, wychodzimy na pierwsze piętro. U stóp mamy całą dolinę Var'u i widać już stąd więcej szczytów. Wzrok ogarnia coraz szersze przestrzenie, przestrzenie o jakich nie miałem wyobrażenia. Dolina pod nami, to cały kraj. Za nami wąska taśma drogi, na której widać wielkie, białe słupki kilometrowe. Liczymy je — jest ich jeszcze trzynaście. Wydaje się małe: odcinki 100-metrowe. Patrzę na całe trzynaście kilometrów. Licząc od-poczynek mamy jeszcze cztery godziny podejścia przed sobą. Tazio nie wierzy i twierdzi, że za dwie godziny można być na górze. Zapewniam go, że ledwie dowlecze się na przełęcz. Podchodzimy dalej. Tazio zaczął gadać, ale przestał bardzo prędko. Pot leje się z nas strumieniami, bo stok jest południowy, a droga jest tak stroma, że z wysiłkiem utrzymujemy ciężkie rowery. Idziemy krokiem robotów: wolno, miarowo, twardo. Po półtorej godziny bije mi w skroniach i lecę z nóg. Łydki drgają i ręce drętwieją od trzymania roweru. Odpoczywamy.

Wkładamy swetry i kładziemy się na trawie. Pulsa biją mi w skroniach, w nogach, w rękach, w dołku — wszędzie. Lekki wietrzyk jest tu już ostry — siecze i mrozi gołe nogi pomimo słońca. Jemy czekoladę z cukrem i z chlebem. Masujemy uda i łydki. Potem dalej. Mijamy dwa słupki, jeszcze pięć. Chwilami szosa pnie się tak stromo, że trzymając rower za kierownicę, nogami zapieramy się aż poza tylnym kołem. Niemal leżymy nad asfaltem. Ostatnie dwa kilometry są najgorsze. Przełęcz wisi nad głową i nie można wyskoczyć jednym susem. Podchodzimy już nie na nogach, lecz na nerwach. Wali mi w skroniach tak, że aż przymykam oczy, oddech skrócił się i słyszę mocne i szybkie uderzenia serca. Rowery uciekają w tył i gdy stajemy, żeby odetchnąć, trzeba ścisnąć hamulce. Jeszcze jeden kilometr. Oczywiście zupełnie bezwiednie przyśpie-

szamy kroku. Przypominamy na pewno dwie ryby, wyjęte z wody i podchodzące pod górę. Ostatni kilometr robimy w 14 minut i wytaczamy się na przełęcz. Nareszcie rower przestał uciekać. Dopadamy do wielkiego słupa z granitu. To granica dwóch departamentów: skończyły się Alpy Niskie. Ładnie niskie! Czytam dalej i nie wierzę: «Col de la Cayolle 2.526 m.». I to tylko przełęcz, a nie szczyt. Szczyty piętrzą się nad nami, daleko mającą Alpy włoskie. biela się wieczne śniegi. Zapomniałem na chwilę o zmęczeniu. Ale wieje zimny wiatr. Słońce już chyli się ku zachodowi i od potwornych ścian skalnych i upłazów, ciągnie jak z lodowni. Opieramy rowery i nakładamy swetry i wiatrówki; kaptury na głowę. Chowamy się do ziemianki, która została tu po wojsku francuskim.

W ziemiance jest ciepło. Wyciągam całą tabliczkę czekolady 500-gramowej (tak zwany duży blok) i jemy ją po połowie. Nie wiem, czy kiedykolwiek czekolada smakowała mi tak, jak w tej chwili. Tylko w takich wypadkach można odczuć PRAWDZIWY smak rzeczy; smak krańcowy. Nogi oparliśmy wysoko na ścianie, głowy na ziemi i jemy czekoladę. Potem «Gipfelzigarette». Zdobyliśmy Cayolle i jest nam dobrze. Tak przyjemnie być młodym i móc bezkarnie męczyć się dla przyjemności, męczyć się bez celu, dla radości życia. Siedząc teraz w ziemiance, rozumiem naprawdę Sotiona z «Dysku Olimpijskiego» Parandowskiego i rozumiem, co chciał on poprzez niego wyrazić. Betonujemy się czekoladą i po godzinie odpoczynku wyłazimy z ziemianki. Słońce zapadło już poza górami i jest przeraźliwie zimno. Szczękając zębami, siadamy na rowery. Ledwie ruszyliśmy, przebijam przednie koło na gwoździu z buta wojskowego. Klniemy. Zgrabiałymi z zimna palcami nie możemy niczego porządnie zrobić. Po gołych nogach tnie lodem; zerwał się wiatr przewiercający do kości, twardy, jak pogrążone w cieniu ściany skalne. Po dwudziestu minutach startujemy do tego biegu zjazdowego na rowerach. Z Cayolle do Barcelonette jest 30 km. Droga jest szaleńcza. Kładziemy się na kierownicy, zaciśkamy palce na hamulcach i zaczynamy spadać w dół, zlatywać w tempie ponad 60 km/godz. na prostych odcinkach. Strzałka na szybkościomierzu dochodzi wtedy do 60 i zatrzymuje się na sztyfciku. Nie nadąza. Przed każdym zakrętem piszcza hamulce, pochylamy się, szczęk odpuszcz-

nych dźwigni przy kierownicy i rower skacze do przodu, jakby miał motor. Na 30-tu metrach prostej osiąga się szybkość ponad 50 km. Po dziesięciu kilometrach tej jazdy ręce mam zupełnie zdrętwiałe. Przymarzły do hamulców. Nóg nie czuję w ogóle; zbite lodowatym wiatrem, zwisają przy siodełku, jak obcy przedmiot. Jedyne na piersiach, pod swetrem, jestem spocony i z wysiłku i z emocji. Upijam się prawie do nieprzytomności szybkością, furkotem wiatru przy uszach i tańcem na zakrętach. Raz tylko spojrziałem na przednie widelki i na krótką chwilę struchlałem: co stałoby się, gdyby widelki pękły. Przy tej szybkości i obciążeniu drgały one od nasady do osi koła, drgały tak szybko, jak uderzony kamerton. Ach — co tam; znowu prosta. Puszczam hamulce, skacze od razu na 40, 50, 55, 60 — strzałka znowu utyka i utyka oddech w piersiach. Zakręt, skok mostem na drugą stronę rzeki, zapach mokrych bierwion, ułożonych przy drodze, żywicznych i sękatych, mroczne wrota krótkiego tunelu. W tunelu asfalt jest wilgotny i opony mlaskają na nim tak, jakby pociągnięty był klejem. Pachnie pleśnią i grzybem. Rośnie gwałtownie jasny otwór wyjazdu, zbliża się, majaczy popielata wstęga drogi i wali się w dół, w las, w świerkową zielen i przedwieczorną czerwień pni. Słońce przedarło się tu jeszcze przez jakąś szparę, z której wypryskuje, jak pęk promieni z małego okienka kabiny operatora w kinie. Ekran czerwonej zieleni, a na nim pędzi mój rower. Czasem, w ciągu ułamka sekundy, widzę swój cień. Gdy znika, wydaje mi się, że go przegoniłem i że nie może za mną nadążyć. Zakręt w lewo, potem w prawo, znowu na drugą stronę huczącego potoku, wzdłuż skalnej ściany. Droga zaczyna opadać łagodniej i po chwili wpadamy wprost na rynek w Barcelonette. Patrzę na zegarek, ledwo utrzymując się na nogach. 32 km. w ciągu 43-ch minut. Przeciętna 45 km/godz. Twarze, ręce, uda i łydki mamy zupełnie sine pomimo opalenizny. Palce tak sztywne, że nie możemy wyciągnąć zapalki z pudełka. Jest to chyba najładniejszy dzień całej naszej podróży. Ale jesteście piekielnie zmęczeni. Czuję to teraz, stojąc na rynku i paląc papierosa. Ręka mi drży i drgają mi usta zupełnie tak, jakbym miał wybuchnąć płaczem. Sześć godzin podejścia i 32 km. piekielnego zjazdu. Tadzio powiada: «Ten dzień będę pamiętał nawet po śmierci».

Barcelonette jest małym miasteczkiem i trochę egzotycznym. Francja jest tu przemieszana z Meksykiem. Wielu ludzi stąd pojechało do Meksyku i powróciło z zarobionymi pieniędzmi z powrotem do rodzinnego miasteczka. Niektórzy noszą jeszcze meksykańskie kapelusze i zachowali coś w stroju. Trudno nawet powiedzieć, co. I ruszają się inaczej, niż Francuzi. O tym Meksyku opowiada mi jakiś dziadzio, który poprosił nas o ogień do rozczochranego i nieudolnie skręconego papierosa. Trzęsą się ręce staruszkowi, to i nie może równo nałożyć tytoniu. Gwarzy z nami, cmokając głośno. Mówi, że są tu tacy, co przed tamtą wojną jeszcze pojechali szukać złota do Meksyku. Dziadzio pali z takim smakiem swojego papierosa, że mam ochotę rzucić swojego i odebrać mu tego żylastego «skręta». Wchodzę do kilku sklepów — jedzenia w bród: konserwy mięsne, groszek, fasola i fasolka, konfitury, mleko, czekolada. W mgnieniu oka wydaję ponad 100 franków i zaopatrujemy się od razu na kilka dni. Robi się szaro. Naradzamy się z Tadzkiem, czy jechać dalej, czy zaraz za miastem rozbić namiot. Nie — dosyć na dzisiaj. W młodym lasku, parę kilometrów za Barcelonette, zapadamy na noc. Dolina jest tu rozległa, wokoło siedzą potężne szczyty. Jest tu wspaniała rozrzutność i zupełne nieliczenie się z miejscem w tym alpejskim umeblowaniu. Preludium Rachmaninowa, grane na organach, to jedyne porównanie, jakie nasuwa mi się, gdy patrzę na to państwo olbrzymów. Tatry, to góry w kieszonkowym wydaniu. Objadamy się nieładzko i od razu usypiamy.

Za Gap, 20. 9. 40.

Wieczór był wczoraj chłodny, toteż włożyliśmy na siebie wszystko, co mamy ze sobą i gotowaliśmy kolację w namiocie, na spirytusie. Około wpół do szóstej rano obudziliśmy się, jak na komendę. Tadzio wrzasnął: «Jędrus — zamarzęm na śmierć». Ja w ogóle nie mogłem słowa wydusić, bo zamieniłem się w sztabę żelaza, Stalowy wlewek. Miałem wrażenie, że resztki mnie zwinęły się w kłębek i ułożyły w okolicach przepony, drząc z zimna, a całe ciało — ten drugi ja — jest już martwym przedmiotem. Ale ruszyłem się; tak ruszałby się prawdopodobnie mały człowieczek

z drzewa, służący malarzom do uchwycenia ruchu nóg lub rąk, których pełno sprzedają na rue Bonaparte w Paryżu. Nalałem do menażki wina, wrzuciłem cukru i rodzynek i zapaliłem maszynkę. Po chwili w namiocie zrobiło się gorąco i błogosławiliśmy spirytus. Piliśmy gorące wino, parząc sobie usta, i rozgrzaliśmy się prawie natychmiast. Nawet było za gorąco, bo maszynki nie zgasilem. Wtedy wyleźliśmy z namiotu. Widok był taki, że zamiast poruszać się dla rozgrzewki, stanęliśmy jak dwa słupy.

Niebo różowiło się od strony wschodu i poprzez komplet wszystkich odcieni ceglatego, pomarańczowego i cytrynowego, przechodziło w fioletowy szafir, na którym błyskały jeszcze gwiazdy. Wszystko z dolinie pokryte było szronem, ciskającym nikłe ogniki, jak miliardy rozrzuconych brylantów; wierzchołki gór, lekko zaróżowione, zawinięte były w pasma przeźroczyściej mgły. Powoli wschodziło słońce i sypało coraz to nowymi kolorami. To samo drzewo, ten sam szczyt zmieniały się, zrzucały jeden strój i odziewały się w inny. Świerki zmieniały także klejnoty, bo stopiony słońcem szron stawał się wielkimi kroplami wody o wszystkich barwach tęczy. Ciemny szafir nieba rozwodnił się, stał się bardziej fioletowy aż do niebieskiego. Gwiazdy gasły w oczach i robił się dzień. Jeszcze kilka poprawek, niedbałych pociągnięć pędzlem słońca i obraz był skończony. Jeżeli piękno całego wybrzeża od St.-Raphaël do Monte Carlo było ziemskie, uchwytne, wprost gęste, to tu rozpływało się ono i było nieskończone, nieosiągalne w swojej całej pełni, jak zbyt wysokie tony dla ucha.

Staliśmy tak prawie pół godziny i znowu było nam zimno. Teraz jednak słońce zaczęło przygrzewać. Usiedliśmy przed namiotem, myśląc o śniadaniu. Och, gdyby tak ktoś zechciał przynieść mi śniadanie «do łóżka». Jestem rozleniwiony. A poza tym tak trudno doczekać się i patrzeć, jak woda nie chce się zagotować od razu, już, natychmiast. Z pogodą mamy szczęście; znowu słoneczny dzień. Po śniadaniu dalsze 35 km. zjazdu. Zjazd jest znacznie łagodniejszy, niż wczoraj, ale dochodzimy do tych samych szybkości. Droga opada w dół szeroką doliną. Po bokach olbrzymie wygodnie rozparte wsie i miasteczka naraz — plastyczna mapa w podziałce 1:1. Na przestrzeni kilkunastu kilometrów przed sobą można sunąć palcem

po wstędze szosy, zatrzymać się na jakiejś «bourgade» — tu w prawo — dalej — można tyczyć trasę bez wyciągania mapy z kieszeni. Cały ten widok przypomina mi obrazki malowane na tyrolskich zegarach z kukułką albo alpejskie litografie z końca zeszłego wieku.

W południe zatrzymujemy się nad rzeką, kąpiemy się i jemy. Słońce grzeje, wzrok gubi się w szczytach. Ogarnia mnie to typowe lenistwo górskie. Można leżeć godzinami, patrzeć, gryźć czekoladę z rodzynkami, palić. Można przestać być człowiekiem i stać się jakąś tam istotą jednokomórkową, amebą lub planktonem.

Popołudniu dojeżdżamy do Gap. Miasteczko większe od Barcelonette. Jedzenia ile żołądek zapagnie. Jest tu olbrzymia fabryka mleka kondensowanego «Nestlé» i dużo tartaków. Kupuję kilka puszek cukrzonego mleka. Jemy to w tym samym celu, w jakim Kubuś-Marynarz Fleischera odżywia się swoim szpinakiem. Jest także spirytus; kupuję od razu dwa litry, żeby skończyć z gotowaniem na ogniu. Oczywiście zakupuję także wielki transport czekolady. Rowery zostawiliśmy na opiece patronki bistra i poszliśmy się przejść. Wspaniałe sklepy sportowe z doskonałym sprzętem: świetne buty narciarskie i narty. Wszędzie zachodziłem pogadać z kupcami i «dotknąć». Chętnie pokazywali mi wszystko i gadali, choć wiedzieli, że nic nie kupię. Podobają im się, że znam się na towarze. O mały włos nie kupiłem ślicznego bukłaka hiszpańskiego na wino, ze skóry. Ale był za drogi i z żalem wyszedłem ze sklepu. Ciemniało mi w oczach na widok plecaków z rusztowaniem za 250 franków. Ale muszę odwieźć parę groszy do Paryża. Właściwie ze strachem myślę o tym powrocie; teraz im bliżej, tym częściej. Pomyślę o tym później.

Prosto z Gap podchodzimy na «Col Bayard» — 7 km. Podchodzimy już pod wieczór. Idziemy bardzo wolno. Mamy zamiar zostawić sobie kawałek na jutro i rozglądamy się za miejscem na nocleg. Wybieramy łąkę przy drodze z małym strumykiem. Niebo zachmurzyło się, góry znikły we mgle i jest duszno, upalnie. Pewnie będzie deszcz.

Koło 10-ej wypogodziło się i zrobił się upał zupełnie nie do zniesienia. Podchodzimy dalej na przełęcz Bayard. Po nogach tną nas końskie muchy. Przełęcz ma 1.230 metrów. Prawie tyle, co Turbacz. Z przełęczą zjazd; stromy, ale długi, prostymi odcinkami. Szybkościomierz w ogóle stanął na 60 i nie wystarcza. Czuję wyraźnie opór powietrza. Nagle słyszę stuk i brzęk; wypadła jedna butelka ze spirytusem. Nie zwolniłem. Tadzio zrównał się na chwilę ze mną, sklął butelkę i «wszystkie takie zjazdy na pysk» i z powrotem schował się za mnie. Męczą nas już te ciągle zjazdy. W najbliższym miasteczku odkupuję spirytus. Stoimy przed jakimś domem i podchodzi do nas dwóch żandarmów. Byłem pewny, że zechcą przegłądać nasze papiery. Ale oni stali i tylko gapili się. W końcu jeden podszedł i zaczął pogawędkę: «Ależ jesteście obładowani». Uśmiecham się. «A dokąd jedziecie?» — «A Paris», odpowiadam. «Oh, là, là — to kawał drogi jeszcze. A macie plaque de vélo?» — Jest to blaszka, świadcząca o zapłaconiu podatku od roweru. *Bien sûr* — mówię i nawet nie sięgam, aby mu ją pokazać. »No to dobrze — *bon voyage!*» I poszli dalej. Tadzio długo spoglądał na dwie czarne sylwetki na drodze i wypowiedział kilka pochlebnych uwag pod adresem wszystkich «glin francuskich».

Francuski policjant nie zawsze jest mądry, bywa nawet głupi, ograniczony, ale często jest dobroduszny i łatwy w pożyciu. Nasz też nie był mądry, ale był za to złośliwy i upojony władzą. Mieszanina znacznie gorsza. Jak rzadko było się traktowanym przez naszą policję, jak człowiek. Dla niej obywatel polski był przede wszystkim osobnikiem «rzekomo nie karany». To «rzekomo nie karany» było specyficznie polskim określeniem policyjnym, z którym trudno chyba spotkać się w reszcie świata. Nic ci jeszcze nie udowodnili, nie wiele o tobie wiedzą, a już jesteś «rzekomo nie karany». Pierwsze pytanie naszego policjanta, jeżeli kogoś legitymował, było «Co pan robi?». Jeżeli powiedziało się «Nic», to uważane to było za kpiny, za lekceważenie władzy — areszt, a raczej «przetrzymanie śledcze» pewne. We Francji, w normalnym kontakcie z publicznością (na przykład sprawdzanie papierów) żaden policjant nie zadaje takich głupich pytań. Papiery w porządku,

okrągła pieczęć z Republiką, i można iść w spokoju. Od chwili wyjazdu z Carcassonne, dziś po raz pierwszy zbliżył się do nas żandarm i to w celach rozmówki towarzyskiej. Zapytanie o *plaque* było tylko subtelnym przypomnieniem nam (i pewnie sobie samemu), że jednak pełni obowiązki stróża porządku. Można na nich wygadywać, ale czuje się tutaj swobodę, resztki tej swobody, jaka istniała w Europie przedwojennej za czasów moich rodziców. A i to przepisy dotyczące cudzoziemców zastrzyły się dopiero od dziesięciu lat. Jestem ciekawy w jakim współczesnym kraju, w czasie wojny, dwóch cudzoziemców mogłoby tak swobodnie włóczyć się setkami kilometrów bez żadnej kontroli. O *douce France!* Życie tu łatwiejsze i prostsze, człowiek był przede wszystkim człowiekiem. Tak łatwo i przyjemnie można tutaj mieć wiele rzeczy «w nosie» lub «w pięcie». Jest coś tragicznego w tym, że te swobody, dobrobyt, boskie *je m'en fiche* były także przyczyną ich upadku. Kto wie... Nie! To nie może mi się nigdy pomieścić w głowie. Wykluczam tę możliwość...

Droga stała się ciężka. Raz w dół, raz w górę. Trzeba złązić z rowerów, pchać je przez pół godziny, potem zjazd w ciągu kilku minut i znowu pod górę. Jest to bardziej męczące, niż jedno długie podejście. Chcemy przejechać jeszcze dzisiaj przez La Mure i jutro być w Uriages, pod Grenoble. Jest tam schronisko P.C.K. i kilku kolegów z «wspólnego pokoju» w Carcassonne. Może uda się odebrać ze dwa dni po Alpach. Przez całe popołudnie droga jest ciągle taka sama. Ze trzydzieści podejść i zjazdów. A wreszcie gwóźdź do trumny — 6 km. podejścia do La Mure. Co robić — podchodzimy. Około 8-ej wieczorem jesteśmy w La Mure. Wieczór jest chłodny i jesteśmy tak zmęczeni, że wlecemy się ulicami noga za nogą. Chciałbym kupić mięsa na kolację, więc stajemy pod murem i rozglądamy się. Obok nas przechodzą jakieś dwie dziewczyny i mówią po polsku. Tadzio od razu podskoczył i mówi: «Królowo kochana, kwiecie bzu, Polki najdroższe i rodaczki, gdzie można tutaj kupić mięsa dla dwóch znędzniałych obywateli?»

Dwa «kwiaty bzu», rumiane i pełne (podwójny bez) zaczęły się podśmiewać i gadać. A skąd? A dokąd? A jak długo? A ciotka ma bistro, to może coś wam sprzeda, bo ma także sklep przy bistrze. Tadzio, nie czekając, objął

inicjatywę: «Ozdobo Francji prowadź — pójdziem za tobą choć do łóżeczka (hi, hi, hi)» i tak wylądowaliśmy w bistro cioci. Tadzio po drodze robił prywatne spostrzeżenia w rodzaju: «Parzygnaty, zgryzoty emigracyjne, rakiety (?), tłuki, itd., itd. ale na głos czarował: «A to czemu się pani śmieje, kwiateczku kochany — tak nie można — to nie ładnie...» a do mnie półgłosem: «Patrz, Jędrus, na te nogi — dobre, ale tylko na po domu albo na błoto, co?»...

W bistro cioci było sporo Polaków, emigrantów. Poprosili nas do stolika i trzeba było gadać. Tadzio był nieszczęśliwy, bo jak prawie wszyscy Polacy, którzy przyjechali do Francji w czasie wojny, nie znosi w gruncie rzeczy emigrantów. Rozumiem go, ale staram się także i jego nauczyć rozumienia tego zupełnie specyficznego elementu. Stary emigrant pozostał w duszy Polakiem i dał tego liczne dowody, ale ciałem — najczęściej podświadomie — przestał już być Polakiem. Z tego punktu widzenia można by mówić o zupełnie osobnej narodowości, narodowości emigranckiej. Ten polski emigrant, to wypadkowa wielu zjawisk i warunków życia polskiego i francuskiego; cocktail nie zawsze smaczny, często trudny do przełknięcia, przyrządzony przez bezlitosny los. Kto emigrował do Francji? Przeważnie niewykwalifikowany i niewykształcony robotnik rolny. Kariera takiego emigranta była zwykle ciężka. Zmuszony nędzą w kraju, wsiadał do pociągu z tabliczką na szyi, jak bydłę prowadzone do rzeźni, jeszcze w Polsce podpisywał cyrograf, sprzedając siebie francuskiemu farmerowi lub fabrykantowi na trzy lata, i jechał. Przyjeżdżał do Francji i pracował u farmera za życie i 400-600 franków miesięcznie. Równocześnie patrzył na swobody i demokrację francuską, posiłki jadał przy jednym stole z patronem, przez rok był oślepiiony, po dwóch latach, poznawszy innych, już był «mądry», a po trzech uciekał z roli do miasta na robotnika fabrycznego. W fabryce dotknął się śrubokrętu i pilnika, z typowo polską zręcznością i inteligencją «chwycił» to, czego od niego wymagano i wobec tego uważał się za «wykwalifikowanego ślusarza». I teraz już gwizdał na cały świat. Oderwany od własnego organizmu państwowego i dyscypliny obywatelskiej swojego kraju, żył równocześnie poza nawiasem życia obywatela francuskiego. Stąd, wrodzony zresztą każdemu Polakowi, swego rodzaju anarchizm emigrancki, wzmagany stylem tutejszego życia.

Zarabiał dobrze, miał na sardyńki i na szampana, «tu, proszę pana, nie tak jak u WAS w Polsce, proszę pana, bo tu jest, proszę pana egalite i, proszę pana, liberte; tu pan, proszę pana, robotnikowi nic mówić nie będzie, bo robotnik jest zaszanowany — wuala, proszę pana!» W głębi pozostał niedouczonym, nieoświeconym mózgiem biednego, bezrolnego robotnika wiejskiego, powleczonego cieniutką warstwą wysokiej cywilizacji i standardu życia, opierającego się głównie na dostępności tego wszystkiego, co «proszę pana, u WAS w Polsce tylko inteligencja miała dla siebie — wuala!» Dostępność tego, co w Polsce nawet dla «inteligencji» było często zbytkiem, kształtowała tu jego umysłowość. Od razu był najmądrzejszy ze wszystkich, pan, hrabia, wszystko umiał i wszystko potrafił i wszystko było «bo u WAS w Polsce». Stężona mieszanina tego, czym jest właściwie każdy Polak, mieszanina denaturatu, szampana i rzadkiej — polityry obyczajowo-kulturalnej. Są wyjątki, szczególnie wśród górników, tego elementu zwartego i mądrego mądrością i niebezpieczeństwem swej pracy. I tu też można by zrobić rozbicie: emigracja i górnicy.

Zapomniał mówić po polsku, kalectwo po francusku, zamiast «tak» mówi «si» albo «wuj» i trzeba sobie otwarcie powiedzieć, że w większości wypadków tylko ujemne strony swobody francuskiej i francuskiego *laissez-aller* dotarły do jego rozumu. Wrodzona pracowitość i inteligencja każą mu lekceważyć Francuza, mniej twardego i wytrzymałego. W fabryce pracowałem z emigrantami, z naszymi «z Polski» i z Francuzami. Dostrzegłem wiele. Nasi «z Polski» w ogóle emigrantami pogardzali, zresztą z wzajemnością. Ileż razy słyszałem naszego w szatni, jak pobłaźliwie klarował emigrantowi: «Człowieku, te wszystkie ubezpieczenia, płatne urlopy, to u nas już było od początku. Francją mi nie podjeżdżaj — ty jesteś ciemny, co z tobą gadać?» Tadzio zwykle nie krępuje się: «Po co z panem dyskutować, jakieś pan mądrzejszy. Panie, mów pan po polsku; co za «wuj»? Aniś pan mój wuj, ani ja krewny — nie rozumiem — kompran pa!»

Czasem cierpienie uszlachetnia, ale zwykle tylko tych, którzy przedtem nie cierpieli. Tych, którzy cierpieli od początku, cierpienie uszlachetnia bardzo rzadko. Ci emigranci cierpieli najpierw w Polsce, potem tu. Gdy przyszedł we

Francji kryzys i większość obcokrajowców pozwalniali z pracy, nasz emigrant zapisywał się na bezrobocie. Jako bezrobotny nie płacił za mieszkanie, brał zapomogę, a ponieważ kontrola bezrobocia, jak każda kontrola francuska, była wysoce problematyczna, bezrobotny pracował pokątnie (brykował). Tu naprawił piec, tam odmalował mieszkanie, jeszcze gdzie indziej zakładał łazienkę lub centralne ogrzewanie (Polacy wszystko potrafią) itd. — w sumie żył w wielu wypadkach znośnie. Stosunek do świata «I co mi zrobisz?» Rządy Bluma i znacznie większa łatwość życia we Francji, bezrobocie, *bricolage* — okoliczności pozwoliły mu na to, co jemu wydawało się jego dziełem. Czytanie lewicowej prasy francuskiej, wspaniałe demagogiczne, dokończyło jego edukacji. Element zewnętrznie niełatwy w pożyciu, trzecia część Polski, wewnątrz na pewno znacznie więcej warta, przy tym w sumie łatwowierna, z czego korzystała nasza polityka w ten sposób, że wielu z nich pozamieniała w ateistów polskiej państwowości. Stąd to wieczne «bo u WAS w Polsce». Zbyt często ich okłamywano.

Ci emigranci tutaj, w La Mure, życie mają ciężkie. Praca okropna. Prawie wszyscy pracują w tutejszych kopalniach ołowiu. Zarobki niskie, a czasy dzisiejsze nie pozwalają im wyrwać się z tych kajdan i poszukać lżejszego lub po prostu zdrowszego chleba. Rozmawiamy o Polsce; osiemnaście dni obrony biednej Polski w porównaniu z czteremastodniowym spacerem Niemców przez Francję poruszyło w nich wszystkich dumę. Prawie żaden z nich nie wyrwał się z odwiecznym «bo u WAS», natomiast słyszę ciągle «bo u NAS w Polsce». Ale na «inteligencję» naszą wyklinają i chyba mają rację. Odbiło im się tą naszą inteligencją, jak podłym tłuszczem, gdy zobaczyli tę naszą zjełczałą śmietankę po ucieczce z Polski. Wielu z nich dostrzegło w emigrantach NOWYCH PODDANYCH, nowy narodził się w miniaturze, którym z punktu można było rządzić. Emigrancka cierpliwość wystawiona została na ciężką próbę. Polski nie wyparli się jednak, choć pokusy były wielkie: Francuzi chętnie brali ich do swego wojska pomimo układu z rządem «Reginy». Emigracja biła się i biła się dobrze.

Wypiliśmy piwo i zaszli do sklepu cioci. Do kupionych przez nas rzeczy dołożyła nam za darmo 2 puszki

pasztetu i 2 tabliczki czekolady. Ja byłem po prostu naturalny, ludzki, a oni byli poczciwi, wcale nie «bezczelni» i «arogancy». Czasem z logiką u nich gorzej, bo więcej połknęli, niż mogli strawić, ale gdy mu powiedzieć, że gada głupstwa i dobrym przykładem (nie naciąganym) wykazać, że plecie, wówczas cichnie i słucha. Lubi słuchać LUDZKIEJ mowy. Zaczęło się już ściemniać. Wyszliśmy z bistra, żegnani hucznie przez wszystkich. Ofiarowywali nam nawet nocleg i oczywiście od razu zaczęli się sprzeczać między sobą, u kogo byłoby nam wygodniej. Wolałem jednak jechać dalej, bo czułem, że skończyłoby się na potwornym pijaństwie. Już i tak pociągaliśmy z Tadzkiem nosem w tym bistro, czując zapach rumu. Otaczające nas towarzystwo było tak głośnie, że dwaj żandarmi sprawdzili nasze papiery, po czym razem z innymi biadali nad tym, jak my dojedziemy. O zmroku wyjechaliśmy z La Mure. Jest tu rozległy płaskowyż, ciągnący się aż do Vizille. Mgła opada na łąki, zimno i wilgotno. Po kilku kilometrach, już w ciemnościach, rozbijamy namiot tuż przy drodze, zasłonięci tylko kilkoma krzakami. Noc jest czysta i prawie przezroczysta. Kolację gotujemy w namiocie, po czym Tadzio natychmiast usypia. Ja piszę przy świeczce. Świerszcze pstrykają a chrobot chrząszcza, łączącego po dachu namiotu jest wprost hałaśliwy. Jestem tak zmęczony, że nie chce mi się spać.

Uriage, 22. 9. 40.

Od rana słońce. Obudziliśmy się wcześniej, jak zwykle z głodu. Pierwsze słowa Tadzia, to «Jędrus — jeść». Wyciągam czekoladę i jeszcze drzemiac, żujemy powoli. Potem papieros i dzień zaczyna się na dobre. Ja idę po wodę i po mleko, Tadzio zwija obóz. Lubię te moje, niemal codzienne, spacerki poranne. Biorę butelki i okutany w swetry i w szaliki (rano bywa już szron — jesień) wlokę się wolno drogą, potem polnymi ścieżkami, zaglądając do ferm. Zwykle cały dom jeszcze śpi i tylko patron krząta się po podwórku z całym orszakiem kur, kaczek i indyków. Łażą za nim krok w krok, czekając, aż im coś rzuci. Staje cicho za płotem i patrzę. Toczy się między nimi ożywiona dyskusja. Patron powiada: Allez, allez, attendez, a kury

coś głośno odgdakują, kaczki z świszczącym szeptem łapią go za nogawki od spodni, zaś indyki, z minami dyrektorów koncernu przy porannej poczcie, zataczają z daleka nie-dbałe łuki i zachodzą od przodu. Chodzą tak, że jestem pewny, iż ręce trzymają w kieszeniach, a w dziobach grube cygaro. Jest cicho, każdy odgłos jest wyraźny, w nic nie-oprawny. Nad łąkami wiszą mgły, trawa łśni, a wokoło piętrzą się olbrzymie masywy gór. Przenika to do duszy prostą drogą i zachwyca spokojnie, bezpośrednio. Patrząc na to, wydaje mi się, że jakaś starsza, mądra i piękna kobieta mówi i opowiada niskim i równym głosem, a każde jej słowo jest pełne, przeżyte i odczute do końca. A kiedy indziej wydaje mi się znowu, że jest to wspaniała, zwarta i prosta nowela nastrojów, jak nowele Bunina lub K. Mansfield, gdzie nic się nie dzieje, a równocześnie już tyle stało się; gdzie strony nie są pisane od lewej ku prawej, lecz w głąb, w głąb bez dna. I teraz przestoję nieraz pod płotem lub pod drzewem, wpatrzony, nic nie myśląc, odwracając tylko i nadstawiając to coś w człowieku, na czym dźwięk, kolor, promień słońca, zapach i powiew najsilniej wygrywają. Zamieniam się w jakiś instrument i daję na sobie grać. Nie ma w tym żadnej egzaltacji — jest to taki sam tusz duszy, jak tusz ciała i odczuwam tę samą przyjemność. Przy jednym i drugim tuszu tak wspaniale i soczyście czuje się życie. Pod zimnym tuszem piję zawsze wodę, która chlasta mi w twarz, tu — pod płotem, pod drzewem — piję życie. Każdy z nas ma w sobie skrzynkę biegów, ale nie wielu umie się nią posługiwać. Ja odkryłem ją dopiero kilka miesięcy temu. Najpierw wyłączyłem tylny bieg, dość długo tkwiłem w martwym punkcie, a potem zacząłem «wkleszczać» inne biegi. Teraz jadę na czwartym, o ile nie w ogóle na tak zwanym «Schnellgang», czyli nadbiegu, który mają podobno te wielkie «Mercedesy». A może się mylę? Może nie człowiek sam przestawia te biegi, wyłącza sprzęgło? Może robi to los? Nieraz przez całe życie człowiek chce siebie wygrać dla siebie — i nie może. To loteria, na której pada mało wygranych. Najstraszniejsze jest chyba ciągle mijanie się z samym sobą, ciągle czekanie na tę największą wygraną, jaką w życiu każdego człowieka jest na pewno wygranie siebie dla siebie. Bo tylko od tej chwili człowiek taki może być prawdziwą wygraną także dla innych. Prawdziwą — inne

nie są prawdziwe. Papier zawilgł mi od mgły i chemiczny ołówek pisze tak wyraźnie. Wszystko przez te indyki. Przypomniały mi poranną pocztę, dyrektorów koncernu i mnie, zgiętego w usłużnym ukłonie, pod drzwiami. Ja tam chciałem siebie wygrać. Cóż za nieporozumienie... Tragiczne!... Brr...

Mleka nie dostałem, ale to nic nie szkodzi: mamy nasze, w proszku. Jest doskonałe. Koło 10-ej ruszamy dalej. Po godzinie dojeżdżamy na skraj płaskowzgórza i u stóp mamy Vizille, leżące nisko na dnie doliny. Szosa przypomina kręcone, kuchenne schody: z szóstego piętra na łeb. O mało nie leżałem. Asphalt świeżo wysypany szutrem, który nie wbił się jeszcze w ter. Przyhamowałem już na zakręcie i tylnym kołem zrobiłem rasową christianię. Kamyki przysły, jak śnieg, a Tadzio przeraźliwie wrzasnął. Wpadamy do Vizille. Na rynku jest cicho i dostojnie — niedzielnie. Pijemy piwo i jemy ciastka. Upał i rozleniwienie. Do Uriage jest tylko 9 km. Po drodze trzeba będzie się wykapać i ogolić, żeby przyjechać w formie do tego polskiego schroniska. Tam pewnie sama noblessa, a *noblesse oblige*. Po dokładnej toalecie za Vizille, ubieramy się odświętnie: białe shorty, granatowe koszulki. Uriage jest małą miejscowością letniskową, wille, pensjonaty — płuca Grenoble, odległego o 10 km. Zieleń i góry. Polskie schronisko mieści się w jednym z wielkich hoteli. Nie jedziemy tam od razu. Siadamy najpierw w parku, żeby ochłonać, bo upał tropikalny. Przechodzą obok nas jakieś trzy panie: jedna starsza, w długiej sukni z gazy, dwie inne młode, równie wytworne. Na rękach polne kwiaty, zwieszzone z wdziękiem. «Na głowie liliowy wianek, w ręku zielony badylek, Przed nią bieży baranek, a nad nią leci motylek...» (z pamięci). Mówią oczywiście po polsku. Ukłoniliśmy się i pytamy o hotel P.C.K.

— A to tutaj, zaraz na lewo — panowie pewnie nowi pensjonariusze... Witamy, witamy...

— Nie, my tylko przejazdem. Chcemy odwiedzić kolegów.

— Ach tak. A gdzież to panowie tak podróżują?

— Jedziemy do Paryża. Wracamy, bo tam...

— Co? Do Paryża? Do Niemców? Zdrhhaajcy! Zosiu, Helenko chodźcie. Z tymi panami nie ma o czym mówić... I poszły, duszając rupkami.

Tadzio zrobił się purpurowy i szepnął tylko coś o starych ... i że jeszcze zobaczymy, kto zdrajca. Ja zacisnąłem pięści. Tadzio: «Widzisz, jak ci ładnie powiedzieli dzień dobry? Tak z serca, po polsku, za forse Czerwonego Krzyża...». Uspokajałem go, jak mogłem, i przygotowywałem na inne niespodzianki. Już ich trochę poznałem. Pani pułkownikowa fałszowała w Paryżu kartki na darmowe obiady, a gdy ją raz na tym złapałem, nic nie pomogło. Za trzy dni zrobiła to samo i był skandal, bo za drugim razem nie darowałem. Pani ... kradła mandarynki, pani ... twierdziła, że znowu wydała niepotrzebnie pieniądze na métro, bo dzisiaj kaszanka na obiad — «niech mnie pan zawsze uprzedzi, kiedy ma być kaszanka». — «Telefonicznie, czy pneumatykiem?», zapytałem ironicznie. Połapała się. Równocześnie było mi przed Tadzkiem wstyd. To jednak moja rodzina...

Wreszcie podjechaliśmy pod hotel. Miałem wrażenie, że zajeżdżam do pensjonatu w Zakopanem. Znalazło się tu poza naszymi trzema kolegami z Carcassonne, jeszcze kilku inżynierów. Towarzystwo ważne, nadęte, wyelegantowane, sztywne kołnierzyki, ubrania, jak z igły — jednym słowem wytwornie. Nasi dwaj koledzy z Carcassonne C. i S. ledwo raczyli się do nas odezwać i od razu znikli, bo właśnie mieli grać w bridge'a z panem dyrektorem i z panem konsulem — już czekają na nich w hallu. Jeden pocziwy Stefan Hołuj ucieszył się nami, pomagał nam rozpakować rowery i obiecał wynaleźć pokój na spanie. Potem nas wziął na bok i zaczął od serca: «Nie macie pojęcia, co to za banda. Tu, gdzie wszyscy powinni jakoś starać się żyć, gdzie każdy powinien mieć jakąś czynność, to są ciągle awantury, bo cała inteligencja, ci panowie prezesi, inżynierowie i inni odmawiają na przykład skrobania kartofli, gdy wypada kolejka na nich i chcą, żeby to robili robotnicy i żołnierze. Do stołu nie ma kto usługować, bo nasze PANIE nie chcą, żeby ich córki zajmowały się TAKIMI rzeczami, bo to nie są ŻADNE pokojówki, tylko PANIENKI Z DOBRYCH DOMÓW i wobec tego podają do stołu OCHOTNICY mężczyźni, a te «panienki» z dobrych domów nawet palcem nie kiwną. Wyższe sfery chodzą na wycieczki, grają w siatkówkę, do późnej nocy w bridge'a, a gdy raz siadłem do obiadu w wiatrówece, zwrócono mi uwagę, że do obiadu mógłbym włożyć mary-

narke. No a przecież wiecie, że ja wszystkie rzeczy straciłem w czasie ucieczki z Paryża. Jeżeli człowiek chce dostać się do takiego schroniska, to musi mieć protekcję, bo to nie tak łatwo dostać przydział. Decydują o tym różni dyrektorowie P.C.K. w Vichy, w Lyonie i w Tuluzie. A na to wszystko patrzą się ci ludzie, którym każą skrobać kartofle poza ich dyżurem, bo byli tylko prostymi ludźmi, a nie czymś. Ale *à propos* — przebierzcie się i nie paradujcie tak w shortach, bo to «nie wypada» i możecie się narazić kierownikowi schroniska.»

To w skrócie obrazek, jaki roztoczył przed nami Stefan, wprawdzie inżynier, ale także człowiek. Odpowiedziałem mu, że miałem zamiar odpocząć tu dwa dni, ale wobec tego jedziemy jutro dalej. Ciskało mną. Nie — ludzie tej kategorii muszą zniknąć. To się powinno tępić jakimś «Flitem» czy innym «Fumigatore Cimex». Nic ich nie nauczyło, a teraz siedząc na koszt publiczny, dalej się dmad, drą nosy, pomiatają ludźmi «niskiej kondycji» i gardzą «brudną robotą» w kuchni. Panny, panienki z dobrych domów, z papierosami w zębach, w pończoszkach, siatkówka, flirt, spacer. O ileż bardziej szanuję *ces demoiselles* z paryskich nie dobrych domów... Horda rozbrzydowana, tępa, nieczuła, nieprzyzwoita. Miałem od razu ochotę rzucić kilka starych doniczek na głowę tym panom, gdy patrzyłem na nich z okna pokoju Stefana. Czuję, że teraz Stefan wstydzi się tak samo, jak ja przed chwilą, gdy uspokajałem Tadzia. Siedzą tam na dole, grają w karty i pewnie każdy z nich mówi to odwieczne «Do czegośmy doszli». O to chodzi, że właśnie do niczego i nigdy do niczego nie dojdziecie. Z tą mentalnością...

Po długich korowodach dali nam pokój — tylko dzięki temu, że Stefan uprzejmie go wyprosił. Było z tym wiele zachodu i pytań «co za jedni», ale po upewnieniu się, że to «z tych» (niiby ja; a co by było gdyby «z tamtych»), jakiś pan mecenas, obecny kierownik schroniska, zgodził się. Stefan miał prosić jeszcze o kolację, ale zrezygnowałem z tej przyjemności. Poszliśmy z Tadzkiem do restauracji. Wracaliśmy wieczorem. Hotel «Basset» był oświetlony, grano w bridge'a, PANIE chodziły z MŁODZIEŻĄ po ogrodzie, na nas spoglądano bokiem. Miałem ochotę zaproponować żeby mnie pocałowano — ale tylko przez płatek

róży, tej z klombu. I kto wie, czy nie znalazłoby się wielu amatorów, gdybym obiecał po 100 franków na buzię. Bo pieniądze, to oni lubią i wiele rzeczy zrobią za pieniądze. Oczywiście tak cicho i wytwornie — żeby nikt inny o tym nie wiedział.

23. 9. 40.

Spaliśmy na jednym łóżku, dosyć ciasnym, i było nam niewygodnie. Tadzio kłął i chciał w nocy iść do parku rozbijać namiot. Rano zagrzaliśmy sobie mleka na maszynie i zjedli śniadanie w pokoju Stefana. Dzień słoneczny i gorący. Od razu po śniadaniu zaczęliśmy szybko pakować manatki, żeby wynieść się stąd dyskretnie i po cichu. Atoli pomiędzy obojętnymi panami konsulami i prezesami i innymi tytułami rozeszła się wieść, że wracamy do Paryża. No i gdy wczoraj ani nie spojrzeli, ani się nie przywitani (zdraycy), tak dzisiaj co chwila któryś z nich brał mnie na bok, przedstawiał się, jak młodzieniec proszący nieznaną pannę do tańca, był słodki i unizony, przeproszał «za śmiałość», jednym słowem makagigi z lukrecją, bo: «Proszę pana, miałbym wielką prośbę. Wyjechałem z żoną z Paryża tylko z małą walizeczką, a nasze dwie walizki zostały w hotelu — o, tu ma pan adres i pełnomocnictwo. Może udałoby się panu przesłać mnie to tutaj». Albo: «Wie pan, u stróża tej kamienicy (już wpycha mi gotową karteczkę z adresem) gdzie mieszkałem, została moja bekiesza i karakuły żony». Poślij mu to. Inny wziął mnie na bok i po wielkich zakłęciach, że «mnie chyba pan nie odmówi — ach, przepraszam, zapomniałem się przedstawić — jestem konsulem z ... (pies ci mordę po włosku lizał) — otóż mam tutaj samochód (*tiens, tiens*) i chciałbym go sprzedać, a nie mogę tego zrobić bez świadectwa kupna. Kupiłem go od pana M. — Francuza (a kiedy?) — mieszka na rue ... on panu wystawi świadectwo i pan mi je przyśle...» Interesy, interesiki, «pan musi mi to jakoś załatwić, jestem bez grosza i widział pan, w jakich warunkach tu żyjemy». Patrzyłem obojętnie na góry, myślałem o dobroczynnej instytucji skały tarpejskiej i sucho powiedziałem, że te warunki są zupełnie znośne i byleby gorzej nie było. A cały czas myślałem, czy oni w ogóle wiedzą, co to znaczy być w cięż-

kich warunkach. W końcu Tazio sam pakował obydwa rowery, bo mnie ciągal na boki, prosili, oczywiście w tajemnicy jeden przed drugim. Jeden z nich zupełnie onie- miał, gdy na jego rozpoczęcie rozmowy od słów «znałem świetnie pańskiego stryja», odpowiedziałem «no to co?». Stracił wątek. Wiem, że postąpiłem brzydko, ale wszystkim odmówiłem: nie wolno nic przewozić przez linię demarkacyjną, a ja sam mam wiele rzeczy kompromitujących (ten zeszyt — jak ja go przewiozę?). Bardzo mi przykro, ale muszę odmówić. Gdyby znalazł się któryś i podszedłszy, powiedział po prostu: «Wie pan, ostatecznie można wytrzymać, ale chciałbym żonie zrobić przyjemność — tak lubiła te swoje lisy... Jeżeli pan będzie mógł, to bardzo proszę, jeżeli nie, no to trudno...» załatwiłbym bez wahania. Ale oni uważali, że człowiek ma obowiązek narazić się dla nich, bo oni jeszcze ciągle SA, czymś tam i nie chcą zrozumieć, że BYLI, że już nie SA. Musisz mu to zrobić, on już na to liczy, bo obok tych dolarów, które ma i tych wyżebranych zapomóg z P.C.K., to powiększyłyby zapas. Można by jeszcze przez trzy miesiące palić «Chesterfieldy», dawać bieliznę do prania, żebrać i żyć na koszt Czerwonego Krzyża, a z funduszków prywatnych trzymać «fason», rznąć dalej pana i w bridge'a, wytaczać sprawy honorowe nie mając go za grosz. Jeżeli naturalność też jest tylko pozą, jak mówi Wilde, to w każdym razie jest to poza najbardziej naturalna. Tej pozy brakuje nam we wszystkim. Nie lubią nas, często wprost nie znoszą, właśnie za jej brak.

Odczepili się i jestem prawie pewny, że teraz jeden przed drugim będzie darł nosa. «Odmówił panu? Mnie przyrzekł załatwić...» I będzie chodził wyższy o jeden stopień służbowy. To schronisko przypomniało mi Św. Helenę. Tylko że na Św. Helenie był jeden Napoleon, dwie damy i kilkunastu dworaków, pożerających się nawzajem, a tu każdy jest Napoleonem — nic taniej. I tak, jak Napoleon, tak każdy z nich ciągle wraca do swojego Waterloo i wygrywa w głowie nieodwołalnie przegraną bitwę. Kto wie, czy nie zrobili ze mnie agenta Gestapo. Bo jak mu nie załatwisz, jak go to nie «urządza» (to jedno z najpodlejszych słów, najwstrętniejszych) to z miejsca chlupnie ci kubeł pomyj na głowę. Wyjeżdżamy stąd naprawdę z ulgą.

Po półgodzinnej jeździe doliną, wjeżdżamy na przedmieścia Grenoble. Przepisy o wydawaniu żywności tylko na kartki są coraz ostrzejsze, a w tutejszym departamencie (Isère) weszły w życie od wczoraj z całą bezwzględnością. Toteż musiałem każdy kąsek żywności, którą kupowałem przed wjazdem do Grenoble, zdobywać wymową, dowcipami, gadaniem. Udało mi się i wyczarowałem nawet dwie tabliczki czekolady, której oficjalnie już nigdzie nie ma. Grenoble jest miłym miastem, otoczonym górami. Przyjemne bulwary nad Isère. Miałbym wielką ochotę zamienić się z powrotem w studenta i uczyć się w Grenoble. Pojeździliśmy po mieście, wypalili po papierosie na ławce nad Isère i dalej. Przy wyjeździe z miasta żandarm sprawdził nam papiery. Tadzio, poirytowany pobytem w Uriage, miał długą przemowę do władzy, grzebiąc w swoim portfelu. Oczywiście po polsku. Zaczął od tego, że nic, tylko «wam te papie pokazywać. Uważaj, żebym ci czego innego nie pokazał, ty urywku marniej powieści kryminalnej. Człowiek zamiast spokojnie jechać, musi dla takiego kaczego kupra wszystkie flaki z portfelu wyciągać i patrzeć, jak takiemu patykowi z prowincji imponuje, że widzi jadących do Paryża. Masz, czytaj, ty czarny kłopotcie!» — i pcha mu pod nos wszystkie papiery. Nie wiem, co ze sobą robić ze śmiechu, tym bardziej, że żandarm na każde trzy słowa Tadzia odpowiada pobłażliwym *oui* i cały ten pęk kwiatów warszawskich uważa za objaśnienie. Żegna nas miłym *bon voyage*. Tadzio burczy cały czas i w ogóle po tym schronisku nie może się uspokoić. Jest w złym humorze. Milczy. Potem podjeżdża do mnie.

— Czy ty, jakbyś został kiedyś ministrem, mówiłbyś mi dalej «ty» i pozwolił, żebym ja ci też mówił «ty»?

Przyznaję, że byłem zaskoczony. Chwilę milczałem.

— Przede wszystkim nie będę nigdy ministrem.

— Dlaczego? Przecież masz wykształcenie. Mógłbyś być...

— Nie zwracaj mi głowy. Czy ty wiesz co to jest polityka? Jeden wielki pisarz francuski, Paul Valéry, powiedział, że najpierw polegała ona na zapobieganiu mieszania się ludzi do tego, co ich dotyczy, a potem na zmuszaniu ludzi do decydowania o tym, na czym się oni nie rozumieją. Daj mi spokój.

Tadzio śmieje się. Francuski *esprit* ma to do siebie, że rozumieją go Tadziowie całego świata. Ale nie daje za wygraną.

— No ale gdybyś był ministrem, to mówiłbyś mi «ty» i ja mógłbym ci mówić «ty»?

— Tak, chyba tak. (Lubię być ze sobą szczerzy i czuję, że tak całkiem, to jednak nie jestem pewny. Dlatego dorzucam to «chyba», czując w tym momencie, jak silne jest, mimo wszystko, wychowanie w pewnej klasie).

— A czy ty zauważyłeś, jak patrzyli się na ciebie inżynierowie z naszej fabryki, jak ja ci mówiłem «ty»?

Ja nic nie zauważyłem, ale rozumiem, że Tadzio musiał to zauważyć.

— Nie zauważyłem, ale chyba wiesz, że mało mnie to wzrusza.

— A ja się bałem, czy ci nie przykro i właściwie tam, w schronisku, chciałem ci mówić «Pan». Tylko że mi to jakoś teraz do ciebie nie podchodziło. Jędrus, powiedz, nie było ci przykro?

— Zupełnie nie; i zapewniam cię, że gdybyś to zrobił, dałbym ci w gębę ze słowami «znaj pana».

Tuż za Grenoble napotykam pierwszy drogowskaz z napisem «Paris — 550 km.». Już blisko. Jemy pod tym słupem. Jesteśmy zmęczeni i nie chce się nam kręcić. Droga jest znowu górzysta. Kilkanaście kilometrów przed Les Abrets rozbijamy namiot w gęstym lasku, robiąc materac z suchych liści. Niedaleko jest ferma i pod wieczór idę tam po wodę. Niebo pochmurne, ale jest ciepło. Zupełna cisza. Skrzyp furtki na fermie jest tak głośny, że mimowoli drgnąłem. W izbie świeci się już lampa naftowa, a w jej świetle pochylają się dwie główki dzieci, odrabiających zadania. Smarują zawzięcie w zeszytach i skrzypią piórami. Matka ich powitała mnie spokojnym *bon soir, monsieur*, tak jakby mnie już dawno знаła. Zwróciła uwagę dzieciom — «powiedzcie panu dobry wieczór». Chłopczyk i dziewczynka wstali, popatrzyli na mnie wielkimi oczami z dziecięcych portretów Mariette Lidys, powiedzieli *bon soir, monsieur* i usiedli z powrotem. Patronka widząc, że jestem w shortach, przyniosła bez pytania cztery jajka i mleko. Jest młoda, ładna i mówi spokojnym, melancholijnym głosem, miarowym, jak tykanie zegara. Mąż w niewoli, jest

sama na całym gospodarstwie. Daje mi także pełne wiadro wody. Wiadro odniosę jej jutro rano. Jest już prawie ciemno, studnia piszczy, ona mówi cicho i jednostajnie, jest ładna i smutna, jak ten wieczór. Mam ochotę przestać czuć, przestać myśleć, być ciszą, jak to wszystko wokoło.

Powoli wracam do naszego lasku. Tadzio krząta się, podśpiewuje. Gotujemy kolację. W drzewach furknie czasem przebudzony ptak, jakiś owad, wędrujący po suchych liściach hałasuje na dziesięć metrów wokoło; woda w ronedlu zaczyna grać.

Bourg, 24.9.40.

Pogoda jakoś trzyma. Do Bourg mamy jeszcze około 100 km. i właściwie można by tam dojechać jeszcze dzisiaj. Zwiększamy szybkość do 18 km/godz. przeciętnie i rwiemy z pedałów. Pomimo słońca i pogody, ten kraj jest już zupełnie inny. Nie jest gorąco, nie jest tak jasno, kolory są inne. Czujemy, że przejechaliśmy francuski równik: południe skończyło się i zaczyna się ta inna Francja, wilgotna i chłodna. Winogrona są kwaśne i winobranie jeszcze nie rozpoczęte. Po polach, w powietrzu, wszędzie snuje się już jesienny smutek, którego na południu zupełnie nie odczuwałem. Widoczne na prawo pasmo Alp oddala się i niknie we mgle.

Jutro możemy już być w Châlons i ogarnia nas emocja. Czy Niemcy nas puszczą, czy nie? Tadzio twierdzi, że ma jak najlepsze przeczucia: «Co im zależy na takich lejtkach, jak my. Poszprechasz z nimi, ukłonimy się ładnie, powiemy „nach Parysz...” na pewno puszczą». Koło 1-ej popołudniu dzień zrobił się szary i pochmurny. Jemy obiad przy drodze, jedząc na deser białe winogrona, kwaśne jak ocet. W ogóle jest jakoś kwaśno, chłodno i wilgotno. Droga jest monotonna. Po obiedzie ostrzejsze tempo. Po drodze przyczepia się do nas jakiś młody chłopak, dobrze ubrany i trzyma się cały czas za tylnym kołem Tadzia. Przy podjazdach pod górę wyprzedza nas dzięki przerzutce, ale na równym doganiamy go i znowu siedzi nam na kole. Po-
stanawiamy go zmęczyć i zwiększamy tempo. Podjeżdża do mnie i mówi:

— Ależ wy ciągniecie, i to z takim bagażem.

Zaczynam z nim rozmawiać i opowiadać, skąd jedziemy. On był u swoich dziadków na wsi i wraca teraz do Bourg. Opowiada mi, że przed dwoma tygodniami zdał maturę, że teraz chce zacząć wyższe studia leśnictwa. Inteligentny chłopak z francuskiej burżuazji. Zagaduję go o tematy maturalne, o łacinę, o grekę. «Czy mieliście Tacyta, czy Liwiusza?»

— Pan też zdawał maturę? — pyta trochę zdziwiony.

Mówię mu, że i maturę i *études supérieures*. Ożywił się jeszcze bardziej. Mówimy o jego maturze już z całym znawstwem przedmiotów. Opowiada mi, że z historii mieli temat bardzo aktualny, prawdopodobnie podyktowany przez okupantów: «Rola Anglii w dążeniach Napoleona». Chodziło o to, żeby wykazać, iż Napoleon chciał zjednoczyć Europę, ale Anglia, ta wstrętna i perfidna Anglia, nie dopuściła do tego. Zwierza mi się, że wszyscy trochę się boją, bo napisali o Anglii, jako o jedynym kraju, który dzięki swojej nieustępliwej, zimnej krwi i samozaparciu potrafił oprzeć się Napoleonowi i rozbić go w ostatecznej rozgrywce. Nie czytałem gazet i nie słuchałem radia; teraz podobno dzień w dzień i noc w noc Niemcy robią wielkie naloty i chłopak z entuzjazmem opowiada mi o wspaniałej postawie Anglików. Rzeczywiście — wojna. Zastanawiamy się, czy Napoleon istotnie chciał stworzyć pewnego rodzaju Paneuropę pod berłem Francji i kiedy właściwie wpadł na ten pomysł. Na pewno nie zaraz na początku, kiedy zaczęło mu «iść», lecz dopiero później, gdy coraz to nowym podbojom i uciskaniu innych narodów trzeba było nadać cechy myśli wyższej — ideału. Jak dotychczas Hitler nic nie mówił o Europie; mówi ciągle o 80 milionach Niemców, potrzebujących Lebensraum. Kiedy zacznie mówić o Europie i zmieni się z materialisty w idealistę? A może Napoleon miał rzeczywiście taki plan? Tak, ale rozpoczął wojnę z Rosją i to go zgubiło. Zrobił kapitalne głupstwo, którego Hitler chyba nie popełni. Przypominam mu jednak, że przecież początkowo Napoleon spotkał się z Aleksandrem na Niemnie i wszystko szło dobrze. Popsuło się dopiero potem. *Peut-être maintenant ça va changer aussi; on sait jamais*. Śmiejemy się. Pytam go, co myśli o generale de Gaulle. «On jeden ratuje nasz honor przed światem». A Pétain? — pytam. — «On stara się ratować naród». Francuzi pracują na dwie zmiany. I wilk

syty i koza cała. Nie dyskutuję z nim na ten temat. Nie chwytam tego rozumowania. Przerzucamy się na Liwiusza i na Tacyta, na Horacego i Owidiusza, a w końcu na literaturę francuską. Jest zachwycony, że tyle czytałem. Tłumaczę mu, że każdy trochę wykształcony Polak zna często literaturę francuską lepiej, niż niemiecką, że prawie cały Balzac jest po polsku; opowiadam mu o wpływie kultury francuskiej na naszą. Słucha chciwie. «To ciekawe, jak mało Francuzi o was wiedzą». Mówię mu otwarcie, że Francja zanadto zapatrzyła się w swoją wielkość, nie szła naprzód, nie potrafiła wytworzyć młodziży rzutkiej i z ideałem, w dziedzinie ekonomiczno-ludnościowej zaniedbała się, spoczęła na laurach; nie potrafiła zająć ani w przestrzeni, ani w czasie miejsca, do którego pretendowała. I pękała. Przyznał mi rację, a ponieważ ma zamiar studiować leśnictwo i rolnictwo, więc rozgadał się na ten temat. Powiedział mi ciekawą rzecz: już teraz obliczono z grubsza, że Francja straciła w tej wojnie około 300.000 koni. «To przez niedbalstwo żołnierzy — powiada. Rekwirowano konie czy trzeba, czy nie potrzeba, spędzano je razem i wkońcu zwierzęta zdychały i padały z głodu, od słońca, z pragnienia. Czym będzie się teraz orać i młócić? Przyjdzie głód».

Jakby dla ilustracji naszej rozmowy, przejeżdżamy przez małą osadę i musimy zjechać z drogi, bo na drodze — młóca. Ponieważ nie znają klepisk w stodole, asfalt drogi służy im za klepisko. Wpoprzek szosy poukładali snopki i wywijają cepami. Zresztą dosyć niezdarnie. Kobiety stoją obok ze szczotkami i zmiotkami i po wymłóceniu snopków, zmiatają ziarno z asfaltu. Student powiada: «O, widzi pan, teraz tak wszędzie młóca, a gdy jedzie samochód, to musi objeżdżać, bo chłopci nie ustąpią. Wprawdzie Niemcy mają dać 2.000 ton ropy na uruchomienie młockarni i traktorów, ale co to znaczy? Tak, najbliższy rok będzie we Francji ciężki...» Pyta mnie, gdzie mamy zamiar nocować. Odpowiadam, że w namiocie. Proponuje mi wobec tego, że tuż przy wjeździe do Bourg zaprowadzi nas do ogrodu, przeznaczonego specjalnie na obozowanie i że za jego protekcją możemy z tego urządzenia skorzystać. W lecie, w czasie sezonu, obozują w tym ogrodzie «Eclairours» (organizacja harcerska), przejeżdżając

przez Bourg. Teren wynajęty jest przez *Eclaireurs* z Bourg i specjalnie urządzony. Zgadzam się z przyjemnością.

Pod wieczór przyjeżdżamy na miejsce. Po przedstawieniu nas dozorca tego ogrodu, a zarazem właścicielowi przyległej do niego fermy, chłopak pożegnał się z nami i obiecał zaglądnąć do nas jutro rano przed odjazdem. Był naprawdę miły, zdrowy, pełen poczucia solidarności sportowej i bezinteresownego koleżeństwa. Ogród jest właściwie szeroką aleją, wysadzaną kasztanami. Na końcu alei jest mały pawilonik z W.C., kilka umywalni i kilka tuszów. Proste i celowe. Dalej wielki, betonowy śmietnik, oczywiście kryty. Śpi się w namiocie, reszta jak w hotelu. Rozbiliśmy namiot pod jednym z drzew. Dozorca przyniósł nam słomy i — żarówkę elektryczną z długim sznurem. Zawiesił ją na przednim maszcie namiotu i poszedł ze sznurem za drzewo. Po chwili żarówka zapaliła się. «Na noc proszę zgasić — *bonne nuit*». Staliśmy oniemiałi z podziwu. Wreszcie Tadzio, drżącym prawie ze wzruszenia głosem, wyszeptał: «Jędrus — to ci jest kultura...»

— To nie jest kultura; to jest cywilizacja — odpowiadam. Tadzio milczy i nagle wściekł się:

— W takim razie co to jest kultura, a co cywilizacja? Ciągłe o tym mówisz, ale jaka tu różnica? Ja nie rozumiem. — Drapię się w głowę.

— Słuchaj, to światło elektryczne, włączone do namiotu, ten cały ogród ze śmietnikiem, z umywalniami i z dołem higienicznym, to jest cywilizacja. Natomiast, gdy my potrafimy się tym wszystkim posłużyć, jak należy, gdy nie ukradniemy żarówki i drutu nie użyjemy do przywiązania naszych bagaży, gdy nie napaskudzimy po kątach, gdy nie rozbierzemy wychodka na ogień i gdy jutro wyjedziemy stąd nie pokłóciwszy się z dozorcą i nie obiwszy go po mordzie na pożegnanie, to będzie KULTURA. Cywilizacja i kultura, to tak, jak hasło i odzew na ćwiczeniach wojskowych. To sobie nawzajem odpowiada. Jedno bez drugiego nie jest kompletne. To śruba i nakrętka, przy pomocy których możesz dopiero coś zrobić, coś skrócić lub przykręcić. Kultura, ta wyższa, ten następny stopień kultury, to byłoby także, gdybym teraz, przy świetle tej żarówki, zaczął ci opowiadać o historii oświetlenia w ogóle, o roli oświetlenia w kulturze narodów. Czy wiesz, że oświetlenie było jednym z najgorzej rozwiązanych proble-

mów przez wysokie cywilizacje starożytne? Zawsze coś kopciło i na przykład wspaniałe wille rzymskie przypominały po nocnej uczcie kurną chatę. Mury były zakopczone i specjaliści niewolnicy musieli je za każdym razem czyścić. Tadzio, czy rozumiesz nareszcie, jaka jest różnica między kulturą i cywilizacją?

— Zaraz zobaczysz, że zrozumiałem.

Wieczór jest mglisty i wilgotny. Z jesiennych, podstarzałych i przenoszonych liści kasztanów spada od czasu do czasu kropla mgły i wygrywa jesienny tam-tam na bębnie namiotu. Zimno i smutno. Ubieramy się ciepło i idziemy do miasta na gorące wino. Przed wyjściem zachodzę do dozorczy i mówię mu, że wychodzimy na chwilę i żeby furtki nie zamykał. Tadzio kłania się i mówi już z góry «Merci mesie». Potem mruga do mnie: «To jest kultura, co?» — «A żebyś wiedział». Przydrożne bistro jest puste i ciemnawe, butelki na półkach i na kontuarze, za nim gruby patron, przelewający coś przez lejek. Wnętrze pracowni średniowiecznego alchemika. Cisza, nikły dźwięk potrącanego szkła. Słysząc, jak kot, siedzący na ławce, drapie się szybko w tempie motorka dwutaktowego. Zapuszcza i gaśnie. Pijemy rum, bo wino chciał nam dać z sacharyną. Tam, za ciemnymi oknami, nie ma nic. Bistro w zaświatach, pośmiertna karczma. Wilgotny papieros spala się wewnątrz tułki «krytym» ogniem. Płacimy. Skrzypnęła furtka, patron wychylił się z okna. — *Qui est là?* — *Ce nous.* — *Ah, bien, bien. On aura la pluie cette nuit.* Zapalamy światło, Tadzio otwiera puszkę fasoli i puszkę mięsa, bierze latarkę, wychodzi. Słyszę, jak otwiera klapę śmietnika i wrzuca puste puszki. Wraca i wczółguje się do namiotu. «To jest kultura, co?» Śmieję się. «Widzisz, że zrozumiałem». Po kolacji idziemy się myć. Układamy się do snu. W tym momencie w dach namiotu zaczyna bębnić deszcz. Najpierw kilka mocnych uderzeń — bum, bum, bum — potem cała orkiestra. Maszeruje jesień w takt. Pierwszy raz od 6-go września deszcz. Zapomnieliśmy, że istnieje takie zjawisko atmosferyczne.

— Tadzio, czy śpisz już?

— Nie, a co?

— Tadzio, pamiętasz, jak pytałeś mnie tam, w Gruis-san jeszcze, co to się faktycznie robi na tym świecie?

— Pamiętam, a co?

— Tadzio, ten świat rzucił hasło, ale coraz mniej ludzi zna odzew. Ten świat rzucił hasło cywilizacji, ale nie uczy ludzi odzewu kultury. Pobudował i chce pobudować takie ogrody z elektrycznym oświetleniem, ale nie uczy ludzi nic poza tym, nie uczy poszanowania niczego. Czy rozumiesz mnie?

— Jeszcze jak. I wszystkich «cieciów» jeszcze po mordzie okładają. Nie bój się, rozumiem... Żeby nam tylko nie ciekło w nocy...

Deszcz bębni raz mocniej, raz słabiej, czasem z drzewa spadnie większa kropla i stuknie głośno. Jesień — i o niej zapomnieliśmy tam, na południu.

Stajnia, w Châlons, 25. 9. 40.

Całą noc lał deszcz. Budziłem się kilka razy, badałem, czy gdzieś nie kapie, a po upewnieniu się, że jest sucho i namiot trzyma, usypiałem z powrotem. Rano deszcz nie ustał. Siekł zawzięcie i uporczywie. Zjedliśmy po kawałku czekolady, wypalili po papierosie i znowu usypiamy. Tak wspaniale usypia się, gdy deszcz bębni po dachu, jest ciepło pod kocem, oczy zamkną się i myśl płąta bez sensu, niknie, powraca, ucieka. Po raz drugi obudziliśmy się koło 10-ej. Leje beznadziejnie. Jemy śniadanie «w łóżku». Jak jechać? Tadzio w ogóle nie podtrzymał dyskusji na ten temat, odwrócił się i usnął. Ja wyciągnąłem z plecaka zeszyt i pisałem. Po 11-ej przyszedł nasz student z wizytą, zmoczony i zachlapany. Zapytał nas, czy nam czego nie potrzeba i zaprosił na kolację, jeżeli nie mamy zamiaru dziś wyjeżdżać. «Moi rodzice będą radzi panów poznać». Obiecał zaglądnąć popołudniu. W południe zalewamy się winem i jemy z nudów. Deszcz pada, zerwał się wiatr i zrobiło się jeszcze zimniej. Tadzio ziewnął, zwinął się w kłębek i usnął. Ja pisałem dalej. Namiot nie przypuszcza ani kropli wody — mamy czas. Nagle Tadzio zerwał się, usiadł i zdecydował stanowczo: «Ciach Mańkie w piach — płynięm dalej». Złożyłem zeszyt i zaczęliśmy się zastanawiać, jak się ubrać i jak ruszyć się z miejsca. Tak czy tak przemoczy nas do nitki. Pomimo zimna zdecydowaliśmy się na shorty i koszulki, na to swetry, na to nieprzemakalne

wiatrówki. Upakowaliśmy wszystko w namiocie, przenieśli rzeczy i rowery do fermy, zwinęli namiot i kończyliśmy już pakować w stodołę. Deszcz lał. Tadzio plugawie kłął. Koło 2-ej wytoczyliśmy się na szosę. Całe Bourg wyglądało, jak brudne podwórko w dzień deszczowy. Na ulicach błoto, rynsztoki wylały szeroko, ludzie chodzą chyłkiem. Za miastem wzięliśmy ostre tempo, żeby się rozgrzać. Deszcz zrobił się rzadszy, nogi mamy zachlapane błotem aż do pasa. Kręcimy ostro — chcemy jeszcze dziś dopaść do Châlons i przejechać linię demarkacyjną. Puszczą, czy nie puszczą? Niemcy! Tadzio powiada: «Przez cały rok przed nimi uciekałem, a teraz sam do nich jadę». Jesteśmy obydwoj zdeenerwowani. Tempo tak wariackie, że już o 5-ej wjeżdżamy do Châlons, a raczej na przedmieście. *Zone libre* przedzielona tu jest od *Zone occupée* Saoną. Posterunki niemieckie stoją przy wjeździe na most, zamknięty barierą. Serce bije mi szybko. Podjeżdżamy pędem i nagle hamujemy. Niemal opieram się o szeroką, zielonkawo-szarą pierś, przykrytą ciężkim hełmem. Nogi w saperkach rozstawione w ciężkim rozkroku rzymskiego legionisty. Pierwszy raz widzę ich «po tym». Ten żołnierz przede mną wydaje mi się zjawiskiem, potężnym i mocnym. Wyciągam mój *sauf-conduit* i pokazuję. Patrzy, patrzy — machnął ręką i szczerknął krótko, jak zamek przy karabinie: «*Nein!*» — «*Non*», dodał po francusku. — *Warum?* — zapytuję. A potem szybko, w duchu, mówię sobie «dajmonijé». Przecież «dlaczego», to słowo z tamtego świata, z tamtej epoki, słowo przekreślone. Tu już nie wolno się pytać; tu wolno tylko słuchać. Żołnierz nie jest przygotowany na takie pytanie.

— *Haben Sie so einen Ausweis?* — i pokazuje mi przepustkę jakiegoś Francuza, wydaną przez Komendanturę w Châlons. Próbuje tłumaczyć, że moja przepustka jest tak samo ważna. Ze ściśniętego gardła coraz łatwiej wychodzą niemieckie słowa i zdania. «*Minna von Barnhelm*» byłaby dumna... Ale głos zabrał z kolei Tadzio i nie dał mi skończyć. Machnął ręką i mówi po polsku, wprost, na głos: «Co będziesz z takim opiłkiem (?) gadał. Idź poszprechać do szarży — tu jest jakiś gifrajter, ten ze sztykiem przy boku».

Gifrajter spojrział i szczerknął krótko: — *Morgen, kommen Sie morgen früh. Heute ist's zu spät!*

Zajechaliśmy przed barierę spoceni i zmoczeni. Teraz dzwoniemy zębami z zimna. Zawracamy i mijamy barierę francuską. Stoi tu żandarm i śmieje się do nas.

— Nie puścili was, poczekajcie, dzisiaj deszcz, to nie puszczają. Może jutro będzie słońce, to was puszczą. Raz puszczają, raz nie puszczają — *on sait jamais de quoi ça dépend; de l'humeur des officiers sans doute...* A tu obok jest stajnia, to możecie tam zamieszkać i poczekać na zmianę humoru. Tam już jest kilku takich, jak wy.

Prowadzi nas do stajni, odsuwa drzwi i krzyczy wesoło: — *Messieurs, je vous présente les nouveaux locataires!*

Towarzystwo w stajni robi tusz scyzorykami po puszkach od konserw i chórem buczy *salut, camarades*. Podchodzą, witają się, ściskają «grabę», jak starzy koledzy. Wskazują wolne miejsca na słomie: «A wasze rzeczy powieście na hakach, bo w nocy szczury wam wszystko zeżrą».

Kilku zdemobilizowanych żołnierzy, jakiś młody chłopak o piskliwym głosie, naiwnym i wesołym. Żandarm udziela im informacji, kogo dzisiaj puścili, kogo nie puścili i dlaczego — «o, tych dwóch Polaków nie puścili, bo oni Polaków nie lubią». Wszyscy wypytywają się nas, co nam odpowiedzieli i każdy z nich, na podstawie naszego wypadku, wysnuwa wnioski i widoki dla siebie. Jeden czeka tu na jakieś dodatkowe papiery, drugiemu ciocia stara się już o pozwolenie, które ma mu tutaj przysłać, trzeci w ogóle nic nie ma i pięć razy na dzień próbuje przejść — aż do skutku; wszyscy coś kombinują, zasięgają rad żandarma, który zamiast siedzieć przy rogatce, ciągle siedzi w stajni i tylko co chwila wyskakuje: «*Il faut que je jette un coup d'œil s'il n'y a pas de clients*». W sumie wszyscy są rozbawieni; jeden podśpiewuje, trzech bawi się piłką, inni grają w «belotte» czymś, co było niegdyś kartami. Ktoś wrócił z miasta i zapewnia, że tam i tam jest kiełbasa, a tu, naprzeciwko, są konfitury. Nad wszystkim panuje piskliwy głos młodego chłopaka, praktykanta ślusarskiego (*apprenti*), który bez przerwy plecie głupstwa z poważną miną, wierzy naiwnie we wszystko i chciałby już bardzo być u swojej cioci na *rue des Martyrs* i zjeść «piękny talerz fasoli» (*un beau plat de haricot*). Od razu przypadliśmy sobie do serca, bo *rue des Martyrs*, to moje

quartier, a paryskie *quartier*, to tak, jak osobne miasto. Patriotyzm lokalny przede wszystkim. Już znaleźliśmy wspólne sklepy, już obgadujemy znajomych «episjerów», już obydwać śmiejemy się z tej przekupki na Saint-Lazare, co to sprzedając kolczaste jeże morskie, drze się na całe gardło: *Allez-y, allez-y, très bon pour la toilette intime! — Tu la connais? — Ah, dis donc...* Widzę mój balkon, tam wysoko, wśród kominów, jakiś garnek z pękiem anemonów i jasną sukienkę. Siódme niebo. Ściska mnie za grdykę i dusi. *Ah, dis donc... tu sais, Paris...*

Przebieramy się. Wieszamy nasze rzeczy na hakach pod sufitem, przewracamy słomę i zabieramy się do kolacji. Deszcz leje ciągle i zimno jest coraz bardziej przenikliwie. Otwieramy wielką puszkę kapusty kiszzonej z kiełbaskami i podgrzewamy. Wino na gorąco. Kapustą podzieliłem się z tym chłopakiem, bo biedak był bez pieniędzy i jadł na kolację suchy chleb. Był wzruszony, a wszyscy orzekli, że jesteśmy świetnie wyekwipowani i że widać, iż znamy się na sporcie. «Jak dłużej z nami pomieszkacie, to zobaczycie, że tu wesoło».

Ta stajnia i bariera niemiecka z ponurymi żołdakami w ciężkich hełmach. Wśród dowcipów i piosenek tych ludzi tutaj, tamto jest jak szary mur więzienny. Leżę na słomie owinięty w koc i czuję koło siebie dwa światy. Niemal ręką sięgnąć... I znowu, po raz nie wiem który, myślę o Francji. Pomimo wszystkich zarzutów, które można im robić, jest COŚ w tym narodzie. To jeszcze resztki tego, co było — i to może jest najsmutniejsze. To, co inni przeczuwali, za czym podświadomie tęsknili, Francuzi umieli wcielić i rzucić przed oczy w formie jasnej, zrozumiałej dla KAŻDEGO, życiowej. Nie chcieli «nadludzi» — chcieli człowieka i może dlatego ich wpływ był tak głęboki, tak ostro przeorał kulturę świata. Potem szli dalej siłą rozpędu. Wojna poprzednia ich wyczerpała. Co dali światu po tamtej wojnie? Już znacznie mniej, niż im się zdawało. Rozkład?

Wszyscy mówią i nikt nie rozumie, dlaczego Niemcy gdzie uderzą, tam zwyciężają. Mówi się o niedołęstwie, o zdradzie, o nieprzygotowaniu; słusznie, ale każdy dziś zapomina, że w swojej krytyce używa złej miary: mierzy wszystko Niemcami. I oczywiście nikt nie może wykazać tu tego samego przygotowania, co oni. Wszyscy poddali się

sugestii, odwrócili wielkości i jako miarę własnej słabości uważają potęgę Niemiec. Uważa się ich za zjawisko normalne. Ależ Niemcy są zjawiskiem anormalnym, które uderzyło w normalny świat. Normalny świat okazał się zgniły, zdeorganizowany i niedołączny, jak niedołącznym jest człowiek goły, napadnięty przez uzbrojonego pijaka lub szaleńca. Ani Polska, ani Francja, ani Anglia nie mogły im dać rady i nie były by im dały rady, gdyby organizacja ich była nawet stokroć lepsza. Bo żeby móc się z nimi zmierzyć i wytrzymać natarcie, zarówno Polska, jak i inne państwa powinny były przestawić się na styl życia równie nienormalny i obłąkany, jaki był w Niemczech; na tę jednokierunkową ideę i podciągnięcie do niej wszystkich innych zagadnień. I od dłuższego czasu. W czasie wojny światowej stał się przeciwnik z przeciwnikiem, dziś zderzyły się dwa światy, dwie religie. Przecież świata Niemiec nie można uważać za normalny, nie można używać go jako miary. Dzisiaj Anglia poradzi sobie z Niemcami dopiero wtedy, gdy sama przejmie ich metody i sposoby, a może częściowo i światopogląd. Napoleon ... I jestem prawie pewny, że choć Niemcy przegrają tę wojnę, to wiele idei z ich koncepcji świata, koncepcji ekonomicznych i społecznych wsiąknie w całą Europę, jak wsiąkły koncepcje napoleońskie, rozniesione JEGO wojną. Widzę dziś zupełnie jasno, że świat nie mógł pobić Niemców, bo po prostu był tym innym, starym światem WOLNOŚCI. Świat wolności, praw wolności — nieraz także okrutnych — nie mógł się oprzeć dobrze zorganizowanemu niewolnikowi. Usprawiedliwiam ten stary świat właśnie tu, na słomie, w tej brudnej stajni, bo słucham piosenek i dowcipów, które zrodzić mogła jedynie wolność i słowa i myśli i opinii, brak dyscypliny, brak karności i samozaparcia. Płacimy za to wszystko, cały świat płaci, bo choć może pozornie, lecz kierował się on ideą człowieka ze skóry i kości, a nie ideą istoty, poświęcającej się dla dobra tak zwanych «przyszłych pokoleń» i wielkości, utopii. Jeżeli nie dawał wolności naprawdę, to dawał jej złudzenie. Ten inny nie daje nawet złudzeń... Kulę się pod kocem, bo nagle z przerażającą jasnością dostrzegam, że Niemcy wywracają wszystkie pojęcia, wszystkie wartości. Dotąd wierzyło się w siłę i w wyższość człowieka wolnego — Niemcy nauczyli nas już, wdeptali w głowę myśl, że

zdołnym do prawdziwego wysiłku jest tylko niewolnik; że TYLKO on potrafi naprawdę budować i tworzyć. Niemcy niszczą nas bardziej od wewnątrz, niż na zewnątrz. Skutki tego mogą być potworne. I równocześnie, gdy myśl pokrywa się gęsią skórką, nucę wewnątrz walca z «Fausta» Gounod'a. Myślami też jestem na pograniczu, w myślach też odczuwam linię demarkacyjną. Aż nagle widzę znowu cienkie, wygolone i rude brwi panny Dory. Sypią się słowa niemieckie, układają w zdania, spadają w takt kropel deszczu za ścianą. Wspomnienia, sennie i rozmazane. Sens? Te hełmy? Tam, w dżungli Konga, nad brzegami jakiejś rzeki, Frobenius wspominał dziwną termitierę. Wysoki stożek, nad nim przepiękna kopuła, pocięta korytarzami i arteriami, w których malutkie mrówki poruszały się z rytmicznym dźwiękiem. Cicho i spokojnie. Lecz co cztery tygodnie ten spokój nagle pryskał. Z wewnątrz dolatywały odgłosy jakby eksplozji, głuchych wybuchów. Aż w któryś dzień powierzchnia termitiery była zniszczona, kanały otwarte, i tysiące żółtawych trupów walało się w czerwonej ziemi ruin. Kopuła pękała. W nocy, w świetle lampy, widziało się młodą generację tego samego gatunku termitów, która wyszedłszy z dolnych warstw termitiery, mordowała i niszczyła górę bez reszty. Nocy następnej uprzątała trupy i zwaliska, tworzyła swój ład i znowu następował okres ciszy i spokoju... Dlaczego zaczynał książkę, której tytułu już nie pamiętam, właśnie od tego? *Fraülein Dora — was meinte er?* Fraülein Dora wyciągała z torebki papierośa, słuchała, czy nikt nie idzie i szybko częstowała mnie. Potem płynął i łamał się chwilami jej zgrzytliwy głos: — *Als höchste Ordnungsform der Menschen wird heute von den Deutschen der Staat betrachtet. Nach der Hegelschen Philosophie war er der höchste Wert auf Erden und verpflichtete als solcher die Menschen, sich ihm bis zur Aufopferung des Lebens hinzugeben...*

— *Fraülein Dora, diese Wertung ist falsch. Das ist faaaaaalsch, das ist ein Wahnsinn!!...*

W ciemnej nocy chlupie deszcz, wiatr rzuca strumieniami wody o ścianę i szarpie drzwiami. Leżę pod kocem skurczony, jak gąsienica przebita szpilką i wiję się nie mogąc usnąć. I tylko ciągle coś tańczy w takt walca z «Fausta».

Musieliśmy wstać wcześniej, bo zegary po tamtej stronie są posunięte o godzinę naprzód, dostosowane do czasu niemieckiego. Według tego czasu oficerowie «urzędują» na «granicy». Deszcz przestał padać, ale dzień jest ponury i zimny. Gotujemy kawę, dożywiamy młodego chłopca. Potem pakujemy się. Pomimo zimna postanawiamy zostać w shortach, bo wygodniej się jedzie. Koło 9-ej jesteśmy gotowi i ruszamy do odległej o czterdzieści metrów bariery niemieckiej. Nasi towarzysze stoją na progu w komplecie i żegnają nas okolicznościowym *bon passage*. Są tak samo podnieceni, jak my. Czy nas puszcza, czy znowu do nich wrócimy. Jestem zdenerwowany i odczuwam coś w rodzaju zgagi; także wstręt. Chciałbym mieć to już jak najprędzej poza sobą. Podchodzimy do bariery.

Stoi tu trzech oficerów w szarych płaszczach skórzanych, w rękawiczkach. Przechodzących obsługują żołnierze i podoficer i tylko wypadki wątpliwe rozstrzygają oficerowie. Pokazujemy podoficerowi nasze dowody osobiste francuskie i *sauv-conduit*; patrzy, zabiera papiery i salutując, podaje oficerowi. Dwaj inni też zainteresowali się i otaczają nas. Oficer czyta i mówi łamaną francuszczyzną:

— *Vous êtes réfugiés?* Czyta dane w mojej *carte d'identité* i nagle uśmiecha się. *Wo sing Sie geboren?* — pyta nagle po niemiecku. Jestem straszliwie zdenerwowany i zupełnie odruchowo odpowiadam po niemiecku. Odpowiadam — też zupełnie machinalnie, w ogóle o tym nie myśląc, starym dowcipem:

— *In Wien bei Wiener-Neustadt!* Mam poważną minę i od razu zaciskam zęby. Oficerowie wybuchają niemieckim śmiechem, takim piwnym i ciężkim. Ha, ha, ha...

— *In Wiener-Neustadt bei Wien* — poprawia mnie — ha, ha, ha — *Anton, er ist doch dein Landsmann...*

Anton ma szczupłą twarz i uśmiecha się kwaśno. Ten Austriak odczuwa to pewnie jako złośliwość ze strony tego Niemca. Taki żarcik, przytyk. Rozmowa towarzyska. Jakim sposobem jestem Polakiem? Objaśniam krótko i wężłowato. Niemiec bierze mi z rąk portfel i zaczyna z niego wszystko wyciągać i przeglądać. Trafia na fotografię ojca w mundurze, jeszcze w stopniu pułkownika. Pokazuje ją tamtym i jest zachwycony: *Was für ein netter Kerl...* Pięści

same zaciskają mi się i przełykam dużo śliny. Dalsza rozmowa. Skąd jedziemy, jak długo. Teraz śmieją się z uznaniem na wzmiankę o naszej trasie. Pytają, co mamy w naszych tobofach, czy nie mamy broni i obcych walut. Mój zeszyt jest na dnie, w plecaku. Robię ruch, jakbym chciał od razu rozpakowywać wszystkie bety. *Nein, nein — na, fahren Sie weiter.* Myślałem, że to już koniec i wyciągam rękę po nasze papiery. Ale on oddaje je podoficerowi i ten prowadzi nas do małego baraku na drugim końcu mostu. Milczymy i pomimo obawy zaczynam sobie przypominać ten wierszyk Heinego do celników. Najgorsze przewożę w głowie...

— *Warten Sie ein Moment.* — Czekamy. Opieramy rowery o ścianę baraku. Po chwili podoficer wpuszcza nas do środka. Czego oni jeszcze chcą? Wchodzimy. Tadzio najbezczelniej w świecie, trochę bełkocąc, mówi «Gut-wmorde» i kłania się. Potem trąca mnie i ledwo dosłyszalnym szeptem: «Rany Chrystusa — Giestapo». Przy stoliku siedzi dwóch wojskowych. Odpowiedzieli przyjaźnie «Gut-morgen». Oni trzymają w rękach nasze dokumenty i czytają. Potem otwierają grubą księgę — dostrzegamy spisy nazwisk. Drukowane — a jakże — *Ordnung muss sein.* Jeżdżą paluchami po stronicach. Coś poszeptali między sobą. Oddają nam nasze papiery.

— *Na, da könnt Ihr weiter fahren. Warun kehren Sie nach Paris zurück?*

Tłumaczę, że mam tam żonę, że zostawiłem ją bez środków do życia i że już cztery miesiące jej nie widziałem. Jeden z nich uśmiecha się melancholijnie:

— Ja nie widziałem już mojej żony od trzynastu miesięcy — *verstehen Sie* — od trzynastu miesięcy...

Mam głupią minę. Czeka mnie jeszcze większa niespodzianka.

— Jeżeli chcecie jechać pociągiem, to idźcie na dworzec w Châlons. O 11-ej odchodzi pociąg do Paryża.

— Dziękuję bardzo; pojedziemy dalej na rowerach. Jeszcze tylko trzysta kilometrów — to już niewiele...

Uśmiechnął się filuternie: — *Sagt doch besser dass Ihr kein Geld habt um Euch die Eisenbahnkarte zu kaufen...* No, macie tu dziesięć marek — i wyciąga z portfela pieniądze. Gdyby sięgnął po pistolet, leżący na stole, byłbym mniej zaskoczony. Głupia sytuacja, beznadziejna.

— Nie, dziękuję, nie mogę tego przyjąć. Jeszcze mamy pieniądze, ale CHCEMY dalej jechać na rowerach. Mamy już tysiąc trzysta kilometrów za sobą i to byłoby nie sportowo teraz koleją... — tłumaczę gorączkowo.

— *Machen Sie doch keine G'schichten* (raz mówi per «Sie», raz per «Ihr» — zwykle gdy patrzy na Tadzia). — Odeśle mi pan te pieniądze z Paryża. Ja je panu pożyczam.

— Nie, naprawdę bardzo dziękuję. Musi pan nas zrozumieć. To nie jest sportowo po tysiąc trzystu kilometrach ładować się do pociągu — *besonders dass wir weder krank noch müde sind...*

Schował ze śmiechem dziesięć marek i wyszli za nami przed barak. Obmacali rowery z szacunkiem. Zaimponowałem im. Przyglądają się, jak ruszamy z miejsca. Robimy to szybko i składnie. Wjechaliśmy do Châlons. Tadzio oglądnał się i stwierdził:

— A to ci słodki cukierek, kopany w pysk. Co im się stało?

— Propaganda. Mydła oczy. Chodzi o to, żebyśmy opowiadali w Paryżu, jacy oni są mili i jak idą na rękę. Każdy Francuz dałby się na to złapać — ale po co ta zabawa z nami? Przecież dobrze wiedział, że jesteśmy Polakami. Nie rozumiem.

Wjeżdżamy w ulicę, przy której jest Komendantura. Trzeba zatrzymać się i poczekać, bo właśnie rozpoczyna się zmiana warty, uroczysta, całym plutonem. Żołnierze wychodzą z wartowni, stają w szeregu, oddziela się od nich małe podoficer. Francuskie określenie mówi o takich, że «są tak mali, iż pierdząc, podrywają kurz z ziemi». Komenderuje; wyszczekuje krótkie słowa, żołnierze są jak automaty. Potem krótki marsz krokiem defiladowym. Podkute buty walą w bruk, na przedzie mały podoficer. Przy każdym zadartym kroku, hełm kiwa mu się na głowie, jak napaśtek wsadzony na zapalną. Łup, łup, łup — walą podkute buty w bruk tej francuskiej (chyba ktoś przekłuba mi serce igłą) mieściny aż echo odzywa się wśród murów starych domów. — Halt! Cisza. I znowu marsz. Jest taki wiersz Kiplinga — «Buty». Pamiętam, że co kilka zwrotek powtarza się miarowo słowo «buty, buty, buty». Czytałem go raz, teraz słyszę po raz drugi, recytowany wspaniale, w języku zrozumiałym dla każdego, w oryginale, w języku

tych najwymowniejszych na świecie butów i w wykonaniu prawdziwych mistrzów. Mogą się wypowiadać, czym chcą; naprawdę, do głębi potrafią siebie wyrazić jedynie stukiem buta, łomotem podkutych saperek. Tu tkwi ich dusza, ta prawdziwa, bez obłonek. Są artystami. 80 milionów najbardziej utalentowanych kompozytorów muzyki butów.

Zasłuchałem się. Tak samo łupią buty w Oslo, w Kopenhadze, w Warszawie, w Brukseli, w Amsterdamie. Dudnią wszędzie. A gdzie jeszcze będą łomotać? W tej chwili walą w stare kamienie Francji. Czy w każdej kostce bruku jest kawałek mojego serca? Teraz naprawdę czuję, jak bardzo ją kocham. Nie chce mi się wierzyć i te buty gniotą mi serce. Zmiana warty skończyła się i jedziemy dalej. Na ulicach pełno żołnierzy. Chodzą, oglądają wystawy, piją piwo. Są doskonale ubrani i czysti. Szeregowcy noszą rękawiczki. Proporcjonalni, wysportowani i dobrze odkarmieni. Cała Europa wierzyła, że w Niemczech głód; śmiano się, że oni «zaczynają wojnę z kartkami żywnościowymi». Teraz wszystkie narody będą jadły na kartki, a oni będą się obżerać. Na murach porozlepiane wielkie afisze z tonącymi okrętami i z tonącym francuskim marynarzem. Napis: «Pamiętaj o Dakarze». Gdybyż można wymazać ten «Dakar» i wpisać «Tulon»... Zgrzytam zębami. Wjechaliśmy do innego kraju. To była jednak granica. Pogoda uzupełnia ten nastrój: niebo, pola, domy i mundury — wszystko jest «feldgrau». Zimno i beznadziejnie szaro.

Przedwczoraj zrobiliśmy 100 km., wczoraj 80 i jesteśmy zmęczeni. Droga znowu górzysta. Atmosfera jest tak ciężka, że marzę o zaszcyciu się w słomie, o schowaniu gdzieś w stodole, żeby na chwilę uciec w siebie. Co chwila przelatuje obok nas niemiecki samochód lub motocykl, poza tym pustka i cisza. Przy szosie leżą jeszcze gdzieś niedgdzie resztki rozbitych samochodów, czasem grób francuski lub niemiecki z powieszonym na krzyżu hełmem. Groby niemieckie są ogrodzone, ładnie utrzymane; do francuskich ludzie boją się pewnie podchodzić. Robią to za nich Niemcy. Widzimy dwóch żołnierzy, którzy ukończywszy majenie swoich nagrobków, zabierają się w skupieniu do Francuza. *Anständige Buben — und so gut erzogen...*

Zmarzliśmy tak, że w jakiejś wiosce idziemy na rum. Wypijamy po kieliszku od wina i wlecemy się dalej.

Zimny wicher tnie po gołych nogach. Postanawiamy już nie spać w namiocie. W stodole na fermie będzie wygodniej i cieplej. Chciałbym już być w Paryżu, a równocześnie boję się tego powrotu. Wpaść tak nagle już do tego innego Paryża.

Zegarki posunęliśmy o godzinę naprzód i trudno nam się do tego przyzwyczaić. Gwałcenie słońca, które dotąd było naszym panem i władcą. Wreszcie o 5-ej po południu schodzimy z drogi i idziemy do fermy. Patron jest uprzejmy i chętnie pozwala nam się rozłożyć w pustej stajni. Zmarznięci i głodni, mościmy się na kupie słomy, ubierając na siebie wszystkie ciepłe rzeczy. Rozwieszamy mokry namiot. Patron przyszedł do stajni na pogawędkę. Dowiedziałem się od niego, że zarządzono już tutaj spis całego inwentarza żywego i posiadanych zapasów zboża, kartofli, fasoli, grochu itd. Powiedział mi, że podał do spisu tylko połowę, bo «ja dobrze wiem po co oni to robią». A jak zechcą szukać, to niech szukają... Uśmiecha się chytrze Père Grandet. Na wsi *ça ira*, ale w miastach będzie głód. Pod wieczór wyszedł i obiecał nas jutro obudzić. Jemy kolację i zanurzamy się w słomie. Na dworze wilgotno i zimno. Odzwyczajiliśmy się od zimna. Oj — południe... Tak tam było dobrze. Rozumiem ludzi, którzy raz poznavszy południową Francję, tęsknią za nią całe życie. Już tęsknię.

27. 9. 40.

Patron obudził nas wcześniej rano i przyniósł pół wiaderka mleka. Przed śniadaniem poszliśmy do studni umyć się porządnie, bo właściwie ostatni raz myliśmy się pięć dni temu. Dzień zapowiadał się słoneczny i trochę cieplejszy, ale rano wszystko pływało już w jesiennej mgiełce. Gołębie gruchały na mokrym dachu, a patronka głośno wymyślała wielkiemu kotowi, który coś tam nabroił w nocy i teraz uprawiał gimnastykę trapezową wśród dzikiego wina nad drzwiami. Potem rozmawiałem z nią o gospodarstwie. Z grupia frant pytała mnie, czy nie mam srebrnych 10- i 20-frankówek, bo ona to «zbiera». Numizmatyka kwitnie na francuskiej wsi, jak zwykle. Powiedziałem, że nie mam. Pewne prawa ekonomiczne, jeżeli w ekonomii w ogóle można mówić o jakichś «prawach» (Jest to chyba nauka

najbardziej zbliżona do meteorologii: będzie pogoda, ale może padać deszcz), będą zawsze istnieć, wbrew wszystkim «ekonomiom planowanym», «zamkniętym obiegom pieniądza» i bardzo ciekawym studiom Piersona, Misesa i Barone. W żadnym równaniu Barone (Ministerstwo produkcji w państwie kolektywistycznym) nie znalazłem śladu Ojca Grandet. Lipiński miał zupełną rację, gdy w swych wspaniałych wykładach mówił, że ekonomii należy uczyć się TAKŻE z Balzaca. Jestem ciekawy, czy dojdzie we Francji do inflacji. Jeden dzień utrzymania armii okupacyjnej kosztuje Francuzów 400 milionów franków, to znaczy 12 miliardów miesięcznie, 144 miliardy rocznie. (Tak mi mówili po drodze). Ażeby temu podołać, produkcja franków będzie musiała wzrosnąć. Ojciec Grandet «zbiera» wobec tego srebro. Potem przeczuci się na dolary i złoto; na Ludwiki. Rozmawiając z patronem dowiedziałem się także, że za kilka dni mają mu przydzielić do roboty jeńców — francuskich. Niemcy wzięli do niewoli około dwóch milionów Francuzów (trudno mi w to uwierzyć). Część tych jeńców przebywa w obozach, we Francji. Żeby pozbyć się kłopotów z wyżywieniem ich, rozłokowaniem na zimę itd. — Niemcy przydzielają ich francuskim farmerom do roboty. Jeniec francuski będzie pracował u Francuza, który osobiście odpowiada za tego jeńca. Mój patron skrobał się w głowę, krzywił i stwierdził, że nie może sobie tego wyobrazić: «Ja Francuz, też byłem w wojsku i tylko dlatego nie jestem jeńcem, że dobrze uciekałem, mam rozkazywać i traktować jak robotnika jeńca, też Francuza. Nie mam prawa mu płacić, bo to jeniec, a jak nie zechce mi nic robić, to trudno go pędzić lub skarżyć się na niego, bo to Francuz. Jeść muszę mu dać, bo to jeniec, przydzielony przez Komendanturę, a jak mi ucieknie do domu, to ja za to odpowiadam». Istotnie — sytuacja kłopotliwa. Nieraz wydaje mi się, że Francuzi nie tylko nie chcieli się bić, ale nie chciało im się nawet uciekać. Po śniadaniu pakujemy się i jedziemy dalej. Dzień jest słoneczny, ale chłodny.

W jakimś miasteczku zatrzymujemy się, żeby kupić mięsa na wieczór. Wchodzę do sklepiku, dostaję ładne dwa kotlety i płacę 100-frankówką. Patronka grzebie w kasie i wydaje mi resztę markami, które wyciąga z szuflady przy pomocy wielkich pęsetek. Poczujęm, że coś

w mgnieniu oka wezbrało we mnie i wybuchnęło dzikim śmiechem. A ona zaperzyła się:

— Ja mam brać TO w rękę? To jest pieniądz — i potrząsa frankami. Te bilety wizytowe tych *messieurs en gris moisi*, którzy przyszli nas odwiedzić, to nie jest żaden pieniądz!

Wsadziłem do kieszeni trzy marki (60 franków) z mocnym postanowieniem pozbycia się ich przy najbliższej sposobności. W tych pęsetkach odezwała się Francja, ta moja. Tej patronce powinni dać kiedyś Legię Honorową — jej jako pierwszej. Opowiadam o tym Tadziovi. Zaczyna z miejsca śpiewać: «Bo to się zwykle tak zaczyna...» Tak — zaczyna się od tego.

Wszędzie po wsiach kwaterują oddziały niemieckie. Samochody i motocykle ryczą na szosach. Pomimo ich całej siły, to wojsko robi na mnie wrażenie czegoś tandetnego, jak norymberskie zabawki. Uczucie zupełnie niedorzeczne i niemożliwe do umotywowania. Jest coś blaszano-tandetnego w tej armii. To samo zauważa Tazio zupełnie niezależnie ode mnie. Może to po prostu instynkt samozachowawczy — takie pęsetki. Nie można inaczej, to chociaż tak. Teraz... Wszędzie obowiązują już kartki żywnościowe i szczególnie o chleb i ser muszą toczyć długie boje. Oczywiście zawsze dostają bez kartek. Ustosunkowanie się ludzi do Niemców jest milcząco-niewyraźnie-nieprzychylnie. Chociaż jedna sklepikarka powiedziała mi otwarcie, że jeżeli chodzi o wojsko, to woli wojsko niemieckie: «Nasi cofając się, rabowali sklepy i bistra, bili ludzi, gdy sprzeciwiali się rozbojowi. Niemcy mogli wszystko brać; ale chociaż byli tacy, co chcieli im dawać za darmo, oni odmawiali i zawsze płacili. *Ils sont gentils, on peut rien dire...*» Powiedziałam jej, że porozmawiamy, jak zaczną się wycofywać Niemcy... Okolica staje się coraz mniej ciekawa i monotonna. O naszej podróży myślimy już jak o czymś, co minęło. W jednej wsi stoi kawaleria niemiecka, w innej czołgi — wszędzie ich pełno. Poznajdowali już sobie dziewczęta i chodzą z nimi po drodze. Tazio, co zobaczy taką parkę wymyśla na głos mijając ich: «Ach ty flondro zakatarzona, chodź tak chodź, to zajdziesz... Podbije cie pod pierwsze piętro...».

Żeby choć w jakiś sposób można myśleć o przyszłości, wysnuć jakieś przypuszczenia — nic, nic i nic. Myśleć o

przeszłości? Nie ma sensu. Myśleć o jutrze? Czym? Kategoriami wczorajszymi? Nonsens. Pozostaje jedynie chwila obecna. Jeszcze bardziej uprościć swój system myślenia i starać się żyć — wyżyć i przeżyć. A czego się dożyje? Nie wiadomo.

Droga znowu jest górzysta. Idziemy często na piechotę, bo nogi zmęczone. Nie pomagają już nawet klipsy przy pedałach. Podchodząc gadamy. Rozważamy dalsze możliwości życia w Paryżu. Jakoś trzeba będzie sobie radzić. Tyle razy stawałem już przed pytaniem «Co dalej?» i tyle razy nic przed sobą nie widziałem, że w końcu przyzwyczaiłem się; nie nadwyreżam się nerwowo i — gwizdam. Nagle dostrzegamy na szosie motocyklistów, pilnujących stojącego dalej samochodu. Posterunki nas zatrzymują. Stoimy. Maskę samochodu jest podniesiona i dwóch żołnierzy coś naprawia. Brzegiem szosy przechadza się jakieś grube indywiduum w jasnym płaszczu, otoczone kilkoma oficerami. Patrzę, patrzę, z kieszonki plecaka wyciągam okulary, nakładam i oczom nie wierzę. Tam, o sto metrów dalej, przechadza się ze świtą sam Göring. Tadzio też patrzy, pochyla się: «Jędrus — niech skonom — Gieryng!» Na pewno. Nie ma żadnej wątpliwości. Tadzio twierdzi, że «Horch» nawalił i że ten (tu wiązka epitetów, wobec której Pantagruel i Gargantua byli niedorozwiniętymi dziećmi) czeka, aż naprawią. Próbują — motor zarechotał. Jeden biegnie i melduje. Tymczasem motocykliści każą nam zejść z drogi do rowu. Męczymy się, bo rowery ciężkie. Tadzio klnie na głos. Wróży «Gieryngowi»... Po chwili samochód przejeżdża obok nas, jeszcze nie prędko. Oczywiście Göring. Widzę go przez chwilę o pięć metrów ode mnie. Ubrany inaczej niż reszta. Że też każdy z tych wielkich wodzów musi mieć takiego pajaca. Napoleon miał Murata, ale Murat pochodził z cyrku i trudno mu brać za złe jego strusie pióra, lamparcie skóry i złote lamy. Dziwne jest to obserwowanie, jak w oczach robi się historia. Ile nafabrykuje się jej jeszcze za rok, za dwa, za trzy? Bo wypadki pędzą. Wynalazek motoru spalinowego i wzrost szybkości spowodował także wzrost szybkości zdarzeń. Historia świata przypomina jednoaktówkę filmową, w której amerykański komik zaczyna nagle pędzić, że nim tłum.. «Policjant» z Charlie Chaplinem. Minął dopiero rok. Tadzio ciągle pyta się mnie, ile jeszcze. Mówię mu,

że to niestety dopiero początek — jeszcze ze dwa, trzy lata na pewno. «A kto wygra?» — Twierdzę, że Stalin. On patrzy się na zmagania tych dwóch potęg i gotów być tym trzecim. Tadzio śmieje się i mówi, że żartuję. Trochę tak, trochę nie. Zresztą nie tylko ja tak myślę — mówią to ludzie po fermach i w sklepach. Widocznie w tej chwili jest taka moda. Zmienia się co miesiąc.

Pod wieczór przejeżdżamy przez Avallon. Pełno wojska, siedzą po bistrach i śpiewają swoje «Liedy». Są już także Niemki, pewnie żony oficerów. Przyjechały już. Mijamy takie towarzystwo, wsiadające do samochodu i rozbawione. Czuję teraz wstręt do niemieckiego, choć kiedyś bardzo lubiłem ten język.

Stare, francuskie miasteczko z romańskim kościołem i w tym roześmiana *eine blonde Hure*, drąca się na cały głos pod reklamą «Pernod Fils»: *Rudi — da musst du mir aber eine Aufnahme machen!* Poczulem w sobie natychmiast wszystkie skłonności mordercy seksualnego. Co ja bym z nią nie zrobił... Czują się, jak u siebie w domu. Tadzio jest nieostrożny, bo na cały głos odpala mowy: «Nie szastać się tu, psia krew, i jazda do Anglii robić fotografie. Tam was zdejmą, w morde i nożem, wy szwabskie pieńki (?)...»

Kupiłem funt pomidorów i paczkę papierosów i uciekamy z Avallon. Zresztą trzeba poszukać noclegu na jakiejś fermie, bo wieczór zapada znowu zimny i wilgotny. Do Paryża mamy jeszcze 200 km. Pojutrze można by dojechać. Już po zachodzie słońca pytamy w jakiejś wsi o fermę, w której można by się przespać. Gruby patron przydrożnego bistra daje nam adres starej «Mère Marie», która «bardzo lubi takich chłopców, jak wy i zawsze wszyscy harcerze u niej nocują».

«Mère Marie» okazała się wesołą starowinką. Od razu po naszym *bon soir* rozświergotała się i rozbawiła. Plotłem głupstwa i dowcipkowałem, ona była zachwycona. Biegała, sama chciała nosić słomę do pokoju, który nam przydzieliła w pustej części jej domu. Dała nam koldrę i poduszkę, zagrzała mleka. Chwaliła nam się, że w czerwcu spało u niej dwóch generałów, a potem jakiś dyrektor wielkiego przedsiębiorstwa z całym sztabem sekretarek i stenotypistek. Chichotała figlarnie: *Vous savez*, spali wszyscy razem, *le*

directeur et les belles filles de Paris. Szkoda, że was wtedy nie było...» i cmoka. Obejmuję ją i klepię po ramieniu. Starowinka ma widać taką manię, żeby wszyscy u niej spali. Cała była, jak echo tej dawnej Francji Anatola France i Daudeta. Poprosiliśmy o wiadro wody. Nie pozwoliła nam go przynieść. Popędziła do studni kudłatego i brudnego Paulot'a. «To MÓJ jeniec, nasz jeniec, którego mi dali do roboty. On z Paryża — wielki leń i nic nie chce robić; oni wszyscy z Paryża tacy. Biedny chłopak, ale ja go nauczę pracować. Po co macie sami nosić wodę? Cały dzień *il fume ses sales cigarettes et siffle ses chansons de Paris...*» Dałem temu Paulot kilka papierosów. Przyznał mi się, że Mère Marie go gania. W Paryżu był od dziesięciu lat bezrobotnym. Pytam go się, jaki jest jego zawód. Okazuje się, że ma fach bardzo specjalny: wiertacz pereł. Taki, co robi w perłach dziurki. Handel perłami bardzo osłabł, więc nie mógł znaleźć pracy w tym tak specjalnym zawodzie. I wolał czekać dziesięć lat, niż nauczyć się jakiegos innego zawodu. Oni tacy są. Jeżeli jego zawód jest «wbijacz gwoździ», to już za nic na świecie nie podejmie się ich wyciągania, choćby przez całe życie miał być bezrobotnym. Bo wyciąganie gwoździ, to nie jego *métier*. Ale Paulot już dość wprawnie czyści konie, rozwozi gnój i pędza krowy. Tadzio też daje mu papierosów i klepie po plecach: «Ucz się kataniku, ucz. Jeszcze będą z ciebie ludzie, ty oberżłobie». Gotujemy kolację w «naszym» pokoju i kładziemy się spać.

28.9.40.

Wstaliśmy rano i cieszymy się, bo jest słońce. Ciepło nie jest, ale można wytrzymać. Mère Marie dała nam trzy litry mleka i siedzi z nami przy śniadaniu. Świergota od samego rana, jak wróble na podwórzu. Postać z powieści. Jest tak skończona i doskonała w swoim rodzaju, jak fuga Bacha. Ruszamy dalej. Mère Marie całuje nas w czoło, my ją w rękę, co wprawia ją w trans. Biegnie do ogródka, zrywa astry i obdarza nas bukiecikiem. *C'est pour votre femme — ne les perdez pas...* Tadzio żegna się z kudłatym Paulot: «Salut, ty pastuszkule betlejmski, salut». Paulot uśmiecha się kordialnie. Okolica jest nudna, ale jest płasko

i jedziemy nie męcząc się zbyt. Koło południa niebo zaciągnęło się chmurami i zaczął popadywać deszcz. Już taki jesienny kapuśniaczek, francuska *bruine*, mocząca subtelnie i dokładnie. Zimno i ponuro. Mijamy jakieś lotnisko — leżą na nim jeszcze francuskie myśliwce (wyglądają na «Bristole») na wpół popalone. Deszcz zaczyna tak padać, że musimy się przebrać i upakować nasze rzeczy inaczej. Wchodzimy do przydrożnej fermy i chronimy się w wozowni. Wyszła do nas jakaś starucha z laską, złośliwa i zrzedząca. Przeciwiństwo zupełne *Mère Marie*. Bardzo niechętnie zgadza się na nasz krótki postój pod dachem wozowni, coś mamrota i pilnuje nas cały czas. Tadzio powiada, że chętnie «wyrzynałby te zgniłą trumnę w papugie», ale boi się, że byłoby za wiele pyłu. Wyobrażam sobie, jak ta stara tyranizuje resztę rodziny, która czeka tylko na jej śmierć, żeby zagarnąć spadek. Co kilka słów postukuje laską w ziemię, niespokojnie kręci i świdruje małymi oczkami. Jestem pewny, że ona wszystko widzi; nawet to, co się dzieje poza nią. Skondensowana złośliwość i podejrzliwość w pokurczonym, starczym ciele. Tadzio przebiera się i przepakowuje, podtrzymując cały czas rozmowę ze starą. «No i co się tak patrzysz, ty cytryno — nic ci nie podjedziem z tej twojej parszywej hacjendy. A stukaj, Jagusiu laską, to ci śmierć kosą postuka. Co? Koca pani szanowna nie widziała, czy co? To nasz, nie twój — ty stara mazepo...» A stara znowu coś tam do niego. Widząc, że już kończymy i mamy zamiar jechać dalej, zaszła nam od tyłu i zaczęła poganiać laską. Tego mi już było za wiele i huknąłem «z szlachecka» w argot: *F... moi la paix, vieille crécelle, sommes pas des voleurs... Merde!* I usiadłem na dyszlu, wyciągając papierosa. Uspokoila się i odeszła w kąt. Tadzio wygłosił też dłuższe przemówienie po polsku i zapalił papierosa. Deszcz trochę ustał, stara kręciła się niespokojnie. Wytoczyliśmy się na szosę.

Wjeżdżamy do Auxerre. Deszcz znowu zaczął lać i niebo tak jest zaciągnięte czarnymi chmurami, że w mieście panuje półmrok. Na ulicach nie ma nikogo — pustka zupełna. Chcę kupić zapalek i chleba. Ale zapalek nigdzie nie ma. Biegam zmoczony od bistra do bistra; już od trzech tygodni zabrakło zapalek. Wchodzę do piekarni. Patronka, młoda i ładna, nie chce mi sprzedać chleba bez kartek. Tłumaczę jej, proszę, mówię, że wracamy do Pa-

ryża i jesteśmy głodni. Nic nie pomaga. Widzę, że chciałyby mi ten chleb sprzedać, ale się boi. Drży cała i bliska jest płaczu: *Chaque soir ILS me comptent les tickets* — nie mogę panu sprzedać nawet grama bez kartek... Po szybach wystawowych piekarni płynie woda, jak z przelewającego się wiadra, rynny dzwonią i zachłystują się. Stoję i już nic nie mówię. Milczę. Cisza. I nagle kobieta rozplakała się na głos, skoczyła do półki, porwała wielki chleb, podbiegła do mnie. Objęła mnie jedną ręką, przytuliła głowę do ramienia i łkała przeraźliwie, drugą ręką wpychając mi chleb. Szlochając, krzyczała prawie. Urywane i wydzierane poprzez płacz słowa: *Prenez, mangez... vous êtes jeune...* Zaczęła grozić pięścią w stronę ulicy *...tant pis... j'ai pas peur... ILS... ILS ont défendu de vendre...* W końcu nie mogła nic mówić, zanosząc się od płaczu i tylko czasem wykrztusiła w moją mokrą wiatrówkę *ILS*, miotana bezsilną złością i buntem. Poglądziłem ją po głowie, powoli odsunąłem i posadziłem na stołku. Usiadła zgięta, z pochyloną głową. Wyszedłem, nic nie mówiąc. Plusk deszczu na ulicy, półmrok piekarni, ten jedynie zrozumiała i wyszarpywany razem ze szlochami wyraz «ONI», to wszystko było tak przeraźliwe, jak niektóre nowele Maupassanta. Czytałem taką jedną z czasów wojny francusko-pruskiej. Nie pamiętam tytułu, ani nawet treści, ale wiem, że przeżyłem coś takiego i że to tak MUSIAŁO być wtedy. Na głowę i na serce zwały mi się coś ciężkiego, jakiś olbrzymi, szary hełm żelazny. Hełm «ICH». Stoimy pod jakimś daszkiem, otoczeni frędzlami wody. Upycham chleb i cały czas słyszę ten płacz i szlochy w chlupocącej pustce deszczowego dnia. Jeszcze ciągle czuję jej twarz na ramieniu i mam ochotę także płakać... Do ogrodu szczęśliwych dzieci, do kupki piasku, na której bawiły się w słońcu, wdarł się wstrętny chłopak, poburzył babki, skopał zamki, nasypał im piasku do drugich śniadań i szarpie za włosy białe dziewczynki i chłopczyków w białych kryzach.

Ulicą wlecze się jakiś staruszek, zgięty i zawinięty w pelerynę z kapturem. Idzie i postukuje laską w bruk chodnika. Wtem z hukiem przeleciał motocykl, rozbił w pył wielką kałużę i zniknął. Woda bluzgnęła na pelerynę. Stary przystanął, przestał stukać laską, wyprostował się i pogroził pięścią, jęcząc coś cicho, jakies «He.e...ee..ee». I znowu rozpoczął swą wędrówkę na trzech nogach.

Jestem roztrzęsiony, myśli moje są też tylko jakimś «He.e...eee..ee» i mnie udziela się ten milczący strach. Wszystko wokoło drze nerwy i w całym otoczeniu jest coś więcej, niż beznadziejność jesiennej ulewy. Przechodzimy deszcz wszystko jedno gdzie, byle nie w tym mieście. Wciągamy kaptury, wiążę swój starannie i nasuwam na oczy, jak końskie klapy; jedziemy, nurkujemy w ulewie. Kilka kilometrów za miastem znajdujemy przy drodze pustą budę — domek dla robotników, naprawiających szosy. Włazimy do środka, zapalamy maszynkę i gotujemy litr wina z cukrem i z rodzynkami. To stawia na nogi. Deszcz powoli ustaje i przejaśnia się. Dalej. Okolica płaska. W jakiejś wsi dostałem jeszcze kawałek kiełbasy i puszkę groszku. Pod wieczór mościmy się w stojącej samotnie na polu szopie, pełnej słomy. Zostawiam rower i wychodzę do odległej o kilkaset metrów wsi. Tadzio: «A gdzie ty jeszcze idziesz?» — «Pójdę odszukać właściciela tej szopy i zapytam go, czy pozwala, abyśmy tutaj spali». — «Rozumiem, rozumiem...» Patron zgadza się chętnie: «Tylko uważajcie z ogniem». Wieczór jest lodowaty. Krzątam się przy kolacji i gwizdzę. Nie wiem skąd, zupełnie nagle, przypomniała mi się symfonia Bizeta. Ale nie pamiętam która. Tadzio słucha. «Jędrus, to jest wspańiale. Co to jest?». Maszynka syczy. «Ile mamy jeszcze do Paryża?» — «Zobaczymy jutro».

Paryż, 29. 9. 40.

Myli nas ciągle ten niemiecki czas. Rano jest jeszcze szaro, wydaje się, że to dopiero szósta, a to już ósma. W lecie francuskie zegarki posunięte są o godzinę naprzód. Przyszli Niemcy i posunęli jeszcze o godzinę. Zanim ugotowaliśmy śniadanie i upakowali rzeczy, zrobiła się 12-ta. Dzień już tak zimny, choć lekko słoneczny, że chowamy shorty i wkładamy spodnie i swetry. Wyjeżdżamy na szosę i odszukujemy pierwszy słupek kilometrowy. «Paris 135 km.». Popatrzyłem na Tadzia. «Finiszujemy?»

— Jak dobrze czknąć, na wieczór można zajechać. Finiszujem!

Droga równa i od razu bierzemy mordercze tempo. Strzałka szybkościomierza chodzi pomiędzy 25-28 km.

Gdyby nie obciążenie, byłaby to jazda prawie wyścigowa. Przy takim wysiłku w ogóle przestaje się myśleć. Myśl staje się kilometrami. Na przednim bagażu mam przymocowany zegarek i wpatruję się w niego cały czas. Kręcimy. Wracam, naprawdę wracam. Nie ma we mnie żadnego uczucia obcości, ani przez chwilę nie myślę o tym, że jestem w obcym kraju. Wracam do siebie. Już zupełnie zatarły mi się w pamięci te długie tygodnie włączęgi po słońcu. Myślę o moich ulicach w Paryżu tak, jak dawniej myślałem o moich ulicach w Krakowie. Co chwila bieli się w dali słupek kilometrowy, zbliża się, już; teraz znowu 100 m., 200 m., 300 m....

Przelatujemy przez Sens. Na szosie zaczynają się ukazywać żółto-czarne tablice i drogowaskazy niemieckie. Podawana na nich odległość do leżących po drodze miasteczek jest zawsze o 1 km. lub 2 km. większa albo mniejsza od takich samych tablic francuskich. Bo ONI zawsze wszystko lepiej wiedzą: nie 45 km. lecz 46 km. *Das ist ja doch ein Unterschied.* Czy oni to powtórnie mierzyli? U nich wszystko możliwe. W każdym razie wszystkie mapy «Michelin» są na nic. Nazw miasteczek jeszcze nie pozmieniali. Widocznie Francuzom udało się w tym wypadku być dokładnymi, choć nie wiadomo, czy na przykład Melun nie nazywało się za Karola Wielkiego Mehlein... Dochodzi godzina trzecia. Wpadamy do Montereau. Mamy już za sobą prawie 60 km. — zostaje nam około 78 do Notre-Dame, Połowa Montereau w gruzach. Niedziela i ludzie chodzą po ulicach. Zaraz za miastem powracamy do poprzedniej szybkości. Zostawiamy Fontainebleau po lewej stronie i rwiemy do Melun. Znowu wsadzam oczy w szybkościomierz i w zegarek, ale czuję już zmęczenie. Ręce drętwieją i bolą plecy. Nie mogę już utrzymać szybkości. Godzina 4-ta. Cztery godziny bez wytchnienia. Przed 5-tą wpadamy do Melun i prawie nie zwalniając, znowu na szosę. Czuć Paryż. Dużo rowerów i tandemy. On, ona i tandem wyjechali na niedzielny spacer. Jak za dawnych czasów. Włazę na tylne koło jednemu z tych małżeńskich rowerów (tandem przypomina mi zawsze francuskie łóżko) i daję się podciągać. Od razu lżej. Ale po dziesięciu kilometrach nie wytrzymuję. Jesteśmy wyczerpani, od przeszło pięciu godzin «szatkujemy» bez przerwy, bez odpoczynku, bez kęsa jedzenia. Jeszcze

30 km. Obliczam, że możemy chwilę odpocząć. Zjeżdżamy w bok i zeskakujemy z rowerów. Stoimy nie na swoich nogach. Zamieniły się w twarde szczudła. Siedzimy w rowie i dopiero teraz czujemy te 100 km. z kawalkiem, przejechane w pięć i pół godziny. Zwalnianie po miastach zabrało nam wiele czasu. Jemy kiełbasę, ser, konfitury i mleko. Do kubka mleka wrzucam mnóstwo cukru. Po 6-ej ruszamy dalej; zaczynamy wyścig z nocą. Na drodze dużo rowerów — wszystkie obciążone. Ciągną przyczepki z workami, pełnymi kartofli. Jedziemy już wolniej, nogi nie chcą pracować, każdy kilometr trwa wieki. Słońce zachodzi, czerwone i wielkie. Za wszelką cenę musimy zdążyć przed nocą, bo nie mamy światła. Jeszcze raz zrywam ostatkiem sił. Dojeżdżamy. Przydrożne bistra z ogródkami, przed nimi szare samochody i ONI się bawią. Słychać «Liedy». Nad wejściami do ogródków wielkie napisy «Bier». Ano — Biergarteny pod Paryżem.

Już nie daleko, już nie wolno jechać drogą i musimy zjechać na specjalną dróżkę dla cyklistów. Oczywiście — Tadzio nagle woła: «Jędrus — tył mi nawalił». Właśnie gdy mamy wjechać do lasu Vincennes. Zatrzymujemy się i krótka narada. W tylnym kole Tadzia siedzi mały gwoździak. «Zostawić — podpompuję, a jak puści, to ją znowu ciach...»

Szara godzina. Jestem coraz bardziej niecierpliwy, tęskno mi do domu. Ona od dwóch miesięcy nie wie, co się ze mną dzieje... Jeszcze raz zrywam. Trzeba jechać jak najprędzej, bo guma Tadzia wolno puszcza, a na każde pompowanie traci się kilka cennych minut. Przejeżdżamy most na Marnie, wjeżdżamy do lasu, Paryż. Koło Ogrodu Zoologicznego musimy znowu pompować. Nie jest jeszcze ciemno, ale właściwie trzeba by już jechać ze światłem. Z Zoo dolatuje tutaj ostra woń klatek lwów i tygrysów, krzyczą jakieś ptaki. Jestem zupełnie rozmarzony. Dopadamy do Porte Dorée i pod górę przez avenue Daumesnil. Jestem tak wzruszony, że mam ochotę płakać. Bo już jest «nasza» fontanna, a tu «nasz» hotel, w którym mieszkaliśmy kiedyś. Witam każdy kamyczek, każde drzewo. O — tu 1-go września zeszłego roku wyrwałem chłopcu «Paris-midi» i przeczytałem, że wybuchła wojna. Geniuszowi na kolumnie na Place Bastille, na poczciwej «Bastochie».

mam ochotę podać rękę. *Ça va?* Nie — to nie jest obce miasto, ja naprawdę wracam do siebie.

Jest ciemno. Policjanci są bardzo taktowni i nie chcą nas zauważyć. Od razu widać, że to francuscy policjanci, a nie Gestapo, poprzebierane w mundury francuskich «flic'ów», jak nas zapewniali na południu. République. Na placu jest pusto i jedziemy sobie najspokojniej bez światła. Paryż ciemny, pogrążony w przeciwlotniczych ciemnościach. Zatrzymujemy się na chwilę i zapalamy papierosa. Wjeżdżamy na Bulwary. Kręcimy wolno. Na rogu Bd. Sébastopol policjant już nie wytrzymał: — *Vos feux, messieurs!*

Zatrzymałem się i pokazując mu żarzącego się papierosa, mówię z uśmiechem: — *Mais voilà mon feu...*

Zaśmiał się. — *Je vous demande votre éclairage.* — *C'est mon seul éclairage,* odpowiadam, wymachując papierosem. Śmieje się i prosi nas, żeby zejść z rowerów. Zapewnia mnie, że w gruncie rzeczy powinien nam kazać zapłacić karę — *c'est plus comme avant* — *les temps ont changé...* — dodaje melancholijnie. I ja westchnąłem. *Ordnung muss sein.* Jeżeli jeszcze zmuszą ludzi do przechodzenia jezdni pomiędzy gwoździami, to zacznę mówić o końcu świata. Idziemy na piechotę. Już nie daleko. Bulwary... Po brzegach jezdni pełno samochodów, w bulwarowych kawiarniach pełno żołnierzy. Deutsche Wehrmacht kosztuje owoców Paryża. Jest tak ciemno, że idziemy prawie po omacku. Rue Richelieu, rue Laffitte. Po chwili rozpoznaję widma kolumn Notre-Dame de Lorette. Mówię szeptem Tadziewi, że już jesteśmy w domu. Ulice są puste, jak jakieś lochy. Serce wali mi tak mocno, że w tej ciszy słyszę wyraźnie każde uderzenie. Gardło mam ściśnięte. Otwieram bramę, Tadzia z rowerami zostawiam na podwórzu i wbiegam na schody. Dzwonię. Otwiera P. Odpycham go i wbiegam do kuchni. Wypowiedziałem tylko jedno imię i wzdłuż całego mnie poczułem ciepło tulącego się ciała, chowającego się w moich ramionach, zapach włosów, wgłębienia oczu pod ustami, smak łez, słony i gorący.....

Paryż jest cichy. Ulicami jeżdżą tylko niemieckie samochody, a poza tym rowery. Rower jest zasadniczym środkiem lokomocji i Paryż zamienił się w Kopenhagę. Ruch niewielki, wszędzie Niemcy. Żywność na kartki, ale można wytrzymać. W sklepach Niemcy, którzy wykupują resztki tego, co już wykupili w ciągu trzech miesięcy ubiegłych. Wszystko płacą, oczywiście najlegalniej w świecie, okupacyjnymi markami w stosunku 1 marka = 20 franków. I wysyłają *nach Heimat*. Na każdym kroku czuje się, dotyka prawie tego, jak cała Francja wykupywana jest za papierki, drukowane tam, za Renem.

Nie mamy nafty i wieczorem siedzimy przy świeczce. Gotujemy na spirytusie, o który jednak coraz trudniej. Każde głupstwo urasta do rozmiarów problemu. Może to i lepiej? Nie ma czasu myśleć. Przekopałem się przez wszystkie formalności i pomogłem w tym Tadziovi. Byliśmy w Prefekturze policji, ale tam jeszcze dobrze nie wiedzą, jak postępować z cudzoziemcami. Przystawili tylko pieczątki i zaznaczyli zgłoszenie się. Kartki żywnościowe w Merostwach dostaliśmy bez trudności. We wszystkich urzędach jeszcze nieporządek i wszędzie czuje się, że urzędnicy nie bardzo chcą uwierzyć w swobodę, jaką Niemcy pozostawili im tymczasem. Nasza fabryka zajęta przez Niemców — wstęp pod karą śmierci wzbroniony. Dawna dyrekcja urzęduje w sali balowej Merostwa. Od jutra pracuję. Opieka prawna i społeczna nad polskimi robotnikami. Francuski dyrektor, inżynier Chappel, zachowuje się w ten sposób wobec Polaków, że brak słów na określenie tego stosunku. W jego każdym geście, w każdym słowie i decyzji można rozpoznać tę wielką kulturę francuską najczystszej wody, odziedziczoną w prostej linii po najszlachetniejszych umysłach Francji. LUDZKIE spojrzenie na CZŁOWIEKA. Nie ma Francuzów, nie ma Polaków — są LUDZIE, opuszczeni, bezradni, którzy potrzebują pomocy. I nic więcej. Ale jest w tym WSZYSTKO. W tych czasach wystarczy jeden TAKI człowiek, żeby uwierzyć z powrotem w ludzkość. I we Francję.

27.10. 40.

Nie mogę czytać po francusku. Nie mogę. Każde słowo, każdy zwrot w tym języku dławia mnie. Nie mogę znieść tych krągłych zdań i określeń, tej oschłości i kultu słowa bez uczucia. Wiem, że to jest niedorzeczne, ale nie mogę. Gdy patrzę na moje książki na półkach, bez wyjątku dobre i dobrane, nie potrafię wziąć do rąk ani jednej z nich. Wydaje mi się, że przejadłem się ciężkim, przesłodzonym i przekremionym tortem pistacjowym. Fizyczny przesyt i wstręt do słów, zdań, tematów. I z jakąś wprost barbarzyńską żarłocznością pochłonałem «Pana Tadeusza» a teraz drę zębami, jak tłusty udziec barani, «Potop». Oblizuję się cmokam, potłuszczone palce wycieram w spodnie i — żrę. To jest niesamowite: ilekroć czytam «Potop», tyle razy wydaje mi się, że TYM RAZEM Kmicicowi uda się jednak porwać Bogusława, że TYM RAZEM Roch Kowalski złapie Karola Gustawa, że teraz stanie się w tym to, co się nie stało i nie stanie się to, co się stało. Jedno jest pewne: Kmicic nie jest typem godnym naśladowania. Ciągłym puszczaniem sobie krwi nie okupuje się chyba błędów charakteru albo w ogóle głupoty. Okupić je można najlepiej po prostu wykorzeniem ich. Odpisywać na listy, oddawać pożyczone «do jutra» pięć złotych, mniej «kawalerskiej fantazji», a więcej solidności i naturalności. — Ale trudno: czytam «Potop» pewnie dlatego, że tak brak mi wokoło właśnie tej «kawalerskiej fantazji». Cambronne powiedział *Merde!* po czym dodał, zdaje się, że «stara gwardia umiera, ale nie poddaje się». Tym razem powiedzieli *Merde!* i dodali, że «stara gwardia poddaje się i nie umiera». I jest Pétain. A przecież było trzecie rozwiązanie: «Stara gwardia nie umiera i NIE poddaje się». Twierdzą, że obrali właśnie to trzecie rozwiązanie, ale trudno w to uwierzyć.

2. 11. 40.

Dzisiaj Dzień Zaduszny. Tak, jak w zeszłym roku poszliśmy na cmentarz Père Lachaise. Dzień był słoneczny i ciepły, na cmentarzu mało ludzi, bo większość była wczoraj. Poszliśmy najpierw na grób Chopina. Dużo na nim

kwiatów, jakiś bukiet przewiązany szeroką, biało-czerwoną, wstążką. Położyliśmy nasz bukiet, też przewiązany polską wstążką i zapaliliśmy świeczki, które nam zostały jeszcze z mojego urodzinowego tortu w zeszłym roku. Na tym grobie nie myślę i nie modłę się. Modłę się melodiami, które jedna za drugą dźwięczą wewnątrz. Najczęściej powracają moje ukochane, a tak rzadko grane «Rondeau» i «Berceuse».

Przy grobie stała jakaś starsza Francuzka i zapytała, czy jesteśmy Polakami. Potem powiedziała, że to ładnie z naszej strony, że tak pamiętamy, że ona co rok przychodzi tu i że bardzo kocha Polaków. «Tak dzielny i szlachetny naród, jak wy, nie może zginąć i nie zginie». Daj ci Boże zdrowie. Nie mogę już tego słuchać. To tak, jak «macie tu dziadku grosika i jak wam czego potrzeba, to sobie kupcie». Po czym zamyka się drzwi, siada w fotelu i czyta książkę, jedząc czekoladki. Odpowiedziałem jej jednak, jak na Akademii przyjaźni polsko-francuskiej, to znaczy to samo o Francji. Pierwszy raz w historii, i my i oni, jesteśmy w podobnej sytuacji. Chociaż to, co dla nas jest klęską, to dla nich tylko przegraną. Różnica ta jest tak wielka, że trudno porównywać. Gdy my cierpimy, oni z n o s z ą to, gdy my nie mamy nic, oni m a j ą pozory, gdy my nie możemy n i e myśleć, oni n i e m y ś l ą i ż y j ą. Oni są jak człowiek bogaty, który żeby nie wiedzieć ile przegrał, to zawsze jeszcze znajdzie oparcie; my jak nędzary, który wszystko postawił na jedną stawkę, przegrał wszystko i ma do odrobienia wszystko.

Tak, jak w zeszłym roku, tak i w tym, stojąc nad tym grobem myślałem o podobieństwie Jego czasów z naszymi. W zeszłym roku był tu w Paryżu rząd polski, wielka i nieciekawa emigracja i wszystko było, jak we wstępie do «Pana Tadeusza» — jak za Jego czasów. W tym roku rozwiało się wiele nadziei, emigracja powędrowała do Anglii, a w Paryżu zostały niedobitki, które zgodnie z polską tradycją, żrą się między sobą pomimo małej liczby. Bridge powinien być uznany za polską grę narodową: licytacja i rozgrywki. To jedno, co nasi potrafią robić bez zarzutu.

Od grobu Chopina poszliśmy na grób Oscara Wilde'a. Mój skromny bukiet był jedynym, który ożywił ten wielki i aż za wielki grobowiec. Potem jeszcze kilka minut skupienia przed grobowcem Balzaca. Tam w dole jego

Paryż. Niebo czerwieni się na zachodzie, a bliżej morze sinych dachów we mgle. To te dachy barwią ją tak dziwnie. «Puszczają» we mgle. Na ścieżkach cisza, tłum grobów i zapach astrów. Wieńce z blachy lub z koralików wyglądają, jak obwarzanki.

13.11. 40.

Wszystko można znieść na tym świecie, jeżeli ma się choć jedno serce kochane i kochające. Złota myśl z gatunku «kołduny, to dobra rzecz». Tak, tylko naprawdę dobre kołduny trudno znaleźć.

15.11.40.

Koło 8-ej rano zbiegam na dół, wyciągam rower z piwnicy i jadę do Chatillon. Mam prawie godzinę jazdy przed sobą. Na ulicach jest jeszcze ciemnawo. Przez rue Le Peletier dojeżdżam do bulwarów, przecinam je i wjeżdżam w rue Richelieu. Jest tu ciemniej, niż na innych ulicach, bo wąsko i ciasno. Trzeba bardzo uważać. Niemcy ustawiają tu na noc swoje ciężarówki i zostawiają je bez żadnego oświetlenia. Dziś jadący przede mną chłopak uderzył głową w tył samochodu, zupełnie go przed sobą nie widząc. Stracił przytomność. Wszędzie pustki. Podniosłem go i zaniósłem do bistra obok. Zatelefonowałem po pogotowie. Pół twarzy rozbite na miazgę. Wszyscy klęliśmy na głos. Przepisy policyjne są oczywiście dla wszystkich, ale nie dla nich. Za brak czerwonego światła przy rowerze kara do 200 franków.

Przejeżdżam koło Komedii Francuskiej i wpadam do Luwru. Powoli rozjaśnia się. Czasem koło łuku Carroussel maszeruje oddział żołnierzy ze śpiewem. W świeżym powietrzu poranku, niemieckie słowa pieśni płyną daleko, objają się o skrzydła Luwru i giną wśród nagich drzew Tuileries. Jest w tym coś tak smutnego i nieprawdopodobnego, że miałbym ochotę zejść z roweru, chodzić na czworakach i wyć, jak pies. Przejeżdżam Sekwanę, przecinam Bd St-Germain i kręcę pod górę Bd Raspail. Wyjmują tu z jezdni drewnianą kostkę i kładą bruk. Często widzi się,

jak ludzie kradną do worków tę wyjętą kostkę. Na opał. Policjant udaje, że nie widzi, a oni gorączkowo wypychają worki i nikną w półmroku. Wszędzie na ulicach pusto i cisza, mgła jest lepka i wszystko wokoło wygląda, jakby pokryte było żabią skórą. Lśniące i oślizgłe. Od Denfert-Rochereau jadę prosto do Porte d'Orléans. Mijam niemiecką roгатkę, kontrolującą ruch ich samochodów i wozów. Przejżdża obok mnie z piekielnym hałasem pluton nowiutkich czołgów francuskich (Renault), obsadzonych oczywiście nimi. Mijają mnie. Z każdej wieżyczki wygląda ubrany w czarny mundur żołnierz. Zatrzymują się przy drodze za miastem, wylazą z maszyn i otaczają młodego oficera. Ten wyszczekuje ostrym głosem swoje uwagi. Uczą się jeździć na sprężenie francuskim... Krótka komenda, motory zaczynają ryczeć i cały pluton toczy się znowu ze zgrzytem i brzękiem po bruku.

Przyjeżdżam do fabryki, a raczej do sali balowej. Francuzi sennie zabierają się do grzebania w papierach. Witam się z kolegami, *Ça va?* — *Ça va!* (U nich zawsze *ça va*). Zbieram materiał do wyjazdu i wracam do miasta.

Wędrowniki po Merostwach, Prefektura policji, Ministerstwo pracy, schroniska. Codziennie trzeba komuś coś załatwić, ułatwić, wydobyć.

Wszyscy słuchają teraz radia z Londynu. Codziennie są jakieś sensacyjne wiadomości. Wszystkim się zdaje, że Niemcy już przegrali, że jeszcze trochę cierpliwości i «górną nasi». Mam swoje poglądy na tę wojnę i nie entuzjazmuję się. Cóż z tego, że Anglicy zbombardowali coś tu lub tam. To jeszcze zabawa na długie lata z wieloma niewiadomymi. Niemcy głaszczą Francję i za wszelką cenę chcą przeciągnąć opinię francuską na swoją stronę, chcą zrobić sobie z Francji sprzymierzeńca i ugnieść rząd Pétain'a, jak plastelinę, dotąd jakby oporną. Są w nim dwa kierunki: jeden proniemiecki, za współpracą; drugi proangielski, za stworzeniem wolnej Francji w koloniach i przyłączeniem się kolonii do Anglików. Krążą różne plotki o tym rządzie, ale prawdy trudno dociec. Gazety są dyktowane. Nie czytam ich.

Na obiad wpadam do domu. Z jedzeniem nie jest jeszcze najgorzej. Na dole, pod naszym domem kończy się targ i przekupki z wózkami rozjeżdżają się także na obiad. Jeszcze niektóre pokrzykują, rozsprzedając resztki: *Allez-y,*

allez-y, tapez dedans, profitez... allez-y. Po obiedzie wracam do fabryki, albo znowu jazda po mieście. Wieczorem mam nieraz w nogach koło 80 km. tylko po Paryżu. Pod wieczór wracam. Słońce chowa się w stronie Pól Elizejskich, opada mgiełka. Nasza dzielnica, dawniej spokojna, jest teraz bardzo ożywiona. Wszystkie bary, dancingi i domy publiczne, zamknięte na czas wojny, otwierają się jeden po drugim. Wszędzie napisy *Nur für Deutsche Wehrmacht*. Przy wejściach do domów publicznych widzi się nieraz ogonki. Porządku pilnuje podoficer, pełna bojaźni bożej «Schwester» wprowadza szczęśliwca najpierw na zastrzyk. Przed «Alcazarem», gdzie z wielkim powodzeniem idzie goła rewia, stoi nieraz cały oddział w dwuszeregu. Podoficer załatwia w kasie wstęp, wraca, wywrzaskuje *Rechts um* i cała kompania wchodzi dwójkami do środka. Po przedstawieniu rozwiozą ich autobusami na Place Pigalle, na komendę rozejdą się do domów publicznych i na komendę wrócą. Żeby chociaż Paryż był dla nich Kapuą...

Jeden dzień mija za drugim i już niedługo Nowy Rok. Wszyscy mówią: «Byle przetrwać zimę — na wiosnę znowu coś się ruszy». Zima minie, wiosna minie, wszyscy powiedzą. «Czekamy na lato». Minie lato i znowu powróci problem przetrwania zimy. I tak jeszcze przez kilka lat. Bo nie wierzę, żeby ta wojna mogła skończyć się prędko.

20. 11. 40.

Sytuacja Polaków w Paryżu jest jasna. I właściwie z nieprawdziwego zdarzenia, Niemcy, a raczej Gestapo, utworzyło tu specjalny «Polenreferat», na czele którego stoi niejaki pan radca Schwerbel. Ten Niemiec skończył gimnazjum polskie bodaj we Włocławku, mówi doskonale po polsku i «opiekuje się» nami wszystkimi. Polacy są przeważnie skupieni w trzech schroniskach, które po długich walkach z katolickim «Caritasem» przejęła tak zwana Markiza, Polka z pochodzenia, Francuzka po mężu. Zaprzyjaźniła się z tym Niemcem, przy jego pomocy wsadziła do więzienia księdza Cegielkę i zarząd niewygodnej dla niej instytucji przy kościele polskim w Paryżu, Gestapo zrobiło dokładne kartoteki i — jest spokój. Pan radca zdobył sobie

po schroniskach łatwowiernych przyjaciół, którzy dają mu listy do rodzin w Polsce («Ja wam to wyślę»), rozmawia o literaturze i kulturze polskiej, *et voilà...* Sielanka, w której może przyjść oczywiście kolej na mnie i na kilku moich znajomych. Ale może nie przyjść. Robię swoje.

We wszystkich urządach francuskich jest jeszcze zamieszanie, a najgorzej z policją. Czuję się zupełnie pusty. Polityka stała się częścią życia. Wieczne pytania: Jak się to skończy, co zrobią Niemcy, co będzie z Bałkanami? Unikam tych rozmów. Wiem jedno: dziś jest 20 listopada i Niemcy w Anglii nie wylądowali. To jedno jest pewne. Gdy myślę o tej wojnie, zawsze kojarzy mi się to z wojnami napoleońskimi. Jest to mój tak zwany «hobby», czyli konik. Hitler ma źle skomentowany podręcznik epopei napoleońskiej i według niego wydaje rozkazy i polecenia. Napoleon też chciał lądować, skoncentrował nawet wojska nad Kanalem, narobił Anglikom strachu i rozeszło się po kościach. Wojna obecna jest szeregami kampanii niemieckich w Europie i ciągłym stanem wojennym z Anglią, z którą nie dochodzi do spotkania decydującego. Niemcy mają już prawie całą Europę, a właściwie nie mają jej. No i najważniejszy w tym problem, to ROSJA. Czy w końcu i tu będzie podobieństwo do wojen wielkiego cesarza? Ostatnio widzi się sporo fotografii Stalina. Czy przyrządy uśmiechający się «batuszka» powie pewnego dnia: «A teraz chodź do mnie — miejsca u mnie dużo»? Niemcy wkroczą do Rosji i rozpuszczą się w tej przestrzeni, jak kostka cukru w szklance herbaty. A potem Anglicy i Amerykanie strzepią ich pod jakimś Waterloo. Marzę, jestem Rzekim, jak każdy Polak potrosze. Ta wściekła wojna będzie długa, a co z niej wyniknie, to Bóg raczy wiedzieć. Mimo wszystko każdy przeżyty dzień, spokojny dzień, jest ważny, bo zbliża do tego niewiedomego końca.

25.11.40.

Jesień w tym roku jest zimna, ale pogodna. Paryskie, emaliowane dni słoneczne. Pod wieczór siedzę przy oknie, patrząc na zachód słońca. Morze dachów, widoczne z naszej mansardy, robi się coraz bardziej gołąbkowe, potem sine i zimne. Daleko, w mgiełce, wieża Eiffla z zatkniętą

na szczycie chorągwią ze swastyką. Doczekała się i tego ta 51-letnia matrona paryska. I ją ubrali. Zapaliłem dziś w piecyku i siedziałem po ciemku, patrząc w rozjaśnione ogniem okienko z miki. Jeszcze ciągle nie mogę przeboleć tych spalonych zeszytów, czasopism polskich. Bohaterowie! P. wiedzieli, że piszę. Po wejściu Niemców do Paryża kazali Basi wszystko spalić. Ze strachu, Dobrze, że tych kilku polskich książek też nie kazali popalić. Pilnowali, żeby Basia zrobiła to przy nich. Wydarła z tych zeszytów kilkanaście kartek. Zostało ich w sam raz tyle, ile we mnie z mojej przeszłości. Niczego nie odtworzę i nie chcę nawet odtwarzać. Już to, co pisze się nawet natychmiast, jest zawsze trochę kłamstwem, zdeformowaną myślą, źle oddanym prawdziwym dźwiękiem. To już zwykle ta sama melodia, lecz napisana na pewno w innej tonacji. Gorzej — często «dur» wypada, jak «mol» i odwrotnie. Najlepsze ucho nie pomoże. Może dobre jest tylko to, co wynika z bezpośredniego połączenia między piórem i tym dziwnym światem myśli i odczuć? W iluż wypadkach czuje się, że połączenie nie jest bezpośrednio, że mozolnie przebiega przez różne centrale, w których słyszy się głupie głosy telefonistek. Te głosy telefonistek można łatwo rozpoznać w rzeczach pisanych. Z jakim wysiłkiem eliminowałem je ze swojej prozy Flaubert, ile napaplały w Balzacu?

Jeżdżę po Paryżu przez cały dzień. Z przestrzennych Bulwarów wpadam w mroczne i zawsze inne (albo te same i też zawsze inne) uliczki, patrzę, myślę i nie myślę, podglądam, na skrzyżowaniach ulic wyciągam rękę i pokazuję kierunek, w którym skręcam, uśmiecham się do policjanta. Czasem czekam, aż przepłynie kolumna szarych samochodów i jadę dalej. Zagadam coś do pomnika Molière, pomnikowi Gambetty w Luwrze powiem zawsze: «Najwyższy czas, żeby cię Niemcy zdjęli» (Niemcy mają podobno ten dobry pomysł), przemknę koło kościoła St.-Germain albo pooglądam obrazy, reprodukcje i antykwarjaty na rue Bonaparte. Nurkuję w starych uliczkach i wypływam w przedpokoju jakiegoś Ministerstwa lub dyrekcji przemysłu. Wiem, że uda mi się załatwić wszystko, ale za jakieś trzy miesiące. Ci z prochowni też dostaną pieniądze. Tymczasem trzeba pisać listy i sterczeć w przedpokojach. Sterczeć. Potem znowu przejeżdżam Sekwanę i wpadam na rue du Faubourg-Saint-Honoré. Piękne i dawniej niewi-

doczne kobiety, chodzą teraz piechotą lub jeżdżą końmi. Powoziki, tilbury, kariolki. Paryż wygląda, jak sto lat temu: mała i cicha uliczka, stukot końskich kopyt i mały pojazd z piękną kobietą, ubraną też trochę à la Louis-Philippe. Myślę o George Sand, o Lady Dudley, o księżnej De Langeais, o Liszcie... Armia zdobywcza zachowuje się bez zarzutu. Są spokojni, godni, dobrze wychowani. Nie widziałem ani jednego pijanego. Armia opanowanych szaleńców, która wykonywuje wszystko pod kierunkiem naczelnego lekarza, też szaleńca. Ale imponują. Czy widział kto, żeby kobietom ustępować miejsca w métro? Żołnierze niemieccy robią to z gracją. Tysiącem pozorów oswajają Francuzów i przygotowują grunt do «kollaboracji», o której coraz głośniej. No i mamy już EUROPE. Przypomina mi się rozmowa z tym studentem, napotkanym w powrocie. Słowo «Europa» rzucane jest tymczasem dyskretnie, jak pierwsze piłki tenisowe, gdy przeciwnicy nawzajem «wymacują» reakcję. Ostrożnie, cicho i dyskretnie to wielkie słowo «Europa» zastąpi w oficjalnym języku «Niemcy». Żołnierz niemiecki przestanie się bić za wielkość Niemiec, będzie się bił za szczęście Europy i dla Europy. Zdobyczy nacjonalizm, chcąc utrzymać w ryzach coraz to więcej podbitych narodów, musi rzucać międzynarodowe i idealistyczne hasła i slogany. Zawsze ta sama komedia — komedia napoleońska, powtarzająca się jota w jotę. Tworzenie «niepodległych», nowych państw. Jeszcze nigdzie nie zrobili króla. Na przykład Göring bardzo nadawałby się do tej roli; ten hitlerowski — Prince Murat. Fabryka historii pracuje na trzy zmiany i sprowadziła najnowsze urządzenia. Może najlepszą w nich jest maszyna kłamstwa. Konstrukcja jej jest naprawdę godna podziwu. To kłamstwo jest, jak źle podrobione banknoty. Ale już tyle puszczono ich w obieg, że wszyscy przyjmujemy je i płacimy, jakby nigdy nic. Wiemy, że są fałszywe, ale chowamy, do portfela. Świat? Ludzkość? Człowiek? Proszę! 1.500 Kł., tych nowych środków obiegowych; nie mają żadnego pokrycia, lecz nie grozi im dewaluacja.

28. 11. 40.

Dni mgliste, jesienne. Słońce świeci wymijająco, bez zobowiązania. Liście z drzew opadły i przyjdzie zima. Każdy dzień chowa się za parawanem w kolorze *gris-moisi* z niewiadomą ilością innych i wyskakuje co rano, mija, przechodzi. Jak w liczniku taksówki.

Spotkałem Tadzia Piotrowskiego. Odnajmował pokój u jakiejś Francuzki. Uciekł z Paryża i niedawno wrócił, aby kontynuować studia. Jego patronka spaliła mu wszystkie książki polskie, które miał w swoim pokoju. *Mesure de prudence!* Rozumiem: barbarzyństwo budzi strach, strach pobudza barbarzyństwo. Niemcy nie muszą niczego organizować, do niczego zmuszać; oni STRASZA. Reszta robi się sama. Pod wpływem strachu wali się w mgnieniu oka wszystko. Czuję, że gdybym się bał, runąłbym sam przed sobą. I dlatego NIE CHCĘ się bać.

4. 12. 40.

Podobno kilka dni temu Włochy wypowiedziały wojnę Grecji. «Rzym» podbija Helladę. Tym razem jednak Grecy biją «Rzymian». Sprawa Bałkanów nie jest rozwiązana i czeka na rozstrzygnięcie. Równocześnie plotki, że cały rząd francuski w Vichy siedzi na walizkach i czeka na moment ucieczki do Afryki, żeby opowiedzieć się wyraźnie po stronie Anglii. Tutejsze gazety atakują oczywiście wszystkich ministrów w rządzie Pétain'a, nazywając ich proangielskimi zdrajcami. Mówią nawet o jakichś aresztowaniach, ale jakich i kogo — nie wiadomo. W każdym razie rząd Pétain'a nie poszedł jeszcze na wyraźną «kolaborację». I chciałabym, i boję się... Jeszcze się wstydzą.

10. 12. 40.

Człowiek żyje, jak troglodyta. Od rana do wieczora najbardziej interesującym zagadnieniem jest — jedzenie, opał, światło. Niemcy udowodnili, że rzymską zasadę «*panem et circenses*» można stosować *à rebours* i że wynik jest ten sam. Albo się daje chleb, aby lud nie myślał, albo

się go nie daje i lud też przestaje myśleć. Szczególniej tu, gdzie wszelki proces myślenia zależny jest od żołądka. Głowa nie jest składnicą myśli, lecz magazynem żywnościowym. Budzi się jakieś lichy i uważa się za swój święty obowiązek szukać okazji bezkartkowych. Cały Paryż wynalazł nowy snobizm. Gdy ktoś mówi, że dostał funt masła bez kartek, należy uśmiechnąć się z politowaniem i wycedzić niedbale: «Kupiłem 3 kilo cukru po 12 franków». Najbardziej godnym pożałowania jest człowiek, który na wzmiankę o masle rzuca się, jak oparzony i wielkim głosem pyta: «Gdzie?» W swej bezgranicznej naiwności spodziewa się, że tamten odpowie mu «gdzie». Tamten tylko uśmiecha się i odpowiada wymijająco. *Il faut être malin*. Jeszcze nigdy egoizm i pokryta uśmiechami zawść nie miały takiego pola do popisu. Wszystkie rozmowy w Paryżu przypominają teraz rozmowy u «Plastyków», gdzie wszyscy topili się nawzajem w łyżce wody. Roi się od wielkich talentów czekoladowych, maślanych, cukrowych i mlecznych, odmawiających sobie nawzajem wszelkiego talentu.

14.12. 40.

Przedpołudnie w «métro». Cicho, wagony prawie puste. Na Concorde wsiadła cała rodzina, powracająca z pogrzebu. Kilkanaście osób na czarno. Co jakiś przystanek ktoś wysiadał i wtedy rozlegało się kolejne cmokanie, tak głośne, że nawet turkot kół nie mógł go zagłuszyć. *Allez, mon vieux, il faut descendre...* i pac, pac salwa pocałunków, galop cmoknięć, krótkich, urywanych, to znowu przeciągłych, przypominających odgłos wypijania przez słomkę resztek oranżady z pustej szklanki. Wreszcie została jedna para. Gdy wysiadali, cmoknąłem sobie kilka razy. Oglądnęli się. Cmoknąłem w ich stronę jeszcze raz. Brakowało mi tego do kompletu. Jutro zacznie się pięcioletni proces o spadek i przestaną się cmokać. Jedno o drugim będzie mówiło: *Ah, ça alors... pensez-vous... quel salaud...*

15. 12. 40.

Zimno. Mgła i kapuśniaczek. Jest tak subtelny i gęsty, że padając na moją nieprzemakalną kurtkę, syczy. Bezustanny syk. Zapadłem w jakimś bistro na rue Broca. Piję gorące wino. Cisza. Ulicą jedzie wóz z browaru, obwieszony beczkami. Każde uderzenie kopyta końskiego o bruk jest wyraźnie oddzielone. Zapaliłem papierosa i patrzę. Patron za kontuarem mocuje się z kawałkiem korka w butelce przy pomocy szpikulca do kruszenia lodu. Potem resztki lemoniady z kilku butelek zlewa do jednej i gdybym wziął «panaché» (piwo z lemoniadą), dołączyłby mi na pewno ten coctail do piwa. Nie wezmę. Weszła jakaś okoliczna prostytutka w pantoflach na bardzo wysokich obcasach. Ma ładne nogi. Powiedziała: *Quel temps* i wypija kieliszek koniaku. Spojrzała na mnie i uśmiechnęła się. *Ça va?* — *Oui, merci, ça va.* — *Tu veux?* i kiwa przymilnie głową w stronę hotelu naprzeciwko. — *Non, ma cocotte, merci.* One teraz doskonale zarabiają. Płacą wszystko markami. Przedtem miały funty. Nie tylko one. Kilka koleżanek z fabryki też «uczy» się niemieckiego. Jedna z nich pochwaliła mi się przedwczoraj, że bierze lekcje: *Ich lerne deutsch.* «Z oficerami, czy z żołnierzami?» — zapytałem obojętnie. Roześmiała się głupio i poszła. Wszystko dlatego, że jedna marka to 20 franków.

Dziewczyna wyszła. Patron siedzi za kontuarem i patrzy w okno. Ja też. Jest mi dobrze. Jest coś w atmosferze takiego zapadłego bistra w mglisty dzień, co uspokaja. Nerwy zamieniają się we włóczkę z angory i można je nawijać na palec.

16. 12. 40.

Rozmowa z kasjerką w fabryce, kobietą starszą i mądrą.

— Co pani myśli o wojnie?

— Nic mnie to nie obchodzi. Ludzie się mordują nie wiadomo po co. A pan co myśli?

— Gdybym miał pewność, że uda mi się dojechać, to pojechałbym do Anglii.

— Mon Dieu! Cóż za myśli. Przecież tu jest pan o wiele bardziej pożyteczny. Dlaczego, po co?

— Chyba pani rozumie — jest coś w człowieku, co każe myśleć inaczej, niż nakazywałby rozsądek; to jakieś uczucie, ta chęć powiedzenia sobie prawdy, wiara...

— Nie rozumiem, o czym pan mówi; przecież ma pan żonę, zarabia pan — *il faut gagner sa petite vie et c'est tout*.

— Widzi pani, tu chodzi o uczciwość, o p r a w d ę czy wprost o o b o w i ą z e k...

— ???

— No na przykład czy pani kogoś kocha, czy ma pani jakiś ideał, choćby to był nawet człowiek. Chodzi mi może także o ideał.

— Tak... Mam kogoś, kogo kocham.

— Czy mogła by pani zdradzić tę osobę?

— Myślę, że — tak. Ale nie sercem!

— Wszystko jedno. Czy nie odczuwałaby pani potrzeby, niemal obowiązku, powiedzieć mu o tym?

Oburzona: — Panie, **TEGO SIĘ NIGDY NIE MÓWII!**

Rozmowa ta przypomniała mi rozmowę ze znajomym listonoszem, jeszcze przed wojną. Pokazywał mi pornograficzne fotografie z seansów miłosnych we czwórkę: on z żoną swojego przyjaciela, przyjaciel z jego żoną. Opowiadał mi ze szczegółami, jak się to odbywa. Zapytałem go:

— Jakto? To pan pozwala robić temu drugiemu z pańską żoną wszystko? Całować i ...

Przerwał mi oburzony: — Panie, wszystko, tylko nie całować. **USTA MOJEJ ŻONY TO JEST MOJA OSOBISTA RZECZ!**

I potem dyskutuj z nimi.

17. 12. 40.

Zimno. Temat wszystkich rozmów: **JEDZENIE**. Temat wszystkich myśli: **JEDZENIE**. Przejeżdżając dziś koło Notre-Dame mimowoli pomyślałem: «Gdybyż te rzeźby były z masła. I żeby nikt o tym nie wiedział!» Po

czym starałem się sobie przypomnieć, w których okolicach Tybetu robią istotnie wielkie rzeźby z masła. Wiem na pewno, że tam robią takie rzeźby. A gdy wojna się skończy zgodnie z życzeniami wszystkich to... to przede wszystkim przypłyną na wielkich okrętach konserwy amerykańskie... A potem myślałem o wieczności i spostrzegłem, co to znaczy przyzwyczajenie. O wiele łatwiej można sobie wyobrazić, że to nie ma końca, bo tak się od dziecka słyszało. Natomiast zupełnie sobie nie można wyobrazić, że wieczność jest także bez początku. Jest to myśl zdolna przewrócić gałki oczu o 180 stopni.

18. 12. 40.

Bardzo charakterystyczne. Wieczorem na kolacji w jednej z polskich restauracji. Epopea litografii i szytchów, którymi sala była przyozdobiona, przedstawiających stroje wojska polskiego z czasów wojen napoleońskich i powstania listopadowego. Po wejściu Niemców do Paryża, policja francuska przybiegła i kazała natychmiast pozdejmować ze ścian te «plansze». (Dobrze, że nie kazali popalić...). Patronka zbuntowała się i nie pozdejmowała ich. W międzyczasie zaczęli do tego lokalu zaglądać oficerowie niemieccy, mówiący często po polsku. Kilku z nich stało się nawet «Stammgastami». Policja francuska przypędziła po raz drugi i zagroziła, że jeżeli ona nie zdejmie tych «plansz», to oni zamkną jej lokal. Pozdejmowała zatem «plansze» i na ścianach pozostały jasne prostokąty — ślady obrazków. Przyszli Niemcy i podnieśli gwałt. Gdzie są obrazki? Co pani z nimi zrobiła? Opowiedziała im o nauce policji. Byli oburzeni i kazali jej natychmiast powieść z powrotem wszystkie obrazki. «My nie mamy nic przeciwko wojsku polskiemu. To był zawsze bohaterski żołnierz. Prawdziwa wojna była w Polsce, a nie tu...» Mówił to jakiś podporucznik z Wehrmachtu.

I wszystkie obrazki wiszą na swoim miejscu, a Polacy, którzy tu przychodzą, są często zachwyceni. Nasza łatwowierność nie uległa zmianie od czasów rozbiorów. Pomachać nam biało-czerwoną chorągiewką, złożyć hołd bohaterom, pozwolić zaśpiewać «Boże coś Polskę», «Rotę», «Jeszcze Polska» i «Pierwszą Brygadę» i można dużo zro-

bić. Nie można się dziwić, że tak wielu Francuzów daje się codziennie brać na przynętę pozorów ich wielkoduszności, na kolaborację z Niemcami w nowej Europie, o której coraz głośniej. Sądząc z tego, co mówią w radio, Niemcy pokpili całą sprawę u nas swoją głupotą. Całe szczęście. Zanadto nas nienawidzą, żeby kierować się tylko psychologią.

19. 12. 40.

Bardzo ważnym zagadnieniem życia jest teraz STANIE W Ogonkach. Stoję w ogonku i słucham. Stoję w tłumie bab, w tłumie istot przypominających żywcem karykatury Daumier'a, sztychy z czasów Rewolucji w muzeum Carnavalet, trykotantki. Istoty poubierane w jakies brudne łachy, rozczłapane buty, lepkie od brudu, w opadających pończochach z rozmierzwionym włosom. Każda z nich licytuje się w ilościach ogonków, które już ma dzisiaj za sobą, w ilości przestanego czasu. «Dwie godziny, *pensez-vous*, do czego doszliśmy. Wczoraj na obiad musiałam...» Tu następuje szczegółowy opis czynności kuchennych. A potem znowu mięso, cukier, masło, kartofle. Nagle wrzask. Ktoś usiłuje wkręcić się na początek ogonka. Kilka wściekłych bab rzuca się z tyłu na przód i zaczyna wymyślać tej *resquilleuse*, wzywając na świadków najbliższe otoczenie. Po tyśiąckroć powtarzane na wszystkie tony: *Ah non, ça alors* kotłuje się w pomruku reszty. Sprawa wyjaśnia się: kobieta usiłująca przepchnąć się poza ogonkiem jest w ciąży.

Obraca wokoło swoim umyślnie uwydatnionym brzuchem i odgryza się babom. Przypomina grubego bąka z blachy, wydającego różne odgłosy i bzyki w czasie obracania się. Kobiety w ciąży mają pierwszeństwo, mają wydaną przez merostwo «kartę pierwszeństwa» i mogą nie stać w ogonkach. Baby wracają na swoje miejsce, mrużąc: »Nikt się nie chce kłócić o miejsce — *pensez-vous* — ale musi być sprawiedliwość *quand même...*» Szczególniej wobec kobiet w ciąży są bardzo podejrzliwe, bo z początku, kiedy jeszcze nie było urzędowych «kart ciąży», uzyskiwanych na podstawie zaświadczenia lekarskiego, pojawiało się w ogonkach pełno kobiet ciężarnych, żądając *priorité*.

Uzyskiwały je dzięki tutejszemu kultowi ciąży. Gdy jednak odkrywano pod suknią lub płaszczem jaśki i majestatyczny brzuch matki okazywał się wypchany, skończyły się dobre czasy. Teraz pierwszym i z trudnością hamowanym odruchem tych wściekłych megier jest obmacać brzuch pchającej się poza ogonkiem. *On connaît bien ces femmes enceintes...* dorzucają zawsze, wpychając się z powrotem na swoje miejsce ruchem pluskwy, włączając za listewkę łóżka.

Chwilowy rwetes uspokoił się — baby znowu gadają. Mięso, cukier, konserwy «Olida», smalec, fasola. I znowu od początku: mięso, cukier, «Olida»... Wiele z nich przynosi do ogonka robotę na drutach i trykotuje. Miałbym często ochotę związać im ręce, jednym z tych drutów przebić język i zostawić. Jak takiej megierze na makabrycznych kartkach primaaprilisowych, które sprzedawano u nas. Od tych rozpraw filozoficznych o jedzeniu można dostać mdłości. Mówią o tym z taką zachłannością, z taką zawzięcią gdy chodzi o kogoś, kto dostał na przykład paczkę ze wsi, iskają tak każdy kąsek, że w końcu cały świat zamienia się w ŻARCIE, PICIE, SPANIE i S... Ciągłe któraś z nich wybiega z ogonka i zaznaczając wyraźnie osobie stojącej przed nią *je suis derrière vous* (to świadek w razie sporu lub zarzutów tych poza nią) zagłada do sklepu i wraca z nowinami. Ze złośliwą radością w głosie, powiada: «Dla tamtych na końcu już nie wystarczy». Mówi to tak głośno, żeby ją ci «na końcu» usłyszeli. I na końcu ogonka podnosi się pomruk, coraz głośniejszy, bo baba z przyjemnością dorzuca: *C'est pas la peine d'attendre*, trzeba było przyjść wcześniej». Od razu wrzaski: «Nie każdy może przyjść wcześniej... Nie zawsze można...» A baba podtrzymuje dyskusję i zaczyna opowiadać: *Mais MOI... ET MOI... SI JE...* Ona jedna jest wielka, wystarczy JA naśladować, a wszystko będzie inaczej. Krzyki i wymyślania. Wtedy podchodzi policjant, pilnujący porządku w ogonkach i zagładnawszy do sklepu, uspokaja: wystarczy dla wszystkich. Z kolei wszyscy zaczynają wymyślać babie; cały ogonek. I tak w kółko. Ogonki i ogonki, po wszystko i po nic, ogonki dla ogonków, ogonek do ogonka. Mięso, cukier, «Olida», kartofle, smalec, fasola...

W tym wszystkim człowiek jest istotą, starającą się jedynie o wepchnięcie w siebie pewnej ilości węglowoda-

nów i tłuszczu z białkiem, o wydalenie tego z siebie po przetrawieniu i o ponowne staranie się o węglowodany i tłuszcze. Nie chodzi o to, żeby żyć, ale żeby mieć czym s.... Z dnia na dzień. Życie ogranicza się do funkcjonowania przewodów pokarmowych, regulowanego ilością posiadanych pieniędzy. Ohydne.

21. 12. 40.

Przesłuchanie. Zajechałem wieczorem do Domu Polskiego. Robotnicy mówią mi: «Schwerbel jest na górze, przesłuchuje ludzi w sprawie tych futer, które markiza dostała dla schronisk, a które sprzedaje teraz po 100 i 150 franków». Rozumiem. Gadam chwilę z nimi, temu trzeba pomóc na merostwie, ten chciałby na południe...

Nagle wpada jeden z nich i mówi: «Pan Schwerbel prosi pana na górę». Zaskoczyło mnie to. Nigdy nie mieszkałem w żadnym schronisku. Już mu powiedzieli... Idę. Przy maszynie do pisania siedzi młody jeszcze mężczyzna, ubrany bardzo starannie, pali angielskie «Black Cat'y» (obłowili się po Anglikach), wita mnie uśmiechem. Mówi doskonale po polsku.

— Dobry wieczór. Pańskie nazwisko jest mi znane albo z literatury albo z historii...

Boję się, ale mam ochotę wybuchnąć śmiechem.

— Jeszcze ani z jednego, ani z drugiego. Pan się myli — odpowiadam z uśmiechem.

— Aaa... myślałem. Pan co robi we Francji?

— Przyjechałem przed wojną, pracowałem i pracuję u Francuzów...

— Pan w wojsku nie był?

— Nie.

— No, nie potrzebuje się pan z tym kryć. My nic nie mamy przeciwko wojskowym. To obowiązek, jak każdy inny. Więc pan w wojsku nie był?

— Nie, nie byłem. Pracowałem. Zostałem zmobilizowany do przemysłu.

— No i cóż? Chciałby pan pewnie wrócić do Polski. Miejsce każdego dobrego Polaka jest teraz w Polsce. Musimy pracować, wziąć się do uczciwej pracy...

— Nie.

Jest zaskoczony, ale zamydla dalej.

— Robię, co mogę, żeby umożliwić wszystkim powrót, ale ta akcja księdza Cegielki i pewna działalność polskich elementów komunistycznych uniemożliwia mi robotę, opóźnia wszystko...

— Szkoda.

— Tak, i widzi pan, jacy ludzie są głupi. Po co te machinacje? Jak ktoś chce jechać do Anglii, to czemu nie powie mi tego otwarcie? Dałbym mu przepustkę aż na okupowaną przez nas wyspę Jersey, do której okręty Czerwonego Krzyża angielskiego dowożą żywność. Mamy taki układ z Anglikami. I niech sobie taki pan siada na okręt i jedzie do Anglii, do tego piekła. Proszę, niech jedzie!

Milczę, ale mimo wszystko chce mi się śmiać. Szyje powrozem. Trochę zaczynam rozumieć całą tę politykę. Niemcy zostawiają nam swobodę ruchów, chcąc wyłapać jedynie elementy dla nich szkodliwe i nie zaprzętać sobie głowy resztą, zdając tę resztę pod kontrolę markizy w „jej” schroniskach i cały ciężar opieki finansowo-społecznej przerzucając na Francuzów. Mają ważniejsze rzeczy na głowie, niż tych kilkuset Polaków. A pan radca umyślnie komplikuje sprawy, zgrywa się, żeby mieć trochę roboty i żeby go nie wzięli do wojska. Kto mu jest niewygodny, to go przymyka. Dzięki swojej «przyjacielskości» ma wielu oddanych informatorów, wszystko wie i w rezultacie nasze pożyczycie z Niemcami jest spokojno-nieokreślone. Rozmowa ciągnie się dalej.

— Co pan wie o tej sprzedaży futer przez panią markizę?

— Właściwie nic nie wiem.

— Ach, więc pan zeznaje na korzyść tej pani?

— Nic nie zeznaję.

Zapisał to wszystko po niemiecku i przeczytał mi na głos. Podpisałem. Pan radca jest jedynym przedstawicielem Niemców i naszym «duchem opiekuńczym». Żadne inne władze niemieckie nie zajmują się nami — jest ON. I tak się jakoś trwa.

22. 12. 40.

Nie ma chyba nic bardziej nieznośnego gdy ludzie, których się nie cierpi, dają tak zwane «dobre rady» i gdy te rady okazują się naprawdę — dobrymi.

23. 12.40.

Smutno. Brak tego uczucia Świąt. Uciekam myślą do tych kilku serc, dla których warto żyć i przeżyć to wszystko. Zimno i szaro. Deszcz ze śniegiem zwała się co chwila na szyby okienne i gniecie je. Nad Sekwaną i koło Madeleine sprzedają choinki. Chciałem kupić, ale są bardzo drogie. Usiadłem przy piecu i czytałem moje notatki z południa. Próbowałem opisać południową Francję to tak, jakby się chciało malować słońce atramentem. Miałbym ochotę pisać o tym bez końca; szczególnie teraz. Wiatr rusza drzwiami, prześlizguje się przez wszystkie szpary, puka do okna kroplami deszczu albo nagle przysłania dachy płachtą śniegu, lecącą z daleka i jakby porwaną z ziemi. Taki strzęp, brudny, porwany ze śmietnika.

Samotność. Wprost dojmujący ból osamotnienia. Brak śmiechu, rozbawienia, ożywienia. To więcej, niż samotność; to zupełna pustka, podkreślająca obcość wszystkiego dookoła. Nie jest się do niczego przywiązany, z nikim związany. Jesteśmy sami we dwoje i każde z nas trzyma się drugiego, jak masztu na okręcie wśród burzy. Przez cały rok można nie odczuwać tego osamotnienia, można być nawet zadowolonym z tego; teraz to boli.

24. 12. 40. koło 12-ej.

Był wieczór, jak każdy inny. Napaliłem i ciepło. Umyliłem się w naszej patelni i Basia położyła się do łóżka. Była bardzo zmęczona. Przysunąłem stół, sam usiadłem porządnie ubrany. Na stole ustawiliśmy fotografie i łamałiśmy się opłatkiem, patrząc na nie. Jedliśmy sardynki, barszcz z uszkami, daktyle. I wtedy zrobiłem jej niespodziankę i wyciągnąłem butelkę szampana. Uśmiechnęła się, pocałowała mnie: «Dobry jesteś, że pamiętasz...» Ale

choć tak lubi szampana, nie chciała pić. Odwróciłem się, żeby nie widziała że mam w oczach łzy. Bo było mi naprawdę bardzo smutno. Nie wystrzeliłem z butelki i wyjąłem korek po cichu. Za oknami postękiwał wiatr i koniecznie chciał się wepchać do pokoju. Prawie całą flaszkę wypilem sam, zagryzając daktylami i paląc fajkę. Świeca skwierczy od czasu do czasu i głośno tyka budzik. «Która godzina?» Poglądziłem ją po głowie. «Śpij — ona minie i przyjdą inne...»

1941

3. 1. 1941.

Jesteśmy na Reuilly w NASZYM POKOJU. Kosztowało... Rano wstałem i pojechałem do Domu Polskiego do Tadzia. Było jeszcze szaro. Wchodzę do ich pokoju. Tadzio śpi. Igiełka już wstał i coś tam dłubie, Boruc leży w łóżku i drzemie. Igiełka przywitał mnie z hałasem: «Panie B., z Tacka nie będzie pan miał pociechy bo wrócił o 2-ej nad ranem komplet nadryzgany».

Budzę Tadzia. «Aaaa, Jędrus, już jadziem. Ależ ja jestem pijany. Już się ubieram i idę po wózek». Rzeczywiście wstał i zaczął się grzebać. Tamci dwaj mu dogryzali, on się odcinał. Tadzio jest trzeźwy do połowy. Znam go i wiem, że choć zupełnie pijany, trudno po nim poznać. Tymczasem Igiełka wyciągnął ćwiartkę wódki z kąta, jakąś puszkę pasztetu i chleb i orzekł, że musimy się napić na ten Nowy Rok. Napiliśmy się. Zaczęło nam smakować. Tadzio zauważył że zaraz mu lepiej, zrobiło się wesoło. W końcu złożyliśmy się i wysłaliśmy Igiełkę po pół litra wódki i śledzie. Poleciał prędko na Saint-Paul do Dombrowskiego i przyniósł. Było już jasno, za oknem zaczął padać wielkimi płatami śnieg. Rozczuliliśmy się wszyscy i «po kubie» jak mówi Tadzio. Bęc, bęc, bęc — chlebek z marynowanymi śledziami i dalej bęc. Ja byłem już dobrze podcięty, Tadzio i Igiełka zupełnie pijani. Ale trzymaliśmy fason. Igiełka zaofiarował nam pomoc.

Wszyscy trzech zeszliliśmy chwiejnym krokiem na dół, złapaliśmy się wózka i wyruszyliśmy. Dochodziła 10-ta. Sypał gęsty śnieg cicho i spokojnie. Nad Sekwaną pusto,

rząd pochylonych drzew, domy, lewy brzeg — wszystko gubiło się w śnieżnej mgłę i uciekało sprzed oczu. Śnieg wpadał za kołnierz, moczył twarz i grubą warstwą osiadał na ramionach i na kapeluszu. Był tak gęsty, że Tadzio machając rękami krzychał «rozejść się, przejście dla szanownych tragarzy», walił dłońmi w płatki i monologował.

Koło Arts-et-Métiers poczuliśmy pragnienie i wstąpiliśmy na piwo, a po piwie koniaczek. Wjechaliśmy na Bulwary i koło Porte Saint-Martin zaszliśmy na kirsz. Roznosiło nas. Już teraz i ja byłem prawie pijany. Pletliśmy głupstwa, Tadzio mijając policjantów kłaniał się i mówił: «Czuj duch ty ... w pelerynie» — jednym słowem karawana pipacka, trzymająca się wózka. Koło 12-ej zajechaliśmy na Saint-Lazare. Z wielkim stukiem i zasapani wyszliśmy na szóste piętro.

Śnieg sypał i sypał, zwał się bez przerwy na całe miasto. Znieśliśmy rzeczy, ułożyli na wózku, nakryliśmy to namiotem i wyruszyliśmy. Śnieżyca rozszalała się na dobre, czuliśmy że będzie ciężko. Zaczęliśmy się wlec krok za krokiem, stopy obsuwały się i ślizgały. Z Saint-Lazare na Reuilly jest około sześciu kilometrów. Już na Bulwarach wytrzeźwieliśmy zupełnie. Dysząc ciężko człapaliśmy nogą za nogą. Od Porte Saint-Denis bulwar wznosi się lekko aż do République. Gdyby nam nie pomógł pchać w tym miejscu jakiś Francuz, który zlitował się widząc nasze próżne wysiłki, to nie wiem czy ruszylibyśmy z miejsca. Śnieg nie przestawał sypać i pokrył miasto grubym kożuchem.

Umilkliśmy i z uporem posuwaliśmy się metr za metrem. Pomimo mrozu pot lat się nam po twarzy i byliśmy mokrzy od stóp do głowy. W końcu po pięciu godzinach tej jazdy zajechaliśmy przed hotel. Tadzio spieszył się na jakąś randkę i od razu pojechał, ja z Igiełką poznosiłem nasze graty do pokoju. Potem z pustym wózkiem do Domu Polskiego. To było już zabawką bo rue Crillon blisko. Oddaliśmy wózek, wyściskałem Igiełkę dziękując mu za pomoc. Gdyby nie on, we dwóch nie dalibyśmy rady. Potem wróciłem na Saint-Lazare.

Byłem tak zmęczony, że usiadłszy na korytarzu zacząłem zupełnie bez powodu płakać. Dopiero gdy odpocząłem trochę, zeszedliśmy z Basią na dół i unosząc kilka ostatnich drobiazgów, pojechaliśmy metrem na Reuilly.

W pokoju hotelowym, prawie nieopalanym, wydało nam się gorąco. Szesnaście miesięcy tego gołębnika wykończyło nas zupełnie.

6. 1. 41.

Obydwoje mamy wrażenie że jesteśmy w sanatorium dla nerwowo chorych. Jest nam tak dobrze, tak spokojnie i swojo, że chwilami o niczym nie myślimy. Rozkoszujemy się wszystkim. Rozkoszą jest łóżko, umywalnia, osobna kuchenka, gaz, światło elektryczne, szafy, podłoga kryta linoleum i nawet ludzie: patronka wyklinająca na okupację i puszczająca radio z komunikatami z Anglii na cały regulator, piekarz i piekarczowa witający nas, jak za dawnych czasów, swoim uśmiechem ludzi grubych i dobrodusznym, sklepikarka z córką, chochlikowatą Francuzeczką, czupurny *marchand des vins*, były lotnik, darzący Basię wielką sympatią i wykrzykujący na jej widok do swoich klientów: *Voyez-vous, madame est Polonaise. On les aura, n'est-ce pas, madame?!*

Wszyscy nas poznali i z powrotem zaliczyli do swojego *quartier*, do wielkiej rodziny stałych lokatorów «Hôtel du Commerce». Patronka poleciła Basię do «swoich» sklepów, gdzie zapisali ją bez trudności. Ludzie są tu zupełnie inni, trochę jak na prowincji. Nie ta okropna, zachłanna i beczelna hołota 9-go *arrondissement*. W hotelu ci sami lokatorzy co dawniej; nawet nasi sąsiedzi zza ściany nie zmienili się. Ona nadal jest gruba i imponująca obfitością kształtów — on mały, ładny, drobny i młodszy od niej. I znowu dolatują do nas odgłosy ich głośnych i skomplikowanych pieśnyczot.

Wracam pod wieczór do domu i wydaje mi się że czas zatrzymał się, że jeszcze ciągle jest «przedtem». Patrząc z czułością na figurę, stojącą przed wejściem, na sztuczną grocę obrośniętą bluszczem i na drzewo przed oknem. Śmieszne — w hotelu odnalazłem dom.

Nie chcę się nam nic robić, rozpakowywać, urządzać. Kładziemy się do łóżka, zapalamy nocną lampkę i czytamy. Leżeć i czytać. Nie ma już lodowatej, kamiennej podłogi, nie ma kłopotów ze spirytusem, nie trzeba chodzić po po-

koju w palcie, można ręce myć w ciepłej wodzie i można spać w piżamie bez swetra i szalika na głowie. Jak sen.

7. 1. 41.

Już wiemy, czego należy się trzymać. Pan radca Schwerbel przyszedł na wilię do schroniska na avenue Wagram i po wiliu wygłosił mowę do Polaków. Mowa była bardzo pozytywistyczna i zakończona zwrotką z wiersza Asnyka, tą wymowną, programową:

*Trzeba z żywymi naprzód iść,
Po życie sięgać nowe,
A nie w uwiędłych laurów liść
Z uporem stroić głowę.*

Verstanden? Jest coś pikantnego w tym Gestapo, deklamującym pozytywistyczne wiersze Asnyka na polskiej wiliu. Po tej mowie, pan radca udał się do pokoju pani markizy i tam śpiewali razem — polskie kolędy. Pan radca jest muzykalny i ładnie śpiewa. A nasi słuchali ich na korytarzach. E., człowiek inteligentny i B., robotnik (E. zapisał ten wierszyk i od niego mam tę zwrotkę) — obydwaj, opowiadając mi o tym, stwierdzili: «Panie B., to na pewno jest Polak!» Tak, bo mówi wiersze Asnyka i śpiewa kolędy. To już wystarcza. Odpowiedziałem im, że jeżeli on jest Polakiem, w takim razie ja jestem Niemcem. Jeżeli w tym roku pan radca podejmie inicjatywę mszy za duszę Piłsudskiego, Dmowskiego i Daszyńskiego, to cześć! To już Polska jest na pewno niepodległa.

10. 1. 41.

Od Nowego Roku trzyma mróz i pogoda zupełnie nie paryska. Jest świeżo i ulice pokryte są grubą warstwą śniegu. Sprzątają go bardzo powoli i można by świetnie jeździć po całym Paryżu saniami. Z jedzeniem coraz gorzej. Pojawiła się wszędzie wielka brukiew, tak zwana

«rutabaga». W gazetach podają 1001 sposobów przyrządzania tej jarzyny i przekonywują o zaletach i korzyściach odżywiania się tym paskudztwem. Obok tego szal dowcipów na temat jedzenia brukwi. W każdej gazecie jest pełno humorystycznych rysunków. Na przykład rodzina przy pustym stole, ojciec siedzi z książką. «A teraz, zamiast obiadu, przeczytamy sobie ucztę Pantagruela». Podobno niemiecka cenzura jest zaskoczona tym humorem i uważa go za niewłaściwy i szkodliwy. *Schädlich!* Jak można kpić i robić sobie żarty na ten temat w takiej sytuacji. Pamiętam, że w doskonałych «*Silences du Colonel Bramble*» A. Maurois, Anglik powiada do Francuza: «Czy pan wie, dlaczego ta wojna jest tak straszna i tragiczna? Bo Niemcy nie mają poczucia humoru». To jest prawda. Bardzo głęboka. Nie ma prawdziwej kultury bez subtelного dowcipu. Boję się narodów bez dowcipu, bez lekkości. Między Niemcami a Francuzami istnieje tu przepaść, nie dająca się wypełnić niczym; żadną kolaboracją, porozumieniem i nowym miejscem nowej Francji w nowej Europie.

O tym coraz głośniejszy. Vichy wyrzuciło anglofilów i zaczyna wyraźnie stawiać na współpracę z Niemcami. Urabia się opinię w tym kierunku. Już w ogonku słyszałem parokrotnie zdania, że Niemcy są *gentils*, że są dobrymi organizatorami, że przysyłają Francji swoje kartofle. Gdzież u diabła podział się ich *esprit de contradiction*. Swoją wrodzoną krytycyzm wyładują na *notre gouvernement*, na tle którego Niemcy wypadają oczywiście wspaniale. Całą administrację pozostawili w rękach Francuzów, administracja ta oczywiście kuleje, bo nagle zrobiła się bardziej «planowa», niż niemiecka; mnóstwo papierów i formularzy, a brzuchy puste.

20.1. 41.

Pan Radca jest dobrym psychologiem. Wypożyczalni książek polskich w Domu Polskim nie zamknął. Kazał sobie tylko dać katalog, wykreślił «niebłagonadiożne» tytuły, kazał je sobie oddać i zabrał się sam do ich czytania. Wśród wykreślonych dzieł znalazła się jakaś antyniemiecka książka Axela Munthe. Pan radca przeczytał to i w kilka dni później przyniósł to jednemu z Polaków w schronisku

Batignolles. «Niech pan to przeczyta, jest to chyba najlepsza charakterystyka Niemców». Podobno Axel Munthe przyprawił ich w tym zupełnie dobrze. (Nie czytałem). Czy to ma być ostrzeżenie? On jest naprawdę figlarny. Optymiści twierdzą, iż on czując, że Niemcy tej wojny wygrać nie mogą, zabezpiecza się w ten sposób na przyszłość. Jesteśmy wielką rodziną, na czele której stoi radca, ojciec łagodny, wszechwiedzący i wszechpotężny. Każde jego powiedzonko lotem strzały obiega polski Paryż. Byłem żołnierzem, którzy znikąd nie mają pieniędzy, daje czasem po kilka franków na papierosy. »A gdyby wam policja francuska robiła trudności, że jesteście bez papierów, to przychodźcie do mnie. Już ja im tak zatelefonuję, że was palcem nie tkną». No i ciągle pracuje w pocie czoła nad tym, żeby wszystkim umożliwić powrót do kraju. «Tylko wy, waszym zachowaniem się, nie utrudniajcie mi roboty». I część dzieci jest grzeczna. Ale nie wszystkie...

31. 1. 41.

Ameryka przypomina kota, wchodzącego do miednicy z wodą. Umoczy łapę, otrzepie ją, potem stoi i patrzy. Wsadza drugą i znowu prędko wyjmuje, otrzepując. Może kiedyś zdecyduje się wejść.

C. wyraził dziś poglądy «oświeconych» Francuzów: «Niemcy są jeszcze za łagodni z nami. Powinni tak skrócić śrubę, żeby to czegoś nas nauczyło. To jedyna sposobność poddźwignięcia nas z upadku i rozkładu moralnego».

Zapewniłem go, że może nie mieć żadnych obaw. Niemcy na pewno skracają śrubę, bo to jest jedyna rzecz, którą oni potrafią robić dobrze. Ale to nie dźwignie z upadku Francji. Jestem prawie pewny, że gdy rzymskie legiony wmaszerowały do Grecji, Grecy zachowywali się podobnie. C. opowiadał mi, z typowo francuskim obiektywizmem, o lenistwie i tępcie młodzieży francuskiej, o zaniku rzemiosła i o skandalicznej wydajności robotnika. Żadnej dyscypliny i żadnej karności. Jest wykładawcą w szkole zawodowej, istniejącej przy jednej z fabryk. Jako przykład opowiedział mi, że wyniki badań psychotechnicznych przy przyjmowaniu uczniów do tej szkoły, są z roku na rok coraz gorsze. W tym roku na przykład szereg 14-

15- i nawet 16-letnich chłopców nie umiało opisać, jak spędzili ostatnią niedzielę. Nic — pustka. Z piórem w ręce przesiedział taki całą godzinę i nie postawił ani jednej litery. Swoją drogą nie znam w wielu wypadkach większego subiektywizmu, jak właśnie ten francuski obiektywizm. Oni potrafili być wspaniale stronnicy przy zachowaniu pozorów najbardziej urzekającego obiektywizmu.

15. 2. 41.

Byłem dziś świadkiem na ślubie Antka. Drugim świadkiem był patron jego hotelu, gruby i wąsaty Francuz; sympatyczny okaz prowincjała «pomimo wszystko». Ten nigdy nie będzie paryżaninem. Pojechałem na rowerze, a potem we czwórkę poszliśmy do merostwa. Tam czekał chwilę na korytarzu. Przyszedł ospały i oblepiony wstążeczkami orderów woźny, i otworzył nam salę ślubów. Jest to specjalna sala, ozdobiona zwykle boazeriami, wysłana dywanem, oficjalna. Można by być wniesionym do niej w głębokim śnie i po obudzeniu się na pewno nie powiedziałoby się «dzień dobry», lecz *République Française — Liberté, Egalité, Fraternité*.

W końcu sali stoi wielki stół, przykryty zielonym suknem. Przed nim dwa wielkie fotele dla nowożeńców, po bokach, pod ścianą, krzesła dla świadków. Dalej rząd krzesel dla widzów i zaproszonych z rodziny. Jak w kinie. Usiedliśmy tam i czekali na inne pary, bo mer załatwia zwykle seryjnie tę uroczystość. Po chwili przyszła jakaś para z tłumem krewnych. Wszyscy wymalowani już dobrze na czerwono winem. Ciągnęło od nich, jak z beczki, z której wysączono przed chwilą resztki «pinard». Zaczęli gadać wszyscy naraz i oczywiście o jedzeniu i o kartkach żywnościowych. Potem weszły inne pary z rodzinami i w sali zrobił się tłum. Wszedł woźny, zamknął okiennice i zapalił wielkie i lśniące świeczniki i żyrandole. To tak wytworniej przy sztucznym świetle. Podszedł do wejścia i zawołał: *Monsieur le Maire!* Wszyscy wstali, jak dzieci w szkole. Mer wszedł w czarnym ubraniu, przepasany trójkolorową szarfą. Usiadł za stołem i wtedy my także usiedliśmy z powrotem. Dwaj pisarze zajęli miejsca po obydwu stronach stołu. Grzebali w papierach. Tymczasem

publiczność zaczęła na nowo gwarzyć. Jowialny patron hotelu, drugi świadek Antka, zapytał mera bardzo głośno, czy na ślub nie potrzeba kartek. Zapytanie to wzbudziło ogólny śmiech. Odpowiedź mera, bardzo dowcipna, jeszcze bardziej wszystkich rozbawiła.

— *Non, monsieur, d'ailleurs c'est déjà rationné: Une femme pour toute la vie.* Spożycie ograniczone. Ulewa dowcipów i dwuznaczników na temat «jednej kobiety na całe życie».

Tymczasem woźny usadził Antka i jego przyszłą żonę na fotelach, nas na krzesłach świadków. W sali uciszyło się. Podeszedłem do stołu, podałem mój *état civil*, podpisałem się na akcie ślubu. Jeden z pisarzy odczytał personalia młodej pary, łamiąc sobie język na ulicy Kruczej i na nazwisku paniieńskim matki Antka. Mer wstał — z nim cała sala. Odczytał wszystkie paragrafy, małżonkowie wypowiedzieli swą wolę i znowu kilka paragrafów, w których była mowa o tym, że mąż powinien opiekować się i utrzymywać żonę, żona zaś powinna troszczyć się o dom, nawet coś o jedzeniu — krótko i praktycznie — po napoleońsku. Mer pogratulował młodej parze i podał rękę nowożeńcom. Wyszliśmy. Przy wyjściu, woźny wręczył Antkowi *livret de famille* — książeczkę rodzinną. Jest to książeczka, w której wpisane są wszystkie dane małżonków i data ślubu. Dalej idą rubryki: Dziecko urodzone dnia, dziecko zmarło dnia, żona zmarła dnia, mąż zmarł dnia, rozwód nastąpił dnia... na podstawie orzeczenia sądu itd. Wszystko jest tu przewidziane i na wszystko jest odpowiednia rubryka. Jest to na pewno bardzo wygodne.

Wyszliśmy z Merostwa. Dzień słoneczny i mroźny. W hotelu patron postawił kolejkę aperitivów, Antek drugą i ja trzecią. Wróciłem do domu.

6. 3. 41.

Jeden z robotników, pracujących w Rumunii jeszcze przed wojną, opowiadał mi dzisiaj, jak gościnnie przyjmował uchodźców polskich w jesieni 1939 roku: «Miałem cały domek. Wieczorem przychodziło do mnie nieraz i trzydzieści osób. Każdy czuł się u mnie, jak u siebie w domu. Po mordach się bili...» Czy można dosadniej i lepiej okre-

ślić PO POLSKU, do jakiego stopnia goście dobrze się czuli i jak ważną placówką polską był jego dom? Wypowiedział to z dumą, zupełnie poważnie.

1. 5. 41.

Święto pracy i imieniny Pétaina. Rozlepiono afisze z jego fotografią i z błazeńskim sloganem: «Dotrzymuję obietnic, nawet tych, które poczynili inni» (*Je tiens les promesses, même celles des autres*). Kim są «ci inni»? Ze dotrzyma obietnic niemieckich, nie należy w to wątpić... Pod tym orędzie do robotnika francuskiego, przechodzące w swęj głupocie wszystko, co zostało na ten temat dotąd powiedziane. — Było źle, bo istniały różnice społeczne i walka klas. Należy doprowadzić do wyrównania różnic społecznych, a wtedy walka klas automatycznie zniknie i będzie raj na ziemi. To wszystko zrobi on — Pétain. Nie — to nie jest takie proste, a poza tym byłby już najwyższy czas przestać robić konkurencję Panu Bogu i jego Rajowi. Raj, to bardzo skomplikowana maszyna i nie można jej podrabiać bez otrzymania koncesji i dokładnych planów. Inaczej kończy się na tym, na czym zwykle kończą się takie przedsięwzięcia — na bankructwie.

Nie wiem, czy istniała kiedykolwiek tak kłamliwa epoka, jak nasza. Kłamstwo, poparte siłą, wtłacza się w umysły ludzkie jako prawdę przy pomocy najordynarniejszych metod i pod wysokim ciśnieniem. Każe się wierzyć i kwita. I w tej nawale kłamstwa umysł przestaje w końcu samoczynnie działać, poddaje się i idzie; jak filar mostu pod naporem wezbranej wody lub kry. Ludzie nie wierząc, wierzą. To jest tą najnowszą zdobyczą obecnego kłamstwa. Wierzchnia warstwa myśli i mózgu, przeznaczona do codziennego użytku, nie jest w stanie oprzeć się i poddaje się nawet już nie tylko wyszukany, ale wręcz pierwotnym i gruboskórnym kłamstwom. Jedynie głębsze warstwy mózgu i myśli działają normalnie i od czasu do czasu reagują. Wtedy dopiero odczuwa się, w jakich łańcuchach i w jakim spętaniu kłamstwem żyje dzisiejsza ludzkość. Bezsilność wobec tego kłamstwa osłabia jeszcze bardziej odporność i ludzie najbardziej rozsądni zamieniają się w stado baranów. Obserwuję to na sobie: przeczytam coś w gaze-

cie i dopiero po chwili łapię się na tym, że uwierzyłem. Całe narody wytresowano już w przyjmowaniu kłamstwa za prawdę; musisz połknąć — i połykają coraz głódziej, jak chore dziecko rycynę. Po tej pierwszej łyżce, następne przychodzą łatwiej.

Starym zwyczajem sprzedawano dziś wszędzie konwalie. Ale ciągle zimno i ponuro. Jugosławia i Grecja należą już do przeszłości. Zwalniają greckich jeńców, a Hitler miał mowę, w której zaznaczył do jakiego stopnia, chociażby z racji swoich studiów, ocenia kulturę tego narodu. Jestem ciekawy, w jakim stopniu odkrycia archeologiczne Schliemana przewróciły Niemcom w głowie. Im się przecież od dawna wydaje, że to oni są nowoczesnymi Grekami. Są może Spartanami, lecz nigdy Ateńczykami. To straszne, gdy cały naród choruje na jakiś kompleks. Patrzę na nich codziennie i odrzuca mnie nie ich powierchowność, lecz to jakieś błoto, które wyczuwa się w duszy każdego z nich. W tym błocie są różne rzeczy — ale w błocie. O to chodzi. To błoto oblepia się wokół każdej myśli o nich, zakleja i zalepia wszystko. Jakieś błoto pierwszego dnia stworzenia.

We wszystkich pismach pełno zdjęć żołnierzy niemieckich na Akropolu czyli (używając technicznego języka fotografii) «zdjęcia kontrastowe». Bardzo!

6. 5. 41.

Siedzę w pokoju hotelowym G., robotnika, i słucham. «Wie pan — w tym hotelu poznałem bardzo ładną kobietę. Ma pokój o trzy piętra wyżej i żyje z jakimś Alżerianem (Algerczykiem), który codziennie rano o 6-ej wychodzi do roboty i wraca wieczorem. Ja wstaję też o 6-ej i zaraz po jego wyjściu idę do niej. Pośpimy sobie do 9-ej, ona wstaje, robi kawę, chlebek z masłem, dobre śniadanie. Co pan chce; nie mam pieniędzy na jedzenie, a muszę myśleć o żonie. Trzeba jej siebie jakoś cało i w zdrowiu dowieźć do Polski. Nie mam pracy — mam chociaż codziennie dobre śniadanie». To wszystko tonem poważnym, bez cienia ironii. On wynalazł taki system przetrwania.

Pierwszy raz w teatrze od wybuchu wojny. «Vive l'Empereur» u Sachy Guitry. Doskonała bzdura. Rzecz dzieje się w epoce Louis-Philippe. Kochające się małżeństwo obchodzi uroczyste trzydziestą rocznicę ślubu, na którą zaproszono wszystkich gości ślubnych sprzed lat trzydziestu. Przychodzi towarzystwo, wspaniała próbka francuskiej burżuazji. Małżeństwo z prowincji, sprzeczące się ciągle przy pomocy słówek cienkich, giętkich i ostrych, niedomówień pełnych treści — wszystko łagodzone przez gospodarza ciągłym pokrzykiwaniem: *Et le temps est quand même beau*. Jakiś stary wiarus napoleoński, zjadłby bonapartysta i wielka niespodzianka — zaginiony od dawna przyjaciel z młodych lat. Pan domu odszukał go i zjawienie się jego ma być niespodzianką dla żony. Wszak ona go tak lubiła... Zaginiony przyjaciel przychodzi, ale pan domu widzi że wraz z jego pojawieniem się humor żony i całe jej ożywienie nikną. Wydaje mu się to podejrzane. Zapytuje żonę o przyczynę. Ona wykręca się, w końcu wyznaje że niedługo po ślubie przyłapała M. Robert na czulej scenie z jej siostrą. Oczywiście musiała wyprosić go z domu. Wszystko to przypomniało jej tę scenę, gdy obchodzą z radością trzydziestolecie ich niczym niezachmurzonego małżeństwa, pełnego miłości do dziś dnia.

Mąż, zły z zepsucia się nastroju, prosi Roberta na rozmowę: «Robercie, ja wiem wszystko...» Robert: «To świetnie; widzisz, chciałem ci sam o tym powiedzieć, ale skoro już wiesz... W każdym razie podziwiam cię...» Oczywiście. Mąż szybko orientuje się, że żona zdradziła go z Robertem w kilka tygodni po ślubie — trzydzieści lat temu. Kłopotliwą sytuację przerywa wejście samego pana Daguerre z piekielną machiną fotograficzną. Towarzystwo ustawia się w grupę, która jest po prostu żywą fotografią z tamtych czasów. Wspaniały chwyt, pełen tego specyficznego smaczków Guitry. Teatr trzęsie się ze śmiechu.

Cztery następne akty są wariacjami na temat pierwszego, i kończą się zgodą. Biedny mąż waha się, co zrobić. Bo to już trzydzieści lat temu, a równocześnie mimo wszystko zazdrość, podrażniona duma. Pojedynek? Tak radzi stary bonapartysta. «Na szable! Bij na ślepo!» Jako świadek, obeznany ze sprawami honorowymi, przyda się

na stare lata. Przyjaciel z prowincji łagodzi. Równocześnie żona jest na niego wściekła, bo on nie chce z nią mówić i nie żąda wyjaśnień. Potwór — nawet nie chce wiedzieć, jak się to stało. Wreszcie ubłagany, godzi się na spowiedź.

Ile razy — Raz. Jeden, jedyny raz? Można oszaleć. Bo żeby dziesięć, dwadzieścia razy — no, można by zrozumieć.

Żona: — Bo widzisz, moja zdrada była... patriotyczna.

Mąż: — Co?

Żona: — Pamiętasz? Jedliśmy z Robertem kolację we trójkę w tej restauracji. I w ten wieczór przyszła wieść o zwycięstwie pod Austerlitz. Cały Paryż szalał, a ty krytykowałeś Napoleona. Pokłóciliśmy się i ja wyszłam z Robertem. Nie wiem — jakoś tak znaleźliśmy się w hotelu.

Mąż: — W hotelu!... No i...

Żona: — I w hotelu... Kiedy wiesz... no cóż, zwycięstwo, a ty krytykowałeś Cesarza. Nawet w pewnym momencie... tak, w pewnym...

Mąż: — W pewnym momencie... psychologicznym...

Żona: — Tak; w pewnym momencie psychologicznym krzyknęłam nawet: *Vive l'Empereur!*

Nie wiem, czy Guitry nie zbudował w ogóle całej tej bzdury wokół tego pomysłu, zresztą świętego. To jest coś absolutnie francuskiego i nie ma w tym nic nieprawdopodobnego. Jeszcze teraz śmieję się.

Potem dialogi i dialogi; błyskotliwe, subtelne. SŁOWO. Pojedynek. Przyjaciel z prowincji powiada, że żona mogłaby zapobiec pojedynkowi już na placu. Wobec tego mąż delikatnie informuje o tym żonę. Gdzie tam — pani ani myśli o interwencji. Przeciwnie: jest zachwycona. Będzie się o nią bił; PO TRZYDZIESTU LATACH. Jak on ją jeszcze kocha!

Można naprawdę oszaleć. Nie będzie pojedynku. Zdradzi ją — z tą ładną uczennicą, która przychodzi do niego na lekcje śpiewu. Zemści się w ten sposób. Kilka scen z młodą Geneviève Guitry, czwartą żoną Sachy. (Czym dalej, tym one są coraz młodsze). Żona coś przeczuwa i postanawia pomóc mu w tej awanturce. Będą wtedy skwitowani. No i nie będzie miał nad nią tej przewagi, że jej nigdy nie zdradził. On wychodzi na zorganiz-

zowane przez żonę *rendez-vous*. Wszyscy oczekują jego powrotu. Wracą. NIC. Żona jest wściekła. Wszystko o trzydzieści lat za późno. «Gdybyż to było trzydzieści lat temu».

Sacha Guitry nie miał nawet co grać, tak rola jego była prostą. Stroje ładne, dekoracje podłe, rekwizyty prawdziwe, prawdopodobnie z jego prywatnych zbiorów. Zapadał zmrok, gdy wyszliśmy z teatru. Szliśmy od Madeleine do Opery na piechotę, mówiąc o tej sztuce. Na Bulwarze było pusto i spokojnie. Czasem tylko zadudniło pod ziemią «*métro*» albo syknął popielaty samochód niemiecki. Jakaś ładna dziewczyna przystawała co parę kroków przed wystawami i pozwalała zbliżyć się powoli postępującemu za nią klientowi. W «*Café de la Paix*» pustki. Dwóch oficerów dopijało resztki piwa na tarasie. Wystawy ciemne. Pomimo tej ciszy i pustki wieczornej jednego z najbardziej ożywionych dawniej miejsc świata, było coś w nastroju, co jeszcze bardziej zbliżało do tego miasta i czarowało. Przywiązałem się do tych kątów, żyłem z nimi w codziennym obcowaniu, tym szarym i dziwnym, w codziennych jazdach rowerem. Znam każdy kamyk, każdą nierówność bruku, którą na pamięć wymijam w nocy. A wszystko jest zawsze nowe pomimo starej znajomości. Zatrąfy mnie te kąty i kamienie, czy co?

Czy taką sztukę można by zagrać u nas? Nie wiem, czy po przetłumaczeniu zostałyby z tego wiele; czy po przeniesieniu tego z «*Théâtre de la Madeleine*» do jakiegoś polskiego teatru nie zgubiłoby się po drodze «to coś», co tak trudno określić. Te francuskie sztuki są do tego stopnia francuskie, że podane w innym klimacie, w innej temperaturze, tracą bukiet. A w nich, jak w winie, właśnie bukiet jest najważniejszy. W innym klimacie przywiązuje się do takich rzeczy albo zbyt wiele znaczenia, albo zbyt mało się je lekceważy. Z tego, co tu jest przystawką, przyrządza się u nas często cały obiad, albo wcale się nie je. I trudno się temu dziwić. Tak musi być.

Paryż i francuska myśl mają w sobie coś z szampana, brzoskwiń, burgunda, sardynek, serów. Soczyste, podniecające, łatwostrawne, pikantne, pełne smaku, lekkie. I życiowe. Nie lubią nadludzi i nadmyśli. Tym zawsze przyciągną — choćby miało się ich dosyć z wielu innych względów, a nawet pogardzało jako ludźmi. Może ich postępo-

wanie w tej wojnie jest tylko ludzkie, życiowe i praktyczne? Praktyczne na pewno. Najlepszy dowód, że idę teraz spokojnie z teatru i że mogę myśleć o tych rzeczach. Są bez honoru? To teraz. Bo może w końcu wyjdą z honorem, a jeżeli nie — to i tak świat gotów im to przebaczyć i zapomnieć. Czegóż nie przebacza się pięknej kobiecie, bez której nie MOŻNA żyć? Polska? «Cousine Bette» narodów. Będą nam zawsze mieli wszystko «za złe», jak za złe ma się ubogiej kuzynce wszystko. Żyjemy z ciągłą, podświadomą tremą. I gdy mamy wypowiedzieć naszą «kwestię» i zagrać naszą rolę, szarżujemy. Publiczność nie lubi takich aktorów. Szczególniej ta dobra, premierowa. A tak już jest na tym świecie, że opinię wyrabia właśnie ona. Francja pojedzie dalej opinią, jak ci uczniowie, co ucząc się świetnie do połowy siódmej klasy, zdają jeszcze maturę — opinią. Wywiną się. Mało tego: będą bohaterami. I znowu to samo: wczoraj ich nie znosiłem, dziś ich lubię, jutro zeklnę ich... A w dziedzinie myśli pozostaną środkiem przeczyszczającym, zastrzykiem wzmacniającym, lekarstwem na apetyt. Dla wszystkich innych narodów.

24. 5. 41.

«Listy» Słowackiego do matki. Do okresu mistycznego jest mi bliski i rozumiały. Potem cześć! Nie mogę, nie przeżykam, zwracam. Bardzo dobre uwagi o Francji. Czuje się wyjątkowy dowcip, cienki i pachnący. A potem kurtyna zapada. Ta polska skłonność do popadania w mistycyzm jest aż trochę przerażająca. Jesteśmy często okazami, u których między fizyką a metafizyką nie ma w ogóle granicy. Rozciągają się tam natomiast jakieś «Dzikie Pola», po których bezkarnie buszują różni Towiańscy z wichrem bzdury w zawody. Ale cóż innego może pozostać narodowi wiecznie biednemu, wiecznie niszczoneму i tłumszonemu, a mającemu równocześnie bardzo wysokie wyobrażenie o sobie, kontuszowe i wojewodowo zadyszane. Gdybyśmy byli narodem bogatym, narodem w marynarkach z portfelem (a nie koniecznie z «kiesą»), historia nasza byłaby może najślawniejszą na świecie. A w każdym razie najbardziej bohaterską. Tymczasem ustosunkowanie się świata do nas jest w najlepszym wypadku życz-

liwo-pobłażliwe. Traktują nas zupełnie tak, jak «kulturalni» antysemici Żydów: «Ostatecznie nie można robić świństwa...» Jesteśmy często jak ten żebrak, co puka do drzwi i gdy częstują go zupą i chlebem, on nagle prostuje się i nadwiślańskim akcentem, lecz po francusku, woła podkręcając wąsa: *Madame, je ne mange que la langouste au mayonnaise*. Nasza mania cierpiętnictwa nieoświeconego, wieczna gotowość do umierania czy trzeba czy nie potrzeba, do każdego poświęcenia doprowadziły do tego, że Francuz albo Anglik jest głęboko przekonany, iż nam łatwiej jest rozstać się z życiem, niż osobnikowi jakiegokolwiek innej narodowości. Pewnie — z punktu widzenia czystej etyki i moralności, honoru, jesteśmy godni szacunku w stopniu znacznie większym, niż inni; ale świat myśli praktycznie. Ciągły konflikt naszej psychiki z psychiką obcych polega na ustawicznym nieporozumieniu, przeciwstawianiu teorii praktyce, zwalczaniu czołgów kawalerią. (W tę kawalerię puszczoną na czołgi nie mogą jeszcze uwierzyć). Szermujemy pojęciami rycerskiego honoru, mieszając w nich ciągle kompleks niższości z pańskim gestem i — trudno i darmo — chamską pretensjonalnością. Wyciągamy wnioski teoretycznie słuszne i przeciwstawiamy je myśli zimnej, kupieckiej, ściśle wymierzalnej, w której nawet podłość jest usankcjonowana, jeżeli wynika z niej korzyść uchwytna. To przypomina mi zawsze jednego kolegę, z którym grywałem w szachy. Miał on zasadę nie bicia figur, nie wymieniania, bo na tym cierpiała «estetyka gry». Kiedy zorientowałem się w tym, zacząłem bezlitośnie wykorzystywać każdy moment, w którym czułem, że «dla estetyki gry» robi głupstwa. Podsuwałem mu moje figury do bicia wiedząc, że nie będzie ich bił. Zyskiwałem nieraz nie tylko figurę, ale POZYCJĘ. To było jeszcze ważniejsze. I biłem mu wszystko. On złościł się, mówił o «estetyce gry» i — przegrywał. Musiał przegrywać. Nas znają już od tej strony. Wiedzą, że dla «estetyki gry» popełniamy takie i takie głupstwa. I biją nam nie tylko pionki, ale figury, choć nie wiem czy udaje nam się grać kiedykolwiek z prawdziwymi figurami. Na palcach można by policzyć takie gry. A wiadomo, że pionki bije się także *en passant...* Kultura? Kultura jest dla nas często kredką do ust. Parę pociągnięć przed wejściem na przyjęcie. Po czym zachowujemy się wyzywająco. Furkoce Balzac, Flaubert, Montaigne,

Chamfort, Marks, Tołstoj, Szekspir, świetne przestrzeganie zewnętrznych form «bon tonu» (nie zawsze) i równocześnie prerażający brak taktu. Ten brak taktu, który tak często my zarzucamy Żydom. Jesteśmy do nich bardzo podobni i tu pewnie znajduje się źródło naszego antysemityzmu.

Czesi. Hacha podpisał, kraj pozostał nienaruszony; za czasów utraty niepodległości nie rzucali się, postanowili w e w n ę t r z n i e nie poddać się i skorzystać z pierwszej sposobności, która pozwoli im odzyskać niepodległość zewnętrzną. I robili pieniądze. Teraz odzyskają niepodległość, bo będą także bohaterami i będą ich bardziej cenić i więcej o nich wiedzieć, niż o nas. Opowiadano mi, że w Paryżu jest 240 Czechów-uchodźców. Nie tułają się po schroniskach, nie obnażają swej bohaterskiej nędzy przed innymi. Każda z zamieszkałych tu od dawna rodzin czeskich wzięła podobno jednego uciekiniera i pomaga mu. Oni na to mają. A my? Wieczny stosunek zbankrutowanego arystokraty do Żyda-pachciarza. Patrz Żydzie na portrety moich przodków, patrz na broń na ścianach, patrz na blizny odniesione w pojedynkach o honor i — pożycz chamię parę groszy. A Żyd czasem da z pobłażliwym uśmiechem, potraktuje lekceważąco, bo blizn, czarnych portretów i zaschniętej krwi nie można zastawić. Stara broń? Zależy jaka. I Księżę ma pretensję... Nie. Nie żadne «Kupą Mościpanowie». Trzeba sięść spokojnie, zdjąć marynarkę, rozwiązać krawat i wpatrzeć się w szachownicę. I powtarzać sobie «Jestem Polakiem» bez piosenki o ułanie i bez mętnej metafizyki. Jesteśmy zbyt wiele warci, zbyt zdolni i lotni, narażeni na zbyt wiele zasadzek, żeby pozwalać sobie na harce po różnych «Dzikich Polach».

Słowacki wyraża się o Georges Sand z wielkim uznaniem. Coś mi się przywidziało.

31. 5. 41.

W całej atmosferze Paryża wyczuwa się jakiś niezrozumiały stan podgorączkowy. Wieczorem w «naszym» kinie. Przed wyświetleniem tygodnika aktualności nadają teraz krótkie przemówienie: «Zarząd kina uprasza publiczność o spokojne zachowanie się w czasie wyświetlania ak-

tualności, gdyż jakiekolwiek manifestacje pociągną za sobą zamknięcie kina i ukaranie winnych, a w pierwszym rzędzie właściciela». Jest to zarządzenie Prefektury Policji. Potem wyświetlano tygodnik «Association Cinématographique Européenne». Jesteśmy już wielką Europą walczącą. Na filmie zestrzeliwano tylko angielskie samoloty i topiono tylko angielskie okręty. Jakiś robotnik francuski za nami powiedział: *En même temps* w londyńskich kinach strąca się tylko niemieckie samoloty i topi niemieckie okręty. *Ils sont quitte*. Nie — to nie jest naród, który nadawałby się do tępego zaszeregowania go. W Afryce nie wesoło. Nie mają czego pokazywać. Pod Tobrukiem walka pozycyjna. W kinie panowała martwa cisza.

1. 6. 41.

Mam dwa dni wolne. Dziś i jutro. Dzisiaj nagle zrobiło się lato. Słońce i niemal już upał. Nie było wiosny w tym roku. Pierwszy raz od wielu miesięcy zabrałem się do czytania po francusku. Przeszło mi. «Indiana» Georges Sand. Słowacki zareklamował mi ją i postanowiłem panią Sand poznać bliżej.

Kilka tygodni temu otworzono na Boulevard Saint-Michel wielką księgarnię niemiecką. Urządzona ze smakiem, nowocześnie, wystawy świetnie rozwiązane, książki i oprawy bez zarzutu. Niemiecka grafika pełna prostoty, harmonii, stonowana w kolorach — doskonała. Oglądałem tę księgarnię kilka dni temu. Było słoneczne popołudnie, niebo błado-niebieskie, wszystko pogrążone w tym ostrym, a równocześnie nie męczącym świetle paryskim. Naokoło bistra gwarne, jak ule i małe księgarnie, wielkie księgarnie ze stołami pełnymi książek na chodniku. Książki pomieszane, stosy Balzac'ów po 3 franki. Flaubert, Gautier, Dumas, Pani Sand. «Dama Kameliowa» przygnieciona albumem arcydzieł Luwru, «Cousine Bette» z książeczką o Cézanne, «Trzej Muszkietierowie» z «Panną de Maupain», Listy pani de Sévigné i Listy panny de Lespinasse, Octave Aubry ze swoimi Napoleonami. Okładki takie i owakie, najczęściej żadne. Dałem spokój niemieckiej księgarni i prześlicznym wydawnictwom. Zezłościło mnie to pismo gotyckie, maszerujące sztywno i równo, matematycznie, układ linii

i płaszczyzn nieskazitelny i harmonijny jak marsz wojskowy: bum, bum, bum i fifry. Ponure wizje niemieckiego gotyku w cudownie wydanych albumach sztuki. Poszedłem do tych zaśmieconych stołów i zrobiło mi się lekko. Miałem wrażenie, że te wszystkie książki, takie nieefektywne, zwalone na kupę, śmieją się i dowcipkują na temat tej księgarni naprzeciwno. A nad nimi królował uśmiech reprodukcji «Indifférent'a» Watteau — ten blado-niebieski i aksamitny uśmiech wyższości. Lekki wietrzyk poruszał nim i wydawało mi się, że tańczy. Tak. Na pewno. Tu był duch — tam, w całej nieskazitelności sztuki graficznej na najwyższym poziomie, dudniły podkute buty w takt bębnow i piszczałek.

Patrzyłem z daleka na tę księgarnię niemal z politowaniem i jadłem do słońca naleśnik z hreczanej mąki z konfiturą. Sprzedają je na ulicy bez kartek. Ta niemiecka księgarnia, to jedno wielkie nieporozumienie. Palce miałem trochę lepkie od resztek konfitury i grzebałem w książkach swobodnie. Grzebałem w tym duchu uśmiechniętym i wolnym, rzuconym tu dla każdego. I kupiłem «Indianę» pani Sand.

5. 6. 41.

Jeden z robotników, mieszkający w schronisku na avenue Wagram, chory i doprowadzony do rozpacz szykanami pani markizy (każe im się co trzy dni przeprowadzać z pokoju do pokoju) wyskoczył z piątego piętra. Samobójstwo to zrobiło przygnębiające wrażenie na nas wszystkich. Dziś odbył się pogrzeb tego biedaka. Między innymi był na pogrzebie pan radca i z ramienia Gestapo złożył na grobie wiązankę biało-czerwonych kwiatów. Mowy nie miał i żadnego wierszyka Asnyka nie wygłosił. Pan radca uprzedził mnie do Asnyka i do pozytywistów na całe życie.

Podobno Anglicy mają zaatakować Syrię. Wszystkie konsjerżki o tym mówią. W takim razie to musi być prawda. Aaaaale czczczczy sisisisisię nnnnnnamyślą?

7. 6. 41.

Anglicy chyba naprawdę mają zamiar wkroczyć do Syrii. Konsjerżki już wkroczyły, a oni nie. Tytany szybkiej decyzji. Być może jednak, że Francuzi będą się bronić.

9. 6. 41.

Anglicy weszli do Syrii. Niesamowite! Francuzi postanowili się bronić! Ale bez wypowiedziania Anglikom wojny. Niemcom mogą powiedzieć: Widzicie, idziemy z wami. Anglikom powiedzą kiedyś: Wojny nie chcieliśmy — byliśmy z wami. Nie — nie mogę uwierzyć, że TO jest Francja. Nie chcę, bo wiem jak bardzo jesteśmy skłonni do mówienia innym impertynencji. Ale co się dzieje wewnątrz mnie... Francja ma jednak dobrych adwokatów. Właśnie — chodzi o to, czy MA; czy nie są to zbyt często cienie umarłych, przemawiające do nas głosem żywych. To jest tajemnica Francji i Francja umie posługiwać się nią wspaniale. Wielkie pióra i umysły Francji wcale jeszcze nie umarły, choć pochowano je dawno. — Całe szczęście! *Gott sei Dank!* Jeżeli Francja pozwoli im umrzeć kiedykolwiek naprawdę, jeżeli zaprze się ich, wtedy nastąpi jej koniec. I koniec nas wszystkich.

12. 6. 41.

«Indiana» i «Valentine» pani Sand. Z przyjemnością pograżyłem się w tej atmosferze francuskiego romantyzmu. Taki romantyzm ogrodowo-przystrzyżony, księżycowo-bezplciowy. Słowa są słówkami, zdania zdańkami, uczucia zefirkowate pomimo wszelkich starań nadania im siły huraganu. Trawka, ptaszki, ładnie utrzymane stawy, drzewa i liście na siatce, jak w dekoracjach teatralnych. Organdi. Wrażenie ogólne: staranność i elegancja. Wszystko utrzymane na poziomie, równe i rytmiczne, jak sonaty Karl Czerny grane z metronomem. Nawet zbrodnia lub samobójstwo nie są w stanie wzruszyć. To po prostu «forte» (Boże broń «fortissimo») konieczne w akcji, jak znaki pisarskie w tekście. Samobójstwo lub zbrodnia mają tu siłę

wykrzyknika. Nawet nie dwóch wykrzykników, bo nikt szanujący się nie stawia dwóch wykrzykników. *Quelle vulgarité!* Chyba może Balzac, to *enfant terrible* francuskiej literatury, o którym mówi się często z uśmiechem, jak o niegrzecznym Józiu. Gdzie jej do Balzaca. Podziwiam go za to, że potrafił pokazać, iż ta uregulowana rzeka francuskiej literatury może burzliwie wylać i pnieć się, że to naprawdę wylew, a nie z góry obmyślane otworzenie zastawy. Gdy czytam Balzaca, wydaje mi się, że wszedłem do olbrzymiej fabryki. Stukot poplątanych zdań, tu kręci się jakieś koło, tam się coś popsulo i raz za razem powtarzane «*dont*» zgrzyta, jak źle posmarowane łożysko. (... *Un fauteuil d o n t les bras étaient terminés par des têtes de sphinx bronzées d o n t la peinture s'en allait...* — Cousine Bette). My nie przywiązujemy takiej wagi do stylu i do dobrej formy, jak Francuzi. Dlatego porywa nas on znacznie bardziej.

«Smuga cienia» Conrada. Odkrywam go po raz drugi. Jakaż wspaniała umiejętność oddawania rzeczy nieuchwytnych prostymi słowami. Opisem jakiejś najbardziej materialnej i uchwytniej rzeczy potrafi oddać nastrój wobec którego język i słowo są właściwie bezsilne. Jakaś zbliżająca się burza jest w najdrobniejszych czynnościach jego ludzi. Nie myśli się o tych czynnościach, lecz cały czas o burzy.

Nareszcie jest lato. Wieczorem wychodzimy do lasku Vincennes. Stawy i zieleń są jak wymuskany pejzaż. Gorzej — jak oleodruk. Z ogrodu zoologicznego dolatują krzyki pawi, po stawie pływa para łabędzi.

13. 6. 41.

Po południu Boulevard Saint-Michel i Luxembourg. Ciepło i słonecznie; jakieś rozedrganie we wszystkim. Słońce oślepiało. Jadłem naleśnik z konfiturą i mrużyłem oczy. Stukają drewniane podeszwy. Rozrzucone na stołach książki są jak stosy confetti. Miałoby się ochotę brać je garściami i rozrzucać. W Luxemburgu cicho. Szelest kamyków pod stopami przechodniów i pokrzykiwania dzieci nad basenem. Basia zawiera znajomość z jakimś chłopcem i słucha fachowych wyjaśnień o jego żagłowce; ja asystuję

przy puszczeniu wielkiej łodzi podwodnej, wystawiając razem z chłopcami język przy nakręcaniu tej maszyny. Jakaś żaglówka wjechała pod fontannę i nie może wydostać się spod strumienia wody. Mój chłopiec śmieje się. Łódź podwodna ruszyła i zniknęła; chłopcy pędzą na drugą stronę basenu. Ja założyłem okulary i pędzę za nimi. To bardzo ciekawe. Siadamy potem na ławce, przymykamy oczy i jest nam dobrze. Coś jest w otoczeniu — jakby unosząca się łatwość życia, myśli... To może wiele zastąpić. I naprawdę zastępuje.

14.6. 41.

Pola Elizejskie. Słońce i kapelusze, kapelusiki, turbani z kwiatów, mgła woalek. Malowane nogi, suknie jak gdyby z nieśmiały mi tiurniurkami, uczesania à la 1900. Ciastka z poziomkami na tarasie kawiarni. Przechodzą twardym krokiem Niemcy, wypatrując «zdobyczy». Jest w czym wybierać. Obok nas dwóch Niemców z żonami. Dwie olbrzymie Walkirie o powierzchowności «gromu z jasnego nieba» w tym kolorowym i jasnym otoczeniu. Wyglądają, jak kariatydy wśród figurek tanagryjskich. Czuć od nich kapustą kiszoną i piwem; i taką wspaniałą kuchnię z rzędami fajansowych słoików z napisami: «Reis», «Salz», «Pfeffer». A na ścierkach wyhaftowane złote myśli.

16. 6. 41.

Przejeżdżam dziś przez Lasek Vincennes. Niemcy mają tam swoje wojenne warsztaty samochodowe. Dziś panował tam gorączkowy ruch. Pakowali, zwijali, odjeżdżali. Ludzie stali i gapili się. Od jakiegoś Francuza dowiedziałem się, że angażują ludzi z ulicy na wyjazd. Dokąd? Zdaje się, że do Polski. To mi wystarczyło. Ogarnęło mnie podniecenie. Zacząłem myśleć nad tym i doszedłem do wniosku, że to wojna z Rosją. Kompleks Napoleona. Jestem zamagnetyzowany tą myślą. Ale komukolwiek o tym mówiłem, każdy uśmiechał się z niedowierzaniem. Na drodze do fabryki jechałem kawałek z jakimś robotnikiem

francuskim. Powiedziałem mu o tym. Nie chciał wierzyć. K. rozważał to ze mną i też uśmiechał się z niedowierzaniem.

17. 6. 41.

Mógłbym pojechać do Polski. Byłem tam jeszcze raz. Dosłownie biorą z ulicy. Właściwie nie obchodzą ich żadne kwalifikacje. Jestem zupełnie pewny. Ale ludzie boją się w to uwierzyć. Mówią, że to byłoby zbyt radosne.

21. 6. 41.

Od czterech dni upały zupełnie nie do zniesienia. Gorąco i duszno. Potworny, wilgotny żar. Nie ma czym oddychać. Asphalt w niektórych miejscach zrobił się błotnisty. Po pokoju chodzimy boso i w shortach. Noce tak samo gorące i prześcieradło parzy. Przy tym nastrój jest wyraźnie naprężony. Znowu wszyscy czekają. O Rosji mówi się coraz wyraźniej. Byłby to decydujący zwrot w tej wojnie.

22. 6. 41.

Niedziela. Siedziałem rano w fotelu i czytałem. Basia zeszła do sklepu. Nagle woła na mnie z podwórka. Wychyliłem się przez okno. «Poszli dziś rano na wschód». Myślałem, że wyskoczę przez okno. Nie mogłem uwierzyć. Zamroczyło mnie. Zbiegłem do patronki. Drżącym z emocji głosem mówi mi o komunikacie radiowym: «*Monsieur*, teraz chyba Bosze dostaną solidną wciurę» (*ils vont attraper une bonne pilule*). Dyskutujemy z zapalem na temat potencjału wojennego Rosji. Francuzi wierzą w Rosję. Przede wszystkim w jej niewyczerpany potencjał ludzki. «Oni mają dosyć ludzi». Ale dziś nie można jeszcze nic powiedzieć. Za trzy do czterech tygodni będzie się może wiedziało coś więcej. Jeżeli wytrzymają pierwsze natarcie i potrafią wydłużyć i przeciągnąć walkę, to kto wie, czy nie będzie to początek końca. Chciałbym, żeby już minął miesiąc i żeby coś można powiedzieć. Bo to jest coś zupełnie innego. Do-

tychczas następowało starcie się pewnego systemu z pewną ideologią, filozofią raczej, z czymś znacznie szerszym, niż system. Teraz starł się system z systemem, obydwie zbudowane na własnej filozofii i bezlitośnie i bezkompromisowo wytworzone w ramach tych filozofii. To, czego dotychczasowym przeciwnikom Niemiec brakowało i za co musieli brać cięgi.

Dojdzie tam do olbrzymiego zmagania się materiału i ludzi. Niemcy wezmą od razu wysokie «C» i na jednym oddechu będą chcieli skończyć. (Jak Napoleon, myślę oczywiście w tej chwili, Smoleńsk, Borodino...) A Rosjanie mają swobodę ruchów, mogą cofać się bez końca — i będą starali się tak przeciągać, aby każdy kolejny ton Niemców był coraz niższy. Leżę na mapie. Europa jest w porównaniu z Rosją ciasnym, jednopokojowym mieszkaniem.

Po południu w lasku Vincennes. Upał straszliwy. W lasku tłumy ludzi i tłumy papierów. Każdy szuka skrawka trawy w cieniu i spędza niedzielę na łonie natury. Od rozmamłanych i na wpół rozebranych mężczyzn i kobiet dolatuje smród brudnych i spoconych ciał. Paryski ludek cuchnie, śmieci i poci się. Wszyscy czytają gazety i dostrzega się na zmęczonych twarzach pewnego rodzaju skupienie. A może to tylko upał. Mowa Hitlera, a raczej odezwa do narodu, w «Paris-Midi». Stek nieścisłości i kłamstw, naginania prawdy i odwieczne «byliśmy zagrożeni i trzeba było działać». Wracamy do domu o zmroku. Ktoś przechodzi obok nas i słyszę, jak mówi: «Teraz chyba zaczęła się prawdziwa wojna». Na ławce, w półmroku, jakaś para naśladuje «Pocafunek» Rodina, na powracających rowerach bukiety kwiatów, Terczą dynama. W pokoju nie można oddychać. Idę na piwo. Patron i patronka siedzą przy radiu, jak przy ognisku i mrugają do mnie. Piwo jest podle, ale z lodu. W bistro wszyscy już świetnie znają Rosję i mówią oczywiście wiele głupstw. Najważniejsze jest w tym to, że ktoś bije się za nich. Przypomina mi się spotkanie z Murzynami nad morzem. I to dziwne przekonanie, że ten ktoś «ma obowiązek» bić się za to, co oni uważają za słuszne. Myśli są także spocone. «Gdyby Staś... gdyby Kali... to Staś... to Kali...» Konsjerżka powiedziała na podwórzu, wychodząc z klozetu i spuszczać głośno wodę: «Będzie deszcz, bo klozet śmierdzi». Masło wsiąka od razu w chleb, muchy tańczą wokoło żarówki. Wojna.

26. 6. 41.

Dziś wielki komunikat niemiecki reasumujący wyniki tygodniowej walki. Poszli trochę naprzód i podają zupełnie niewiarygodne ilości zniszczonych samolotów i czołgów sowieckich. Przeszło 4.000 samolotów i 2.000 czołgów, ileś tam dział, karabinów maszynowych, itd. Nikt nie chce brać tego poważnie, wszyscy są podniesieni na duchu i coś ocknęło się nawet wśród Francuzów. Mit Rosji działa. Ale nie tylko mit. Jest w tym coś znacznie głębszego, jest to sympatia klasowa, sympatia ludu w tym kraju niedokończonych rewolucyj dla kraju, który zdobył się na dokończenie jej za jednym zamachem.

Oczywiście Anglia uznała Rosjan natychmiast za sprzymierzeńca, Ameryka do pewnego stopnia także. Po ulicach powiewa coś na kształt nadziei. W «métro» coraz więcej biletów podartych w formie «V» — «Victoire» albo w formie «H» — «Honneur» de Gaulle'a. Coś się rusza, coś drga w zupełnym zresztą spokoju i w coraz to dalej idących posunięciach kolaboracyjnych Vichy. Syria broni się «bohatersko» przed powolnie idącą inwazją Anglików.

13. 7. 41.

Piekielne upały. Anglicy zajęli Syrię pomimo że przedwczoraj rozlepili w całym Paryżu alisze z napisem «Dlaczego bijemy się w Syrii?» Rzeczywiście: dlaczego? Ręce opadają nad głupotą tej propagandy i kłamstwem, podniesionymi do rzędu najwyższej instytucji w dzisiejszej Europie.

Jutro 14 lipiec, dzień wolny od pracy; należy święcić go w skupieniu i ciszy — żadnych obchodów i manifestacji.

Minęło trzy tygodnie tej «Krucjaty przeciwko bolszewizmowi» (oficjalna nazwa obecna) i — nic. Nawet frontu nie przełamali. Rosjanie cofają się wolno, niszczą wszystko za sobą i biją się.

16. 7. 41.

Nareszcie chłodniej. Wyssały nas te gorąca. Odżywiamy się marnie, mało mięsa, i organizm źle znosi naj-

mniejszy wysiłek. Owoców też niewiele i bardzo drogie. Trudno związać koniec z końcem i musimy dokładać z oszczędności do moich zarobków. Wprawdzie od 1-go czerwca otrzymałem podwyżkę o 1 fr. 15 na godzinę (ogólna podwyżka płac w całej Francji) ale i to nie wystarcza. Pomimo zadekretowania cen, wszelkie wysiłki w celu usztywnienia ich nie dają żadnych wyników. Na 14-ty lipca były awantury, głównie w Quartier Latin. Rozbili szyby wystawowe w tej niemieckiej księgarni, policja zdzierła ludziom przypięte trójkolorowe kwiatki i rozpędzała dziewczęta chodzące trójkami w niebieskich, białych i czerwonych sukienkach. Dziś ukazały się w gazetach artykuły ostrzegawcze: niech się wam nie zdaje, że możecie robić co się wam podoba. To co macie, jest jedynie łaską. Pomyślcie o zimie. Od waszego zachowania się będzie zależało wasze wyżywienie itd. Ale w «métro» coraz więcej biletów w kształcie «V» i «H».

Zastanawia mnie to nagłe przebudzenie się patriotyzmu właśnie od chwili, gdy przeciwnikiem Niemiec stała się Rosja.

20. 7. 41.

Chwył propagandy niemieckiej z tym «V» jest koroną wszystkiego. Rozlepili dziś olbrzymie afisze z wielkim «V» i napisem «Victoria», a pod tym «Zwycięstwo Niemiec walczących o Nową Europę». Podszyli się pod londyńskie «V» i zadowoleni. Na wieży Eiffla powiewa wielki sztandar z «V», na wszystkich samochodach «V» otoczone wianuszkiem laurowym, w radiu marsz «Victoria» — wielkie błżeństwo i operetka.

22. 7. 41.

Miesiąc kampanii niemieckiej na Rosję minął i Sowiety wytrzymały. Teraz należy myśleć i zastanawiać się, jak długo potrafią jeszcze wytrzymać. Niemcy ciągle prą. Francuzi budzą się. Mam wrażenie że to raczej komuniści francuscy budzą ich. Dopóki Sowiety były sprzymierzeńcem Niemiec, panowała cisza. Kto wie, czy na dnie całej prze-

granej francuskiej w 1940 roku nie kryje się właśnie to, czy Francja nie przegrała tej wojny po prostu od dołu, tak samo jak my przegraliśmy nasze powstanie listopadowe. Oczywiście w innej skali, o kilka stopni wyżej, bo od tego czasu wiele zmieniło się. Ale zasada pozostała ta sama.

Londyn podał że to «V» w niemieckim wydaniu oznacza «Verloren», a Moskwa utrzymuje że wystarczy spojrzeć na Goebbelsa, aby przekonać się że nie człowiek pochodzi od małpy, lecz małpa od człowieka. Co kto woli. Jeżeli chodzi o mnie, to spoglądając na całą ludzkość — nie tylko na Goebbelsa — przychyłam się do moskiewskiej wersji teorii ewolucji.

27. 7. 41.

Mówią coś o układzie polsko-sowieckim. Wszystko możliwe. Kobra z królikiem też może zawierać układy, choć w wyniku końcowym prowadzą one tylko do jednego: do połknięcia królika przez kobrę. Po dokładnym i pieszczośliwym obślinieniu, żeby gładzziej poszło.

30.7.41.

Słowo stało się ciałem i Rosja jest naszym aliantem. Rząd Sikorskiego w Londynie podpisał układ z Rosją. Rosja unieważnia wszystko, co dotyczy zaboru naszych terytoriów z roku 1939. Coś w rodzaju rozmówki: «Ja ci zabrałem zegarek, on mi odebrał zegarek i wobec tego zegarek jest twój». Można też... Najważniejsze jest w tym to, że w Rosji powstaje armia polska i że zwolnią zesłańców i więźniów politycznych. Ilu? Ilu deportowano? Nic nie rozumiem. Wiem tylko, że Francuzi mówią mi z zachwytem: «Zwolnią wam ludzi, c'est formidable». Ale gdy zapytać ich: «*Et de quoi ils étaient coupables?*» — milczą. Co to kogo obchodzi. Kobra obślinia już królika, jest poczciwa, dobra i robi sobie propagandę. Uderzyli od tyłu, pomogli Niemcom, podpisali rozbiór, wywieźli setki tysięcy ludzi, których jedyną winą było to, że urodzili się Polakami, po czym wspaniałomyślnie zwalniają ich, pozwalają im się organizować i pokazują światu swoją «wspaniało-

myślność». I cały świat wierzy, i cały świat jest już przekonany, że to my byliśmy winni i że teraz powinniśmy być wdzięczni Sowiетom.

3. 8. 41.

Niedziela. Pogodny, blado-słoneczny dzień. Po południu poszliśmy się przejść w ciasne uliczki Ile Saint-Louis, nad Sekwanę i pod Notre-Dame. Na ulicach pusto i senie. Myśli rozplywają się w tym otoczeniu razem z dymem i mgiełką, zawieszonymi nad mostami, dachami i drzewami. Można iść «położyć» aby i myśl sobie «połaziła». Błąkając się po zakamarkach ulic zaszliśmy nad Sekwanę, naprzeciwko Notre-Dame. Skrzynki bukinistów były otwarte. Znalazłem cały komplet karykatur Gavarni'ego i plik wycinków gazet z reprodukcjami karykatur Daumiera. Jest coś w tych karykaturach — i Daumiera i Gavarniego — że ogląda się je zupełnie nie jak karykatury, ale jak rysunki przedstawiające ludzi normalnych i typy zupełnie naturalne. Natomiast wystarczy wleźć w pół godziny później w jakąś uliczkę i od razu zaczyna się oglądać ludzi normalnych i naturalnych jak karykatury. Jest w tych kreskach coś tak genialnie oddającego ludzi że sam rysunek niczym nie razi, żadną przesadą, żadnym nadużyciem — natomiast rażą żywe modele, których zawsze pełno wokoło.

Po dwóch godzinach dziobania w kojcach skrzynek usiedliśmy w bistrze tuż za ogródkiem przy Notre-Dame. Podłe piwo i podły papieros nabierają tutaj zupełnie specjalnego smaku. Są świetne i pełne treści w to letnie popołudnie, oprawione kolorami, dźwiękami i snującymi się leniwie myślami. Patrzą na nich, jak chodzą, jak łapią ryby. Wszystko tu jest w zgodzie z samym sobą, ludzie nie mają problemów i kompleksów, nie chcą gwiazdki z nieba. Życie to oni, oni to życie — *il ne faut pas chercher à comprendre*. Brać rzeczy jakimi są, kłać i wymyślać z przyzwyczajenia, bez piany na ustach, z uśmiechem lub dowcipem. I nie kryć się nawet ze swoim egoizmem. Bo człowiek jest tylko człowiekiem i niczym więcej, a życie jest krótkie. Może to wszystko nie jest dobre, może kiedyś będą musieli za to drogo zapłacić — tak nas uczyli. Ale

w końcu trzeba by być durniem aby w takie popołudnie rozrywać duszę myślami, z których nic nikomu nie przyjdzie. Więc wolę pić piwo i palić papierosa. Dlaczego mam szukać zawsze poziomek wśród czubków drzew z wstydlwym spoglądaniem w dół? Nie wypada zejść bo tam nie ma wichrów i chmur, szumu i huku...

5. 8. 41.

Jest coś rewolucyjnego w całej atmosferze Paryża od kilku dni.

7. 8. 41.

Radio londyńskie opowiedziało dzisiaj, że Niemcy proponowali Anglii pokój. Nieoficjalnie. Zawieszenie broni, wycofanie się z Norwegii, Belgii, Danii i Holandii — w terminie późniejszym z Francji. Zagwarantowanie granic Imperium Brytyjskiego. Alzacja i Lotaryngia wcielone do Rzeszy — zgoda Vichy już jest. Zajęcie Rosji europejskiej na dwadzieścia pięć lat. Polska, Czechosłowacja, Jugosławia i Grecja państwami półniepodległymi. Londyn odmówił.

Wrażenie olbrzymie. Poza tym Niemcy zaczęli się podobno okopywać pod Smoleńskiem. Blitzkrieg diabli wzięli.

Dzisiejsze gazety parysko-berlińskie podały że dowódcą armii polskiej w Rosji został zamianowany generał Anders. I to bez żadnych ironicznych uwag. Prawie z prawdziwym szacunkiem. Jaki cel tego? W księgarni na rue de Rivoli zdjęto wielką mapę operacyj na wschodzie!!! Czyżby kompromitacja?

8. 8. 41.

Znowu wszystkie gazety podały oficjalnie i zupełnie poważnie, że z Londynu wyjechała do Rosji polska misja wojskowa. Nic nie rozumiem. Gdybym był Rzeckim, wysnułbym cały wielki korowód przypuszczeń... Siedzieliśmy razem z K. za naszym stołem i całutki rano nicowaliśmy

te komunikaty. On ma dobrze w głowie, ale i on nic nie wymyślił. Doszliśmy tylko do wniosku, że «za tym coś musi się kryć».

Zaczyna się metodyczne zrywanie afiszów niemieckich. Komuniści puszczają w ruch swoją organizację. Na miejsce wielkich afiszów z «V» powieszono afisze z mapą Europy ze strzałkami wychodzącymi z państw biorących udział w wojnie przeciwko Rosji. Podpis: *Croisade contre le Bolchevisme*. Z tego napisu wydrapują teraz litery «l» i «visme» i zostaje *Croisade contre le Boche*. Coś dusi się pod pokrywką normalnej ciszy i spokoju. W Paryżu nie widać niemal Niemców — opustoszało. Jedyne w kilku punktach wałęsa się czasem kilku żołnierzy lub jakiś oficer. Koło Opery, na Concorde, w okolicach Montmartre. Ale nawet na Bulwarach mało ich — *feldgrau* znikł.

9. 8. 41.

Wszędzie zatrzymani. Wobec tego rozpoczęli bitwę o Kijów z Budiennym.

10. 8. 41.

W Vichy-Etat (czy to ktoś przypuszczał że napis na etykietkach tej wody mineralnej okaże się aż tak prawdziwy?) wielka konferencja. Podobno Niemcy zażądali od Pétaina wydania Dakaru i floty, przystąpienia Francji do wojny z Rosją, mobilizacji itd. Już im nie wystarcza ten Legion Antybolszewicki, tworzony obecnie z «ochotników» z wielkim szumem i trzaskiem pod patronatem Vichy. Radio zapowiedziało o 7-ej wieczorem że poda wyniki rozmów o 9-ej. O 9-ej oświadczyli że nic nie mogą powiedzieć. Gazety zaprzeczają plotkom — chodzi tylko o sprawy wewnętrzne. A na Francuzów padł blady strach. Znowu gotowi ich zmobilizować. Właśnie kiedy już stało się pewne, że inni wywalczą za nich ich niepodległość.

12. 8. 41.

«*A Vichy rien*» — taki jest tytuł dzisiejszych artykułów na temat wielkiej konferencji. Panuje ogólne zdenerwowanie.

13. 8. 41.

Skończyło się na trzęśliwym przemówieniu Pétaina, w którym wprost przyznał się że jego polityka nie dała spodziewanych wyników natrafiając wszędzie na niezrozumienie. Wobec tego powiększa pełnomocnictwa Darlana i «*je doublerai l'activité de police*». Wrażenie fatalne.

Rozmawiałem dziś z B. o wojnie i przedstawił mi francuski punkt widzenia. Prosty i zrozumiały, logiczny, życiowy i lekki.

— Cóż pan chce — powiada — wojna jest rzeczą nieinteresującą. Rozumiem że w czasach rzymskich wojna mogła coś dać. Młody człowiek narażał się i jeżeli jego kraj zwyciężył i on pozostał przy życiu, to dostawał ileś tam hektarów ziemi, kilkudziesięciu niewolników, parę greckich nałożnic. Było po co się bić. A dziś? Ja w 1919 roku wróciłem do domu, byłem zwycięzcą i dalej musiałem normalnie pracować i płacić podatki. *C'est pas du tout intéressant, la guerre.*

Zart, ale z tego żartu przebijało coś ogólniejszego, jakies westchnienie zmęczenia starego narodu.

14. 8. 41.

Rozlepiono dzisiaj afisze o rozwiązaniu partii komunistycznej we Francji. Dopiero?

16. 8. 41.

Po południu w Muzeum Rodina. 1.001 figur miłosnych, przy czym nie wiadomo kto z kim, kto komu, kto gdzie, którędy i w jaki sposób. Kilka prześlicznych główek, poza tym bez wrażenia. Ładny pałacyk w cichym i trochę

zapuszczonym ogrodzie. Siedzieliśmy nad brzegiem fontanny, dalej biegało kilkoro dzieci, kilka różnokolorowych kulek. Kulki zbiegły się w jednym miejscu nad sadzawką. Pływał tam utopiony ptak i kulki chciały go wyciągnąć. W cichym powietrzu brzęczały muszki. Letnie popołudnie.

Przyzwoitość przede wszystkim. Sika się czytając afisz o uleczalności syfilisu, przylepiony wewnątrz i niewidoczny będąc widzialnym od pasa wwyż przez wszystkich przechodniów.

18. 8. 41.

Nowe afisze. Milion franków nagrody za wskazanie sprawców ciągłego rozkręcania szyn kolejowych. Wykolejają się jedynie niemieckie pociągi — ostatnio często. Na afiszach niemieckich przylepiają «motylki» z sierpem i młotem. Komuniści wypowiedzieli Niemcom wojnę na terenie Francji okupowanej.

Dzisiejszy komunikat londyński jest prosty i suchy. Właściwie ofensywa niemiecka w Rosji została zatrzymana, obydwie strony przygotowują się do przezimowania.

23. 8. 41.

Wczoraj zabili jakiegoś oficera niemieckiego. Dzisiaj nowe afisze: Wszyscy więźniowie narodowości francuskiej aresztowani przez Niemców lub na rozkaz Niemców, będą uważani za zakładników i w razie powtórzenia się zamachów tego rodzaju, część zostanie rozstrzelana.

Zaczyna być wesoło. Jeden z moich kolegów francuskich był oburzony: «To nie ma sensu — to za drogo kosztuje».

Zaleski, Seyda i Sosnkowski zostali zwolnieni. Prawdopodobnie nie zgodzili się z układem polsko-sowieckim. A może przewidują konsekwencje?

27. 8. 41.

Pogłoski o aresztowaniu Göringa. Za wcześnie. Głupia plotka.

28. 8. 41.

Mała, ciasna uliczka w okolicach Jardin des Plantes. Światło poranne przefiltrowane przez mgiełkę. Na ulicy złotawy półmrok, na brzegach chodników jeszcze pełne pudła ze śmieciami, w których grzebią psy. Pod ścianami domów prześlizguje się ociężałym truchtem kilka wielkich szcurów. A środkiem ulicy włókł się ślepiec z białą laską ciągnąc ciężko wyładowany wózek na dwóch kołach. Macał laską przed sobą i dociągał wózek do każdego wymaganego punktu. Ruch wózka był ciągiem małych skoków. Z wózka zwieszala się brudna, purpurowa szmata.

30. 8. 41.

Rozstrzelali siedmiu Francuzów i jednego Holendra. Trzech za szpiegostwo, pięciu za udział w manifestacjach komunistycznych przeciwko armii niemieckiej. Rozwiesili afisze.

Policja urządza wielkie obławy i rewizje w hotelach. Aresztowano kilkunastu Polaków, ale Schwerbel natychmiast interweniował na policji i wypuścili ich. Troszczy się to Gestapo o nas jak o własne dzieci i krzywdy nie da zrobić. Ale ksiądz Cegiełka, Konarski i Rosinkiewicz siedzą dalej. Na szczęście jeszcze w Paryżu. Od 12-go lutego trzyma ich we Fresnes. Podobno twierdzi, że gdyby to całkowicie od niego zależało, to wypuściłby ich od dawna. Ale ksiądz Cegiełka popsuł mu wszystko. Ciekawy człowiek. Miał kilkanaście posunięć wobec Polaków, które trudno sobie wytłumaczyć. Postąpił po prostu po ludzku, nieraz z dużym poczuciem humoru, co u Niemca wydaje się wprost niewiarygodne.

Paryż znowu zawalony żołnierzami. Sprowadzili ich widać umyślnie aby uspokoić wzburzone umysły. Kończy się lato, dni coraz krótsze.

1. 9. 41.

Druga rocznica wybuchu tej wojny. Nie chce mi się uwierzyć. Udało się, jak dotąd, udało się przetrwać. Mia-

łem dotąd szczęście. Wstyd mi, ale pomimo wszystko co nas dotąd spotkało, jeszcze nigdy w życiu nie czułem się tak szczęśliwy jak przez te lata, nawet te dwa lata wojny. Jeszcze nigdy w życiu nie czułem się tak dobrze. Piszę to w pełni władz umysłowych i nie umiem sobie tego wytłumaczyć. Ale czuję to i nic na to nie poradzę. Może jestem w tej chwili jedynym okazem tego rodzaju? Pochłania mnie życie, to wspaniałe, soczyste życie, ten Paryż czasu wojny, każdy dzień.

3. 9. 41.

Już wrzesień. Lato minęło jak mgnienie oka. Jestem dziś rozmarzony, myśl snuje mi się po głowie jak dym z papierosa w letni, upalny wieczór. Czasem jakieś głupstwo tak nastraja. A dziś zdarzyło mi się takie głupstwo.

W południe, po obiedzie, wyszedłem z bistra przejść się. Poszedłem w stronę placyku przy kościele w Châtillon. Jest to cichy placyk, zamknięty murami małych domów i gotyckim kościółkiem. Słońce świeciło, ciepło, cały placyk drzemał i wyglądał jak dekoracja w operze. Usiadłem na ławce. Obok mnie zauważyłem kawałek papieru przygnieciony kamieniem. Odsunąłem kamyk i przeczytałem tych kilka skromnych słów: «Marku — wyjdź na górę. Mama pojechała do miasta. Czekam». Położyłem list z powrotem, przygniotłem kamikiem i odszedłem z przykniętymi oczami. Zdawało mi się, że śnię. Spokój, cisza, słońce, małe domki i kościół i «Marku — wyjdź na górę...»

Miałem ochotę płakać ze szczęścia za nich dwoje, miałem ochotę pobłogosławić im, ich pieśczętom, ich miłości. Płakać ze szczęścia że to jeszcze możliwe. Pomimo wszystko.

4. 9. 41.

Pędzę na rowerze na złamanie karku od Etoile Polami Elizejskimi w dół. Położyłem się na kierownicy, gwizdę «Torreadora» i wiozę w plecaku 5 (słownie: pięć) kilogramów chleba, który wydobyli dla mnie nasi robotnicy ze schroniska w Levallois. Mają takiego piekarza, takiego cu-

downego piekarza, co Polakom daje chleb bez kartek. Bo on lubi Polaków. Znalazł się taki wariat. Za co on nas lubi? Ja wcale nas nie lubię. I poczciwi chłopcy kupują także dla mnie. Z «Torreadora» przechodzę na marsza Schuberta, badam ruchy policjanta i wpadam na Rond-Point z szybkością 60-ciu km. na godzinę. Na widok obelisku na Concorde gwizdam marsza z «Aidy», wpadam na brzeg Sekwany, pędzę wzdłuż Tuilleries i Luwru. A teraz mały skok w okolice Hal i inspekcja śmietników. Ruchem węża przewijam się po ciasnych uliczkach. Po dzisiejszym targu śmietniki są pełne. Liście z sałaty nie ciekawią mnie. Zresztą w tym poszukiwaniu trzeba mieć system, trzeba mieć kompas. Tym kompasem są psy. Śmietnik, przy którym kręci się pies może zawierać coś ciekawego, coś z kości lub mięsa. Jest — naciskam hamulce. «Won» mówię grzecznie kundlowi i odpycham go przednim kołem. Warczy swołocz, musi być coś lepszego. Patrzę i oczom nie wierzę. Cała głowa barania. Wyciągam z torby papier, owijam głowę i chowam. Trochę już «czujna» ale za to ile jedzenia. I pędzę znowu nad Sekwaną. Zapatrzyłem się na jakiś afisz «Madame Capet» z Cecile Sorel (śmierci na nią nie ma) i z całym rozpędem walę czubkiem buta opancerzonym w «klipsę» pedałową — w błotnik niemieckiej limuzyny. Błotnik zgina się w okropny sposób. Sabotaż — na szczęście nikt nie widział. Uciekam uszczęśliwiony. Jednak czymś przysłużyłem się ojczyźnie. Wpadam do domu i gwizdząc one-stepa «Salome» wnoszę głowę. Narada wojenna z Basią. Czuć? Barana zawsze czuć. Robimy prosekatorium. Przepiłowuję czaszkę piłką do żelaza — jest mózdzek. Poza tym ozór i mięso z policzków. Objem się.

Potem siadam w fotelu i czytam. Jest mi tak dobrze. Nieraz gdy w zawrotnym tempie uwijam się po ulicach na rowerze, gdy świeci słońce, jestem tak szczęśliwy jak jeszcze nigdy w życiu. Odkryłem uśmiech myśli. Nie umiem tego inaczej nazwać. Mam ochotę błaznować sam do siebie, robić głupstwa sam dla siebie; rozsadza mnie jakaś głupia radość i lekkość. Wszystko mi się podoba, wszystko wołało jest jak muzyka. Chwywane w przelocie nastroje poszczególnych ulic i widoki wiją się wewnątrz mnie jak jakiś roztańczony korowód par, każda w innym stroju. Piję coś wielkimi łykami czego nie umiem określić. Młodość? Dobrze mi bo jestem młody i silny; dobrze mi bo

jestem sobą i myślę tak swobodnie, jak nigdy dotąd. I mam Basię. Czego więcej potrzeba?

Basia ma rację. Kiedyś na moje pytanie, pełne dumy i zarozumiałości: «I gdzież znalazłabyś takiego drugiego męża?» ona odpowiedziała krótko:

— W Tworkach, kochanie!

Jej dowcip jest zawsze wąskoustny.

5. 9. 41.

Ranki są chłodne, ale słoneczne. Wszystko kąpie się w przesyconej słońcem mgiełce i lśni delikatnie. Domy, mosty, drzewa nie są domami, mostami, drzewami — są jakby ich delikatnym wspomnieniem, są jak cicho wypowiedziane: «A pamiętasz?...» Zanurzam się w ciasne uliczki okolic Jardin des Plantes. Pusto. Tylko pod jakimś domem stoi wózek pełny fiołkowych wiązanek wrzosu. Kilka nitych promieni słońca błąka się po nich i wtedy wrzosa stają się prawie czerwone. Na brzegach chodników stoją niewypróżnione jeszcze pudła na śmieci. Psy oparte przednimi łapami o krawędzie pudeł węszą i nurkują łbami w ich wnętrzach. Czasem słysząc trzask zgryzanych kości, smakowity, mocny. Od razu odczuwam głód i zazdrosczę tym psom. Gdzieś dalej szcęknęła otwierana okiennica. A pod murami tłustym i obleśnym krokiem biegają szczury. Są bure, wstrętne i równocześnie zagadkowe, tajemnicze.

8. 9. 41.

Przedwczoraj była sobota. Wyszedłem z biura w południe i wstąpiłem do bistra na piwo. Miałem potem jechać na drugi koniec Paryża, w okolice La Muette po masło i inne produkty kartkowe bez kartek. Stałem i gryząc suchy chleb, popijałem piwem. Do bistra weszli Francuzi od nas. Szef działu finansowego, szofer dyrektora, dwie urzędniczki. Pili apéritif przed obiadem. Zaprosili mnie. «Co pan pije?» «Tylko koniak» — odpowiadam. Patronka stawia przede mną mały kieliszek. «*Non, madame*, proszę w takiej samej szklance jak ci panowie i tyle samo». Panowie aż wzdrygnęli się, panie pozieleniały. Rozmowa za-

częła się od przysłowia czy też raczej powiedzonka *soûl comme un Polonais*. Wyjaśniłem im, że określenie to podobno pochodzi z ust Napoleona i wcale nie jest dla nas obraźliwe. Podobno polski żołnierz był zdolny do akcji nawet po pijanemu, francuski wiarus był do niczego. Dyskusja o Napoleonie. Zaproponowałem i im koniak i zgodzili się spróbować. Dyskusja o Napoleonie rozwija się dalej. Szef finansowy atakuje Napoleona. Po co Napoleon pchał się do Rosji? Bo musiał. Dlaczego nie pozwolił na użycie gwardii pod Borodino? «O osiemset mil od Paryża nie ryzykuje się ostatnich rezerw» — cytuję Napoleona. Ktoś wszedł do bistra, patron ledwo go obsługuje. Oparł się na łokciu i słucha. Piekarka z naprzeciwnka przyszła także i słucha. Mamy publiczność. Zamawiam kolejkę koniaków i przerzucamy się na «starą galanterię francuską». Panie oświadczają, że ta przysłowiowa galanteria francuska, to po prostu blaga. Jako przykład prawdziwej galanterii cytują zachowanie się Polaków wobec kobiet. Kłaniam się i całuję obie panie w rękę. Kasjerka oświadcza wprost że nasi robotnicy są «dużo bardziej mili» aniżeli jej własni koledzy. Szef finansów zapuszcza się wobec tego w analizę zagadnienia i twierdzi że Polacy mają przede wszystkim *le charme slave* i że to jest co innego, niż *galanterie*. Ale ja wyciągam przykład żołnierzy niemieckich. Ustępują miejsca w «métro» kobietom. Są lepiej wychowani — a może lepiej wytresowani — aniżeli wy. Wy zatraciliście rycerskość. Potem chwila rozmowy — coś o muzyce. Szofer dyrektora ożywia się. Niemiecka muzyka — Beethoven, Mozart, Schubert. Protestuję — to nie byli Niemcy. Prawdziwy duch Niemiec to Wagner. Może pan strawić Wagnera? Ja nie — wołam i zamawiam kolejkę koniaków. Obydwaj mają już dosyć. Rozmowa przechodzi na Polskę. Szef finansów stwierdza, że właściwie Francuzi zawsze mieszają Polskę z Rosją i znają nas jedynie z kilku nazwisk: Mickiewicz, Maria Leszczyńska, Sienkiewicz, Maria Curie...

— A Chopin? — krzyczę. Protesty. Chopin był Francuzem. Nigdy w życiu. Zaczynamy się kłócić. Nagle spoza kontuaru wysuwa się cicho patronka. Trzyma w ręce wielką encyklopedię Larousse'a i powiada: «*Messieurs — silence!*» Czyta z Larousse'a: «*Frédéric Chopin, compositeur polonais d'origine française...*» Przecina dysputę, panowie

spuszczają z tonu. «Sztuka jest międzynarodowa» — pocieszam ich. Kiwiają się. Szef finansowy spojrzął na zegarek i zachwiał się — trzecia godzina. Jest zupełnie pijany, panie śmieją się. Rozchodzimy się. Siadam na rower i jadę aż do La Murette.

Dzisiaj pani szefowa finansowa była na mnie obrażona. Zimno podała mi rękę. «Do trzeciej czekałam z obtadem — były *pommes frites* — w dzisiejszych czasach *pommes frites* — i oczywiście zeschły się. Pierre nie jest dzieckiem, mógł zatelefonować...» i tysiąc wymówek pod moim adresem. I co trzy słowa «POMMES FRITES».

«Na przyszły raz ja do pani zatelefonuję» — warknąłem. Uśmiechnęła się kwaśno.

11. 9. 41.

W Paryżu zapanowała moda strzelania do żołnierzy i oficerów niemieckich. 6-go września, 10-go września i wczoraj ustrzelili kilku. A teraz Niemcy zastrzelą zakładników. Komuniści ratują w ten sposób honor Francuzów, którzy po wojnie powiedzą: «To my».

14. 9. 41.

Wczoraj Roosevelt miał wojowniczą mowę. Kazał swoim okrętom strzelać do wszystkiego co niemieckie. I zwymyślał Niemców wprost ulicznymi słowami, Taki cham! Pani P., Amerykanka z pochodzenia, powiedziała mi kiedyś, że wojna przeciwko Niemcom jest w Ameryce niepopularna i że Roosevelt sprowokuje najpierw Japończyków i via Japonia wypowie wojnę Niemcom. Bo wojna przeciwko Japonii będzie w Ameryce wojną «świętą». Dostyc to skomplikowane ale w tych czasach trzeba brać pod uwagę opinie nawet starych wariatek. W końcu w domu obłąkanych należy słuchać pomyśliców. Oby tylko wszyscy do końca nie byli obłąkani.

16. 9. 41.

Afisz o rozstrzelaniu dziesięciu zakładników. Atmosfera zgęszczona.

19. 9. 41.

Znowu zastrzelono oficera niemieckiego. Nie złapano dotychczas ani jednego z tych myśliwych. Dobrze zorganizowana robota komunistyczna. Wobec tego dziś ogłoszono zarządzenie karne, obowiązujące w całym Paryżu: 20-go, 21-go i 22-go po godzinie 9-ej wieczorem nie wolno chodzić po ulicy. Ludzie złapani po 9-ej będą osadzeni w więzieniu jako zakładnicy. Generał Stülpnagel ostrzega ludność, że jeżeli dalsze zabójstwa Niemców nastąpią w przyszłości, będzie zmuszony zastosować coraz to ostrzejsze metody. Równocześnie przeprosza mieszkańców Paryża podkreślając iż wie, że prawdziwi Francuzi nie mają z tymi zabójstwami nic wspólnego, że są to jedynie komuniści, ale ludność ponosi odpowiedzialność. Niewykrzyce sprawców świadczy o pomocy i ułatwianiu zabójstw ze strony otoczenia.

I to cackanie się nazwą następnie okupacją. Mimo to panuje ogólne przygnębienie i nawet oburzenie na komunistów.

Kijów wzięty. Coś im na południu za dobrze idzie. Zaczyna się ta wojna na wschodzie trochę starzeć. Czytam teraz «Lalkę» i spostrzegam, że kopiuje Rzeckiego od dłuższego czasu.

Po południu na Polach Elizejskich z Lolą. Pogoda cudowna, naprawdę złote, jesienne dni. Usiedliśmy na tarasie kawiarni i obserwowali tłumek pijąc piwo. Zapaliłem papierosa, potem niedopałek rzuciłem na ziemię. Po chwili podeszła jakaś mała dziewczynka, podniosła niedopałek i schowała do wielkiej puszki. Za chwilę przeszedł jakiś chłopak z metalowym pudełkiem w ręce i z oczami utkwionymi w ziemi. Wzdłuż wszystkich kawiarni w Paryżu, tych ludnych i elegantszych, przebiega teraz cały zastęp zbieraczy niedopałków. Od czasu ograniczenia sprzedaży tytoniu (120 gramów na miesiąc na osobę) niedopałki stały się

cennym towarem. Paczka papierosów w czarnym handlu kosztuje 40 franków.

Liście na drzewach już żółkną, słońce jest blade. Na Polach Elizejskich pełno. Nagle wynurzył się na jezdni wielki dylizans zaprzężony w czwórkę koni. Pan młody, panna młoda i goście weselni, rozśpiewane towarzystwo, krzyczą, rozmawiają z ludźmi. Bawią się jeżdżąc tam i z powrotem od Rond-Point do Łuku na Etoile. W całym otoczeniu jest uśmiech, bez troska. Wesele przejechało. Teraz słychać stukot kopyt. Wyciągniętym kłusem przelatuje mały powozik na dwóch kołach, malowany na czerwono. Koń ma uprzęż czerwoną i kopyta polakierowane na czerwono. A jakaś wspaniała kobieta siedząca obok poważnego mężczyzny ma włosy zrobione na niebiesko. Ruch, kolory, zapachy. Przymykam oczy i jest mi dobrze; całkiem po prostu i bezmyślnie dobrze.

22. 9. 41.

Znowu czerwone afisze. Rozstrzelano 12-tu zakładników.

Pogoda zupełnie letnia. Słoneczne, ciepłe dni omotane jesienną mgiełką. Siedzieliśmy wieczorem w lasku Vincennes. Cisza zupełna. Tylko co chwila dolatywał od wielkich drzew szelest trącanych przez spadający kasztan liści i głośne pacnięcie o ziemię. W tym spokoju wieczornym liście opadają łagodnie i cicho, jak płatki ze zmęczonych upałem róż. Kasztany hałasują.

Wieczorem Basia pyta mnie, jak się je krewetki, co w tym jest do jedzenia.

— Szyjki — powiadam.

— To niewiele.

— Tak. Trzeba tego dużo. Chcesz kupić? Nie warto. Ja, bywały zagranicą, znam się na tym...

— Ja też bywałam zagranicą.

Robię wielkie oczy. Wiem, że nigdy nie wyjeżdżała.

— Tak. Na przykład w — Polsce!!!

Moja wąskousta.

Trzy tomy «Lalki». Wielka trylogia, większa od tej Sienkiewicza. Trudno o lepszą książkę, o lepsze wydobywanie wszystkich pechowych cech charakteru polskiego. Tak nie wiele zmieniło się to nasze społeczeństwo od tamtych czasów. «Pechowe» cechy charakteru, nie «ujemne», bo może naszym największym nieszczęściem są te głupie i tak trudne do sprecyzowania wady — na tle wielkich zalet — które psują i odbierają tak często cenę i wartość naprawdę niespotykanym gdzie indziej walorom. Jest coś irytującego w charakterze polskim, są te jakieś irytujące drobne cechy, i to objawiane najczęściej w jakiś bezmyślny i nietaktowny sposób. Nie wolno ci zarabiać dla zarobku, a jeżeli nawet to robisz, to nadaj temu cechy «pracy dla kraju». Polska Polska, ale nieraz mam wrażenie, że ta biedna Polska dosłownie usiadła nam na mózżgach i nieraz wręcz ogłupia. Po czym służy do usprawiedliwiania popełnianych głupstw. Zamiast ojczyzny dostrzegam w niej za często *Mädchen für alles*. I czym o niej głośniej, tym bardziej należy się mieć na baczności, bo prawdopodobnie jakiś «geniusz» z pełną gębą Polski przygotowuje coś «genialnego».

Opis Wokulskiego w Paryżu oddaje chyba najlepiej to wszystko, co Prus chciał powiedzieć i co można by najlepszego napisać o tym «czymś», w czym taki Wokulski czuje się dopiero dobrze. Co najmniej tak dobrze, jak ja. Nieraz wydaje mi się, że w każdym żywym Polaku tkwi gdzieś głęboko ukryty kompleks winy, iż Opatrzność nie pozwoliła mu umrzeć za ojczyznę. Nawet we mnie tkwi to poczucie winy. I to mnie buntuje. Bo śmierć jest dla mnie zawsze wstrętą, nawet za ojczyznę.

Wieczorem w kinie na «Trois Valses» z Yvonne Printemps i Pierre Fresnay. Stary film, ale uroczy. Niektóre fragmenty jak Dégas, zdjęcia *plain-air*'owe to Manet na czarno i biało. Przy wyjściu z kina wpada się teraz w zupełną ciemność. Z innych kin wychodzili ludzie, wszędzie błyskały latarki. Wracaliśmy do domu objęci, nuciłem Basi «*Je t'aime quand même*» i doszedłem do wniosku, że w żadnym wypadku nie mam ochoty na umieranie. I w końcu nikt nie ma ku temu ochoty, tylko że wśród nas nie wypada o tym mówić głośno. Wszelkie mity naro-

dowe nigdy nie przemawiały mi do przekonania, a ten najważniejszy najmniej.

28. 9. 41.

Wspaniały obiad — naprawdę niedzielny. Dzięki Loli, która przyniosła nam wczoraj duży kawałek kury. Jestem teraz bezustannie głodny. Nieraz budzę się w nocy, zjadam kawałek chleba popijając winem i kładę się z powrotem do łóżka. Dzień w dzień po 50, 60, 70 km. na rowerze po Paryżu i przedmieściach i nic porządnego na ząb.

Po obiedzie poszliśmy do lasu Vincennes. Było ciepło jak w lecie choć dzień szary, bez słońca. Trawa już zrudziała i wyłysiała, przy każdym podmuchu wiatru leciały stada liści.

29. 9. 41.

Jeden z naszych robotników trudniący się czarnym handlem i mieszkający w schronisku na Wagram, wyprawił wczoraj swoje imieniny. Między zaproszonymi znaleźli się markiza de Bonnières, dyrektorka tego schroniska i jedna z wiernych klientek solenizanta, oraz nasze Gestapo w osobie radcy Schwerbla. Towarzystwo bawiło się świetnie, śpiewano ochoczo i w końcu Gestapo zaintonowało «Hej strzelcy wraz, nad nami orzeł biały». Graniczy z surrealizmem.

Opowiadał mi o tym odźwierny z Wagram, naoczny świadek, i K., który tam mieszka i ma szczerzy zamiar wprowadzić się stamtąd.

30. 9. 41.

Siedzę na ławce na Boulevard Arago i rozmawiam ze starym mechanikiem. «Wujo» Galant, pijak i awanturnik, przywiózł mi kilogram chleba, ja dałem mu za to trochę tytoniu i tak się żyje.

Słońce popołudniowe zapada gdzieś za Denfert-Rochereau, jest ciepło i złoto. Rozmawiamy o wojnie.

«Wujo» był na Kaukazie i w Turkiestanie. Mówimy o przyszłości. «Bo wie pan — powiada stary «Wujo» — po tej wojnie musi to towarzystwo europejskie trochę się zjednoczyć. A nie tak każdy pod siebie. Bez tego ta cała Europa to będzie znowu czysty burdel». Krótko i do rzeczy. «Po tej wojnie...» Kiedy to będzie. Lepiej pogrzać się w słońcu i nie myśleć.

1. 10. 41.

Pogoda jakiej tutaj nigdy nie widziałem. Od rana do wieczora kolory zmieniają się i wszystkie są delikatne, łagodne, precedzone przez gazę chmurek. Moja sklepikarka w Châtillon sprzedała mi dziś jakiegoś pasztetu bez kartek. «Co to jest», pytam. «A czy ja wiem, może to pies», odpowiedziała z całą obojętnością ludzi południa. Jest spod Pirenejów. Hau, hau — wrrrr.

4. 10. 41.

Ten błazen miał mowę. Powiedział, że od 48-miu godzin trwa na froncie rosyjskim akcja mająca doprowadzić do ostatecznego zniszczenia i złamania armii czerwonej. Że akcja trwa, to jedno, ale czy doprowadzi do zniszczenia armii czerwonej, to drugie.

Wieczorem w Vincennes. Staw, drzewa, trawniki, niebo — wszystko jak ilustracje z «Peter Pana». Cisza przezywana packaniem kasztanów.

5. 10. 41.

Po południu nigdy nienudzająca się włóczęga. Louvre, Tuilleries, Champs-Élysées. Potem Madeleine, Bulwary, Opera. Kwietniki w Luwrze prześliczne, obsadzone jesiennymi kwiatami. Grupy ludzi zatrzymują się ostentacyjnie pod łukiem Carroussel i czytają na głos wyryty tam napis: «Pod Austerlitz, gdzie złamaną została potęga Niemiec...» Niestety tym razem nie oni to robią. Ale będą mieć złudzenia. To najważniejsze dla nich.

Dzień jest ciepły, łagodny. W Tuilleries pełno. W teatrze na wolnym powietrzu grają «Mireille» Gounoda. Wokół niskiego płotu, otaczającego teatr, stoi i siedzi darmowa publiczność pogrążona w milczeniu. Wylapują resztki muzyki i śpiewu dolatujące aż tutaj — czasem głośniejsze, czasem mrące wśród drzew. Scena jest platformą, przedzieloną wpoprzek ścianką dekoracji. Widać aktorów wchodzących na scenę i wychodzących «za kulisy». Mireille odśpiewała swoją arię, wyszła za scenę i usiadłszy na stołku zabrała się do roboty na drutach. Teraz wyszedł na scenę tenor, biega po kilku metrach desek i ciska się w poszukiwaniu Mireille. Chór rzucił niedopałki papierosów, poobciągał stroje, przybrał za sceną postawę oficjalną i wolno wychodzi. Mireille odłożyła robotę na drutach i również wychodzi. Duet. Sentymetalna muzyka Gounod'a płynie łagodnie, na rondo kapelusza spada mi rudy liść; a jakaś zmięta blondyna piątej kategorii całuje w rękę siedzącego obok niej grubasa. «Chéri...» Koniec aktu, słychać rozwodnione oklaski. Paryż 1941 czy Paryż mojej matki?

Koło Grand-Palais gra wojskowa orkiestra niemiecka. Jakieś «pot-pourri» z operetek. Babcia mówi do małej wnuczki: «Widzisz, *mon petit chou*, tutaj grało dawniej nasze wojsko, tak, *les soldats français...*»

Na Polach Elizejskich ciasno. Na tarasach kawiarni siedzą ludzie. Wystrojony, drogi półświatek stuka drewnem fantazyjnych sandałów. I strusie pióra — ostatni krzyk mody.

Plac Concorde rozkopany. Wyjmują drewnianą kostkę i kładą bruk. Fontanny pluszczą. U «Maxima» ruch — godzina «diner». Wystawy na rue Royale coraz uboższe, znikają skórzane torebki damskie zastępowane efektownymi torbami i woreczkami z sukna lub filcu. Modele z ostatnich wyścigów w Auteuil — 400 franków. Bulwary. W najdroższych sklepach ceny podskoczyły ale nie tak bardzo. Tylko że coraz mniej towaru.

6. 10. 41.

«Igielka» był u nas na kolacji. Będzie mi przerabiał płaszcz na spodnie do roweru. Twierdzi że wysztukuje. To

krawiec-artysta, krawiec-wolny duch. Nie mieszka w żadnym schronisku, gnieździ się w «kajucie» w Armii Zbawienia, bierze bezrobocie na merostwie i dorabia szyciem. Co zarobi to przepuści. «Raz nie mam co jeść, a raz jem kolacje u tego Icka koło Hôtel de Ville za 50 franków, wszystko bez kartek». Ma duże trudności z kupnem nici, dodatków — coraz trudniej. Wtajemnicza mnie w czarny handel, w te fantastyczne transakcje z ręki do ręki. Opowiada o jakimś byłym lotniku polskim, który handluje teraz brylantami. Od tyłu, od kuchni jakichś podejrzanych knajp, gdzie 120.000 franków wkłada się z teczki do teczki.

7. 10. 41.

Mówią że:

Beck jest w Ameryce i jeździ z odczytami.

Są tacy, co z 40-gramowej paczki tytoniu kręcą 64 papierosy używając do tego niedopałków i niedopałków z niedopałków. Inna metoda polega na robieniu pięciu papierosów z dziesięciu niedopałków, używając trzech na każdego papierosa. Najpierw robi się trzy papierosy — zostaje jeden niedopałek. Z tamtych trzech zostają trzy niedopałki + jeden = cztery niedopałki. Z tego jeden papieros. Zostają dwa niedopałki. Teraz pożyczka się jeden niedopałek, robi się papierosa, wypala i oddaje pożyczony niedopałek. Honorowo — bez długów.

Jedno jest pewne: Hitler przeznaczył pewną ilość ludzi na stracenie i tego dotrzyma.

W strefie nieokupowanej nazywają Pétaina *Saint Philippe qu'on roule*.

W jesieni i w zimie ma być dużo mięsa, głównie baraniny, bo Niemcy wybijają wszystkie owce na produkcję kozuszków dla wojska na wschodzie.

Najlepszym środkiem płatniczym po wsiach jest tytoń, stara odzież, benzyna i oliwa.

Wojna zacznie kończyć się za trzy lata.

C. opowiadał mi dzisiaj ze śmiechem, że jedna z większych wytwórni narzędzi chirurgicznych, w której dawniej pracował i z którą do teraz jest w kontakcie, otrzymała od Niemców zamówienie na 10.000 wzierników, przeznaczo-

nych dla pensjonariuszek domów publicznych. Każda rozkosz publiczna ma mieć swój osobisty wziernik. A oni będą zagładać. *Ordnung muss sein*. Typowe.

10. 10. 41.

P. prosił mnie abym pomógł i dopilnował opróżnienia mieszkania jednego z naszych byłych attaché ambasady (płk. Fydy). Chodziło o przeniesienie mebli z pierwszego piętra na skład do garażu. Ofiarowano mi za to 100 franków i oczywiście nie pogardziłem. Dziesięć godzin ciężkiej pracy we dwóch z jakimś podejrzanym robotnikiem i jeszcze bardziej podejrzaną służącą. Na pewno rozkradną.

Wracałem po ciemku. Padał deszcz zimny i przenikliwy. Z drzew sypały się liście rwane ostrymi podmuchami wiatru. Byłem straszliwie zmęczony ale z jakąś dziwną przyjemnością nurzałem się w tym deszczu nurkując w ciemnych alejach koło Trocadéro i Alma-Marceau. Jesień.

11. 10. 41.

Krytyczna sytuacja na froncie wschodnim. Londyn wcale nie kryje się z obawami i komunikaty angielskie są bardzo pesymistyczne.

16. 10. 41.

Wieczorem w «Odeon» na przeróbce scenicznej «César Birotteau» Balzaca.

Sztuka bardzo dobrze przerobiona, gorzej grana. Jeden jedyny Popinot potrafił wyciągnąć z siebie prawdziwego Popinot Balzaca. Sztuka jest na wskroś moralna — i to tendencyjnie moralna. Od pewnego czasu powiewa po Francji wiaterek «odrodzenia», odrodzenia charakteru, moralności, religii, światopoglądu. Szkoda tylko że szereg naprawdę mądrych ustaw przeprowadzanych jest przez taki rząd. Plan «powrotu na ziemię» (*retour à la terre*), premie za dziecko, dodatek na rodzinę, opieka społeczna — to

wszystko rusza się i jeżeli nie dźwiga, to w każdym razie pozwala Francji trwać i przechodzić tę grypkę lżej i bez większych komplikacyj. Pétain operuje pieniądzem — płaci. Drukuje i płaci. Właściwie już od dawna zaczęła się inflacja, ale francuska odporność inflacyjna jest bez porównania większa niż w innych krajach. Pieniądz jest częścią ich charakteru, jest ich tradycją, ich historią, ich moralnością, prawie życiem.

Ściśle biorąc cała moralność Cezara Birotteau, cała moralność tej sztuki, to bezkompromisowe ustosunkowanie się tego bankruta do własnych długów — to pieniądz przez wielkie «P» wciskający się wszędzie, przypieczętowany życiem. I jeżeli zanalizować całego Balzaca, to moralność i charakter jego osób, które mają być dla czytelnika tym «patrz, takim powinien być człowiek silny, czysty i szlachetny» to właściwie prawie zawsze stosunek tego bohatera do pieniądza. Balzac w nieskończonej ilości kombinacyj uderzeń charakterów o pieniądz buduje całą moralność swojej «Komedii Ludzkiej». Rzuca ludźmi o pieniądz i opisuje dźwięk. Pieniądz dla danego charakteru jest tym, czym płytka marmurowa dla pieniądza.

Charakter francuski zmienił się nie wiele i Balzac jest ciągle aktualny. Pomijany milczeniem wraca teraz powoli w roli moralizatora narodu. A Francja usiłuje się odrodzić. Tylko nie wiadomo dzięki komu: czy dzięki sobie, czy dzięki Niemcom. Bo «retour à la terre» to po prostu «Blut und Boden», wszystkie pomoce i opieki społeczne to w sumie «Wintershilfe», propagowanie rozrodczości i tegoż nacjonalizmu to też wynalazek niemiecki.

17. 10. 41.

C. opowiadał mi dziś o swoim znajomym. Dziesięć lat temu miał ten jegomość małe przedsiębiorstwo i zbankrutował. Poszedł z wierzycielami na ugodę, na 50 procent. Ale pomimo to postanowił spłacić resztę. Wstąpił do małej fabryki jako majster, przez dziesięć lat ciężko pracował i spłacał drugą połowę długu. Trzy dni temu spłacił ostatniego wierzyciela, wrócił do domu i strzelił sobie w łeb. César Birotteau w wydaniu poprawionym.

Obiad u patronów mojego bistra mógł się udać, ale się nie udał. Wynajeli małe mieszkanie w Passage d'Enfer, uliczka sprzed stu lat. Cisza, pustka, prowincja w samym środku miasta. Od razu przy wejściu konsjerżka daje mi telegram. Mam być o 2-ej po południu w Châtillon, podpisane «Chappel» czyli sam dyrektor. Siadłem do obiadu wściekły, wszystkim popsuło to humory. Telefonuję o drugie aby upewnić się. Okazuje się, że Niemcy chcą zabrać naszej fabryce wszystkie samochody. Mam natychmiast przyjechać i napisać kilka listów po niemiecku. Już od kilku dni nic innego nie robimy z K. jak tylko pisanina niemieckich listów. Musi Niemcom bardzo brakować środków transportowych jeżeli łakomią się już nawet na stare graty, do tego przerobione na napęd węglem drzewnym.

Przed trzecią byłem w biurze. Dyrektor przywitał mnie słowami: «Chyba nigdy nie spodziewał się pan, że we Francji przyda się panu znajomość niemieckiego». «Tak, a szczególnie dzisiaj»... Zrozumiał aluzję i uśmiechnął się. W godzinę napisałem te bzdury i przed piątą wróciłem, witany owacyjnie przez podpite towarzystwo. Suzy, piekarka z Châtillon, była już dobrze pod gazem i wymawiałem z niej obietnicę 350-ciu gramów chleba dziennie bez kartek i bez konieczności przespania się z nią. Miała ochotę, ale mnie zależy bardziej na chlebie. «*Mais tu sais que j'te donnerai tout c'que tu voudras*» — «*Donne-moi du pain et ça suffit*». — «*Tu es quand même un peu vache*», powiedziała mi. *Vache* czy nie, a chleb muszę mieć. Nieraz zdycham z głodu dosłownie. Ale jeszcze nie doszedłem do tego żeby oddawać się za chleb. Potem się upiłem i w «*métro*» tak mnie wzięło, że chwilami traciłem przytomność. Na szczęście motorniczy zaopiekował się mną i wysadził na «*Daumesnil*». Do domu trafiłem omackiem i w domu byłem zupełnie gotów. A Basia natrzęsała się ze mnie.

Dzisiaj wysłali mnie do Secrétariat d'Etat à la Production Industrielle czyli do ministerstwa produkcji aby na-

pisać im tam kilka listów po niemiecku. W ministerstwie nie mają nikogo. C. gdy to usłyszał, powiedział mi: *Vous pouvez noter cela comme un signe de plus de la décadence française*. Właściwie to ma trochę racji. Najgorsze jest to, że coraz częściej K. i ja musimy odbierać niemieckie telefony z «Astorii» czyli z «Zentrakraft». Z pisaniem pół biedy, ale gadanie wcale nie sprawia mi przyjemności. Staram się tumanić ich ile wlezie, zapuszczając się w dyskusje o niewłaściwym tłumaczeniu. I często tych baranów można zagadać. Ci Niemcy to są jednak barany. I dlatego przegrają i tę wojnę.

21. 10. 41.

Natarcie na Moskwę zatrzymane. Francuzi twierdzą, że Hitler kompromituje się. Napoleon o tej porze już siedział w Moskwie i zaczął o dwa dni później od nich. 24-go czerwca przeszedł Niemen. Poza tym wszyscy są przekonani że zima w tym roku zacznie się także wcześniej niż normalnie choćby tylko dlatego, aby i to było podobne do 1812-go.

Popelniliśmy dzisiaj «Rassenschande» i byliśmy na niemieckim filmie «Bel Ami» z Willy Forstem. Przeróbka z Maupassanta. Bardzo dobry. Już dawno nie widziałem tak dobrego filmu. Pewnie dlatego że Willy Forst to Austriak.

22. 10. 41.

Niemcy są narodem genialnym, wszystko przewidzą, wszystko obliczą, przetną włos na cztery części, tylko w tych przewidywaniach zawsze czegoś brak. Najczęściej głupstwa i na tym głupstwie rozwalają się, kładą się na całego.

Przedwczoraj znowu niewykryci sprawcy zastrzelili Feldkomendanta Nantes. Na to generał Stülpnagel kazał rozstrzelać pięćdziesięciu zakładników i pojutrze w południe rozstrzela dalszych pięćdziesięciu jeżeli sprawcy zamachu nie zostaną wykryci. I teraz Francuzi ocknęli się naprawdę. Cały plan kolaboracji, cała idea kolaboracji ob-

myślona i wypracowywana od roku (nie bez znacznych wyników) weźmie w łeb.

23. 10. 41.

Przedwczoraj zastrzelono znowu oficera niemieckiego — tym razem w Bordeaux. I znowu rozstrzelali pięćdziesięciu zakładników z obietnicą dalszych pięćdziesięciu jeżeli nie wykryje się sprawców. Dzisiaj już się wszystko gotuje. Opinia ogólna: to nie jest zarządzenie karne, to po prostu masakra. *C'est un massacre*. Podobno w szeregu fabryk wybuchły strajki protestacyjne. «My mamy z nimi współpracować? Tu dopiero pokazali czym są naprawdę» — słyszy się wokoło. Gdybym był Hitlerem wylałbym tego Stülpnagla na zbity pysk. Sknocił potwornie. Wystarczyło od razu ogłosić że pomimo zabójstwa w Nantes i w Bordeaux żadne środki represyjne nie zostaną powzięte, bo to nie Francuzi, bo nie można uwierzyć aby to byli Francuzi — to agenci Moskwy i Londynu, prowokatorzy — za to karać niewinnych nie możemy — i cała Francja dałaby się wziąć na to, połknęłaby haczyk. Bo oni w gruncie rzeczy chcą jakiś haczyk połknąć, aby uleczyć nim kompleks, który tkwi w nich od czerwca 1940. Od roku idzie walka o duszę Francji, cała Francja pragnie jakiegoś rozgrzeszenia i szuka go to tu, to tam. I już, już była gotowa przyjąć je z rąk niemieckich via Vichy-Etat. I masz. Sami Francuzi to mówią i stwierdzają z pogardliwym uśmiechem: *Ils ne sont pas fins...*

Udało się. De Gaulle w tych dniach pozyskał Francję. Właściwie teraz może już spokojnie spać. Jednym uderzeniem buta Niemcy rozdarli subtelną pojęczynę. Stülpnaglowi powinni dać po wojnie Legię Honorową. Zawsze tacy sami. Teraz będą chcieli to naprawić, bo nie są aż tak głupi żeby nie zorientować się w ogromie klęski psychologicznej.

25. 10. 41.

Oczywiście! *La magnanimité du Führer...* Sam Führer odroczył rozstrzelanie dalszych stu zakładników. Francja powinna być wdzięczna. Nie — Francja już zrozumiała, ty narodzie kaprali bez cenzusa. Uf — ulżyło mi.

29. 10. 41.

Śnieg — w południe śnieg z deszczem.

31. 10. 41.

Śnieg, zimno. W naszej Salle des Fêtes jeszcze nie palą i siedzimy przy stołach urzędując w siedmiu stopniach ciepła. Sypał taki śnieg że spóźniłem się do pracy, bo było ciężko jechać. Wyszło oficjalne zarządzenie zabraniające słuchania radia londyńskiego. Kara 1.000 do 10.000 franków i trzy miesiące do trzech lat więzienia. Oczywiście teraz wszyscy będą słuchać z jeszcze większym zapalem. *Ça fait du sport!* Odroczyli znowu rozstrzelanie tych stu zakładników. Podobno na skutek interwencji Churchilla. Obiecał Hitlerowi rozstrzelać od razu 250 oficerów i podoficerów niemieckich znajdujących się w niewoli angielskiej. Jeżeli to plotka, to w każdym razie dobra plotka, puszczonej z całą angielską zęczością.

1. 11. 41.

Siedzimy w domu i marzniemy. Zimno przenikliwie i oczywiście nie palą. Siedzę w fotelu z nogami owiniętymi kocem mając na sobie pięć warstw wełny i czytam «Napoleona» Bainville'a. Jest to lektura z przeźrocami rzeczywistości do tej wczesnej zimy włącznie. Po tej lekturze wszystko już wyjaśniło mi się. Niemcy muszą tę wojnę przegrać i wygra ją Rosja.

2. 11. 41.

Zimno jest przeraźliwe. Po południu postanowiliśmy wyjść z domu, żeby się rozgrzać. Jak co roku, pojechaliśmy na Père Lachaise. Na grób Chopina. Kupiliśmy kilka astrów i Basia miała dwie świece. Było już mało ludzi, bo późno. Grób Chopina pokryty, jak zwykle, ślicznymi kwiatami. Zapaliliśmy świeczkę i poszliśmy jeszcze na grób Oscara Wilde'a. O nim nikt nie pamięta. Tym razem były jednak dwie śliczne chryzantemy. Położyliśmy nasze kwiaty i zapalili świecę. Nasze świeczki były jedynymi światłami na całym cmentarzu bo tu nie znają tego zwyczaju. Wieszka się metalowe wieńce i wianuszki — grób wygląda potem jak stragan z obwarzankami. Wracając wstąpiliśmy jeszcze na grób Chopina. Nasza świeca znikła. Ukradli ją. Praktyczny naród.

Wracaliśmy na piechotę. Jedna z najpaskudniejszych części Paryża razem z tą potworną fontanną na Place de la Nation. Wielka Marianna z brązu obsikiwana ze wsząd przez krokodyle w ciąży. Dopiero po naleśnikach z mąki gryczanej z konfiturą — 2 franki sztuka — humor mi się poprawił.

3. 11. 41.

Roosevelt miał mowę. Powiedział że padły pierwsze strzały i ustalono, kto strzelał pierwszy. Ale nie to jest ważne; ważne jest, kto będzie strzelał ostatni. Niemcy zapotili już dwa torpedowce amerykańskie (dzisiaj jest w gazetach, że wczoraj utopili trzeci). Poza tym Ameryka została już właściwie zaatakowana, bo w posiadaniu Waszyngtonu znajdują się dwa dokumenty pochodzenia niemieckiego. Jeden z nich to mapa Ameryki Południowej podzielonej na pięć części pod panowaniem niemieckim. Drugi dokument, to projekt zniesienia wszystkich religii na świecie (a w każdym razie na terenach podbitych) i zastąpienia ich kultem narodowego socjalizmu: zamiast krzyża — swastyka, zamiast Boga — *Führer*.

Zrobiło to wrażenie, pomimo cech amerykańskiego «humbugu». Prawdopodobnie obliczone głównie na użytek wewnętrzny.

4. 11. 41.

«O Roku ów...» Uff — w naszym kraju, to jeszcze, ale w Paryżu... Od rana sypie gęsty śnieg, prawdziwy, nie żaden «ersatz». Dachy białe, na ulicach śnieg jak w zimie. A cóż tam pod Moskwą, panie dobrodzieju? Ano 27 stopni mrozu, panie dzieju — tak przez radio Angielczyki powiadały. Natarcie utknęło w śniegu. Na daremnie ten Szwejk z piekła rodem dąsał się i miotał miesiąc temu, obiecując decydujące rozstrzygnięcia. Ani Kronsztad, ani Leningrad, ani Moskwa... I jak pan wygląda? Jak wielbłąda, panie H. Śnieg sypie.

7. 11. 41.

Na obiedzie u państwa P. Symfonia. Zupa. Potem ryba z wody. Pieczarki w białym sosie, kartofelki obsmażane w oliwie, do tego «Chablis 1926». Brukselka. Gruszki w kremie. Rozegrałem przy stole *eine wirkliche Vernichtungsschlacht*. Zniszczyłem. Opchałem się na całą pojemność skurczonego żołądka.

Wczoraj przemawiał Stalin. Nie ukrywa że sytuacja jest poważna, ale dadzą sobie radę. Niech Hitler nie myśli że jest Napoleonem. Materiałowo są osłabieni, ale Anglia i Ameryka podsyłają, a ludzi jest dosyć.

9. 11. 41.

Niedziela. Po południu spacer na Champs-Élysées i avenue Foch. Na Polach Elizejskich pełno ludzi. Przed sklepem czekolady «Menier» olbrzymi ogonek. Sprzedają filiżankę gorącej czekolady po 5 franków. I ludzie stoją godzinami żeby móc wypić filiżankę gorącej czekolady. Przed kinami ścisk i także ogonki. Mania ogonków. Na małej przecznicy od avenue Foch dwa wózki z pieczonymi kasztanami. Kupiliśmy sobie dwie torebki. Zupełnie nie ma kasztanów w tym roku. Nawet i to zabierają. Odpadła i ta możliwość pożywienia. Całą jesień zeszłego roku dopychaliśmy kasztanami — teraz kartofle i brukiew w kółko. Mam pełny brzuch i chce mi się jeść. Ceny skaczą. Cukru

nawet po 50 franków za kilogram nie można dostać. Obiecali mi za papierosy. Dwie paczki papierosów za kilogram cukru. Może się uda. Mogę sobie na to pozwolić bo tytoń mam od Loli i moje kartkowe racje papierosów odkładam. Cztery razy w tygodniu mam pół kilograma chleba od Suzy w Châtillon. Z Bretanii dostajemy czasem paczkę z masłem od jednego z moich kolegów. W jesieni ususzyłem sam trochę fasoli, kartofli mamy dosyć dzięki «moim» robotnikom — zwożą mi jak tylko mogą. Zima na karku i trzeba koncentrować żywność. To chyba najważniejszy problem obecnego życia. O czym będzie się myśleć gdy kilogram cukru przestanie być wydarzeniem historycznym?

Na avenue Foch liście lecą z drzew. Brzegiem jezdni kłusują konno niemieccy oficerowie. Idąc czytam mowę Hitlera, którą miał wczoraj w Monachium. Ale są to tylko wyjątki tłumaczone na francuski. Muszę jutro kupić «Pariser Zeitung».

10. 11. 41.

Mowa Hitlera w monachijskiej Löwenbraükeller jest buńczuczny, przeplatany wulgarną ironią, usprawiedliwianiem się. Churchill jest «whiskyselige». A ty jesteś «schneetraurig». Od ofensywy przeszedł do defensywy. Już nie on Anglików, ale Anglicy jego niech spróbują zaatakować. *Wenn es den Herren Engländern beliebt, sei es in Norwegen, sei es an unserer deutschen Küste, oder sei es in Holland, in Belgien oder in Frankreich, eine Offensive zu unternehmen, so können wir nur sagen: Tretet an, Ihr werdet schneller abtreten, als ihr gekommen seid!* Ależ to bałwan! Ale trzeba krzyżeć, trzeba zakrzyżeć i otumanić. Na wschodzie zwycięstwo: *Wenn ich zusammenfassend den bisherigen Erfolg dieses Feldzuges umreißen will, dann hat die Zahl der Gefangenen nunmehr rund 3,6 Millionen erreicht, d.h. 3.600.000 Gefangene, und ich verbitte mir, dass hier ein englischer Strohkopf kommt und sagt, das sei nicht bestätigt. Wenn eine deutsche militärische Stelle etwas gezählt hat, dann stimmt das! (tosender Beifall).* Słabszy argument. I coś takiego trzęsie światem, mobilizuje cały świat, uśmierci miliony ludzi. To jest obłąkanie. A co dalej? *Ich hoffe, dass wir in kurzer Zeit noch ein*

paar weitere Massnahmen treffen können, durch die wir ihnen Strang um Strang langsam aber sicher abschneiden werden. Ma nadzieję, że będzie mógł... Ich hoffe, können, langsam aber sicher — to wszystko słowa dotychczas nie słyszane. Ale musicie mi wierzyć, bo ja jestem geniuszem, JA i MOJ ROZUM. Da kann ich Herrn Roosevelt nur sagen: Ich habe auf gewisse Experten überhaupt keine Experten. Bei mir genügt immer mein Kopf ganz allein. Ich habe keinen Gehirntrust zu meiner Unterstützung notwendig. Wenn also wirklich eine Veränderung irgendwie stattfinden soll, dann entsteht das zunächst in meinem Gehirn, und nicht im Gehirn anderer, auch nicht in dem von Experten. Ich bin auch kein Gymnasiast (o Boże, to jest mowa męża stanu, wodza) der in einem Schulatlas Karten einzeichnet. Teraz na odmianę Roosevelt jest winien, że Polska stanęła okoniem: Wenn nun der amerikanische Präsident Roosevelt, der einst schon verantwortlich für den Eintritt Polens in den Kampf war, was wir ihm heute genau belegen können... Ciekawe. Ciągłe bije się z kimś innym, a każda mowa jest niemal wyłącznie przeciwko Anglikom, z którymi jeszcze się nie zetknął. Z tego przebija właśnie bezsilność, wściekła bezsilność związanego i milimetr po milimetrze żywcem zakopywanego człowieka. I to chamstwo. To jest coś niebywałego.

Nadzieja wzrasta. Jeszcze trzeba czekać bardzo długo. Nie tygodnie i nie miesiące, ale wiadomo już na co czekać.

Anglicy zabrali się do Włochów na Morzu Śródziemnym. Utopili cały konwój — siedem okrętów.

11. 11. 41.

Mowa Churchilla. Optymizm przyrządzony w przekonującym sosie rezerwy angielskiej. Lotnictwo angielskie jest już w tej chwili równe niemieckiemu. To najważniejsze.

Gdyby nie wczorajszy deszcz, Paryż byłby bez elektryczności. Podobno przemysł południowych Niemiec ma zbombardowane elektrownie i pracuje na energii częściowo belgijsko-holenderskiej, częściowo na północno-francuskiej. W każdym razie elektrownie zaopatrujące Paryż, idą teraz dla Niemców. Paryż bierze prąd z siłowni wodnych nad

granicą szwajcarską. Przez cały miesiąc nie było deszczu i zbiorniki opróżniły się.

12. 11. 41.

Sikorski jest na inspekcji w Egipcie i na Malcie.

13. 11. 41.

Podobno Weygand zapytany na jakiejś herbatce u Pétaina, co myśli o wojnie w Rosji, odpowiedział: «Dla mnie najważniejsze jest to że biją Boszów». Był przy tym kolaborcjonista, minister Scapini. Pétain zawołał go i kazał dać mu słowo honoru, że nie powtórzy tego dalej. Widocznie nie dotrzymał słowa, bo wszyscy sobie to opowiadają. Jedna z wielu plotek.

Ponieważ Niemcy zawzięcie głuszili Londyn na krótkich i średnich falach, Londyn nadaje teraz na długich — 1.500 m. Ponieważ jest zakaz słuchania angielskiego radia, można usłyszeć dziesięć razy na dzień tę samą rozmowę:

— *Avez-vous essayé d'écouter Londres sur 1.500?*

— *Oui. Ça va épatemment bien...*

Słuchają teraz wszyscy. Nawet ci, którzy dawniej nie słuchali, wierząc w grube brednie Radio-Paris. Kolaboracja straciła popularność.

16. 11. 41.

«Listy» Chopina. Utonąłem w nich. Wszystkie biografie jakie znam, rozpatrują jego muzykę poprzez zachwyty i rozsmakowywanie się w niej do każdej nuty włącznie. Nie wiele o samej pracy. A tymczasem on pedantycznie pracował, opracowywał, tworzył swój styl z całą świadomością artysty i rzemieślnika kompozycji. Czytając te «Listy» ma się nieraz wrażenie, że po prostu «odwalał kawałki» siedząc godzinami przy fortepianie w Nohant. Żadnej pretensjonalności. Zna doskonale własne możliwości, pracuje dużo nad Bachem, uczy się ciągle, byle czego nie puszcza na rynek, a gdy coś napisze, to «płacić». Wszystkie biografie

o nim pisane są w kolorze szarej godziny, nokturnowe, melancholijne. Chopin ponad życiem pływający w mgłach preludów i etiud, itd. A tymczasem wydaje mi się, że był jednym z najnormalniejszych ludzi ówczesnej emigracji paryskiej, umysłem jasnym i artystą, który odkrywszy swój styl i przekonawszy się że styl ten jest jednocześnie stylem epoki, że jego rzeczy «idą» — pogłębia go i zupełnie świadomą pracą wywalcza uznanie dla tego stylu tam, gdzie przyjmuje się on trudniej. Listy proste, czasem kapryśne, bezpretensjonalne i dyskretne. Snob? Może. Ale wolę to jego snobstwo połączone z trzeźwym poglądem na sprawę, niż na przykład Mickiewicza, w którym pomimo wszystko jest coś antypatycznego w całym tym okresie paryskim.

Kupiłem sobie trochę nut i po wielu latach zabrałem się znowu do brzdąkania na fortepianie. Wynałazłem u nas w Châtillon stare pianino za sceną, takie «zakulisowe» truchło. I gdy teraz rozczytałem się w nutach Chopina, zachwygam się nim zupełnie na nowo, zachwygam się ich prostotą i wspaniałą robotą. Jeżeli jest w tym melancholia, to zupełnie świadoma, opracowana. Genialna prostota, zrozumiałość, muzyka nie dla nadludzi, żadnej metafizyki czy idei — po prostu muzyka. Z całą bezkompromisowością polskiego serca i polskiej wrażliwości. Jak był inteligentnym, to widać z każdego listu. Urocza inteligencja spokojnego mężczyzny i silnego artysty, u którego talent był na jego usługach, a nie — jak się to często dzieje wśród Słowian — człowiek na usługach talentu. Dobre serce, przeziły sceptycyzm i ironia, sporo autoironii jak u wszystkich natur zdających sobie sprawę z własnej wartości — myśl prosta i życiowa, trochę egoizmu. Jak pretensjonalnie i grubo wypada na jego tle George Sand fabrykująca powieści systemem taśmowym, głosząca myśli i kierunki z niepokojem niedopieczonych samicy i popadająca w końcu w typowo francuskie brudki. Czytając te listy odnoszę ciągle wrażenie że on siedzi nad fortepianem, patrzy na to i sądzi rzeczy tak, jak na to zasługują. Wreszcie ma dosyć i zrywa — zrywa na zimno, logicznie i dyskretnie.

Po południu w kinie na «Graczu» według Dostojewskiego. Pierre Blanchar. Doskonale zrobiony film — kąpiel w dostojewszczyźnie. To ciekawe do jakiego stopnia Francuzi wzywają się i odtwarzają nastrój i atmosferę rzeczy tego rodzaju — pozornie zupełnie im obcych. Może dla-

tego że tak jak i Rosjanie mają skłonność do «technicznych» uniesień i kompleksów, nie mających wiele wspólnego z prawdziwymi uczuciami. Są mistrzami zimnego nastroju, rozumowych zbrodni i matematyczno-abstrakcyjnych kompleksów duszy, powstałych nie pod wpływem uczucia lecz myśli. Dla mnie cały Dostojewski jest przede wszystkim sztuczny. Jest tak sztuczny, że absolutnie mnie nie bierze.

Poza tym fenomenalna umiejętność odtwarzania brudu moralnego. Zola ma sporo cech pokrewnych z Dostojewskim, Francuzi celują w umiejętności odtwarzania brudu moralnego, jego właściwości duchowych.

Dodatki filmowe pocieszające. Ten szatański błazen zwiedza kwatery zimowe swoich żołnierzy. Niech zimuja.

18. 11. 41.

Tadzio przyjechał z Mińska Mazowieckiego na urlop do Paryża. Był u nas na kolacji. Przywiózł całą walizkę rzeczy z Krakowa. Cała rodzina złożyła się na jej zawartość. Hanka przywiozła ją do Warszawy, była u Tadziów — opowieści z tysiąca i jednej nocy.

Na widok koszul i kalesonów ojca, które matka przysłała dla mnie, miałem ochotę płakać. Sami nie mają i posyłają mnie... Cukierki od Piaseckiego, papierosy... i Tadzio opowiadający o Polsce. Jeszcze w niedzielę był w Warszawie, a we wtorek wieczorem siedzi u nas. Nie jestem skłonny do patriotycznych wzruszeń, ale coś się we mnie zerwało. Jakaś przenikliwa tęsknota za krajem, za rodzicami, za Hanką i Frankiem, za Maryną — za nimi wszystkimi. Dopiero w tej chwili odczułem może po raz pierwszy naszą samotność, obcość otoczenia i te już niemal trzy lata życia zupełnie innego, w którym wiele uczuć uległo zmatowieniu pod wpływem ciągłego «nie dać się». Od Tadzia, od przysłanych rzeczy powiały wiatr i zapach «własności», «swojego» i «naszego». A Tadzio opowiadał o nadziei, którą tam żyją, opowiadał o sobie, o innych, o wszystkim.

19. 11. 41.

Czego oni nam nie przysłali... Jeszcze nie możemy ochłonąć. Nawet pieniądze, co mnie wprost zawstydza. Sami nie wiemy co się z nami od wczoraj dzieje. Kraków zbliżył się na odległość ręki. Chwilami wydaje się, że wojna lada dzień skończy się, że już wracamy, że ktoś do nas najpierw przyjedzie.

Zdawało mi się, że już tak bardzo żyłem się z naszym otoczeniem i życiem. A jadąc dziś do domu spoglądałem na wszystko wokoło jak w pierwszy dzień przyjazdu tutaj. Obcość — w najlepszym wypadku powierzchowna i nie-obowiązująca znajomość.

20. 11. 41.

Wieczorem spotkaliśmy się z Tadzkiem u Rosinkiewiczów. Rosinkiewicz chce wracać i rozmawiał z Tadzkiem trzy godziny, wypytyjąc o Polskę. Było to bardzo ciekawe. Tadzko co wiedział to mówił, czego nie wiedział, nie mówił. Znam go. Po raz pierwszy dowiedziałem się czegoś dokładniejszego.

Weygand podał się do dymisji, ma dosyć kolaboracji. Krąży na ten temat mnóstwo pogłosek. Afryka północna nabiera wielkiego znaczenia. Anglicy rozpoczęli w Libii ofensywę w wielkim stylu i twierdzą, że idą naprzód. Opinia ogólna: Niemcy zaczynają przegrywać wojnę i właściwie ją już przegrali. Czas przyszły dokonany.

23. 11. 41.

Tadzko lata z wywieszonym językiem i skupuje, co się da. Prawie go nie widzimy. Dopiero dziś wieczorem spotkaliśmy się z nim na Saint-Paul w polskiej restauracji. Porcja kury pieczonej 45 franków. Niemcy wzięli Rostów.

Co zrobią z Afryką? Mówi się coś o mającym nastąpić spotkaniu Göring-Pétain. Niemcy chcą floty, Tunisu i Maroka. Z drugiej strony chodzą pogłoski, że w decydującym momencie Afryka oderwie się od Metropolii i ogło-

si się Francją wolną. Pétain rozłoży ręce i powie Niemcom: Zdobywajcie.

Ciągle twierdzą, że polityka Pétaina jest grą na zwłokę, że on nie chce prawdziwej kolaboracji. Trudno w to uwierzyć jak i w to że Afryka ośmieli się oderwać. Jeżeli oddadzą Niemcom flotę i Afrykę, to nie wiem co Francja zrobi po wojnie. Dlaczego ta nikczemność, brak ducha i ambicji? Jeżeli ksiądz Trublet powiedział, że Voltaire to «doskonałość przeciętności», mam nieraz ochotę powiedzieć to samo o całym tym narodzie i sposobie rozumowania jednostek. Gdy rozmawia się o tej wojnie z jakimś Francuzem, nawet bardzo skądinąd inteligentnym, można dostać skrętu kiszek. Nie mają żadnej wizji przyszłości. Dla jednych jest to wojna klasowa i rozpatrują ją z punktu widzenia klasowego jako swego rodzaju rewolucję europejską, inni mówią o Francji tak, jakby jeszcze ciągle była tą Francją, która przestała istnieć w czerwcu zeszłego roku, jeszcze inni nie dostrzegają nawet znaczenia tych codziennych wydarzeń, a w końcu wszyscy nie czują że chodzi na dnie z tym czymś, co możnaby nazwać «kompleksem Lorda Jima». Zawsze «la France éternelle» i pretensje do wielkości bez podstaw.

26. 11. 41.

Basia chodzi po mieście i szuka prezentów dla Krakowa. Wszędzie wydaje się że pełno towaru. Ale gdy chce się coś kupić, dobrać czy wybrać, to wyboru nie ma żadnego. Wszystko znika w mgnieniu oka, ceny idą w górę. Na wystawach są ładne damskie pończochy, ale do nich przypinane karteczki «Sprzedane» i ani jednej pary wewnątrz sklepu. Pozornie, bo chowają towar aby móc sprzedać go potem po wyższych cenach. Tadzio i jego koledzy kręcą się wyłącznie w polskiej dzielnicy na Saint-Paul i oczywiście kupują, co chcą, bo Polacy wszystko wynajdą. Jest tu zresztą już centrum czarnego handlu. Przywieźli po 20.000 franków każdy i skupują tu towar na sprzedaż w Warszawie. Transakcje idą po 5, 10 tuzinów pończoch, herbata, materiały na ubrania, rumy, koniaki — wszystko po cenach astronomicznych.

28. 11. 41.

Niemcy zaczynają rekwirować «kanadyjki» (impregnowane kurtki podbite futrem) i płaszcze skórzane. Poza tym dobrali się do pomników. Pomniki Braci Montgolfier i Victora Hugo już znikły. Oczywiście gazety tłumaczą to tym że pomniki te zostaną zastąpione pomnikami z innego stopu, bardziej trwałego niż dotychczasowy itp. Bzdury, dostarczające tematów do kpiny i żartów.

29. 11. 41.

Każdy z tych robotników, którzy przyjechali tu na urlop z Mińska Mazowieckiego, będzie odjeżdżał jak wenecka galera lub hiszpańska karawela z cennym ładunkiem. Tadzio wziął dla mnie 15 par pończoch. Muszę zacząć myśleć w jaki sposób coś sobie dorobić. Ale na przykład Piotruś F. bierze 15 tuzinów pończoch dla jakiegoś wielkiego eksportera z Saint-Paul. Armator w wielkim stylu. Inni biorą damską bieliznę, swetry itd. Jeden udany przewóz takiej partii towaru może pomnożyć kapitał sześć do dziesięciu razy. Jak w handlu korzeniami. Ryzyko podobne. Wobec tego i ja zaryzykowałem i Tadzio wyjedzie stąd jako moja karawela wyposażona w 15 par pończoch. Dla siebie wiezie 3 kg. herbaty, materiały na ubranie i inne drobiazgi. Wyjeżdżają pojutrze wieczorem.

Rosjanie odebrali Rostów — Niemcy wycofują się.

30. 11. 41.

Handel, handel. Pożyczyłem Tadziewi 5.000 franków i odbiorę to tutaj z jego zarobków w DKW-Grün. Trzeba będzie potem kupić dolary bo we frankach nie warto już trzymać.

W 18-ym okręgu wyleciał w powietrze burdel dla żołnierzy niemieckich. Zabiło dwóch, kilku rannych. Od dziś dnia cały 18-ty *arrondissement* jest zamknięty od 6-ej po południu. Zarządzenie to obowiązuje aż do odwołania. Znowu wszędzie czerwone afisze. Timoszenko goni Niemców za Rostowem. Anglicy jękają się w Libii idąc podobno naprzód.

Dziś wieczorem wyjechał Tadzio. Koło 8-ej wieczorem byłem w jego hotelu, ale Tadzia nie było. Jego kolega powiedział mi tylko, że widziano go gdzieś pod silnym gazem. Siedzimy i czekamy. Reszta towarzystwa złązi się powoli. Piotruś, o którym wszyscy mówili że na pewno przyjdzie zalany, przyszedł trzeźwy w towarzystwie olbrzymich paczek i jakiegoś Żyda o przedziwnym nazwisku «Natzweter». Oczywiście wszyscy mówią mu «Panie Nadsweter». Wysłał on przez Piotrusia wielką ilość towaru na eksport do Warszawy. Chodzi po pokoju, cmoka, nakłada i zdejmuje kapelusz, drapie się w głowę, w końcu z wschodnią rezygnacją konkluduje: «Albo mi wszystko zabiorą, albo nic». Nagle woła wielkim głosem: «Mokry ręcznik i chemiczny ołówek». Rzuca się na swoje paczki, zwilża mokrym ręcznikiem i pisze wielkimi literami: «D.K.W. Grün — Kriegswerkstätte». Obraca się zadowolony: «Panie — to jedzie jako firmowe paczki, celnicy zgłaszają bezwzględne *désintéressement* na widok takich paczek». Ale zapewniam go że mu to i tak zabiorą. Łypie złowrogo oczami: «Co pan mówisz? Widać żeś pan całkiem nie dzisiejszy...»

Inni pakują jeszcze drobiazgi i zapasy trunków. Piotruś ma olbrzymi flakon z wody kolońskiej wypełniony czystym spirytusem. Skupowali czysty spirytus we wszystkich aptekach Paryża. Wchodzi Tadzio zamaszystym krokiem. Rozbawiony, pijany, wesoły — nic go nie obchodzi. Na szczęście Boguś o nim pomyślał i zapakował go dokładnie. Tadzio kładzie się na łóżku, spogląda na Żyda i zaczyna kwiczeć ze śmiechu: «Panie Pulower, ja już widzę te Niemki w pańskich pończochach. Panie, skąd pan wzięłeś to dziwaczne nazwisko? Bogdan, ty dziecię rynsztoku, a ruszaj że się!...» W pokoju coraz większy bałagan, bo niedługo trzeba iść na dworzec. Już wszedł wynajęty tragarz (panowie już się nie trudzą) i zaczyna znosić walizki. Wychodzimy.

Noc jest jasna, księżycowa. Tadzio gada, wydaje mi się że i ja mam wyjechać. Na Gare de l'Est jest już Basia. Tadzio rzuca się jej niemal na szyję, bierze ją pod rękę i o nic się nie troszczy. Chodzi, gada i wydaje dyspozycje: «Boguś walizki na wózek». Wita się z Francuzami, klepie

ich po plecach: «Ça va, bon-zur Robert, ty ciemnoto francuska». Robert uśmiecha się i mówi: «Ça va, ja rozumiem po polska». W końcu idziemy na peron. Tu jednak posturunek niemiecki przy wejściu ogląda bardzo skrupulatnie papiery. Tadzio pokręcił się, znalazł boczny wjazd i niekontrolowani przez nikogo wjeżdżamy z całym wózkiem.

Na peronie ciemno, do wagonów wsiadają Niemcy, jeździ wózek i kobieta woła okropnym akcentem: «Kuchen, Schokolade, Bonbons, Sekt...» Jakaś lnianowłosa Walkiria kupuje pudełko czekoladek. A nasi, wściekli, że nie zarezerwowano im miejsc, drą się i klną po polsku jak u siebie w domu. Pakują się gdzie kto może. Żegnamy się, ściskamy Tadzia, jeszcze raz powtarzam mu wszystkie polecenia i wychodzimy, znowu bocznym przejściem. Na dworcu już pusto, na ulicach martwa cisza rozświetlona księżycem. A gdzieś pod ziemią dudni głucho «métro». Wojna, Paryż, Polacy, Niemcy, Gare de l'Est na którym Francuzki wołają «Schokolade, Sekt». Czasem wydaje mi się że śnię. Gdyby to już można przebudzić się z tego snu.

2. 12. 41.

Dzisiejsze gazety dławią się po prostu od artykułów na temat wczorajszego spotkania Göringa z Pétainem. Oczywiście nic się nie wie o czym mówili. Jedynie krążą domysły: Afryka? Flota? Zwiększenie propagandy «Legionu anty bolszewickiego» i mobilizacja przemysłu.

Pertraktacje amerykańsko-japońskie toczą się w zagęszczonej atmosferze. Ameryka robi wszystko aby Japonia wypowiedziała jej wojnę, a Japonia nie chce. Zimno przenikliwie, mgliste. Przed wielką kwaciarnią na rue Lafayette siedzi na składanym stołeczku jakaś staruszka owinięta w chustki i szale, przed nią małe sztalugi. Siną od zimna ręką maluje gnące się dziwacznie za szybą wystawową orchideje. Ludzie zatrzymują się, patrzą i idą dalej. Malowanie storczyków na mrozie to chyba szczyt perwersji. A może ona wynalazła taki sposób ogrzewania? Stałem przy niej długo i nagle ogarnęła mnie taka tęsknota za jakimś krajem, w którym kwitną orchideje, że miałem ochotę płakać. Czuję dosłownie ból tęsknoty.

3. 12. 41.

Nasza patronka jest bardzo wojownicza. Słucha radia londyńskiego, co kilka dni mamy długie rozmowy polityczne, kończące się zawsze wykrzyknikiem: *Ils sont foutus!* Całą jedną szufladę biurka ma wypełnioną mapami. Studiujemy front rosyjski, operacje kosmetyczne w Libii. Daleki Wschód. Radzę jej aby kupiła mapę Pacyfiku. Wygląda na to że niedługo coś się zacznie i tam.

W Paryżu właściwie cicho, Niemców mało, ładacz-nice tracą klientelę. «Teraz wstają żeby wypocząć» jak to dowcipnie określił Mr. P. (*Elles se levent pour se reposer un peu*). Zarządzenie karne w 18-ym okręgu zostało dzisiaj odwołane. Pogoda jak zwykle: aspirynowa.

Czytam «L'Amérique d'aujourd'hui» Siegfrieda. Doskonale napisane. Z pewnym lekko pogardliwym tonem Francuza wobec tych «barbarzyńców» i kontynentu bez katedr. W sumie jest to po prostu zazdrość której nadaje się różne pozory — najczęściej tak zwanej «wyższości kulturalnej». Tymczasem w wielu wypadkach kulturalna Europa wypada na tle Ameryki nędznie. Kultura? Zależy jaka. Kulturą polityczną i ekonomiczną biją już Europę i całą długość. Wszystko co wiemy o Ameryce, to poza zasobem «mądrych» i stereotypowych sądów, sprowadza się do zera.

4. 12. 41.

Imieniny Basi. Zaraz rano przynieśli jej od Loli talerz czekoladek i ciasteczek, a Chomętowski przysłał śliczną prymulkę. Wniosła to do nas do pokoju hotelowa pokojówka i dzień zaczął się świątecznie.

Ja przed biurem pojechałem na rue Saint-Honoré i kupiłem jej parę rękawiczek, a wracając do domu popołudniu, kupiłem trzy róże. Lola przyszła po kolacji na herbatę i tak przesiadzieliśmy we trójkę cały wieczór mówiąc, jak zwykle, o wojnie.

Wczoraj postrzelili znowu jakiegoś oficera niemieckiego w 10-ym becyrku i od dzisiaj cały ten «Bezirk» chodzi spać o 6-iej po południu. Sikorski był u Stalina, zawarł jakiś układ (na pewno stryjkowo-siekierkowy) i dywizje

polskie tworzą się w Rosji. Ofensywa rosyjska posuwa się i Niemcy cofają się. W Libii zakrzusili się, naprężenie amerykańsko-japońskie wzrasta. Wojna amerykańsko-japońska byłaby środkiem trzeciego aktu tej tragedii, punktem kulminacyjnym. Potem należałoby już tylko czekać na zakończenie. Bóg raczy wiedzieć jakie — koniec tej wojny może być gorszy niż cały jej przebieg...

7. 12. 41.

Roosevelt wysłał osobiste pismo do cesarza Japonii.

8. 12. 41.

Wczoraj Japończycy zaatakowali wszystkie bazy amerykańskie na Hawaj i rozpoczęli wojnę. Sądząc z komunikatów całe natarcie zostało przeprowadzone lotnictwem z japońskich lotniskowców. Amerykanie zostali zaskoczeni całkowicie, «w gaciach» jak się to mówi popularnie. Aż trudno to zrozumieć. Ostatecznie cała wielka eskadra japońska to nie była szpilka w stogu siana, nawet na Pacyfiku. Gdzie wywiad? Gdzie głęboki rekonesans wokół Hawaj? Siedzieli spokojnie, jedli ananasy i tańczyli «hula-hula»? Dorwali im wszystkie statki w porcie i samoloty na ziemi i w parę godzin flaki. «Oklahoma» i «West Virginia» na dnie, tysiące trupów, nawet z pierwszych komunikatów wynika, że bałagan musiał tam być zupełny. Nie rozumiem dlaczego Japończycy od razu nie wylądowali i nie okupowali tej perły Pacyfiku. Teraz wojna jest już kompletna, krąg zamknął się.

W Paryżu nowe zamachy na Niemców. Wyszadzili w powietrze cały hotel niemiecki na rue de La Convention. Wobec tego od dziś dnia wszelki ruch po godzinie 6-ej po południu zakazany. «Métro» kursuje tylko do 5-ej. Zarządzenie to zostało przyjęte z dobrym humorem, tym bardziej że praca kończy się o 4-ej. B. powiedział mi: *La natalité française va augmenter*. Mówi się jednak że dalsze zarządzenia odwetowe mogą być gorsze, że na przykład zamkną na kilka dni piekarnie albo unieważnią pewną ilość kartek żywnościowych na grudzień. We francuskim znaczeniu jest to coś najgorszego, co ich może spotkać.

Po prostu nic gorszego sobie nie wyobrażają. Ale w całym otoczeniu wytworzyła się jakby solidarność i nawet zadowolenie z tych ciągłych zamachów. Słyszałem dziś w ogonku matki opowiadające jakie zadania dają dzieciom w szkołach. Na przykład «Co myślisz o Mers-el-Kebir?» albo «Co myślisz o Trzeciej Republice?». Podobno w pierwszym i drugim wypadku dzieci nic nie napisały, a jakaś rezolutna dziewczynka odpowiedziała nauczycielowi: «Jak można myśleć o Trzeciej Republice skoro jej już nie ma?»

Wczoraj umarł Dymitr Mereżkowskij. W gazetach była tylko mała notatka. Śmierć jego przeszła bez echa. Matka niemal karmiła mnie jego książkami, a «Leonardo da Vinci» był pierwszą biografią jaką przeczytałem.

9. 12. 41.

Sensacja. Podobno nasz niemiecki «opiekun», Herr Schwerbel — znikł z horyzontu. Krążą na ten temat rozmaite plotki, ale nic się nie wie dokładnie. Nie wiadomo także, kto przyszedł na jego miejsce. Polska atmosfera w Paryżu zagęściła się.

10. 12. 41.

Odwrót niemiecki trwa ciągle. Ale wygląda to na bardzo uporządkowane. Na Cité pokazały się już choinki.

11. 12. 41.

Japończycy zatopili Anglikom jeden z najnowszych pancerników «Prince of Wales» i krążownik pancerny «Repulse». Nie ma żadnych wątpliwości że Amerykanie zostali najzupełniej zaskoczeni. Pani P., Amerykanka, zacierała dzisiaj kościste dłonie i powiedziała mi: «Dobrze im tak — oni spali jak Francuzi — spali na swoich lodówkach elektrycznych, kompotach z brzoskwiń i sokach z pomarańczy. A teraz muszą...»

Dzisiaj wieczorem Niemcy i Włochy wypowiedziały wojnę Ameryce. Hitler miał mowę w Reichstagu. Nasza

patronka nie rozumiejąc ani słowa, wysłuchała całej mowy i zdała mi krótką relację: «Okropnie krzyczał». «To jedno, co mu pozostało», odpowiedziałem. No — kropka nad «i» została postawiona po dwóch latach, trzech miesiącach i jedenastu dniach. Pamiętam że Anglicy jeszcze we wrześniu mówili dużo o przygotowywaniu planów na przyszłość, podając w tych obliczeniach rok 1943 jako pewnego rodzaju granicę. Obliczali dobrze.

12. 12. 41.

Objeżdżiłem ze dwadzieścia kiosków z gazetami chcąc kupić «Pariser Zeitung» z całą mową Hitlera. Ale nigdzie już nie znalazłem tej szmaty, bo rozkupili w mgnieniu oka. Musiałem zadowolnić się sprawozdaniami i wyjątkami z francuskich «Zeitungów». Tym razem naprawdę nie wiadomo, jak to nazwać. Po prostu niemiecki albo kaprański towianizm. Niemcy Chrystusem narodów, narodem wybranym, któremu Stwórca zlecił misję obrony Europy. I tak jej nic nie pomoże. Gęste tłumaczenia dłaczego zaatakował Polskę, tak gęste, że aż niezrozumiałe i podejrzone. Bilans strat na wschodzie po prostu śmieszny, wreszcie atak na Roosevelta, który tak jak i Wilson jest wariatem, no i kilka słów o pani Roosevelt, co wypadło w ogóle głupio. W sumie bzyk, wściekły bzyk muchy miotającej się w pajęczynie. Na tle tych słów, tego miotania się, na tle anglosaskich «wyczynów» wojennych, jakoś złowrogo i majestatycznie, imponująco i przerażająco rysuje się postać Stalina. Nie ruszył się z Kremla, milczy, wytrzymał i teraz, podpisawszy układ z zimą, ruszył naprzód. I ciągle milczy. Jego nikt nie zaskoczył — to on zaskoczył cały świat. Biję stamtąd jakaś złowroga i tajemnicza poezja, wielkie i nieodgadnione «X», niewiadoma w tym równaniu, które nastąpi po wojnie.

Łagodny grudzień w tym roku, ciepło. I tylko wilgoć przenikająca wszystko jest paskudna.

13. 12. 41.

Można by dać temu tytuł: «Paryż 1941» i rozpocząć opowiadanie w ten sposób: Samiec wstał z leży, ugotował swą strawę ranną i włożywszy na grzbiet kilka zniszczo-

nych skór, wyruszył na polowanie. Węszył przez cały dzień, spotykał innych samców lub samice, polował podstępem i sprytem, i upolowaną fasolę, groch w puszkach lub masło, kawę, cukier — pchał do wielkiej torby na plecach. I wracał wieczorem do swej chłodnej jaskini, oddawał łupy samicy i ta dopuszczała go do siebie. I takie było ich życie w epoce kamiennej, zwanej XX-tym wiekiem, gdy miliony innych samców wyrzynały się przez miłość dla ludzkości, dla dobra przyszłych pokoleń, chcąc stworzyć epokę bronzową, a idąc wprost ku lodowcowej.

14. 12. 41.

Niedziela. Siedzimy w domu. Czytam. Basia zabrała się do rysowania. Czytam «Bez dogmatu» i krew mnie zalewa. Leona Płoszowskiego należałoby przegrzmocić pokrzywami po gołym tyłku, wsadzić mu głowę do wody z lodem i przez pięć dni karmić solonymi sardynkami nie dając mu nic do picia. Po czym zapędzić do uczciwej pracy. Chociaż diabli wiedzą czy typek tego rodzaju nie stworzyły sobie i w takim wypadku filozofii: wodno-sardynkowo-pokrzywowej. To wcale nie papierowy typ — tego pełno kręci się wokoło. Intelekty spod ciemnej gwiazdy. On musi — psiakrew — myśleć. Zamiast żyć i myśleć, on tylko myśli i wydaje mu się że jest czymś więcej, bo NIC nie wymyślił. Wie z góry taka kaleka i pokraka intelektualna że nic nie wymyśli, ale ciągle myśli. *Er denkt, er denkt, der Schlag hat ihn getroffen und er noch denkt.* Czym myśl staje się prostsza we wszystkich zagadnieniach własnego «Ja», czym bardziej staje się szczerą i otwartą, opartą wyłącznie na krótkich «tak» lub «nie», do których w końcu zawsze dochodzi się gdy człowiek zechce naprawdę szczerze ze sobą porozmawiać, tym jaśniej żyć. Niestety nosi się w sobie ciągłą i nieprzewyciężoną chęć grania przed samym sobą wielkiej roli przy byle sposobności. Nosi się w sobie cały teatr, nie — raczej budę jarmarczną i odwała się całe sztuki. Widz w człowieku, ten «Ja», bierze to najpoważniej w świecie, zachłystuje się i patrzy, rozrzewniając się i mnąc chusteczkę. I nie czuje fałszu, bo ubiera swą myśl w słowa, delektuje się formą, nie wyczuwając że treść jest podwórzowa.

Jest w człowieku jakiś pęd do szklistego załgania się i jakiś snobski strach, żeby przed samym sobą, nawet przed samym sobą, nie wyjść na prostaczka myślowego. Nikt nie zna cudzych myśli, a ludzie myślą najczęściej tak jakby liczyli się w tym z opinią. I wobec tego załgiwiają się w stosunkach ze sobą samymi tak samo, jak w stosunkach towarzyskich. Czy trzeba, czy nie potrzeba. Basia powiedziała mi kiedyś: «Tobie dobrze mówić o prostocie myśli, o jej jasności, skoro jesteś szczęśliwy». Odpowiedziałem jej: «Mylisz się, bo pomyśl jak łatwo mógłbym być nieszczęśliwy». Nie szukam szczęścia, bo doszedłem do tej wielkiej prawdy, że je znalazłem. Wydaje mi się że jestem płytki i powierzchowny, bo nie potrafię być maszyną przędzalniczą myśli. W każdym razie nie potrafię być Płoszowskim.

15. 12. 41.

Znowu jakieś zamachy bombowe na lokale niemieckie w Paryżu i na przedmieściach. Wobec tego dzisiejszy «Bekanntmachung» podaje do wiadomości, że zostanie rozstrzelanych stu Żydów, komunistów i anarchistów oraz na Żydów *zone occupée* zostaje nałożona kontrybucja w wysokości miliarda franków. W treści tego obwieszczenia starają się tłumaczyć, że nie dotyczy to przecież Francuzów. Łagodzą. Francuzi i tak są oburzeni. Nawet «Radio Vichy» delikatnie powiedziało, że nie aprobeuje takich metod, bo śmierć tych stu ludzi godzi mimo wszystko we Francuzów. Ten delikatny sprzeciw Vichy jest z pewnego względu wprost rewelacyjny, bo tego rodzaju głos zabrzmiał stamtąd PO RAZ PIERWSZY — i to właśnie GDY CHODZI O ŻYDÓW. Mnóstwo ludzi, z którymi dziś rozmawiałem, mówiło mi: «Dopiero teraz, gdy chodzi o Żydów, Vichy protestuje. *Ne trouvez-vous pas cela un tout petit peu — étrange?...*» Można by snuć wiele domysłów na ten temat, i to domysłów bardzo antysemitycznych. Zaczęli to teraz robić ludzie, którym przedtem nigdy nie przyszłoby to na myśl i z tego punktu widzenia «protest» Vichy raczej zaszkodził, niż pomógł.

Jazda «métrem» stała się teraz jedną z najwyszukińszych mąk — oczywiście w godzinach ruchu. Od paru miesięcy skrócono pociągi, zamiast pięciu wagonów chodzą teraz składy z czterech lub nawet trzech wagonów. Zmniejszono także ilość pociągów i czeka się teraz pięć do siedmiu minut w godzinach ruchu, dziesięć do piętnastu w każdej innej porze. Połowę żarówek zarówno na dworcach jak i w wagonach powykręcano i wszędzie panuje oświetlenie trupie. Elektryczne schody i windy są zamknięte. Korytarze dawniej tylko wejściowe, służą teraz i do wyjścia. Między godziną 6-tą i 7-mą wieczorem «métro» zamienia się w piekło. Po korytarzach przewalają się wezbrane potoki ludzi, wpadają na siebie, gniotą się i pędzą do swoich pociągów. Dziś wsiadłem do «métra» na Porte d'Orléans. Na Denfert-Rochereau było już pełno. Powietrze momentalnie zgęściło się. Na każdym przystanku pewna ilość ludzi wylatywała przez drzwi jak korek od szampana, inni wpychali się i znowu drzwi zamykały się z trzaskiem. Jak zamykanie zanadto napchanej papierošnicy: chwilę ugniatą się zawartość, w końcu trzask — domknęła się. Wszyscy pocą się, smród i zaduch. Przesiadam się na Strassbourg-Saint-Denis. Wystrzeliło mnie wprost w objęcia jakiegoś plakatu zapraszającego uprzejmie Francuzów na roboty do Niemiec. Całe ściany w «métro» pokryte są afiszami: *L'ouvrier allemand vous invite, Allez travailler en Allemagne* itd. Na korytarzu wrzask. Przed drzwiami automatycznymi stoi ogon ludzi sięgający aż do wejściowych schodów. Przy wyjściu z peronu stoi funkcjonariusz «métra» i pilnuje aby ludzie nie wchodzili wyjściem. Obok niego jakaś kobieta z dzieckiem na ręku, która nie chcąc stać w ogonku, chciałaby przejść tędy i wsiąść do swojego pociągu. Ale on nie puszcza jej. Natomiast ludzie z ogonka krzyczą: *Madame, passez!*. Wyją i wygrażają. Rozwścieczeni czekaniem chcą aby przynajmniej ta kobieta przeszła. Tłum ma ochotę rozszarpać urzędnika «métra». Kilku mężczyzn w końcu przyskakuje do niego, kobiety krzyczą: «Wrzucicie go na szyny». Kobieta przechodzi, ludzie wrzeszczą zadowoleni. Cały grad obelg sypie się na stróża porządku. *Idiot, imbécile, ballot...* Żołnierze niemieccy duszą się razem z innymi. Już i oni muszą jeździć «métrem»,

nieraz jadą całe oddziały, z ryszunkiem, plecakami, tobołami. Docieram na peron mojej linii, wpycham się do wagonu. Leżę na plecach jakiejś dziewczyny, ktoś położył się na mnie — duszno i śmierdzi. Dziewczę pcha mi pod nos swoją brudną głowę z całym huraganem misternie ukręconych i sklejonych cuchnącą brylantyną loczków o kolorze zaśniedziałej klamki mosiężnej. W uszach ma kolczyki w kształcie serca i pomimo tłoku czyta jakąś zeszytowaną powieść. Tytuł fascynującego rozdziału: *La chambre nuptiale*. Zagłębia się w lekturze oblizując co kilka sekund wylakierowane wargi. Na każdym przystanku, zanim pociągnie stanie, jest się skopanym przez wysiadających, którzy wychodzą «na siłę». Z ulgą wysiadam na «Daumesnil».

18. 12. 41.

Już nie mogli dłużej ukrywać. Dziś, po raz pierwszy, Niemcy przyznali się w swoim komunikacie, że są zmuszeni do odwrotu. Celem skrócenia frontu i z powodu zimy, która powoduje konieczność przejścia od wojny ruchomej do walki pozycyjnej. Jednym słowem, jak to określił «wuj» Galant, Niemcy idą naprzód a Bolszewicy za nimi. Tymczasem Japończycy robią z Anglikami i z Amerykanami co im się żywnie podoba. Poza tym pogłoski, iż Niemcy koncentrują spore siły koło Bordeaux i razem z Hiszpanią mają zamiar zaatakować Gibraltar. Poza tym nastrój świąteczny o wiele weselszy i lepszy aniżeli w zeszłym roku.

Przeczytałem «Rodzinę Połanieckich». Takie głupie to to nie jest. Cały szereg doskonałych uwag i spostrzeżeń.

20. 12. 41.

Lola zaprosiła nas dzisiaj do «Théâtre Montparnasse» na «Marie Stuart» jakiejś domorosłej autorki. Cała ta sztuka była szeregiem żywych obrazów na tle czarnych kotar — raz flaczki, raz ziemniaczki, to znaczy raz Londyn i co w nim mówią o Marii Stuart, raz Szkocja i co w niej wyprawia Maria Stuart. Stroje ładne, efekty świetlne dobre, ale nic poza tym. Sposób gry francuski, sztuczny, afektowany i patetyczny. Nieznośne śpiewanie tekstu. Każde

słowo ma na początku kilka liter, potem nuty i wszyscy aktorzy, z głównymi rolami na czele, tokują jak stado głuszców. Każdy śpiewa swą rolę dla siebie, zwracając się często do publiczności. Darnley wije się u zamkniętych drzwi sypialni Marii i miażdży ją kupą dyszących żądzą słów: «Mario, twe ciało potrzebne mi jest do życia jak chleb, mięso, wino...» i cały szereg innych produktów kartkowych. Tekst niebezpieczny dla dzisiejszej publiczności, bo ktoś półgłosem zauważył na widowni, że nic nie powiedział o tłuszczach. Był cichy śmiech. Po czym Darnley zwymyślał Marię od kurw, wyśpiewując to «putain» we wszystkich tonacjach. Jednym słowem kryminal.

Święta zapowiadają się świetnie. Od 24-go do 29-go i od 1-go do 5-go zamykają biuro w Châtillon ze względów oszczędności świetlno-opałowych. Będzie wolne, za które zapłacą.

21. 12. 41.

Z poważną miną, chcąc się naradzić, powiadam dzisiaj do Basi: «Gdy jutro odbiorę pieniądze od Grüna, rozglądne się za jakimś ulokowaniem tego. Kupię chyba...»

— Marki i Yeny! — kończy sucho i kategorycznie Basia.

Gdyby zimna ironia i nienawiść z jaką to powiedziała mogły być zamienione na energię, to możnaby nimi rozwalić Niemcy i Japonię w ciągu pięciu minut. Złoty dolar skacze z dnia na dzień — doszedł już do 525 franków. Jeszcze trzy tygodnie temu był 450. Rubel złoty skacze tak samo. Chcąc się wczoraj wywiedzieć dokładnie o ceny, zjechałem do znajomego antykwariusza Polaka. Ma ten swój sklep, a raczej kąt z pajęczyną na rue des Francs-Bourgeois, pomiędzy muzeum Carnavalet i place des Vosges. Jeden z zakątków Paryża, gdzie człowiek nie wchodzi, lecz zanurza się. Wjeżdżając w takie kąty mam zawsze uczucie że trzeba pochylić się, nadstawić łokcie i ostrożnie wchodzić jak w płataninę krzaków. Paryskie mateczniki. Pan Zygmus, antykwarz, jest już sobie starszawym dżentelmenem. Właściwie nigdy nie siedzi w sklepie i buja po całym mieście zawsze rumiany i trochę urżnięty. Zajedzie się na Saint-Paul — pan Zygmus pozdrawia szerokim, staro-

polskim «dzieeeeeńdoobry» sepleniąc odrobinę. Idzie się bulwarem des Italiens — pan Zygmus jest tu na przechadzce i uchyla wytwornie kapelusza (łokieć przy pierś) wywijając laseczką tkwiącą w łapce obciśniętej w niepokalanie brudną rękawiczkę nicianą, niegdyś białą. Wszędzie ma interesy, w kieszeniach próbki, takie głupstwa: dewizkę złotą za 3.000 franków, zegareczek damski z diamentkami za 8.000 fr. (Szelc, proszę pana, nie warto) i w ogóle «nic teraz nie sprzedaję, proszę pana, bo nie warto. Tak... no... jak mi potrzeba pięć, dziesięć tysięcy, to coś tam opylę, ale nie warto. Kupić — chcą drogo, sprzedać — nic nie dają...» Machnie laseczką, uchyli kapelusika, znowu wywinie laseczką i za pół godziny można go spotkać na Champs-Élysées.

W sklepie siedzi jego «spółniczka», jak o niej mówi — stara Francuzka i pilnuje pajaków i całości pajęczyn. Pan Zygmus tu wpada, coś pogadają i znowu go ponosi gdzieś, hen, daleko. Gdy dziś zajechałem przed sklep, pana Zygmutia nie było. Madame przerwała cerowanie pajęczyn, przyjęła mnie uprzejmie, wysłuchała o co mi chodzi, po czym zakurzonym głosem, jaki mają wszyscy antykwariusze, wytłumaczyła mi: «Pójdzie pan na prawo, potem pierwsza przecznica na lewo, minie pan jedno bistro po prawej, potem drugie, a za tym drugim jest antykwariat obok sklepu z damskimi bluzkami. Tam pan wejdzie i poprosi Monsieur Joseph».

Podziękowałem i nurknąłem w te uliczki aż zabulgotało. Znalazłem antykwarnię i poprosiłem o Monsieur Joseph. Ale Mr. Joseph był obok w bistrze. «Niech pan tam idzie i poprosi Mr. Joseph». Bistro ciemne i tajemnicze. Mrugnąłem okiem do patrona, szepnąłem «Mr. Joseph». Wskazał mi tajemnicze drzwiczki w ścianie, otworzył je i huknął w głąb aż szklanki brzękły na kontuarze: «Mr. Joseph!» W tej samej chwili Joseph wyskoczył jak pajac na sprężynce z pudełka. Mały, czarny Żydek, trochę brudny, trochę elegancki. «Cena złotych rubli? Równy połowa złotego dolara. Dają panu? Po ile? Daj pan za rubla 260-265 maksimum». Mówi po francusku takim akcentem, że od razu przypomniał mi się Lopek Krukowski. Podziękowałem mu i — znikł. Koło Bastille wydostałem się na powierzchnię, wypłynąłem po wędrówce w głębinach miasta. Tam jedno życie, tu drugie. Tam pan Zygmus, Mr. Joseph

i setki innych zamieniają się w ryby głębinowe, handlują złotem, brylantami, wszystkim. I wypływają od czasu do czasu na powierzchnię, pluskają na powierzchni. Uliczki są ciche, schowane, szmerze w nich jeszcze Paryż Balzaca razem z tą różnorodnością typów, spraw, afer. Szmer koszyka wypełnionego ślimakami. Trzeba znowu poczytać Balzaca.

22. 12. 41.

Tylko tak dalej, coraz lepiej. Hitler zamianował się wodzem na miejsce Brauchitza i posłał go na spacer. Oficjalnie mówi się, że Brauchitz już dawno prosił o zwolnienie będąc chorym na serce i że w końcu Führer wysłuchał jego prośb. Jak tam było naprawdę, dowiemy się kiedyś. W tej chwili jedynym wiadomym faktem jest to, że Bolszewicy trzepią tym niezwykłymi armiom skórę i popychają ich. Francuzi zacierają ręce i jeżeli dalej tak pójdzie, to za dwa tygodnie będą opowiadać o Kozakach na Montmartrze. Panują dwie opinie: jedni cuda opowiadają i każdą plotkę przypisują radiu londyńskiemu (Na pewno! Londyn mówił!), przy czym Niemcy już przegrali i kończą się na łeb. Drudzy są sceptykami: Niemcy pokażą jeszcze na wiosnę co potrafią.

Wydaje mi się, że prawda jest po środku. Obecne powodzenia Rosjan nie mają takiego znaczenia jak to sobie wyobrażają optymiści, ale i nie wydaje mi się, aby Niemców było stać na wiosnę znowu na monstre-ofensywę. Z tego co się słyszy od naocznych świadków, pracujących u Niemców, brak im coraz bardziej surowców i środków komunikacyjnych. A co będzie, gdy dojdzie do głosu masowa produkcja lotnicza Amerykanów? Gdy zaczną tłuc po Niemczech dzień i noc? Zabawa jeszcze potrwa, na szczęście wynik jest już obecnie wiadomy.

23. 12. 41.

Ubrałem się trochę porządniej, siadłem na rower i pojechałem do miasta zamówić kwiaty dla pp. P. Postanowiliśmy posłać im coś z najlepszej kwiaciarni w Paryżu. Pojechałem na rue Royale do «La Chaume». Jeden z tych

wielu wykwintnych sklepów Paryża gdzie jeszcze ciągle panuje atmosfera «Paris 1900». Jeżeli secesja jest z zasady stylem ciężkostrawnym, to jednak Francuzi potrafili ją podać miejscami jakby lżej i ma ona tutaj nawet swój specjalny smaczek. Nie jest martwa — ciągle żyje i oddycha. Wejście do «La Chaume» niepozorne, wewnątrz marmury, stiuki, złocenia, girlandy z wszystkimi subtelnościami tego najbardziej nienaturalnego naturalizmu, tego stylu burdelowego. Obsługa jak we wszystkich sklepach tej kategorii: starsze panie ubrane na czarno i skromnie, z odcieniem prowincjonalnych bigotek. Jakieś stare panny z podupadłych, lepszych domów, wykrojone żywcem z Balzaca. Kwiaty ustawione są tutaj w nieładzie, pomieszane, żadnej pogoni za efektem. Efektowne mogą być sklepy dla dorobkiewiczów, dla hołotki; natomiast dla tej stałej klienteli, dla prawdziwej «noblesse» paryskiej z rue du Bac, z rue de Grenelle, z Ile-Saint-Louis, z Paris 16^e po części (tam już sporo nuworiszów) nie wolno być efektownym.

Wszedłem z wykwintną skromnością młodzieńca z dobrego domu. Podeszła do mnie któraś z tych ubogich kuzynek i głosem w tonacji «Zdrowaś Mario» zapytała: *Vous désirez, Monsieur?* — *Je voudrais un azalée.* Prowadzi mnie w głąb i pokazuje krzak azalii, Ile? 1.200 franków. Nawet nie mrugnąłem, choć wewnętrznie ugiąłem się jakby mi ktoś zarzucił ciężki worek na plecy. Ach nie — *vous savez* — wolałbym coś skromniejszego, mówię wolno. *Mais voilà, Monsieur* — *600 francs.* Trochę lżej. Nic nie mówię i rozglądam się. Szacunek ubogiej kuzynki wzrósł. Moje skąpstwo, ostrożność w wydatku zajeżdża niemal arystokracją najlepszej krwi. Tu można śmiało pokazać, że się jest dusigroszem. Takiego szanują, bo na pewno bogaty. Znajduję jakieś mniejsze drzewko, skromniejsze, ale ładne. 180 fr. Biorę i proszę o posłanie tego jutro przedpołudniem, 20, rue Saint-Lazare. Adres wydał się jej trochę dziwny. Udaje, że się przesłuszała. «20, rue Saint-Honoré?» — pyta niewinnie. *Non, non* — Saint-Lazare. Mignęło w jej oczach wyraźnie: «Któż to widział mieszkać w takiej dzielnicy...» Pani P., podając swój adres w sklepach tego rodzaju dodaje zawsze: *Provisoirement, vous comprenez, les événements...* Ja nie dodałem. Odprowadza mnie do wyjścia i otwierając drzwi, tonem «teraz i w godzinę śmierci» mówi: *A votre service, monsieur.*

Po południu na Merostwie 17-go *arrondissement* w wydziale bezrobocia. Trzeba było wydostać zaświadczenie dla jednego z «baranków» od kiedy do kiedy brał bezrobocie. Zostawiłem rower w «garażu». Teraz przed wszystkimi urzędami, merostwami, wielkimi kawiarniami są strzeżone postoje rowerowe. Płaci się franka, wstawia rower pod specjalnie zbudowany w tym celu daszek, dostaje się od dziadka numerek i można sobie spokojnie iść.

Wchodzę do mrocznego pokoju. Przez całą długość ciągnie się niska lada dzieląc salę na dwie części. Ściany za ladą pokryte są teczkami i papierami napchanymi na półki. Od podłogi aż do sufitu. Kilku starych urzędników siedzi za ladą, rozmawiają, ktoś snuje się wzdłuż półek jak cień i szuka czegoś czego wcale nie chce znaleźć. Po prawej stronie, pod ścianą, stoi mała oszklona budka z napisem «Informacje», a w niej łysy staruszek z berecikiem na czubku czaszki. Łupina orzecha na mosiężnej gałce. W górze, pod sufitem, wybite małe okienko połączone z salą za pomocą windy na papiery i dokumenty. Na dole i na górze dwie rolki od firanek, kilka sznurków i stare pudełko od cygar. «Sprawę» wsadza się do pudełka, ciągnie za sznurek, pudełko podjeżdża pod okienko. Tu wychyla się głowa w bereciku, wyjmuje «sprawę», *le cas est examiné dans les archives*, odpowiedź wsadza się do pudełka, pudełko zjeżdża.

Panują tu, przysypane kurzem, cisza i spokój. Kilku klientów czeka rozmawiając szeptem. Nic tu nie jest ważne, bo wszystko jest ważne — akty, tečky, wyciągi, dokumenty są pieczołowicie przenoszone, z oddaniem, wprost ze smakiem. Pośpiech, metody naukowej organizacji pracy, celowe rozmieszczenie mebli, administracja i urzędowanie sprężyste i szybkie są bzdurą. Skoro tysiące papierków żyje tu od setek lat, to i metody pielęgnowania ich nie muszą się wcale zmienić. Powoli, rozpatrzmy, dostaniesz co chcesz, ale w międzyczasie można pogadać, powiedzieć coś lub opowiedzieć coś zabawnego i dowcipnego. Nie męczyć się przepisami, organizacją, tym wiecznym «powinno» — raczej nagiać to wszystko do... Do czego? Do TEGO. Że jest w tym bałagan, moc przepisów głupich i niepotrzebnych, moc czynności i wymagań zbyt technicznych, to trudno. Prawo i ustawy są prawem i ustawami, obywatele mają wrodzone zdolności i nałóg obchodzenia ich. W tym bałaganie

istnieje zawsze możliwość dyskusji czy to słuszne, czy nie — może można by to jakoś «*arranger*», można pogadać, potargować się «*spirituellement*» i łagodnie, bez zdenerwowania załatwić i odejść. Atmosfera kancelarii starego notariusza.

Przy ladzie dwaj klienci, dobroduszne staruszki. Rozmawiają półgłosem. Co chwilę szeleści ich cichy śmiech. Śmiech staruszków ma w sobie coś z szelestu starych papierów. Nasłuchuję.

— *Savez-vous*, tego proboszcza zamknęli już kilkanaście lat temu. Za handel miejscami w raju. *Figurez-vous*, sprzedawał bigotkom miejsca w raju. Za «*fauteuil d'orchestre*» koło Św. Antoniego brał 3.000 franków, a za dostawiane krzesło koło tego patrona rogaczy, Św. Józefa, 1.500 franków. Ale zamknęli go, zanim zdołał wywiesić w zakrystii kartkę że już ma komplet».

Zaśmiewają się, kiwają się ze śmiechu jak dwa baki kręcące się wolno pod koniec obrotów. Urzędnik wtrącił się do rozmowy na temat zabobonów i teraz on zaczyna:

— *Vous savez...* Byłem na wakacjach w departamencie Tarn. Mała wieś, zagubiona w wąwozach, bez dróg. Pewnego dnia przybiega do mnie kobieta i prosi żebym zawiózł jej męża do znachora, bo doktor już nie pomoże. On umiera. Boli go gdzieś w d...e, sinieje, niech pan z nim jedzie. Miałem wtedy mój samochód. Wyciągnąłem chłopą z łóżka, wsadziłem do wozu i jedziemy. Droga straszna, samochód podskakuje, chłop jęczy. Dojechaliśmy wreszcie gdzieś wysoko. Pytamy gdzie znachor. Mówią że w polu. Znowu kwadrans jazdy — znachor kosi siano. Zawołałem go, wyniosłem chłopą. Ten jęczy i wije się z bólu, ustać nie może. Znachor pyta się, co mu jest. Mówię, że coś w d...e. Ściągnął chłopu portki, zajrzał w lufę, coś poszeptał, rękami poruszał, dmuchnął, chuchnął — już teraz nie tylko ja słucham, słucha całe biuro i opowiadający urzędnik nad stosem aktów przedstawiającym d.ę chorego wyczynia wszystkie ruchy znachora — coś jeszcze pomruczał, plunął i powiada, że już dobrze. Mogę go zabrać. Wsadziłem go do samochodu, już teraz nawet nie jęczał. Myślę sobie że na pewno jutra nie dożyje. Znowu jedziemy. Tej drogi nie można sobie wyobrazić. Podrzucało, trzęsło... Zajechałem wreszcie, chłopą oddałem kobiecie i poszedłem na ryby. Nazajutrz przed południem przychodzi do mnie baba, żona tego chłopą, gęś i kura pod

pachą, dwa tuziny jajek i śmieje się. *Monsieur* — krzyczy mój mąż już zdrowy. Uratował go pan, już pracuje w polu. Myślę sobie — zwariowała. Idę z nią, patrzę — i przysięgam na głowy moich dzieci: chłop chodzi po polu. Jeszcze się trochę ślania, ale chodzi. Myślicie, że znachor? Miał wrzody w kiszce stolcowej, wytrzymało go w samochodzie, wrzody pękły i od razu mu ulżyło. Ale cała wieś opowiadała że to dzięki znachorowi. I co pan poradzi na zabobon?

Wszyscy śmieją się. Dwaj starszankowie załatwili sprawę, zgarnęli swoje papiery, wykrzyknęli parę razy z uznaniem: *c'est pas mal, votre histoire* i wyszli pochyleni coś sobie znowu opowiadając. Na podwórku przystanęli, pokiwali się ze śmiechu i poszli dalej.

St. Joseph, le patron des cocus. Niby racja. Cyniczne to, bo cyniczne, ale logiczne, myślę sobie spoglądając na jeżdżące tam i z powrotem pudełko od cygar. Jest mi leniwo i dobrze. Tu niby urząd, a zacisznie jak w antykwarni. Grzebią sobie w tych papierkach tak samo, jak grzebali w nich sto lat temu. Można się dziesięć razy, dwadzieścia, pięćdziesiąt i sto razy wściekać, kłać Francję i Francuzów, ich organizację, a za sto pierwszym razem ulec zupełnie czarowi tego «czegoś», tej atmosfery. Tu wszystko jest tak związane z życiem, z człowiekiem, z jego spokojnym i uregulowanym bytem. Wszystko się liczy, każdy papierek, każdy dom, każde głupstwo wędruje przez pokolenia, odnajduje się i ma swoje miejsce w życiu, ma łączność, z czegoś pochodzi i ŻYJE. Jak ich ulice, ich zabytki, domy i meble. W innych krajach jest postęp, życie biegnie i z biegiem lat odrzuca na bok antyki i zabytki, tworząc z nich muzeum. Coś wysłużyło się i odchodzi na spoczynek. Nie przenika do współczesności, zrywa kontakt. Zabytki są martwe. Bo wszędzie tam odstawiono je na bok do oglądania. A we Francji jest ciągle oglądanie przy korzystaniu. Nieraz spaskudzą jakiś zabytek umieszczając w nim na przykład poradnię dla kobiet w ciąży czy inny zakład użyteczności publicznej, ale za to wtopią go w szemrzące wokoło życie, nie pozwolą mu umrzeć. Urok Paryża to może przede wszystkim ciągle życie zabytków, które gdzieindziej odstawione są do szklanych szafek.

Frank leci coraz bardziej.

24. 12. 41.

Całkiem inne święta niż w zeszłym roku. Jakoś raźniej i weselej. Już dziś od samego rana miałem wolne i nie musiałem jechać do biura. Po śniadaniu siadłem na rower i pojechałem do miasta kupić coś dla Basi. Kiedyś, już dość dawno, przechodziliśmy przez Boulevard des Capucines i podobał się jej na wystawie ze sztuczną biżuterią małe słoń-przypinka do kostiumu. Pojechałem tam dzisiaj i kupiłem go. Na obiad wróciłem do domu.

Basia kupiła małą choinkę. Po obiedzie sprzątałem pokój, kończyliśmy przygotowania do wigilii. Wieczorem przyszli nasi goście — Lola i Ch. Dwie sałatki, barszcz z uszkami, kalafior z kartoflami, makaron z sosem pomidorowym, sałatki, tutti-frutti, budyń — Lola przyniosła leguminę z makiem i bakalie, Ch. wino. Po wigilii zapaliliśmy świece i ułożyli prezenty. Wszystkim nam było tęskno za swoimi i nikt nie robił sobie złudzeń, że jest to ostatnia wigilia poza domem. Teraz już późno, stół do połowy sprzątnięty, Basia wystawia resztki jedzenia «na zimno».

25. 12. 41.

Siedzimy w domu, a ja oprócz tego w fotelu i czytam Balzaca. I jemy co się da. Święto brzucha.

26. 12. 41.

Dziś trzecia rocznica naszego ślubu. Jakoś się przyzwyczaiłem.

Musiałem być dziś rano w prefekturze w sprawach urzędowych. Ponieważ mój «baranek» nie przychodził, usiadłem na ławce aby poczekać. Obok mnie siedziała para żebraków, staruszków. Ona trochę pochylona ale jeszcze pełna życia, on bardziej apatyczny i obojętny. Ubrani obydwójce w resztki starych ubrań, zawinięci w jakąś niesamowitą ilość szmat, łachów, chustek, szalików. A w tym dziesiątki kieszeni i schowków, po których każde z nich wodziło ręką odruchowo, zupełnie automatycznie — jakby chcąc się przekonać czy wszystko znajduje się na swoim

miejscu. Czasem on lub ona wyjmowali coś w na wpół zamkniętej dłoni i prawie nie odsuwając ręki od schowka patrzyli, przekładali do innej kieszeni lub zostawiali na tym samym miejscu. Robili ten inwentarz wolno i dokładnie, warstwa po warstwie, milcząco... Ruchy podobne do spokojnego drapania się w coraz to innym miejscu. Potem ona pochyliła się w jego stronę i zaczęła mu poprawiać szalik; następnie zdjęła mu kapelusz i wygrzebanym z trzydziestej ósmej kieszonki czwartej warstwy okruczem grzebienia przyczesywała mu długo dwie kępki włosów na skroniach. W końcu ze stojącego u jej nóg worka wyjęła kawałek chleba, łamała go na kawałki i wsadzała mu do ust. A on żuł bezzębnymi szczękami, wprawiając brodę w jakiś dziki taniec wokoło górnej wargi i spoglądając gdzieś w dal przed siebie. Miał w sobie coś z królika, któremu podsuwa się pod pyszczyk listek po listku. Od czasu do czasu stara drapała go z czułością pod brodą coś przy tym mrucząc z zadowoleniem, niemal pomiaukując jak kotka liżąca kocięta. On dawał się pieścić, obojętny i podwójnie nieruchomy w porównaniu z szalonym kołowrotkiem jego szczęk. Rozrzewniająca ohyda. Mimowoli pomyślałem sobie, że tych dwoje może być szczęśliwsiymi niż wielu ludzi na świecie.

27. 12. 41.

Właściwie jednym tchem przeczytałem «Le curé de village» i «Mémoires de deux jeunes mariées» Balzaca. Trudno lepiej określić i uchwycić to wszystko, co sto lat temu zaczęło wżerać się w organizm Francji i co po stu latach doprowadziło ten kraj do stanu trzeciego stopnia syfilisu polityczno-społecznego, ideowego, moralnego i — pomimo wszystko — intelektualnego. Jest podobno rzeczą dowiedzioną, że początkowo syfilis pobudza organizm, wyzwala z niego pewne ukryte siły, że w wielu wypadkach bywał on jakby drożdżami geniuszu — no ale kończy się nieodmiennie paraliżem postępowym. Można by to właściwie powiedzieć o Francji i kto wie, czy i w tym, właśnie w tym, nie kryje się tajemnica tego «czegoś», czego nie znajduje się w innych narodach. Sto lat temu Balzac pisze:

«Rada główna budowy dróg i mostów, złożona częściowo z ludzi zmęczonych długoletnią i nieraz zaszczytną służbą, ale nie posiadających już więcej sił ponad te, które potrzebne są do sprzeciwu i skreślających wszystko, czego nie są w stanie zrozumieć — ta rada jest pętlą służącą do duszenia i niweczenia projektów powstałych w śmiałych umysłach. Rada ta wydaje się być stworzoną na to, aby paraliżować ramiona tej pięknej młodzieży, która niczego innego nie pożąda poza możliwością pracy i służenia Francji. W Paryżu dzieją się potworności: przyszłość całej prowincji zależy od «wizy» tych centralizatorów, którzy przy pomocy intryg o jakich lepiej nie mówić, wstrzymują wykonanie najlepszych planów; najlepszymi planami są zaś w istocie te, które hamują najlepiej zachłanność spółek lub spekulantów, które przeszkadzają lub uniemożliwiają najskuteczniej nadużycia — a nadużycie jest stale silniejszym we Francji aniżeli ulepszenie... Nie można ustawić we Francji jednego kamienia bez tego, żeby dziesięciu gryzipiórków i papierkarzy nie porobiło na ten temat głupich i niepotrzebnych raportów».

On jest wspaniały. Francuska administracja, to zagadnienie samo dla siebie. Poznałem ją ze wszystkich boków i już niczemu się nie dziwię. Jeżeli nie zna się tej potwornej administracji, nie zna się Francji. Jest w niej ciągłość od Karola Wielkiego począwszy — ciągłość utrzymana i starannie pielęgnowana poprzez wszystkie rewolucje, zaburzenia, zmiany ustrojów (raczej nastrojów — do radykalnej zmiany ustroju we Francji właściwie nigdy nie doszło). Warstwa na warstwę — i w końcu gruby pokład: olbrzymia i w stosunku do swoich rozmiarów stworzona w rekordowo krótkim czasie synteza — wielka administracja napoleońska. I ta trwa do dzisiaj prawie bez zmian. Sztywna, skostniała, wiecznie żądna milionów druków, formularzy, wyciągów, odpisów, zaświadczeń — PAPIERU. W głowie się mąci, gdy się chce o niej mówić i oddać ogrom, bezwładność i siłę negatywną tego potwora. Francja była wzorem dla całej Europy — i zadławiła się. I dalej Balzac:

«Kraj jest słabym gdy składa się z jednostek niesolidarnych, którym mało zależy na tym czy mają być posłuszne siedmiu ludziom czy jednemu człowiekowi, Rosjaninowi czy Korsykaninowi — byleby tylko każdy zachował

swój kawałek pola; i ten nieszczęsny egoista nie dostrzega, iż pewnego dnia odbiorą mu wszystko. Nie będzie innych praw poza prawem karnym i skarbowym, giełdą albo życiem. Najbardziej wspaniałomyślny kraj na całym świecie nie będzie powodowany uczuciami. Rozwiną się tu i będą opatrywane rany nieuleczalne. Najpierw powszechna zazdrość: klasy wyższe zostaną zmieszane razem z innymi, równość pragnień weźmie się za równość sił; prawdziwe, uznane i rzeczywiste umysły co wybitniejsze zostaną zalane falami mieszczaństwa. Można znaleźć człowieka wśród tyśiąca, nie można nic znaleźć wśród trzech milionów podobnych ambicji, ubranych w tę samą liberię — w PRZECIĘTNOŚĆ. Ta triumfująca masa nie spostrzeże się, że będzie miała przeciwko sobie drugą straszliwą masę — chłopów właścicieli: dwadzieścia milionów sążni ziemi żywej, maszerującej, mędrkującej, nie słuchającej niczego, chcącej wiecznie więcej, barykadującej wszystko, rozporządzającej brutalną siłą...»

31. 12. 41.

Rano wyjeżdżam, wracam do domu o 6-ej i tak dni bieżą, tak minął rok i jeśli ten nowy nie będzie gorszy od tego, to wystarczy. Urzęduję na scenie, biegam po mieście, tułam się po różnych urzędach, a Francuzi urzędolą dalej w wielkiej «Salle des Fêtes» Merostwa Châtillon. My z nimi — dzień za dniem.

Tymczasem Francja usiłuje lizać rany po przegranej wojnie. Rząd Pétaina zachowuje się ciągle tak jakoś, coś gdzieś, niby też to, tędy i owędy, raz kolaboracja, raz coś zgrzyta, a w ogóle nazywa się ciągle, że współpraca Francji z Niemcami jest «życzeniem obydwóch narodów», ciągle jakiś pan z Vichy-État mówi, że «ma nadzieję iż dojdzie do porozumienia». Nie ma tu właściwie żadnych «Tak» lub «Nie». W sumie Vichy-État idzie całkowicie na pasku Niemców, ale Pétain sam nigdy otwarcie nic nie mówił o kolaboracji — ogranicza się do wymijających «nadziei» i «pragnień» i tymczasem stara się odbudować kraj, czerpiąc natchnienie w swych posunięciach ustawodawczo-społeczno-administracyjnych z odpowiednich i nie zawsze głupich urzędzeń niemieckiego narodowego-socjalizmu.

Odnawia się kadry urzędników, wprowadza sprężystość i ład w administracji, walczy z francuskim bałaganem, zmienia się ustawy, rozszerza się zakres odpowiedzialności szefów wydziałów i w ogóle zniósł się «République» i zrobiło «Etat français». Francja — jeden z najbardziej zaniedbanych w Europie krajów pod względem ustawodawstwa społecznego — do 1936 roku nie było płatnych urlopów, nie było dodatków na rodzinę, do 1930 roku nie było ubezpieczeń społecznych — Francja od chwili przegrania wojny zrobiła dalszy skok naprzód w dziedzinie społecznej. Pétain fabrykuje ustawy i — płaci, płaci, płaci. Z niecierpliwością czekam na bilans Banku Francji żeby się dowiedzieć ile miliardów franków pożyczki Bank Francji dał rządowi. Inflacji jeszcze nie ma, dewaluacja jest jednak wyraźna.

Wszyscy patrzą na wschód. *Ex oriente lux*. Od 22 czerwca wszystko zeszło na drugi plan i cała uwaga skierowała się na wschód. Rosja wytrzymała i dziś jest już w wielkim przeciwnatarciu — do tego zwycięskim. Dziś odebrali Kercz i Teodozję. Co z tego wyniknie, trudno przewidzieć. Niemcy tłumaczą swoje niepowodzenia koniecznością przejścia od walki ofensywnej do walki defensywnej i związanymi z tym trudnościami. Albo Niemcy pękną w tym roku i wojna wejdzie wówczas w fazę końcową, albo nie pękną i historia pociągnie się jeszcze dwa lata. Jeżeli Rosja pobije Niemcy, zacznie się nowy dramat — bolszewizm w Polsce, sowiecka okupacja, i kto wie czy nie bolszewizm w Europie. Nic w końcu nie wiem. Mówią, że w interesie Anglii nie leży zwycięstwo Rosji. Może. Wszystko byłoby proste, tylko wieczny znak zapytania: — Sowiety. Tamerlan bije Atyllę — źle; Atylla bije Tamerlana — też źle. W końcu wszystko odbija się na naszej skórze. Tak to bywa, gdy mieszka się w przechodnim po-
Gdzie ci nasi szanowni przodkowie mieli głowę? Lepiej nie mówić.

Koniec części pierwszej.

ACHÈVE D'IMPRIMER
LE 30 SEPTEMBRE 1957
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD,
24, RUE STEPHENSON,
PARIS (18^e).

Dépôt légal : 4^e trim. 1957.

Dar
Biblioteka Polska
Paryż

